

P. 9786 Chr. Arch.

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ Nr 1/171 - 2/172 1962**



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

M. ARŻAK :

**MÓWI MOSKWA**

W. GOMBROWICZ :

**FRAGMENT Z DZIENNIKA**

K WIERZYŃSKI :

**WIERSZE**

T. NOWAKOWSKI :

**POWRÓT TATY**

## SPIS RZECZY

Paweł Hostowiec:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i> .....	3
Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i> .....	11
Zbigniew Jordan:	<i>Rewizjonizm polski (dok.)</i> .....	21
Maria Czapska:	<i>Próby zbliżenia</i> .....	45
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Izaak Babel</i> .....	53
Mikołaj Arzák:	<i>Mówi Moskwa</i> .....	77
Tadeusz Nowakowski:	<i>Powrót taty</i> .....	113



Kazimierz Wierzyński:	<i>Więsze</i> .....	142
-----------------------	---------------------	-----

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Zaduma noworoczna</i> .....	151
Aleksander Kawalkowski:	<i>Europa</i> .....	161
Stanisław Fischlowitz:	<i>Ameryka Południowa</i> .....	176
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i> .....	186

### SĄSIEDZI

S.W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i> .....	194
-----------------	---------------------------------	-----

### NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Wiesław Wohnout:	<i>Lato w Kościelnikach</i> .....	198
------------------	-----------------------------------	-----

### KSIĄŻKI

Józef Czapski:	<i>Pamiętnik Makowskiego</i> .....	209
K.A. Jeleński:	<i>„Bęben” między Polską a Niemcami</i> .....	215
Michał Sambor:	<i>Nędza i radość</i> .....	222
—	<i>„Suma teologiczna”</i> .....	226
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	227
—	<i>Komunikat</i> .....	227



A. Kawalkowski, ks. W. Sojka,:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	228
--------------------------------	--------------------------------	-----



—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1961</i> .....	229
---	--	-----

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ Słyczeń-Luty – Janvier-Février 1962**

**INSTYTUT**



**LITERACKI**



Wszystkim, którzy dopomogli mi do wzniesienia płyty na grobie męża mojego Andrzeja Bobkowskiego, pragnę wyrazić moją szczerą i głęboką wdzięczność. Ten piękny dowód przyjaźni i uznania dla niego jako pisarza i jako człowieka będzie wielką podporą moralną dla jego żony i matki.

Barbara BOBKOWSKA

## NA NAGROBEK DLA ANDRZEJA BOBKOWSKIEGO

Helena Bobotek Chicago, Ill., USA .....	25,00 NF
Halina i Józef Wittlinowie, New York .....	24,50 „
Zebrane na odczytanie Andrzeja Chciuka w Polskim Kole Kultu- ralno-Artystycznym w Melbourne (Australia) .....	110,00 „
Adam Uziembło, Tybinga, Niemcy .....	47,00 „
Wiktor Skiba, Korea .....	39,00 „
Ewa i Stanisław Gieratowie, New York .....	24,50 „
Dr Wit Tarnowski, Hepstow, Anglia .....	27,50 „
Stanisław Gombiński, Paryż .....	30,00 „
Leonia i Ernest Zarembowie, Addis Ababa, Etiopia ....	50,00 „

## NA FUNDUSZ „KULTURY”

Wanda Darcy, New York, (USA) po raz .....	24,50 „
Bezimiennie .....	98,00 „
Stefan Stróż, Toronto, Ont. (Kanada) .....	4,90 „
L. Demby, Anglia, ponownie .....	13,80 „
Stanisław Gombiński, Paryż .....	33,00 „
Aleksander Kawalkowski, Paryż, po raz drugi .....	50,00 „
K. Rzyziński, Anglia .....	13,80 „

Bieżący zeszyt „Kultury” jest, jak zwykle, podwójny (styczeń/luty 1962) Zeszyt następny ukazuje się 1 marca rb.



Imprimé en France

1962 H 1589

## Notatnik nieśpiesznego przechodnia

O suchym dębie u Filostrata. Filostratos był greckim sofistą nauczającym w Neapolu za Septymiusza Sewera. Dla pobudzenia wyobraźni uczniów — pedagogia stawiała sobie wówczas takie zadania — oprowadzał ich po perystylu pełniącym rolę galerii obrazów. Spisany przezeń skrót komentarzy, jakiego zwykł był rozwijać przy tej okazji, zachował się do naszych czasów i był między innymi przedmiotem rozprawy Goethego. Obrazy opisane przez Filostrata są podobne do fresków pompejańskich zebranych w neapolitańskim Museo Nazionale, traktują te same lub zbliżone tematy. Komentarz greckiego sofisty pozwala zrozumieć, jak oglądano obrazy w starożytności. Najbardziej uderzającym rysem tych czasów był fantastyczny świat mitów, ciągle obecny w wyobraźni artystów i publiczności.

Wśród obrazów opisanych przez Filostrata znajduje się natura martwa znacznych rozmiarów, przedstawiająca bogatą kolekcję wiktuałów. Autor nazywa ją *xenią* czyli podarkiem, jaki ówczesnym zwyczajem posyłano przyjaciółom. Składają się na nią zajęce, oskubane gęsi i kaczki, bochenki chleba z makiem, koszyki owoców i orzechów. Wyliczenie tych przedmiotów, leżących na świeżym powietrzu, zaczyna się od dwóch zajęcy. Jeden, oglądający się trwożnie, jest jeszcze żywy, drugi, odarty ze skóry, wisi na suchym dębie. Wydawca greckiego tekstu zaopatrzył to zdanie uwagą, że w sztuce greckiej drzewa przedstawiano zazwyczaj bez liści.

Czy uwaga ta jest słuszna? Drzewa suche nie są przywilejem sztuki greckiej. Od czasów najdawniejszych do końca XVIII wieku drzewa suche, bezlistne były symbolem śmierci i zachowały to znaczenie na niezliczonych obrazach różnych krajów i wieków. Dla nadania kompozycji równowagi, artyści umieszczali je także na obrazach przedstawiających idylle i wesela. Taki być może sens posiadał na *xenii* Filostrata suchy dąb, na który



z trwogą spoglądał schwyty w sieci zajęć wśród przygotowań do wesolej uczt.

Ale to jest tylko jedna strona sprawy. Czy w malarstwie greckim drzewa są całkowicie suche i bezlistne? Na obrazach pompejańczyków nie widzimy nigdzie bujnej zieleni. Są to zawsze rzadko rozsiane drzewa o ubogim listowiu. Przymiotnik *auos*, którego Filostratos używa dla opisanego swego dębu, znaczy „suchy, wychudły, ubogi”. Wszystkie te znaczenia pasują do drzew pompejańczyków.

Te same drzewa, rzadkie, niskopienne lub chude, na pół suche, z nielicznymi liśćmi wiszącymi na końcu gałęzi, odnajdujemy później na niezliczonych obrazach włoskich, na freskach Giotta i Lorenzettiego, na płótnach Carpaccia, na fantastycznych pejzażach Guardiego. Jedyne bodaj drzewo, jakie namalował Pietro Longhi w swej *Passeggiata a cavallo*, przechowywanej w Ca' Rezzonico, należy do tegoż rodzaju. Drzewa takie sprawiają nam pewną niespodziankę, ukazując się na obrazach mistrzów holenderskich, którzy rzadko mogli je widzieć u siebie. Nie zapominajmy jednak, że Włochy były zawsze drugą ojczyzną malarzy.

Rzecz w tym, że na północ od Alp, w krajach wilgotnych i chmurnych, drzewa rozwijają bujne, kuliste listowie w celu chwytania rzadkich promieni słońca. Lasy są tam gęste, ciemne, podszyte paprocią i mchem. W krajach śródziemnomorskich natomiast drzewom brak wody, zaś do chwytania światła wystarczą niewielkie listowie. Gęstą zieleń spotyka się w Włoszech tylko w pobliżu rzek. Oddalający się od nich, zwłaszcza pieszo, spotyka co chwila lasy bez podszycia, przejrzyste i przewiewne, oraz z rzadka rozsiane drzewa pompejańskie, na pół suche, na pół bezlistne.

Czym drzewa takie, aż do końca XVIII wieku, zwracały na siebie uwagę artystów? Gdy na nie patrzymy, uderza nas skrajna oszczędność środków, przy pomocy których utrzymują się przy życiu. Jak gdyby w przeczuciu kłęski, sękatością przegubów, wykrojem liści i dziwnością sylwetki dają wyraz swej niepowtarzalnej indywidualności. Od czasów Filostrata przedmioty takie musiały zapewne pociągać rysownika i pisarza, przyjaciela skrótów.

*Anatomia satyrów.* Poeci łacińscy wzmiankują często nimfy pierzchające na widok faunów i satyrów. Zaloty tych leśnych półbogów przejmowały je zgrozą. Samego nawet Pana tolerowały tylko jako flecistę. Gdy zbliżał się, uciekały w „panicznym” lęku. Ukochana przezeń nimfa Syrinx zmieniła się w trzcinę, aby ująć jego zalotom. Jak wiadomo skąd inąd, nimfy miały czułe serca, czemu więc odrzucały ze zgrozą samą myśl o romansie z satyrem? Przyczyna tego zjawiska była dla autorów klasycznych oczywista, nie wymagająca objaśnień, których też u nich nie znajdujemy.

Archeolodzy są lepiej poinformowani o przyczynach niepowodzenia satyrów w miłości. Muzea posiadają mianowicie znaczną ilość rzeźb, dostarczających dokładnych wiadomości o anatomii tych leśnych tworów wyobraźni. *Oxford Companion to Classical Literature* mówi o nich skromnie, że miały kształt człowieka na kozich nogach. Opis ten jest nieściśły. Satyry i fauny miały tylko tors ludzki, od pasa były kozłami. W tym leżała przyczyna ich niepowodzenia u nimf, cofających się z przerażeniem przed perspektywą miłości z capem.

O sentymentalnym osamotnieniu satyrów najwięcej mówi rzeźba, będąca perłą neapolitańskiego *Museo segreto* i przedstawiająca z największym realizmem amory satyra z kozą. Odepchnięty przez nimfy, satyr skazany jest na romansowanie z kozami. Takie rzeczy zdarzają się nie tylko satyrom. Od tureckiego bandyty spod Trebizondy słyszałem kiedyś takie zdanie: „Zródłem wszystkich nieszczęść są w naszym zawodzie kobiety, bo nie umieją milczeć. Prawdziwą towarzyszką bandyty jest koza, bezinteresowna kochanka i karmicielka, od której żandarmi niczego się nie dowiedzą”. Jeżeli chodzi o zachowanie sekretu, koza posiada niewątpliwą przewagę, ale gdy mowa o amorach rzecz staje się niejasna i wątpliwa. Satyr z *Museo segreto* romanuje z kozą leżącą na grzbiecie, którą musi trzymać za brode, aby mu, niezadowolona z takich zalotów, nie uciekła. Bierze się więc do tego nie jak cap, ale jak człowiek. Koza jest dlań tylko miłością zastępczą, okropną karykaturą nimfy, obecnej wciąż w jego pamięci.

Zbłąkany w pół drogi między nimfami i kozami, lud satyrów nie znajduje nigdzie towarzyszek i skazany jest na miłość bez wzajemności. Najstarszy z nich rangą, Pan, zostaje sławnym flecistą. Innych widzimy najczęściej w otoczeniu Bachusa, szukających zapomnienia w winie.

Towarzyszki satyrów, faunessy — pół kobiety, pół kozy — są późniejszym tworem wyobraźni. Jedną z nich widzimy na obrazie Rubensa *Sylen pijany*, karmiącą dwoje pół-kozłat. Pomysł stworzenia dla satyrów towarzyszek życia i zabaw nie leży w tradycji antycznej, ale odpowiada wspaniałemu i rozrzućnemu geniuszowi Piotra-Pawła Rubensa.

*Stare teksty i aktualne aluzje.* Wśród pism Seneki figuruje krótki utwór satyryczny pod tytułem *Apokolokyntosis divi Claudii*. Znaczący to mniej więcej tyle co przeobrażenie cesarza Klaudiusza w dynię. Autorstwo tego utworu podawano w wątpliwość, przypisując go także Petroniuszowi. Nie będziemy rozstrzygać tej wątpliwości. Za Petroniuszem przemawiają wiersze, wkładane w usta protagonistów utworu i przypominające arie w operetkach. Za Seneką przemawia klarowność prozy i rodzaj ironii. Seneka był za Klaudiusza senatorem, widział skazanie na śmierć 35 kolegów i jak nikt inny był powołany do wydania sądu o tym panowaniu.



*Apokolokyntosis* (przeobrażenie w dynię) jest parodią *apothēosis* (przeobrażenie w boga). Tytuł ten jest aluzją do ogłoszenia Klaudiusza za boga przez Nerona, przybranego syna i następcy zmarłego cesarza. Napisany w formie procesu Klaudiusza przed trybunałem olimpijczyków, utwór ten daje do zrozumienia, że jeżeli Klaudiusz zasługiwał na jakąś pośmiertną metamorfozę, byłaby to co najwyżej przemiana w dynię. Takiej pośmiertnej redukcji ulegli mniej więcej wszyscy władcy naszego stulecia, nie wyłączając najpopularniejszych. Toteż w *Apokolokyntosis* trafiamy co chwila na myśli i sformułowania wyjęte jak gdyby z naszych własnych rozmów i refleksji.

Podobieństwa te wynikają w znacznej mierze z samej natury władzy Klaudiusza. Cesarstwo rzymskie nie było instytucją monarchiczną ani oligarchiczną, lecz znaną nam dobrze dyktaturą. Armia proklamowała cesarza, senat zaś, złożony przeważnie z nominatów poprzedniego dyktatora, śpieszył z gratulacjami, nadając nowemu władcy pewne pozory legalności. Operację taką, aby mogła dojść do skutku, poprzedzały zazwyczaj długie walki wewnątrz „aparatu”, między najwyższymi dygnitarzami wojskowymi i cywilnymi. Walki te toczyły się w największej tajemnicy, i nawet późniejsi historycy nie mają o nich wiele do powiedzenia. Nie brak u nich jednak rewelacyjnych szczegółów. Swetoniusz np. wzmiankuje, że przed obwołaniem go cesarzem Klaudiusz obiecał pretorianom po 150 sztuk złota na głowę. Przyczyna tajemniczości walk i targów jest oczywista. Gdy dygnitarzom dworu udawało się porozumieć z pretorianami i ustalić osobę następcy, los cesarza był przesądzony. Panowanie jego liczyło się już na godziny i minuty. W obronie nagiego życia cesarza usiłowali mieszać karty naradzającym się nad sukcesją dygnitarzom. Posługiwali się w tym celu metodą czystek. Niespodzianie i bez podania motywów skazywali na śmierć najbliższych współpracowników i członków rodziny. Egzekucje mnożyły się w miarę wzrostu niebezpieczeństwa; cała lawina wyroków poprzedzała zazwyczaj zamach spiskowców, broniących również nagiego życia. Taki był mechanizm dyktatury.

Po śmierci każdego cesarza senat rozważał przez chwilę projekt przywrócenia republiki, zdania senatorów były jednak podzielone, decyzje powolne. Lud natomiast był za dyktaturą. Nie odstraszył go od niej nawet sam Kaligula. Po jego śmierci — jak pisze Swetoniusz — tłum zebrał się przed senatem, żądając obwołania nowego cesarza. Tak Klaudiusz doszedł do władzy. W postawie ludu rzymskiego widzimy najczystszy wzór „cesaryzmu”, w którym później miało utonąć z całym bagażem tyle republik i rewolucji. Cezaryzm ludu rzymskiego nie był chwilową reakcją na przewrót i wojny cywilne, był stałym czynnikiem imperium rzymskiego aż do jego upadku.

Autor *Apokolokyntosis* pisze na gorąco, pod świeżym wrażeniem śmierci Klaudiusza, którego panowanie wszyscy mają jeszcze w pamięci. Mówi o tym już sam ton wstępu:

„Pragnę spisać dla pamięci, co się działo w niebie trzeciego dnia id październikaowego roku rozpoczynającego najszczęśliwszy wiek. Piszę bezstronnie, samą prawdę. Jeżeli ktoś zapyta, skąd to wiem, nie odpowiem mu być może wcale. Kto mnie do tego zmusi? Dzień jego śmierci zrobił mnie człowiekiem wolnym... Jeżeli zechcę w ogóle odpowiadać, powiem co mi ślina na język przyniesie. Czy wymagano kiedykolwiek od historyka, aby przedstawił świadków, mogących zeznać pod przysięgą, że mówi prawdę? Jeżeli jednak świadkowie są konieczni, zapytajcie tego, który widział Drusillę (córkę Kaliguli) wstępującą do nieba; tenże świadek widział kulejącego na tej samej drodze Klaudiusza (cesarz utykał na jedną nogę). Chcąc nie chcąc musiał widzieć wszystko co się działo w niebie, był bowiem stróżem na via Appia, to jest na drodze, którą, jak wiadomo, szedł do nieba August i Tyberiusz. Wypytujcie go jednak na osobności, przy świadkach będzie milczał, bo gdy zeznał pod przysięgą przed senatem, że widział wstępującą do nieba Drusillę, i nikt tej radosnej nowinie nie dał wiary, postanowił nigdy odtąd nie składać zeznań, nawet gdyby był świadkiem morderstwa popełnionego na środku rynku. Co odeń słyszałem, spisuję tu wiernie, zycząc mu zdrowia i pomyślności”.

Opowiadanie toczy się lekkie, pełne złośliwych aluzji:

„Gdy Klaudiusz zaczął rzeźić, Merkury wziął na stronę jedną z Parek. „Okrutną kobieto — powiedział — czemu pozwallasz mu się tak męczyć? Czemu ma tak długo cierpieć? Od 64-let lat już nie może złapać tchu (Klaudiusz cierpiał na zadyszkę). Czemu życzysz tak źle jemu i republice? Niechże astrologowie powiedzą nareszcie prawdę. Od początku jego pryncypatu, każdego roku, każdego miesiąca przepowiadali jego śmierć. Nic dziwnego, że po tylu omyłkach nikt więcej nie zna jego godziny. Czyń twoją powinność...”

„Na to Kloto: „Na Herkulesa, chciałam mu zostawić chwilę czasu, aby mógł nadać rzymskie obywatelstwo kilku pozostałym jeszcze Grekom, Gallom, Hiszpanom i Brytyjczykom. Jeżeli jednak sobie życzysz, aby tych kilku cudzoziemców zostawić na nasienie, niech będzie jak chcesz, ty przecież tu masz władzę...”

„Klaudiusz wydał z bulgotem ostatnie tchnienie i zdawał się martwy. Ostatnie słowa, jakie odeń słyszano, były następujące: gdy wydał wielki huk z tej części ciała, którą łatwiej się wystawiał (Klaudiusz jąkał się i szeplecił), zawołał: „Oj, zdaje się, że się sfajdałem”. Nie wiem, czy tak się istotnie stało, ale wiem na pewno, że oświniął wszystkich, czego się dotykał...”

„Szkoda czasu mówić o tym, co się potem działo na ziemi. Wiecie to sami najlepiej. Nie ma obawy, aby wspomnienie powszechnej radości, jaka potem nastąpiła, znikło z waszej pamięci. Szczęśliwych chwil się nie zapomina. Co się działo w niebie, opowiem, a o dowody pytajcie mego świadka”.



„Jowiszowi doniesiono, że zgłosił się człowiek wysokiego wzrostu, siwy, potrzęsający głową jak gdyby komuś groził i utykający na prawą nogę. Zapytany, do jakiej nacji należy, zaczął bełkotać coś niezrozumiałego: ani po grecku, ani po łacinie, ani w żadnym znanym języku. Jowisz kazał wówczas Herkulesowi, który bywał w różnych krajach i znał wszystkie narody, zbadać skąd pochodził niezajomy. Lecz i Herkules zmieszał się na jego widok, mimo że się nie lękał potworów. Widząc nowy dla siebie rodzaj pyska, niezwykłe ruchy i słysząc głos przypominający raczej morskie niż lądowe potwory, pomyślał że czeka go trzynasta praca, lecz przyglądając się bliżej rozpoznał w nim coś w rodzaju człowieka. Zbliżył się doń i powiedział słowa, które Grekowi najłatwiej na myśl przychodzi:

*Powiedz szczerze i dokładnie, kim jesteś i skąd?  
Gdzie twój gród i ród?*

(Odyseja, I, 17)

Klaudiusz ucieszył się, że ma do czynienia z biegłymi w literaturze i powziął nawet nadzieję znalezienia słuchaczy dla swoich historii (Klaudiusz napisał kilka dzieł historycznych i miał wielkie ambicje literackie). Powiedział więc, że jest cesarzem i dodał, również z Homera:

*Z Ilionu wiatr niosąc mnie zagnał do Kikonów, (Od. IX, 39)*

jakkolwiek bliższy prawdy byłby wiersz następny:

*Tam zburzyłem miasto, ich samych wyciąłem.*

Tak chytry Klaudiusz wyprowadziłby w pole Herkulesa, gdyby bogini Febra nie opuściła swej świątyni i nie przyszła za cesarzem, zostawiając innych bogów w Rzymie. „Wszystko to są kłamstwa — powiedziała. Przeżywszy z nim tyle lat, mogę ci powiedzieć...”.

„Na to Herkules: „Posłuchaj mnie, nie udawaj głupiego. Przyszedłeś do miejsca, gdzie nie ma żartów. Mów zaraz prawdę, żebym nie musiał maczugą wypędzać z ciebie fanaberii...”.

„Widząc przed sobą tak groźnego męża, Klaudiusz spowaźniał. W Rzymie nie miał sobie równych, tu nie znajdował uznania; był jak kogut, ważny tylko na swoich śmieciach. O ile go można było zrozumieć, powiedział mniej więcej tyle: „Liczyłem, najpotężniejszy Herkulesie, na twoją przychyłość i myślałem, że będę się mógł na ciebie powołać, bo znasz mnie przecież dobrze. Jeżeli zechcesz sobie przypomnieć, zasiadałem przed twoją świątynią w sądzie przez cały ostatni lipiec i sierpień (Klaudiusz lubił zasiadać w sądzie i przyglądać się okrutniejszym egzekucjom). Wiele tam przecierpiałem, słuchając dzień i noc adwokatów...”.

„Tu Jowiszowi przyszło na myśl, że wysokiemu zgromadzeniu nie wypada obradować w obecności obcych. Rzekł więc: „Pozwoliłem wam, panowie senatorzy, zadawać pytania, wy zaś robicie z tego miejsca chlew. Wzywam was do przestrzegania regulaminu kurii, bo co ten człowiek, kimkolwiek jest, o nas pomyśli?”. Po wyprowadzeniu Klaudiusza poproszono o zabranie głosu Janusa, wyznaczonego w lipcu na stanowisko popołudniowego konsula (Klaudiusz skrócił trwanie konsulatu do sześciu, potem do dwóch miesięcy, aby udostępnić tę godność większej ilości kandydatów)...”.

„Niegdyś — powiedział Janus — była to wielka rzecz zostać bogiem, zrobiliście z tego niewielki zaszczyt. Nie wypowiadając się przeciw osobie zaprzętącej tu naszą uwagę, proponuję, aby od dziś nie przyjmować w poczet bogów nikogo, kto żywi się płodami ziemi...”.

„Następnym mówcą był zastępca Plutona (tekst niejasny), również konsul i właściciel niewielkiego kantoru wymiany, zrywający z detalicznej sprzedaży rzymskiego obywatelstwa. Gdy Herkules lekko pociągnął go za ucho, rzekł w te słowa: „Zważywszy, że boski Klaudiusz jest tej samej krwi co boski August i niemniej boska Augusta, babka Klaudiusza, którą tenże ogłosił boginią; zważywszy, że rozumem przechodzi on wszystkich innych ludzi... proponuję, aby boski Klaudiusz z dniem dzisiejszym zaliczony został w poczet bogów i korzystał, jak jego poprzednicy, ze wszystkich praw i przywilejów tego stanu, i aby wzmianka o tym została dopisana do *Metamorfoz* Owidiusza”. Zdania były podzielone i zdawało się, że Klaudiusz wygrał sprawę...”.

„Tu podniósł się z kolei boski August i przemówił z największą swadą: „Jesteście świadkami, panowie senatorzy, że od kiedy zostałem bogiem nie powiedziałem ani jednego słowa. Zawsze znałem moje miejsce. Nie mogę jednak dłużej ukrywać mego bólu i wstydu. Czy po to przyniosłem pokój łądom i morzom? Czy po to położyłem koniec wojnie domowej? Czy po to dałem Rzymowi podwaliny prawne i ozdobiłem miasto tyłu budynkami? Wierzcie mi, panowie senatorzy, żadne słowa nie mogą oddać mego oburzenia. Uciec się muszę do przytoczenia słów znakomitego mówcy Messali Korwinusa: *pudet imperii*, wstyd mi władzy. Człowiekowi temu, panowie senatorzy, który wydaje się wam niezdolny do skrzywdzenia muchy, zabić było równie łatwo jak splunąć. Ale co będę mówił o jego niezliczonych i tak znakomitych ofiarach? Nie czas mi płakać nad klęskami publicznymi, gdy mam tyle zgryzot domowych. Człowiek, którego tu widzicie, ukrywając się przez tyle lat pod moim nazwiskiem, był łaskaw pozbawić życia dwie Julie, wnuczki moje, jedną mieczem, drugą głodem, oraz prawnuka mego Silanusa, i wszystko to, biorę Jowisza na świadka, bez żadnej dobrej racji. Powiedz mi, boski Klaudiuszu, który bez przesłuchania pozbawiłeś życia tyle mężczyzn i kobiet, czemu nie



udzieliłeś żadnemu z nich głosu przed skazaniem? Gdzie są takie zwyczaje? Na pewno nje w niebie. Spójrz na Jowisza: tyle lat tu panuje i tylko jednemu Wulkanowi przetrzącił nogę,

*On zaś za nogę mnie schwyił i cisnął, strącając z nieb progę,*  
(Iliada, I, 591)

i raz, rozgniewawszy się na żonę, powiesił ją za włosy, ale czy kogo zabił? Ty zabiłeś Messalinę, której byłem wujem, równie dobrze jak twoim. Powiadasz: „Nie wiem”. Niech cię bogowie ukarzą. To „nie wiem” jest szpetniejsze od morderstwa. Ten człowiek prześladował Kaligulę nawet po śmierci. Tamten zamordował teścia, ten zięcia. Kaligula zabronił Krassusowi nazywać się Wielkim, Klaudiusz zwrócił mu nazwisko, ale odciął głowę. W jednej tylko, jakkolwiek szlachetnej, rodzinie zabił Krassusa Wielkiego, Skribonię, dwie Tristionie i Assariona. Krassus zresztą był tak głupi, że mógłby nawet zostać cesarzem. I takiego człowieka chcecie robić bogiem? Spójrzcie na jego ciało, urodzone w dniu złego humoru bogów. Jeżeli potrafi wymówić bez zająknięcia trzy wyrazy z rzędu, gotów jestem zostać jego niewolnikiem. Kto będzie czcił takiego boga? Kto będzie weń wierzył? Jeżeli narobicie takich bogów, nikt w waszą własną boskość nie uwierzy. Panowie senatorzy, jeżeli uważacie, że zachowywałem się wśród was nienagannie, nie utrudzając nikogo moją wymową, pomścijcie moją krzywdę. Oto jest moje zdanie”. Tu z tabliczki odczytał co następuje: „Zważywszy, że boski Klaudiusz zabił teścia swego Appiusza Silanusa, dwóch zięciów, Magnusa Pompejusza i Lucjusza Silanusa, teścia swej córki Krassusa... teściową swej córki Skribonię, żonę Messalinę i innych, których liczby tu nie wymieniam, należy go zdaniem moim surowo ukarać i, nie odkładając sprawy, skazać na wydalenie z nieba w ciągu najbliższych dni trzydziestu i z Olimpu w ciągu dni trzech”.

„Wniosek przyjęto od razu. Nie tracąc chwili czasu Merkury chwycił Klaudiusza za kark i zaczął go ciągnąć z nieba na dół, tam skąd nie ma powrotu. Gdy mijali *via sacra*, Merkury zapytał, skąd się tam wzięło tak wielkie zbiegowisko, i czy nie jest to pogrzeb Klaudiusza. Widowisko było istotnie wspaniałe, kosztowne, było jasne, że grzebano tam kogoś w randze boga. Niezliczone rogi, trąby i inne instrumenty dęte grały tak głośno, że nawet Klaudiusz mógł je słyszeć. Wszyscy byli pogodni, weseli; lud rzymski przechadzał się, jak gdyby był wolny”.

Paweł HOSTOWIEC

## Fragment z dziennika

*Środa, Hurlingham*

Przyjechałem tu wczoraj o piątej popołudniu, mając w walizce kilkadziesiąt stron już wcale dobrze napoczętego „Kosmosu”. Jazda nie udała się. Mam ostatnio pecha do jazd. W pociągu, który już czekał na stacji Onze, nie było siedzących miejsc — dałem mu odejść oczekując na na następny — i oczekiwałem na stojąco, gdyż ławki były zajęte — a oczekując przyglądałem się z niepokojem gęstemu, coraz gęstszemu, napływaniu ludzi... Po pół godzinie zajeżdża pociąg, puściuteńki, jak z igły, tłum ożywa, napiera, wtacza się; uwiążłem w ścisku, nie ma mowy o miejscu siedzącym, nawet nie stoję, tylko tkwię. Ruszamy.

Ta morda o dziesięć centymetrów? Załzawione, czerwone źrenice? Włoski na tym uchu? Nie chcę! Precz, nie będę wnikał w spierzchnięcia tej skóry! Jakim prawem to znalazło się tak blisko, że ja nieledwie nim muszę oddychać, a jednocześnie czuję jego ciepłe strugi na uchu i szyi? Opieramy na sobie nasze spojrzenia nie patrzące, z odległości tuż, tuż... każdy się tuli, kuli, zamyka, streszcza, ogranicza do minimum oczy, uszy, usta, stara się jak najmniej być. Odpychające właściwości tłuste, żyłaste, oklapłe, czy suche, wyrzucają mnie w górę, jestem jakbym wyskakiwał wprost w niebo — nie chcę! To obraza! Jestem obrażony! Pociąg pędzi i migają domki przedmieść. Stacja. Pchają, wpychają się. Ruszamy.

Za dużo.

Dowcip. Śmiechy. Ktoś mówi: Fidel! Dialog. Nie wiadomo kto z kim, ale powoli rozsiada się nad nami dyskusja, ta co zawsze, ta której się nauczyli na pamięć: imperializm, Kuba,



dłaczego rząd to, dlaczego rząd owo i że trzeba by zrobić porządek. Sprzeczne opinie. Rozmaitość poglądów. A tymczasem wyjecha się na nowej stacji jeszcze ze dwadzieścia osób, głosy stają się coraz bardziej głuche, kiedy dojeżdżaliśmy do Morón jeden żądał reformy agrarnej, drugi nacjonalizacji przemysłu, trzeci zniesienia wyzysku klas, ale to rozgadanie rzeziło potwornością rozgniatanych klatek piersiowych. Wystrzelały w górę myśli rzeczywiste — czy nie pod presją sklejonnych tyłków? I jeszcze raz stacja, i jeszcze raz prasowanie, dyskusja rzezi, ale nie ustaje.

Czemuż nie są w stanie dostrzec faktu najważniejszego — że podczas dyskusji wciąż przybywa ludzi? Jakież bies nieuzasadnionej niechęci nie pozwala im zdać sobie sprawy z *ilości*? Powiedzieć, na cóż zdadzą się wam najsprawiedliwsze ustroje i najwłaściwszy podział dóbr, jeśli tymczasem sąsiadka rozmnoży się w dwanaścioro, kretyń z parteru robi babie swojej sześcioro, a na pierwszym piętrze z dwojga urodzi się osiem? Nie licząc Murzynów, Azjatów, Malajów, Arabów, Turków i Chińczyków. Hindusów. Czym są te wasze przemowy, jeśli nie gadaniną idioty, nie znającego dynamiki własnych genitaliów?

Czym są, jeśli nie gdakaniem kury, siedzącej na jajach — tej najstraszliwej z bomb?

### W Morón

Pociąg zwolna osiada na stacji morónskiej i, wydobyty z magła, oddalam się w przestrzeń. Idę na plac. Ilekroć zawitam tutaj, zachodzę tytułem pielgrzymki na plac, aby rzucić okiem na przeszłość moją z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego.

Ale nie ma już „picceryji”, gdzie rajcował, ani kawiarni, gdzie rozegrałem tańcząc bugi-bugi słynny mecz szachowy z mistrzem Morón (obaj tańczyliśmy — i tańcząc zbliżyliśmy się do szachownicy aby zrobić posunięcie).

Przepadło jak pożarte. I ten co szuka, też nie jest ten sam, też przepadł. Polsko, ojczyzno! Mam w kieszeni list Hollerera, zapraszający do Berlina i może nawet wybrałbym się przy sposobności do ciebie, żeby zobaczyć — tylko, pytam, kto ma na co patrzeć? Ktoś, nie ten sam, na coś, co już nie jest tym, czym było? Spójrzeć ze stałego gruntu na płynącą wodę — owszem, to można. Ale na cóż jednej płynącej rzeki spoglądanie na drugą płynącą rzekę? Podwójne jest płynięcie, dwoisty ruch i szum...

Morón, które dawniej było przestronne, teraz jest spiętrzone, duszne, miejskie. Ilość! Idę na stację omnibusową, umiesz-

czam siebie w kolejce, z narożnego baru — słodkawy smród, za mną i przede mną osoby, kuper i nochal, anemia i liszaj, jeden kupczyk drugiemu, że na trzy procent sto siedemdziesiąt pięć, babie babie za pięć trzydzieści, podróżowało, a radio kieszonkowe: „kupujcie szparko mydło w proszku Tarko”. Chłopaczek daje sobie prztyczka. Słońce. Młodo. Tutaj stoimy w kolejce, a tam, na przeciwległym chodniku idą i idą, mijają i mijają, bez przerwy lizają i lizają, skąd tyle tego, przecież już jestem o dwadzieścia kilometrów od centrum Buenos Aires? A jednak mijają i mijają, wciąż wyłażą zza rogu i przechodzą i wyłażą i przechodzą i wyłażą i przechodzą i wyłażą aż zwymiotowałem. Zwymiotowałem, a ten co przede mną stał spojrział i nic, bo i cóż. Tłok.

Ja znowu zwymiotowałem i — nie wiem, czy nie przesadzam — jeszcze raz zwymiotowałem. Cóż jednak z tego znowu i z tego jeszcze raz, kiedy tam znowu przechodzą i jeszcze przechodzą, a w samym Buenos Aires jest z pięć milionów pięć razy dziennie chodzących do wychodka czyli w sumie dwadzieścia pięć milionów na dwadzieścia cztery godzin, zwymiotowałem, podjechał omnibus i wsiadaliśmy, jeden za drugim, a trzeci za drugim i siódmy za szóstym, szofer ziewał, przyjmował pieniądze, wydawał bilety, płaciliśmy jeden za drugim, ruszamy, jedziemy, radio, przygrzewa, duszno, przelewa się przede mną roztopione masło rozlewającej się jejmności ze złotym naszyjnikiem a starszkwowi coś się gaworzy, wpychają się, napychają, wypychają, pchają, jabym zwymiotował...

Po co? Miliony! Miliony! Miliony! Iluż wymiotowało w tej samej chwili w Buenos Aires, ilu? Ze stu może, w sumie, ze stu pięćdziesięciu? Więc po co dodawać jeden więcej wymiot? Jakież bogactwo! Milionerem byłem, wszystko mnożyło mi się przez tysiąc i milion. Zatrzymuje się omnibus. Tu mam wysiadać. Wysiadam. Jestem na szosie z walizeczką... któż tego nie zna? Szosa długa, z szumem mijają samochody, oddalam się piaszczystą drogą, wietrzyk, drzewa, odległości, cisza.

Nuda natury, wyszczerzająca się głupio, jak pies. A krowa losu mojego przeżuwa. Poszatkwane przestrzenie.

### Quinta

Drzewa duże, rozpostarte jak chorągwie, u spodu dom biały, parterowy i czarnokudłate psy obskakujące.

Z Alicją i jej mężem; chodzę po ogrodzie i coś tam mówimy, żeby nie milczeć.





Giangrande, ex-kapitan marynarki włoskiej, mąż Alicji, pochłonięty jest uszczelnianiem płotu żeby szczeniaki na drogę nie uciekały i tylko czasem z boku dogaduje.

Sciemnia się. Wracamy do domu. Herbata.

Gdzieś się przyjeżdża, pije się herbatę, rozmawia, potem otwieranie walizki, rozkładanie rzeczy w gościnnym pokoju... czyż to nie jest jeden z głównych wątków mojego życia? Nasłuchiwanie nowych szmerów, wdychanie obcego powietrza, przenikanie w obcy system dźwięków, woni, światła. Gdy rozmawiałem z nimi, te drobiazgi oblażyły mnie, jak robactwo, i czyniły prawie nieobecnym.

Lampy były zapalone, psy leżały na dywanie.

Oni niedawno kupili tę *quintę* żeby wyostać się z miasta. Buenos Aires o dwadzieścia kilometrów stąd — i nocą widać bladą jego poświatę na niebie, a we dnie powietrze w tamtej stronie jest brudniejsze. Ale pomiędzy nimi a Buenos Aires, bezlik osiedli, miasteczek zlewających się nieomal, właściwie domy, domki nie doznają przerwy, uliczki, ogrody, szosy, fabryki, zakłady, osiedla, plantacje, druty, stacje, tereny, warzywa, kanalizacja, elektryfikacja, sklepy, szopy, kioski i budki... rozsypane, to gęstniejące, to znów rozrzedzające się i trzeba by wielogodzinnego marszu na zachód żeby wybrnąć na prawdziwe pola.

Na szczęście drzewa *quinty* i jej krzaki chronią.

### W nocy

Mój pokój jest niski i podługowaty, z dużym okratowanym oknem. Jak zawsze, kiedy dokądś przyjeżdżam, rozłożyłem na biurku moje papiery — rozpoczęty „Kosmos” — i rozejrzałem się, żeby zobaczyć gdzie jestem. Była już blisko dwunasta, oni poszli spać i ja też sposobiełem się do snu. Wszak przyjechałem aby wypocząć w ciszy i aby „odnaleźć siebie” (jak mówi Ernesto) po rozgardiaszach ostatnich dni, kiedy to dostałem się w wir chwilami paniczny. Jeszcze mi huczały w uszach centralne avenidy o zatorach z ryczących samochodów, obecność potwora na horyzoncie nie dawała spokoju, rzecz dziwna, silniej może teraz mi dolegał, niż kiedy w nim tkwiłem.

W dodatku niepokoiło mnie, że i tutaj zastałem zmęczenie — zmęczenie szczególne — *quinta* dyszała wypoczynkiem, a jej zieleń, jej słońce, były wodą dla ust spragnionych, ale to właśnie nasuwało myśl o zmęczeniu, szukającym tutaj wytchnienia.

Myślałem o wyteżonym stosunku do tej oazy jej właściciela, Giangrande, wczesnym rankiem, o szóstej, wyruszającego samo-

chodem do odległej fabryki, której był dyrektorem, i w ciągu wielu godzin, w huku i zamęcie, liczącego minuty dzielące od powrotu w spokój — ale, gdy wracał nad wieczorem, konieczność wyzyskania każdej minuty spokoju odbierała spokój — wypoczynek stawał się pracą, bo znów liczył minuty, ale tym razem dzielące go od fabryki. Był w tych „wolnych chwilach” rzeźbiarzem. Pośród drzew wyłaniały się jego torsy kamienne, zamarte w linii i bryle... które rzeźbił spoglądając na zegarek.

Siedząc na łóżku myślałem o tych bryłach i — przypatrując się przedmiotom mego (gościnnego, ubocznego) pokoju — pomyślałem o abstrakcyjnych obrazach Alicji, zdobiących hall. Jeśli nie *quinta*, to sztuka była spokojem. Czy jednak sztuka była spokojem? Czy niepokój nie dosięgał ich nawet w tym ostatecznym schronieniu i nie z jakichś zewnętrznych przyczyn, a wskutek samej istoty tej artystycznej pracy? Ich oddawanie się sztuce w tej *quincie* — ten ich ukochany projekt — wydało mi się bliskie bankructwa gdym rozmawiał z nimi; w tym co mówili nie było radości, raczej gorycz, zawód, ba, z oznakami takiego rozczarowania ciągle teraz spotykam się w świecie malarskim. Malarza gnębi ilość malarzy. Za dużo. Wszyscy malują. Dlaczego ta sztuka przestała być trudna, dlaczego urzeczywistnił się w naszych czasach jakiś triumf mierności, dzięki któremu malowanie stało się łatwe, dostępne byle podfruwajce, studentom, dzieciom, emerytom, każdemu — zdołano zlekceważyć wszystkie trudności techniki, formy, które wzbraniały dostępu do ołtarza i dziś artystą malarzem może być każdy — i, co więcej, te obrazy „wcale nie są takie złe”.

„Wcale nie są takie złe”. Te jej słowa zalatywały mi jakby nieutulonym zdziwieniem osoby niesłusznie spoliczkowanej. Ogarniając wzrokiem mój podługowaty pokój myślałem, że ta oaza wypełniona kamiennym milczeniem brył, oraz metafizyką oderwanych malatur, nie jest wcale oazą i zastanawiałem się, czym dobrze zrobił, że tu przyjechałem w ucieczce przed monstrem, którego białawy połysk palił się na horyzoncie.

### Nazajutrz rano

Towarzyszę Alicji, która idzie z torbą na zakupy do sklepiku spożywczego — zaraz za *quintą* rozpoczyna się łąka sparszywiata, na niej małe domki proletariackie, niedobudowane, sterczące, jakby je ktoś poustawiał na ziemi, bezładne, nie łączące się ani między sobą, ani z gruntem. Kamienie i baby. Gruz i bachory. Cegły, taczki, mężczyźni. Psy i śmiecie. Radio przysypiewuje smrodowi, słońeczko przygrzewa, ten i ów patrzy na nas...



Na południowym wschodzie brud nieba zwiastuje Buenos Aires. Czy mógłbym teraz zapłakać? O, tak, jestem dość litościwy aby się tutaj na pierwszym lepszym kamieniu i płakać rzewnymi łzami nad własnym człowieczeństwem i wszystkich braci moich — ale gdy ogarnął wzrokiem zagony tej hołoty, pracę ku nam poprzec łakę, napierające, gdy ujrzał jak ONI znów podchodzą, znów dosięgają, obrzydzenie i nienawiść przemogły płacz.

„Idzie na ciebie, Makbecie, zielony, szumiący las!...”. Na mnie nie las szedł, tylko rozmnażający się brud...

#### Po południu

Opowiadała o konsternacji kilku jej przyjaciół, malarzy, którzy wrócili niedawno z dłuższej podróży po kilku prowincjach „interioru”. Mówią, że w każdym miasteczku doliczyć się można z łatwością kilkudziesięciu malarzy. „Nikt nie chce pracować, wszyscy chcą być artystami”. Kto żyw, smaruje! I — niestety, niestety! — „te obrazy nie są takie złe!”.

Gdybyż to było złe!

Wcale nie jest takie złe! Wykształcił się w plastyce sposób widzenia i sposób odtwarzania, dzięki któremu zupełnie mierna osoba może stworzyć zupełnie niezłe dzieło. Jakaż gratka dla osób! Jeśli w małych miasteczkach jest kilkudziesięciu malarzy, ilu ich jest w Buenos? Dwadzieścia tysięcy? A w Paryżu?

O tym opowiadali — ona i Giangrande — a także o innych rzeczach — nagrodach, wystawach, marszandach, krytyce, konserwach, reklamie, pięknoduchach, specach, scjentyście, kombinatorach — i nie skarżyli się nawet, tylko informowali, jak ktoś pogodzony z faktem, że Cyrce nieznana przemienia wszystko w świństwo.

Cóż za kłapa dumnej sztuki Tycjanów! Ze złowrogą satysfakcją ogarniałem dekadencję tej sztuki nieczystej, która zawsze związana była lubieżnie z instynktem posiadania, handlem, znawstwem, kolekcjonowaniem, bardziej może z tym związana, niż z estetyczną rozkoszą. Z zadowoleniem dowiadywałem się, że spotkał ją los niezbyt odmienny od tego, co się wydarzyło perłom i drogim kamieniom, gdy znaleziono metody masowej fabrykacji: uległa sposoliceniu, zarzyna ją podaż!

Ha, ha, ha!

Czy dobrze robię śmiejąc się w nos obrazom, posągom?

Ja?

#### Następnego dnia, po spacerze

Są tu ulice, zrobione z bluszczowych ścian ogródków, ogrodów — w głębi ukrywają się wille. Posuwam się piachem i ziemią tych ulic nigdy nie mając pewności, czy ktoś mi się nie przygląda, wzrok może dopaść ze wszystkich stron, gestwiny są zaludnione. U wylotu ulicy niebo w dalekościach zwisa ciemnym brzuchem — tortura! Jakiż rejwach i pęd tam, na horyzoncie, ile trzasku, huk, jakie mrowie ruchów, słów i pogmatwanie zdażeń, kombinacje i komplikacje, wir nieprzerwany... ten młyn, ten labirynt ciężą nade mną!

Cicho i ciepło. Pusto. Naprzeciwno, w perspektywie ulicy, ukazuje się dziecko, chłopczyk prowadzący rower. Idzie na ciebie, Makbecie, dziecko... Zbliżenie dokonywa się powoli i ja, który przedwczoraj jeszcze miałem twarz obłożoną cudzymi twarzami tuż, tuż, teraz załamuję się — i „prawie” nie mogę wytrzymać tego zbliżania się naszego ku sobie, aż „prawie” przystaję, „prawie” odwracam się bokiem, żeby to jakoś łagodniej wypadło. „Prawie”? Rzecz w tym, (od dość dawna to zauważyłem) że jakaś teoria... narzuca mi się w moim stosunku do ludzi: *wiem*, że zbliżanie się kogoś w pustym miejscu *powinno* dosięgnąć mnie w mojej istocie potężnie... i oto staram się wzbudzić w sobie stosowny odruch. Wiem, przeczuwam, że nie jest, nie powinno być obojętne „jak” i „skąd” i „dlaczego” ten inny „podchodzi”, czy „wyłania się” i jakie jest nasze względem siebie „umieszczenie”; wiem, że to musi być bardziej zasadnicze, niżby się dało słowami wyrazić; i że to musi być „wstępne”, czyli „wyprzedzające” inne moje doznania, stanowiąc coś jakby tło.

Próbuję dostosować się do teorii, jakbym deklamował rolę.

I to nadaje moim czynom jakiś połowiczny charakter... Dręcząca zawziętość na horyzoncie, ciężkie i brudne wymiona nieba zwisające nad splątaniem rozpędzonym i wrącym tej milionowej zmory niepojętej.

#### Sobota

A kuku, a kuku, służąca Helena ma kuku na muniu! Więc hajda, hajda i cip, cip, cip! Kukuryku!

Oto orkiestracja... a teraz sam schemat.

Od razu po przyjeździe zmiarkowałem, że coś z nią nie tak było, jak trzeba. Staranna, grzeczna, ale kiedy np. podaje zupę



nasuwa się wrażenie, że mogłaby w tej samej chwili zrobić coś innego, na przykład, zaśpiewać. Jest jak linoskoczek, chwytający równowagę nad otchłanią „czegoś innego” i „czegokolwiek”.

A teraz Alicja mi prawi, że ona ma we łbie paranoję!

Diagnozę, nie ulegającą wątpliwości, postawił psychiatra, do którego skierowała ją na badanie. — Miewa czasem ataki — mówi Alicja — i wtedy robi mi sceny, ale to jej przechodzi. Gorzej że, jak twierdzi medyk, jest niebezpieczna: może ni stąd ni zowąd dostać prawdziwego ataku i złapać za nóż...

— I nie boicie się przebywać z nią — i przecież Cio (Gian-grande) tyle czasu spędza poza domem, a pani jest sama...

— Co mamy robić? Odprawić ją? Kto weźmie do roboty wariatkę? I jej córeczka? Co począć z dzieckiem? Oddać ją do szpitala? Nie jest dość wariatką, to nieludzkie zamykać w domu obłąkanych kogoś, jak ona... I te domy są przepełnione, to istne piekło...

A kuku, a kuku, ma kuku na muniu, wyszedłem na drogę z której widać w wiadomym kierunku ściemnienie nieba zwiastujące... Wróciłem do domu, bronionego drzewami, gąszczem, ogrodzeniem, zielenią, kratami w oknach, posągami, obrazami, ale już zatrutego... gdzie paranoja krzątała się przy garnkach... Było cicho, Alicja spała, z kuchni dochodziły odgłosy, psy spały, byłem jak zaskoczony, jak stropiony, czułem, że powinienem zdobyć się na coś, ale nie wiedziałem na co... Nie było mi wiadomo, przede wszystkim, jaki jest mój ciężar. Czy byłem ciężki? Czy lekki?...

### Niedziela

Demokryt... Ile? Piszmy: Demokryt, 400.000

Św. Franciszek z Assyżu, 50.000.000

Kościuszko, 500.000.000

Brahms, 1.000.000.000

Gombrowicz, 2.500.000.000

Cyferki przy nazwisku mają oznaczać „horyzont ludzki” danego człowieka, czyli jak on mniej więcej wyobrażał sobie ilość ludzi w swoim czasie — jak siebie odczuwał, jako „jednego z wielu”. Z ilu? Cyferki stawiam na chybił trafił... ale twierdzą, że byłoby wskazane opatrywać imiona cyferkami, aby znane było nie tylko imię, ale i „umieszczenie w ludziach”.

To jest „liczba” pojedynczego człowieka, to jego „ilość”. Czy zostanie zrozumiany? Mówię, że nigdy dotąd człowiek nie podjął problemu swojej ilości. Ilość nie przeniknęła go dosta-

tecznie. Jestem człowiekiem — tak. Ale jednym z wielu. Z ilu? Jeśli jestem jednym z dwóch miliardów to nie to samo, co gdybym był jednym z dwustu tysięcy.

Żyje w nas samopoczucie Adama. Nasza filozofia jest filozofią Adamów. Sztuka jest sztuką Adamów. Dwie rzeczy mnie zdumiewają gdy się zastanawiam, jak człowiek się wyraził dotąd w sztuce: że ta wypowiedź nie rozpadła mu się na dwie fazy, będące fazami jego życia, wstępującą (młodość) i zstępującą; że nie została dość nasycona ilością.

Powiecie: w iluż powieściach, filmach, poematach, symfoniach nawet i obrazach, pojawia się żywioł ludzki, masa. Epika! Tak, to się zdarza sztuce, nie jest też nieznaną socjologii, psychologii, ale to opis, dokonany z zewnątrz — opisuje się stado ludzkie, jak każde inne stado. Mnie nie wystarcza, że Homer lub Zola będą opiewali, opisywali masę; ani że Marks ją analizuje; chciałbym aby w samym ich głosie pojawiło się coś co by mi pozwoliło wiedzieć, że jeden był jednym z tysięcy, a drugi jednym z milionów. Chciałbym ich widzieć przenikniętych ilością aż do rdzenia.

Wszystko to piszę z powodu służącej Heleny. Ściemnia się i zapaliłem lampę na moim biurczku, wdycham wilgotne powietrze bijące z ogrodu (cały ranek padało). Co porabia Helena? W kuchni? Tak, w kuchni. A tamto na horyzoncie? Tak, na pewno jest, świeci... A domki na sparszywiałej łące, podchodzące? Tak. A obrazy i posągi? Tak, na ścianach, w ogrodzie... Patrząc, ile masz w ręku elementów kompozycji, aż się proszą żeby je zaokrąglić w artystyczną sytuację — ale czemuż siebie nie mogę skomponować? Okłapałem — impotent przy biurku — obwisłem — zepsuta trąba, złamany flet, nie mogę wydobyć z siebie tonu. Brak mi kierunku, nie wiem w jakim kierunku mówić, nie mogę, bo brak kierunku, który wyprzedza głos.

Jeszcze raz stwierdz w sobie: więcej niż cudze nieszczęście męczy cię, że nie wiesz co robić z sobą wobec cudzego nieszczęścia. Paranoja w jej niechlujnym łbie — w jej ciemnym łbie — ja bym może to wytrzymał, gdyby mi było wiadomo, czy wolno mi użyć wyrażenia „łeb”.

Kim jest ona? I jakże mogę wiedzieć, kim ja jestem, nie wiedząc kim jest ona? Czy jest jedną babą więcej w zatrzęsieniu bab na globie ziemskim, jedną z krów? O, Ewo jedyna! Wyjężam tu, przy biurku, całą miłość moją i całą — jakby powiedzieć? — moją doniosłość, ja, Adam, abyś mi się stała Ewą, ale coś mi wchodzi w moją paradę... do miliarda diabłów! do miliarda krów! miliarda bab!... i kiedy uprzytomnię sobie ilość, popadam w wiele dziwnych stanów, wśród których stan obrzydzenia i



wstrętu wcale nie jest naczelny. A obojętność olimpijska, wynikająca z wymienności jednej baby na drugą babę i jednej paranoi na inną paranoję? Do tego nuda dochodzi...

Powtórzyłem głośno „nudzi mnie cierpienie w takich ilościach” i wsłuchałem się w treść tych słów, dziwną, niesłychaną nawet, a tak bardzo moją (ludzką).

I, wierzcie, nie wierzcie, mnie śmieszy moja dusza, ten duch, jeden z wielu. Jeśli się nie ulituję nad służącą Heleną, to kto inny ulituje się nad służącą Heleną. Litość też się rozmnożyła — w samym Buenos Aires jest ze sto tysięcy duchów co się zowie uduchowionych. Śmieszy mnie...

Powtarzam głośno „śmieszy mnie litość w takich ilościach” i wsłuchuję się w szczególną treść tego, niezwykle ludzką.

Wstaję. Wychodzę. Z drogi widać wstającą na horyzoncie w zapadającej nocy białawą, elektryczną mgłę, nieuchwytną prawie, a męczącą, zawiłą, jakby z nierezeczywistości... okropny fakt, który mnie przygniata... rozdeptuje mnie...

#### Poniedziałek

„Tylko, czy te jego trwogi i rozterki... naprawdę istniały”.  
„— Jakaś teoria — pisze Gombrowicz — narzuca mi się w moim stosunku do ludzi... Czy tedy ten problem ilości nie był również problemem wymyślonym, wyprowadzonym z teorii, która kazała mu przyjąć, że ilość osiąga nas w naszym człowieczeństwie?”

„Gombrowicz rozumiał, że pierwszym jego obowiązkiem byłoby stwierdzić, jak dalece to jest realne. Ale... czy warto stwierdzać? I po co się trudzić?”

„Przecież, jeśli on nie stwierdzi, inni to zrobią, za niego, ileż setek tysięcy głów było do dyspozycji, żeby się głowić!”

„Oto czemu, zamiast spędzić noc bezsenną, poszedł spać”.

Witold GOMBROWICZ

## GALERIA GRABOWSKIEGO

ZAPRASZA DO ZWIEDZANIA CO MIESIĄC  
NOWEJ WYSTAWY W LOKALU GALERII

84, Sloane Avenue, London S. W. 3

## Rewizjonizm polski (dok.)

### O nieuniknioności rewizjonizmu

W słynnym rozdziale trzeciej książki *Traktatu o Ludzkiej Naturze* Hume sformułował w sposób jasny i precyzyjny problem stosunku zdań normatywnych i wartościujących do zdań oznajmujących oraz jednocześnie wykazywał, iż pierwszych nie można wyprowadzać z drugich.

„W każdym systemie moralności, z jakim dotychczas się spotykałem, stwierdzałem zawsze, że autor przez pewien czas idzie zwykłą drogą rozumowania, ustala istnienie Boga, albo robi spostrzeżenia dotyczące spraw ludzkich; aż nagle nieoczekiwanie i ze zdziwieniem znajduję, iż zamiast zwykłych spojek jest i nie jest, nie spotykam żadnego zdania, które nie byłoby powiązane słowem *powinien* albo *nie powinien*. Ta zmiana jest niedostrzegalna, lecz niemniej ma wielką doniosłość. Wobec tego bowiem, że to *powinien* albo *nie powinien* jest wyrazem pewnego nowego stosunku czy twierdzenia, przeto jest rzeczą konieczną te zwroty zauważyć i wyjaśnić; a jednocześnie konieczne jest, iż by wskazana została racja tego, co wydaje się całkiem niezrozumiałe, a mianowicie jak ten nowy stosunek może być wydedukowany z innych stosunków, które są całkiem różne od niego” (tłum. Cz. Znamierowskiego, T. 2, p. 195).

Argumenty Hume'a podjęli inni myśliciele, nadając im różne, często dobitniejsze sformułowanie. Wynik ich analizy potwierdził opinię Hume'a, iż ze stwierdzenia jak jest nie można wywnioskować jak być powinno. Podobnie, z sądów wartościujących lub normatywnych nie można wyprowadzić zdań orzekających. Jednym z zadań naukowo zorientowanej filozofii jest uchronienie zdań o faktach od deformującego wpływu czynników normatywnych i wartościujących oraz wykrywanie treści wartościujących w pojęciach ubranych w pozornie czysto opisową szatę słowną. Środkami zapobiegawczymi do tego celu prowadzącymi jest analiza języka, rozróżnienia pojęciowe i terminologiczne, kontrola nad logicznym powiązaniem wywodu.



Nie wynika z tego, iż wartości należy traktować jako fikcje lub odmawiać im doniosłej roli w kształtowaniu życia ludzkiego. Chodzi jedynie o to, by należycie odróżnić zdania wartościujące i oznajmujące oraz stosować właściwe dla każdej z tych kategorii postępowanie. Pogląd Żółkiewskiego, iż „empiryzm w naukach społecznych” prowadzi do odrzucenia lub lekceważenia świata wartości, jest zdumiewający i nieuzasadniony. Trudno go odnaleźć w *The Poverty of Historicism* Poppera, a w mniejszym jeszcze stopniu w *The Open Society and Its Enemies* (gdzie Popper tę rzekomą konsekwencję *expressis verbis* odrzuca). Lektura *The Poverty of Historicism* była zaś źródłem, z którego Żółkiewski zaczerpnął swój pogląd przypisany „empiryzmowi w naukach społecznych” (20).

Marks nigdy nie zgłębił stosunku zdań oznajmujących i wartościujących, w czym można dopatrywać się wpływu heglowskiej dialektyki usprawiedliwiającej i zachęcającej do pobłażania każdej dowolności. To samo z większą jeszcze słuszością odnosi się do Engelsa. Można bowiem powiedzieć o Marksie, iż widział on jasno błędy innych, gdy wyprowadzali zdania o faktach ze zdań wartościujących lub zawierających *implicite* wartościującą ocenę. Marksowskie pojęcie ideologii w jednym z jego znaczeń ma unaocznic bezzasadność traktowania założeń wartościujących jako logicznej podstawy dla pozytywnej wiedzy o świecie. Ale Marks nie był świadom tego, iż popełniał błąd odwrotny wyprowadzając zdania wartościujące ze zdań o faktach. Sądził on bowiem, w czym umacniał go Engels, iż zdołał przezwyciężyć niesprowadzalność tych dwóch rodzajów zdań formułując teorię naukowego socjalizmu. Tak jednak nie jest. Odkrywanie błędu Marksa przez następujące po sobie pokolenia jest źródłem ciągłego odradzania się rewizjonizmu. Nikomu dotąd nie udało się usunąć tego błędu, a nadto nie ma nawet widoków, by mógł on być kiedykolwiek usunięty, gdyż problem o jakim mowa jest logicznie nierozwiązalny. Stosownie do tego tezę stwierdzającą, iż Marks stworzył bądź pewną ideologię socjalizmu, która nie jest nauką pozytywną, bądź teorię społeczną, które nie jest socjalistyczną ideologią, nazwiemy tezą logicznej nieuniknioności rewizjonizmu.

Błąd Marksa dostrzeżono i sformułowano po raz pierwszy w okresie sporu o rewizjonizm w obrębie niemieckiej socjaldemokracji. Nauki społeczne i historyczne, zbiory zdań o faktach uporządkowane logicznym stosunkiem wynikania, mogą ewentualnie uzasadniać konkluzje, iż socjalizm jest nieunikniony, to znaczy iż można przewidzieć socjalistyczną formację społeczną

(20) *Kultura i Polityka*, pp. 277-286. Ze swej strony Schaff stawia Popperowi zarzut odwrotny, mianowicie iż broniąc koncepcji idiografizmu musi przyjmować „kantowską aksjologię”, zob. *Obiektywny Charakter Praw Historii*, Warszawa, PWN, 1955, pp. 115-116, 133-138. Opinię najbliższą rzeczywistości znaleźć można w recenzji S. Soldenhoffa o *Fragen der Ethik* Moritza Schlicka, *Nowe Drogi* 1960, 11/138.

opierając się w przewidywaniu na prawach naturalnego następstwa zdarzeń, wyznaczających procesy zmian społecznych i historycznego rozwoju (dla uproszczenia wywodu pominiemy zagadnienie, czy tak jest w istocie, tzn. czy teoria Marksa dostarcza logicznej podstawy do podobnego przewidywania). Ale wiedza pozytywna nie jest w stanie logicznie uzasadnić tezy, iż socjalizm jest rzeczą moralnie pożądaną, godną ludzkich wysiłków, lub skłonić ludzi do tego, by dokładali starań o osiągnięcie socjalizmu. Przeto albo socjalizm jest nieunikniony, w znaczeniu wyżej podanym, ale nie jest wówczas wartością i celem ludzkich poczynań, albo socjalizm jest taką wartością, ale nie jest on wówczas nieunikniony. Albowiem nie można wyprowadzić zdań normatywnych i wartościujących ze zdań oznajmujących, a zdania mówiące jak być powinno nie dostarczają logicznych przesłanek dla zdań o faktach (21).

Z tej konkluzji wyciągnięto z kolei wniosek, że jeśli społeczna teoria Marksa jest nauką pozytywną, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, nauką korelacyjną lub teoretyczną, wymaga ona uzupełnienia w filozofii moralnej. Tę filozofię moralną odnaleziono w etyce Kanta, a raczej w jego metodzie krytycznej, przy której pomocy Kant podjął próbę wykrycia podstaw nadających się do ugruntowania uniwersalnego systemu etyki. Przez metodę krytyczną należy rozumieć analizę moralnych doświadczeń mającą wykryć warunki niezbędne do tego, by ludzie w ogóle mogli doświadczać przeżyć moralnych, oraz podać zasady uzasadniające normy etyczne i ich zastosowanie w każdym poszczególnym wypadku.

Dla niektórych „marksistów” podobne rozwiązanie było i pozostaje nie do przyjęcia. Albowiem wiedzą oni z pism Marksa i *Anti-Dühringa*, iż Marks i Engels upatrywali w każdej dotychczasowej moralności moralność klasową, tzn. traktowali ją w pewnych kontekstach i dla pewnych celów jako wyraz klasowych interesów. W mniemaniu ortodoksów wynikał z tego wniosek, którego słuszość budzi wątpliwości, iż nie można łączyć w jedną całość teorii społecznych Marksa z uniwersalistyczną etyką. Taka bowiem całość byłaby zlepkiem niespojnych i wykluczających się składników (22). Odrzuciwszy i odrzucając

(21) Najlepsze sformułowanie stanowiska niemieckiego rewizjonizmu w rozpatrywanej sprawie znaleźć można w E. Bernstein, *Wie is wissenschaftlicher Sozialismus möglich?*, Berlin, Verlag der Socialistischen Monatshefte, 1091, w szczeg. pp. 19-20, 32-38. Od czasów sporu na początku naszego wieku słuszość krytyki „naukowego socjalizmu” przeprowadzonej z tego punktu widzenia była niejednokrotnie podkreślana i szczegółowo uzasadniana. Jedno z najlepszych sformułowań znaleźć można w książce H.B. Acton, *The Illusion of the Epoch*, London, Cohen and West 1955. Natomiast nikt dotąd, o ile piszącemu wiadomo, nie wyprowadził z tej krytyki wniosku o nieuniknioności rewizjonizmu.

(22) Ponoc sięganie do filozofii Kanta dla naprawienia błędu „naukowego socjalizmu” jest równie niedorzeczne jak uzupełnienie ognia wodą. Kant sądził, że imperatyw kategoryczny jest absolutny, jak sama nazwa na



wspomniane rozwiązanie ortodoksi są zdani na podtrzymywanie „naukowego socjalizmu” w jego pierwotnym brzmieniu. W tym sensie są oni również sprawcami stałego odradzania się rewizjonizmu.

Trzeba było rozważyć nieco szczegółowiej zasadniczy problem filozoficzny uwikłany w sporze o niemiecki rewizjonizm, gdyż w ten sposób dochodzimy jednocześnie do przesłanek polskiego rewizjonizmu. W okresie Października przesłanki te były niejednokrotnie omawiane i komentowane. Nikt jednak dotąd nie przewyższył pod tym względem wypowiedzi zawartych w publikacjach Kołakowskiego. Z nich przeto czerpać będziemy informacje o poglądach polskiego rewizjonizmu o związkach między elementami moralnymi i poznawczymi w ideologii socjalizmu.

Moralnego świata powinności nie można ugruntować na wiedzy o rzeczach, zdarzeniach i prawach, jakie nimi rządzą:

„Praktyczny wybór dokonuje się w świecie określonym przez kategorię 'powinności', nie zaś 'bytu'. Owe dwie kategorie *Sollen* i *Sein* charakteryzują dwie postawy i dwie wizje rzeczywistości, między którymi stale usiłujemy nawiązać stale rwący się kontakt” (23).

Niesprowadzalność dwóch postaw do świata lub dwóch wizji rzeczywistości stawia nas ustawicznie wobec konieczności wyboru i zajęcia stanowiska określonego przez ekstremy powracających alternatyw: utopizmu i oportunistu, romantycznej arbitralności i uległości wobec zastanej rzeczywistości. Albowiem chociaż konieczność historyczna nie jest fikcją, jej granic nie jesteśmy w stanie nigdy zmierzyć z dokładnością niezbędną do tego, by w każdym poszczególnym przypadku orzec, co w nim jest, a co nie jest składnikiem dziejowego procesu, niezależnego od woli jednostek. Nieuchronność jest cechą rzeczy przeszłych. Nieuchronność tego, co się jeszcze nie dokonało, jest zawsze wątpliwa i pozostawia miejsce na swobodny wybór i realistycznie pojętą decyzję. Dlatego też żadna doktryna lub wiara w koniecz-

to wskazuje, ale tej właściwości zasad moralnych nie można uzasadnić posługując się wyłącznie metodą krytyczną. Metodę krytyczną lub analityczną, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, można zastosować niezależnie od tego, czy czyni się lub odrzuca założenie dodatkowe, mianowicie, iż moralność jest wyznaczona przez układ stosunków społecznych. Sama metoda nikogo nie dyskwalifikuje. Metoda jest zbiorem przepisów postępowania, ustalonych umownie i w pewnym sensie dowolnie. Metoda może być stosownie lub niestosownie dobrana, może być płodna lub nieskuteczna, zawodna lub niezawodna. Nie ma natomiast metod „prawdziwych” i „fałszywych”. Wolać głosem donośnym: idealizm, gdy ktoś sięga do metody zainicjowanej przez Kanta, świadczy o niezrozumieniu związków między teorią a metodą.

(23) *Nowa Kultura* 7, 1957, 38/391, p. 4. Mówiąc słowami Kołakowskiego, teza o niesprowadzalności kategorii bytu i powinności, która ściągnęła swego czasu na jego głowę oskarżenie o „likwidatorstwo”, została obecnie zaaprobowana również przez ortodoksyjnych rewizjonistów, zob. A. Schaff, *Marxizm a Egzystencjalizm*, pp. 83-84.

ność nie jest w stanie zwolnić nas od moralnego wyboru i moralnej odpowiedzialności, którą każdy człowiek z osobna musi podejmować we własnym imieniu.

„Nie jest prawdą, że historiozofia określa nasze główne wybory w życiu; określa je nasze poczucie moralne. Nie jesteśmy komunistami dlatego, że uznaliśmy komunizm za konieczność dziejową, jesteśmy nimi dlatego że stajemy po stronie uciskanych przeciwko ich ciemiężcom, po stronie nędzarzy przeciwko ich panom, po stronie prześladowanych przeciwko prześladowcom. I chociaż wiemy, że teoretycznie poprawny podział społeczny nie jest podziałem na 'bogaty' i 'biedny', ani 'prześladowanych' i 'prześladowców' — to jednak wtedy, kiedy oprócz akcesu teoretycznego mamy dokonać aktu praktycznego wyboru, to znaczy zakładu (Kołakowski ma przypuszczać na myśli *le pari de Pascal* — Z.J.) — wtedy działamy powodowani motywacją moralną a nie świadomością teoretyczną. Inaczej też być nie może, ponieważ najbardziej przekonująca teoria nie jest w stanie sama przez się skłonić nas do ruszenia palcem. Praktyczny wybór jest wyborem wartości, to znaczy aktem moralnym, to znaczy czymś, za co każdy z osobna ponosi własną i osobistą odpowiedzialność” (*Nowa Kultura* 8, 1957/37/390).

Kto podkreśla autonomiczność i odpowiedzialność jednostki w akcie moralnego wyboru, ten tym samym nie opowiada się za egzystencjalistyczną antropologią Sartre'a z jego koncepcją człowieka izolowanego, samotnego, tragicznego, walczącego z bezsenssem i irracjonalnością świata naturalnego (ontologiczna izolacja jednostki jest wyłącznie tezą egzystencjalizmu Sartre'a, nie ma jej w egzystencjalizmie Marcela, Heideggera i Jaspersa). Nie znaczy to także, jak Schaff interpretuje myśl Kołakowskiego, iż „człowiek snuje moralność ze swego wnętrza, jak pająk nić”, stając się nadto „wszechmocnym twórcą rzeczywistości” (24). Kołakowski stwierdza w sposób, który zdecydowanie wyklucza każdą inną interpretację, iż poglądy jednostki na to, co dobre i złe, podlegają wielorakiej determinacji społecznej, są wyznaczone przez warunki życia społecznego w ogólności, przynależność klasową i zawodową, tradycję, wychowanie i inne społeczne okoliczności (25). Zwraca on natomiast uwagę na inny aspekt zagadnienia, mianowicie na koszarowo-kasztorną, jak ją określa, interpretację wolności heglowskiej, w której z zasady, iż wolność jest zrozumieniem konieczności wywodzi się konkluzję, że w społeczeństwie socjalistycznym jednostka winna nabyć świadomość nieuchronności wszystkiego, co zachodzi w jej życiu, jeśli tylko zachodzi w imię potrzeb społecznych. Przeciwnie stawia się on także pogładowi jakoby w społeczeństwie socjalistycznym zniknął konflikt między wolnością jednostki a wolnością w „szerszym społeczeństwie”. Twierdzi on nadto, co wyłożył dokładniej w eseju *Istota i Istnienie w Pojęciu Wolności*, do którego należy odesłać czytelnika, iż „egzystencja indywidualna nigdy nie realizuje esencji klasy

(24) *Spór o Zagadnienia Moralności*, p. 66.

(25) *Nowa Kultura* 8, 1957, 37/390, p. 4.



społecznej w formie czystej i nieskażonej ani nie daje się przez nią wyczerpać, a los jednostkowy nie daje się wyznaczyć dokładnie przez ogólnodziejowe prawa walki klasowej, podobnie jak biegu poszczególnych cząstek substancji gazowej nie sposób określić przez ogólne prawa mechaniki gazów, które wszakże bez względu na to zachowują ważność" (26). Wreszcie posługując się argumentem Moritza Schlicka z *Fragen der Ethik* Kołakowski słusznie wywodzi, iż determinizm i odpowiedzialność moralna nie wykluczają się wzajemnie, a uzupełniają. Z istnienia determinantów ludzkiego zachowania nie daje się wyprowadzić wniosku, iż człowiek zawsze znajduje się w sytuacji przymusowej. Wyznaczalność ludzkiego zachowania przez warunki społeczne i jego własną przeszłość nie stanowi zewnętrznego przymusu, a jedynie działanie pod zewnętrznym przymusem pozbawia człowieka wolności wyboru i zwalnia od odpowiedzialności moralnej. Z tych wszystkich względów przyjąć należy pogląd, iż „czyn jednostkowy pozostaje w absolutnej mocy jednostki; główne drogi naszego życia przechodzimy na własny rachunek" (27).

Kołakowski nie formułował oczywiście swego stanowiska jako wniosku nasuniętego lekturą olbrzymiej literatury rewizjonistycznej z pierwszych lat naszego stulecia. Jego poglądy ukształtowała analiza doktryny stalinowskiej oraz doświadczeń zbiorowych i jednostkowych w okresie „błędów i wypaczeń”. Stalinizm jest pierwowzorem doktryny, w której konieczność historyczna wyznacza powinność moralną. Na jej przykładzie Kołakowski wyjaśnia błędy wyprowadzania zdań normatywnych ze zdań oznajmujących, oraz okrutne konsekwencje praktyczne, które idą w ślady błędu logicznego. Ludzkość skazana jest na te okrutne doświadczenia zawsze i wtedy, jeżeli jakaś doktryna głosi z niezachwianą pewnością, iż zdobyła nieomylną i wyczerpującą wiedzę o przyszłości. Ogłasza ona wówczas, iż problemy moralne nie polegają na ocenianiu zdarzeń historycznych stosownie do własnego poczucia zła i dobra, ale na przystosowaniu tych ocen do biegu historycznej konieczności. Przewodzi to do akceptowania bez sprzeciwu wszelkich postanowień władzy, pozostającej, jak można by sądzić z jej roszczeń, w stosunkach zażyłej znajomości z koniecznością historyczną, oraz do przekonania o absolutnym immoralizmie historii. Albowiem poczucie moralnej powinności jest zespolone z przekonaniem, iż pewne formy ludzkiego zachowania są celem samym dla siebie, a nie tylko środkiem do celu. Natomiast jeżeli ocena moralna jest podporządkowana wyrokom historycznej konieczności, nie ma niczego, co jest celem autonomicznym. Innymi słowy, war-

(26) L. Kołakowski, *Światopogląd i Życie Codzienne*, Warszawa, PIW, 1957, p. 117.

(27) *Nowa Kultura* 8, 1957, 37/390, p. 5. Schaff przyswoił sobie wiele z tych poglądów, zob. *Spór o Zagadnienia Moralności*, pp. 94-95; *Marxizm a Egzystencjalizm*, pp. 83-84, 105-110.

tości moralne stają się retoryczną ozdobą, a w życiu ludzkim nie ma miejsca dla powinności moralnej we właściwym tego słowa znaczeniu.

Z tego co się powiedziało o źródłach intelektualnych i egzystencjalnych rewizjonizmu w Polsce jasno wynika, iż polski rewizjonizm ma orientację moralną. Można w niej wyróżnić trzy elementy. Pierwszy z nich jest wspólną własnością rewizjonizmu niemieckiego i polskiego, mianowicie wykrycie błędu logicznego, który polega na wyprowadzaniu zdań wartościujących ze zdań o faktach lub rzekomych zdań o faktach. Drugim elementem są doświadczenia jednostkowe i zbiorowe, których niemiecka socjal-demokracja zaznała dopiero pod rządami Ulbrichta, powstałe w wyniku przekształcenia z żelazną konsekwencją błędnej teorii w praktykę codzienną. Te doświadczenia nadały wykryciu błędu intensywność protestu przeciwko „próbom normatywnej interpretacji historiozofii”, to znaczy przeciw nadawaniu kryteriom moralnej oceny charakteru logicznych wniosków wynikających z wiedzy o „prawidłowościach dziejowych”. Wreszcie trzecim elementem jest przeświadczenie, iż autonomia i odpowiedzialność moralna jednostki (w ramach faktycznych zależności ludzkich przekonań moralnych od historycznych i społecznych determinantów) jest kamieniem węgielnym i nienaruszalnym fundamentem wszelkich społecznych i politycznych poczynań. *Corollarium* tego przekonania jest wniosek praktyczny stanowiący, jak się zdaje, drogowskaz życia dla wszystkich, którzy zaznali doświadczeń ery stalinowskiej.

„Nikt nie jest zwolniony z moralnej odpowiedzialności za popieranie zbrodni z tej racji, że został intelektualnie przekonany o jej nieuchronnym zwycięstwie. Nikt nie jest zwolniony z moralnego obowiązku walki przeciwko systemowi rządzenia, doktrynie lub stosunkom społecznym, które uważa za nikczemne i nieludzkie, powołując się na to, że uważa je zarazem za historycznie konieczne. Protestujemy przeciwko takiej formie moralnego relatywizmu, w której zakłada się, że kryteria moralnej oceny ludzkich zachowań można wydedukować ze znajomości tajemnic *Weltgeistu*” (*Nowa Kultura* 8, 1957, 36/389, p. 4).

Nie moralizatorstwo, jak to twierdzą ortodoksi, a orientacja moralna jest przeto specyficzną cechą polskiego rewizjonizmu. Dzięki tej orientacji polski rewizjonizm nie jest oderwany od życia i polityki. Polityką w potocznym tego słowa znaczeniu są realia aktualnie sprawowanej władzy. Ale polityką są również wszelkie formy oddziaływania na społeczne postawy i zachowanie się ludzi, a działać w ten sposób może każdy niezależnie od tego, czy sprawuje władzę. Nie jest nadto rzeczą obojętną, jeśli ludzie młodzi, którzy naturalnym biegiem rzeczy obejmować będą niebawem odpowiedzialność za losy i przyszłość naszego kraju, zdają sobie sprawę z tego, że socjalizm jest nade wszystko zbiorem wartości i że nie można go przeto realizować trwale i właściwie bez moralnego wysiłku jednostki. Jeśli wolno wierzyć mitologii, ciężar globu spoczywa na bar-



kach Atlasa. Gdy zdarzy się, iż odmawia on dalszego udzielenia podpory, jego bunt sprawia trzęsienie ziemi. Atlasem każdego społeczeństwa jest praca rąk, światło umysłu i nakazy sumienia jego obywateli.

### Rewizjonizm ortodoksyjny

Orientacja moralna jest ważną i istotną właściwością polskiego rewizjonizmu, ale jego cech charakterystycznych nie wyczerpuje. Oprócz zawartości moralnej polski rewizjonizm posiada również określoną treść poznawczą. Jej opis wymaga uprzedniego rozróżnienia dwóch odmian rewizjonizmu rozwijającego się w Polsce, rewizjonizmu ortodoksyjnego i rewizjonizmu filozoficznego.

W rewizjonizmie ortodoksyjnym dostrzec można trzy zasadnicze tendencje. Ortodoksyjny rewizjonizm polega na zmianie interpretacji, a więc sensu pewnych tez naczelnych marksizmu-leninizmu, które przy zmienionej wykładni są zachowane w pierwotnym brzmieniu. Drugą cechą charakterystyczną ortodoksyjnego rewizjonizmu jest podkreślenie jednej z części składowych systemu Marksa kosztem części innych. Wreszcie trzecią jego tendencją jest podejmowanie nowej problematyki, nie mieszczącej się w ramach dotąd obowiązującej oficjalnej doktryny w wyniku uznania błędności i szkodliwości dawnych ortodoksyjnych pozycji.

Przykładem pierwszej tendencji jest rewizja tezy wywodzącej się od Engelsa, iż w każdej rzeczy i zjawisku tkwi „obiektywna sprzeczność”. Do niedawna w marksizmie-leninizmie obowiązywała interpretacja, iż sprzeczność o jakiejś mowa jest sprzecznością logiczną. Ortodoksyjny rewizjonizm głównie z inicjatywy Schaffa dokonał zmiany interpretacyjnej i wysunął tezę obecnie niemal powszechnie uznaną w kręgach marksistów-leninistów, iż „obiektywna sprzeczność” ma charakter dialektyczny, a nie logiczny. Był to głęboki i doniosły przewrót, gdyż wyzwołał reakcję łańcuskową dalszych zmian interpretacyjnych. Uznanie uniwersalnego waloru zasad logicznego myślenia pociągnęło za sobą konieczność przeprowadzenia dalszych rewizji, a proces ten nie jest dotąd zakończony (28).

Innym przykładem ilustrującym omawianą tendencję ortodoksyjnego rewizjonizmu jest nowa wykładnia zasady partyjności. Zasada partyjności była jednocześnie normą pozytywną i negatywną. Jako norma negatywna zasada ta orzekała, iż filozof, który głosi poglądy niezgodne ze stanowiskiem Partii, jest tym samym w błędzie; jako norma pozytywna zasada par-

(28) Obszerniejsze wyjaśnienie tych spraw znajdzie czytelnik w artykule: Z. Jordan, *The Development of Philosophy and Marxism-Leninism in Poland Since the War*, Studies in Soviet Thought, pp. 92-93.

tyjności nakazywała czynne, konsekwentne i stronnicze zaangażowanie się w obronie poglądów uznanych przez Partię, zerwanie z „akademickim obiektywizmem”, a w praktyce traktowanie wszystkich odmiennych opinii jako czystych niedorzeczności. Opinie te bowiem były *ex definitione* wyrazem klasowego interesu burżuazji i jej wrogości w stosunku do socjalizmu. Natomiast warunkiem niezbędnym poznania prawdy, osiągnięcia „obiektywnego, niezdeformowanego odbicia rzeczywistości”, jest zajęcie stanowiska podyktowanego interesami proletariatu. O tym czym jest interes proletariatu decyduje zaś każdorazowo kierownictwo Partii. Prawda jest złudzeniem jeśli się jej nie ogląda przez okulary przywódców partyjnych (29).

Zasada partyjności w nowej interpretacji dokonanej przez Oskara Lange sprowadza się do rozróżnienia dwóch typów ideologii, ideologii mistyfikujących oraz ideologii ujawniających rzeczywistość. Pierwsze z nich są właściwe postawom zachowawczym, drugie postawom postępowym. Oba rodzaje ideologii mają charakter typu idealnego w sensie Maxa Webera, to znaczy, iż w czystej formie nie są nigdy w pełni zrealizowane. Albowiem z jednej strony ideologie mistyfikujące jeżeli mają umożliwić skuteczną działalność praktyczną nie mogą się obyć bez „pewnego minimum znajomości prawdziwego charakteru stosunków społecznych”. Z drugiej strony elementy mistyfikujące wkradają się również do ideologii odsłaniających rzeczywistość, znajdując wyraz w różnych błędnych koncepcjach — w rewizjonizmie, a ostatnio w dogmatyzmie i kultcie jednostki. Zasada partyjności sprowadza się obecnie do stwierdzenia, iż istnieją dwa rodzaje postaw do rzeczywistości — postawa postępową i zachowawczą; postawa postępową zasadniczo sprzyja postępowi wiedzy, postawa zachowawcza zasadniczo postępowi wiedzy opóźnia lub hamuje; wreszcie postawa postępową wymaga związania z „ruchem robotniczym oraz z budową i rozwojem socjalistycznego społeczeństwa” (30).

Drugą tendencję charakterystyczną dla ortodoksyjnego rewizjonizmu egzemplifikuje orientacja anty-hegelijska, z którą łączy się powrót do elementów pozytywistycznych w filozofii Marksa. Oznacza to także odwrót od zawrotnych spekulacji, przechodzenie na płaszczyznę zdrowego rozsądku, wzrastające poszanowanie dla faktów, dla rzetelnej wiedzy, metod i osiągnięć nauki. Te następstwa orientacji anty-hegelijskiej zapoczątkowanej przez Schaffa zaznaczyły się w szczególności wśród młodszego pokolenia filozofów, dawnych wyznawców marksizmu-leninizmu, interesujących się zagadnieniami materializmu dialektycznego. O materializmie dialektycznym zawsze twierdzono, że jest jednocześnie doktryną ontologiczną i metodologiczną.

(29) Zob. A. Schaff, *Obiektywny Charakter Praw Historii*, p. 29.

(30) O. Lange, *Ekonomia Polityczna*, T. 1, Warszawa, PWN, 1959, pp. 276-294.



Rewizja materializmu dialektycznego rozróżnia jego aspekt metodologiczny i ontologiczny, wysuwa na plan pierwszy problematykę metodologiczną oraz modernizuje tę problematykę w oparciu o wyniki współczesnej filozofii nauki. W licznym gronie badaczy młodego pokolenia zmierzających w tym kierunku należy w szczególności wyróżnić Helenę Eilstein.

Rewizja zasady partyjności w nauce i w filozofii przed ukazaniem się *Ekonomii Politycznej* Langego była jednym z postulatów wysuwanych przez filozoficznych rewizjonistów, czyli „likwidatorów”, mówiąc językiem ortodoksji. Wystarczy w tym kontekście przypomnieć esej Kołakowskiego *Światopogląd i Krytyka*, przedrukowany w zbiorze *Światopogląd i Życie Codzienne*. Ale trzeba było autorytetu Langego, by zrewidowana zasada partyjności, łącznie z jej konsekwencjami w filozofii, zyskała powszechną aprobatę. Chodzi w tym wypadku o odrzucenie tak zwanej nihilistycznej krytyki filozofii niemarksistowskiej. Licznych przykładów krytyki tego rodzaju dostarczają dzieła czołowych marksistów-leninistów opublikowane w latach 1950-1955. W ten sposób przechodzimy do opisu trzeciej tendencji charakteryzującej ortodoksyjny rewizjonizm.

Krytyka nihilistyczna opierała się na założeniu, iż marksizm-leninizm ma monopol na dostrzeganie, wysuwanie i rozwiązywanie problemów filozoficznych. Wynikał z tego wniosek, iż przeciwnik nigdy nie ma i nie może mieć racji. Marksista-leninista odkrył i wie wszystko, co jest prawdą i co wiedzieć warto. Technika krytyki opartej na tym założeniu była niezwykle prosta. Wystarczyło okazać, iż przeciwnik głosi pogląd niezgodny z marksizmem-leninizmem, by zaliczyć go w poczet świadomych lub nieświadomych idealistów. Idealizm nie był zaś wyłączenie błędną filozofią, ale nade wszystko politycznym występkiem. Istniał bowiem znak równości między idealizmem a ideologią burżuazyjną i imperializmem. Jak pisał Kołakowski, ta technika, sprowadzając stanowisko przeciwnika do absurdów i do wrogich oświadczeń politycznych, stała się częścią obrzędowego ceremoniału i z powodzeniem mogła kojarzyć nieznamo przedmiotu z pogardą dla odbiorcy.

Obecnie praktyka przeszłości wraz z jej założeniami została odrzucona. Schaff uznał, iż przeciwników filozoficznych nie można ignorować i pomawiać o głoszenie wrogich niedorzeczności. „Nie jest tak, by jedne kierunki miały monopol na prawdę, a inne na fałsz... W rzeczywistości sprawy są o wiele bardziej skomplikowane. Prawdy nawet doniosłe, mogą występować w systemach skądinąd fałszywych i wręcz antynaukowych... Fałsze i to poważne mogą występować w systemach skądinąd arcyprawdziwych”. Metoda „krytyki marksistowskiej” została poniekąd, gdyż z nauką i naukowym uprawianiem filozofii, jak Schaff wyznał, miała niewiele wspólnego. Była ona nadto nieefektywna. Nie przekonywując nikogo miała się z celem, a stając się pewnego rodzaju magicznym rytuałem doprowadziła

do zaniku zawartości poznawczej i funkcji intelektualnej „filozofii marksistowskiej” (31).

To spóźnione odkrycie ortodoksyjnego rewizjonizmu czytelnik zapewne uzna za wyważanie drzwi otwartych, prawdę banalną i naiwną. Tak sądzono również w Polsce. Trudno jest traktować od stuleci znane truizmy jako twórcze wyniki naukowego postępu. „Głęboko poniżające jest stwierdzenie, iż nie należy fałszować dokumentów historycznych, że krytyka przeciwnika naukowego ma być rzeczowa itp.” (32). Ale odmienna opinia miała również w Polsce obrońców. Maria Kokoszyńska pisała w *Studiach Filozoficznych*, iż wspomniane rewizje dokonane przez Schaffa w panującej ortodoksji „muszą być gorąco powitane przez każdego, komu wysoki poziom życia filozoficznego w Polsce leży na sercu” (33). Z tą opinią trzeba się zgodzić. Albowiem w Polsce ktoś musiał wyważać drzwi otwarte, jeśli miała nastąpić zmiana na lepsze. Ponadto, jedno odkrycie, skądinąd znane od stuleci, prowadziło do odkryć następnych. Rozszerzały się horyzonty i zakres problemów jakimi w Polsce można się zajmować, pojawiła się pewna miara tolerancji oraz przeblysł świadomości, iż różnorodność stanowisk i szkół myślenia nie jest świadectwem słabości myśli, ale siły i twórczości. Dodać jednak trzeba dla ostrzeżenia, iż te pocieszające objawy nie posiadają nadal cech trwałości, gdyż nie są ugruntowane na mocnych i powszechnie przyjętych zasadach.

Swego czasu Kołakowski podkreślał, iż twórcy „marksizmu” nie rozwiązali wszystkich problemów, jakie stają przed współczesną filozofią materialistyczną, o czym zapominają jej profesjonalni wyznawcy. Za największą słabość „filozofii marksistowskiej” uważał nieumiejętność stawiania nowych pytań, znieczulenie wobec rodzących się kwestii, intelektualny daltonizm wobec nowych zjawisk oraz anestezję w stosunku do wszystkiego, co nie mieściło się w skodyfikowanej doktrynie lub nie dało się sformułować w tradycyjnych kategoriach ortodoksji. W związku z tym sugerował, iż „marksizm” nie wyjdzie z marazmu dopóki nie zacznie stawiać pytań, jakich dotąd nie stawiał, rozwiązywać zagadnień, jakich przeciwnik rozwiązać nie zdołał, modernizować i rozbudowywać aparatury pojęciowej, jakiej nie uwolnocoześniano (34).

Ortodoksyjny rewizjonizm przejął obecnie tę zwalczaną do niedawna tezę Kołakowskiego, gdyż stanowisko odmiennie, jak się teraz przyznaje, doprowadziło do zastoju umysłowego. Schaff stał się szermierzem ze wszechmiar słusznego poglądu, iż „kry-

(31) A. Schaff, *Wstęp do Semantyki*, Warszawa, PWN, 1960., pp. 90-93, 350-351.

(32) *Nowe Drogi* 1956, 9/87, p. 27.

(33) *Studia Filozoficzne* 1961, 1/22, p. 147.

(34) L. Kołakowski, *Światopogląd i Życie Codzienne*, pp. 61-66.



tyka marksistowska" winna wydobyć realny problem z błędnych filozoficznych rozwiązań zawartych w obcych doktrynach, dać lepsze jego rozwiązanie i w ogólności formułować z pozycji „marksizmu” nurtujące umysły ludzkie nowe zagadnienia. W przeciwnym razie „filozofia marksistowska” zamknie sobie drogę rozwoju i przestanie zaspakajać intelektualne potrzeby współczesnego człowieka (35).

Odwołując się do tych argumentów Schaff domaga się włączenia w zakres „marksistowskiej” problematyki zagadnień filozoficznej antropologii, którą woli nazywać filozofią człowieka. Filozofii człowieka nadaje kierunek wyraźnie egzystencjalistyczny. Mają się na nią składać zagadnienia, jaki jest sens życia, jaką postawę przyjmując wobec nieuchronności śmierci, w jakim sensie człowiek jest twórcą swego losu, na czym polega moralna odpowiedzialność człowieka itp. Innymi słowy, filozofia człowieka ma wchłonąć zagadnienia, jakimi zajmują się teolodzy, poeci, twórcy literatury pięknej, wizjonerzy, egzystencjalistyczni filozofowie, myśliciele zajmujący się filozofią społeczną, filozofią moralności i filozofią historii. „Marksistowski” egzystencjalizm musi być materialistyczny. Przeto naturalną podstawą projektowanej encyklopedycznej filozofii człowieka winien stanowić materializm historyczny (36).

Wykonalność tej ambitnej zapowiedzi jest wątpliwa. Sens życia, nieuchronność śmierci, granice moralnej odpowiedzialności i tym podobne sprawy są zagadnieniami, które stają przed każdą jednostką z osobna. Nie dają się ująć w kategoriach ogólnych, filozoficznych, każdy rozwiązać je musi samodzielnie w ramach szczególnych własnego życia. Z tej przyczyny zagadnienia proponowanej filozofii człowieka stanowiły dotąd nade wszystko domenę sztuki, poezji i literatury pięknej. Kto pyta o sens życia, ten jego poczucie zatracił, jeżeli je stracił, nie będzie go szukał w filozofii człowieka. Filozofowi wkraczającemu w tej rejonie zagraża nieczytelność i niezrozumiałość, czego świadectwem są traktaty filozoficzne Sartre'a lub Heideggera, albo dydaktyka i moralizatorstwo, Smiles na użytek XX w.

Po tej ekskursji wróćmy do opisu ortodoksyjnego rewizjonizmu. Jego charakterystyczną cechą nie jest immanentny rozwój myśli, jaki obserwujemy śledząc ewolucję współczesnych szkół filozoficznych, takich na przykład jak fenomenologia, filozofia analityczna lub logiczny empiryzm. Ortodoksyjny rewizjonizm jest funkcją bodźców zewnętrznych, presji społecznej i intelektualnej środowiska, w którym marksizm-leninizm stara się spełnić swą misję. Nie jest rzeczą trudną wykazać, co piszący te słowa uczynił na innym miejscu, iż niektóre z opisanych rewizji zostały dokonane w wyniku nieodpartych dowodów dostarczonych przez nie-marksistowskich logików, filozofów i socjologów,

(35) A. Schaff, *Markszizm a Egzystencjalizm*, pp. 44-46; *Nowe Drogi* 1961, 3/142, p. 80.

(36) A. Schaff, *Markszizm a Egzystencjalizm*, pp. 130-133.

iz bez zmiany interpretacji podstawowe tezy „filozofii marksistowskiej” prowadzą do absurdów, to znaczy do sprzeczności, lub zawierają jawne błędy faktyczne. Opis innych rewizji dostarczył okazji, by ujawnić, iż ortodoksyjny rewizjonizm przejmował obficie tezy formułowane przez filozoficzny rewizjonizm. Wreszcie czołowi rzecznicy ortodoksyjnego rewizjonizmu nie czynią tajemnicy, jakie okoliczności inspirują ich działalność. Chodzi o to, by zapobiec „osłabieniu wpływu (marksizmu-leninizmu) na masę” i zdobyć „atuty w walce klasowej”, a więc o względy natury politycznej.

Trudno jest w tych warunkach powiedzieć, iż ortodoksyjny rewizjonizm jest przejawem i wynikiem intensywnych procesów intelektualnych. Instrumentalny charakter marksizmu-leninizmu, to znaczy podporządkowanie celów poznawczych i teoretycznych celom praktycznym społeczno-politycznym, który cechował tę doktrynę od chwili jej powstania, pozostają nadal mimo wszystkich rewizji jej cechą istotną.

Można się jednak zapytać, czy ortodoksyjny rewizjonizm ustępując z jednej pozycji po drugiej, schodząc na płaszczyznę zdrowego rozsądku, poszanowania dla faktów i zasad logicznego myślenia, ostatecznie nie unicestwi wszelkiej ortodoksji i „marksizm” nie przekształci się w autentyczną szkołę filozoficznego myślenia, która konkurować będzie nie w prawach równości, bez poparcia władzy ludowego państwa i przywilejów administracyjnych, z innymi kierunkami filozoficznymi. Na gruncie ortodoksyjnego rewizjonizmu podobna ewolucja jest wysoce nieprawdopodobna. Obecna ortodoksja jest wprawdzie bardziej tolerancyjna od swych poprzedników, ale nie wyrzekła się związków z metodologicznym dogmatyzmem. Słusznie głosząc, że nie ma w nauce twierdzeń nieodwołalnych, uznaje ich istnienie w obrębie własnej teorii: „są granice, których nie można przekroczyć bez przekreślenia swej przynależności do marksizmu”. Dopóki te granice istnieją, marksizm-leninizm mimo wszelkich rewizji nie zmienia swej natury i stanowi zagrożenie dla rozwoju myśli w Polsce. Każdy przyjmie z zadowoleniem fakt, iż liczba dogmatów się zmniejsza, a ich zawartość węższe. Byłoby jednak szkodliwym nieporozumieniem wyciągnąć z opisanych przemian przedczesny wniosek, iż drugi okres scholastyki w polskiej filozofii jest ostatecznie zamknięty.

#### *Filozoficzny rewizjonizm*

Zasadniczą różnicą, która dzieli filozoficznych i ortodoksyjnych rewizjonistów i z której wszystkie inne różnice wynikają, jest odrzucenie przez filozoficznych rewizjonistów dogmatyzmu w każdej jego postaci. Stosują oni regułę: *de omnibus dubitandum*, zalecaną przez Marksa swoim zwolennikom, bez jakichkolwiek ograniczeń. W ich przekonaniu ustalanie zakresu prawd



nietykalnych i wyłączonych z dyskusji jest niezgodne z istotą nauki i postępowaniem wiedzy.

Wszelkie ograniczenie reguły metodycznego wątplenia prowadzi do dogmatyzmu i ostatecznie do użycia, jawnie lub skrycie, przemocy nad myślą. Jeżeli istnieje katalog twierdzeń niewzruszonych, nieodwołalnych w sensie metodologicznym, których waloru nie można krytycznie rozpatrywać, myślenie filozoficzne przekształca się w apologetykę i egzegezę prawd ustalonych na innej drodze aniżeli rozumowanie i doświadczenie. Powtóre, jeżeli istnieje zespół prawd niewzruszonych, w ślad za tym wyłaniają się różne formy pozanaukowego monopolu w nauce. Albowiem nawet prawdy niewzruszone nie spadają z nieba. Ktoś musi je ustanowić, istnieć musi jakaś grupa ludzka uprawniona do ustalania ich zakresu i powołania do tego, by chronić je przed naporem racjonalnego krytycyzmu. Dogmatyzm nie może się ostać bez podpory autorytetu, wspomagającego przez różnorodne ograniczenia i kontrolę nad wolnością myśli. Pod ochroną autorytetu zanika różnica między prawdą a fałszem, mitem i rzeczywistością. Określanie z góry prawd nietykalnych i dyskusji grozi sytuacją, „kiedy słowa 'marksizm' i 'marksistowski' będą używane jako narzędzie szantażu i kiedy środki polemiki naukowej będą zastępowane administracyjnym naciskiem demaskującym słabość teoretyczną strony dyskutującej” (36 a).

W twórczości umysłowej niezbędna jest zasada, iż myśl nie może być skrzępowana czymkolwiek prócz dążenia do prawdy. Uczony winien wszystko na nowo analizować, nie może on mieć litości, jak pisał Kołakowski, dla przedmiotu swoich badań.

„Intelektualiści nie są potrzebni partii komunistycznej po to żeby zachwycać się mądrością jej decyzji, ale tylko po to, żeby jej decyzje były mądre. Są więc potrzebni komunizmowi jako ludzie wolni w myśleniu, a zbędni jako oportuniści... Intelektualiści-komuniści, występując w obronie myślenia niezależnego od nacisku politycznego, występują nie tylko w imię abstrakcyjnej wolności nauki, ale także w imię interesów komunizmu” (*Nowe Drogi* 1956, 9/87, p. 31).

Nieskrępowana swoboda badań, wyboru metody, myśli i słowa stanowi warunek niezbędny do tego, by myśl będąc wolna mogła jednocześnie dążyć do prawdy i była użyteczna dla ruchu rewolucyjnego. Jest to warunek konieczny, by ruch, który zmierza do kompletnej przebudowy wszystkich dziedzin życia miał teorię stale współczesnianą i rewidowaną, przez co jedynie jest on w stanie utrzymać się na pozycjach awangardy przemian społecznych w świecie, żywo reagować na współczesne problemy światopoglądowe i prowadzić skutecznie walkę o prawa świeckiego rozumu. Ograniczanie przedmiotu badań naukowych dla racji politycznych jest szkodliwe; ogłaszanie jakichkolwiek prawd w zakresie stanowiącym przedmiot badań naukowych za

(36-a) L. Kołakowski, *Nowe Drogi* 1956, 9/87, p. 28.

„politycznie słuszne” jest gwałceniem zasad naukowego myślenia, prowadzącym naturalnym biegiem rzeczy do cynizmu; narzucanie kierunków badań przekształca się w żądanie dostarczania argumentów dla poglądów uznanych z góry za prawdziwe, to znaczy stanowiące przedmiot wiary a nie nauki; ustalanie zakresu prawd nietykalnych jest groźne i lekkomyślne w następstwach teoretycznych i praktycznych oraz znosi granicę między nauką i teologią.

„Komuniści-intelektualiści mają obowiązek, ale również prawo ponosić odpowiedzialność za rozwój ideologiczny ruchu rewolucyjnego, nie mają natomiast ani obowiązku, ani prawa, przyjmowania w tym celu jakichkolwiek założeń uznanych z góry za niedostępne kontroli i dyskusji” (*Nowe Drogi* 1956, 9/87, p. 29).

Realizacja tych zasad wymaga rewizji stosunku do całej tradycji marksowskiej, zniekształconej przez kodyfikatorów i zgubionej w sporach o autentyczny „marksizm”, z którym niejedna ortodoksja ma prócz nazwy niewiele wspólnego. Każda ortodoksja jest selekcją opartą na mniej lub bardziej dowolnej zasadzie.

Stanowisko filozoficznego rewizjonizmu w stosunku do tradycji marksowskiej sformułował Kołakowski w eseju *Aktualne i Nieaktualne Pojęcie Marksizmu* (37). Jego zasadnicze wątki zasługują na przypomnienie.

Zagadnienie, o którym mowa, można sprowadzić do pytania: czy istnieją dzisiaj kryteria pozwalające jednoznacznie rozstrzygnąć, co jest autentycznym a co nieautentycznym „marksizmem”. W tym celu należy najpierw wyjaśnić, co to jest „marksizm”. Na skutek swej wieloznaczności „marksizm” jest raczej ideologiczną etykietą i zawołaniem bojowym aniżeli nazwą pewnej postawy myślowej lub zbioru tez filozoficznych.

Termin „marksizm” może oznaczać marksizm instytucjonalny w znaczeniu nadanym temu wyrażeniu przez Ossowskiego (38). Ossowski rozpatrywał instytucjonalny marksizm jako zjawisko społeczne i polityczne oraz dał jego analizę socjologiczną posługując się pojęciami zaczerpniętymi z socjologii religii Durkheima. Kołakowski akceptując socjologiczną analizę Ossowskiego był zainteresowany możliwością innej charakterystyki instytucjonalnego marksizmu, mianowicie przy pomocy opisu jego zawartości przyjmowanej przez wyznawców z poręki uznawego autorytetu.

Fideistycznej treści instytucjonalnego marksizmu nie można jednak konkretnie określić przez wyliczenie prawd uznanych za niewzruszone, gdyż te zmieniają się stosownie do okoliczności czasu i miejsca. Tak na przykład do lutego 1956 roku instytucjonalny marksizm wymagał uznania tezy, iż rewolucja poprzedza i jest warunkiem niezbędnym budowy socjalizmu. Kto wąt-

(37) *Nowa Kultura* 8, 1957, 4/357.

(38) S. Ossowski, *Doktryna marksistowska na tle dzisiejszej epoki, Myśl Współczesna* 1947, 12/19.



pił w tę prawdę, był antymarksistą, reformistą, metafizykiem, krótko — idealistą. Od lutego 1956 roku dawny idealista stał się autentycznym marksistą, a dawny autentyczny marksista spadł do roli antypartyjnego idealisty. Treść instytucjonalnego marksizmu będąc zmienna w czasie, a niezmienna i uniwersalnie obowiązująca w każdym poszczególnym momencie, daje się przeto określić wyłącznie formalnie przez wskazanie miejsca lub urzędu, gdzie należy szukać jego aktualnie obowiązującej zawartości. Marksistą w rozpatrywanym sensie jest człowiek o pewnej postawie umysłowej, a nie o określonych poglądach, dla której charakterystyczna jest gotowość do uznawania instytucjonalnie zatwierdzonych wierzeń.

Ortodoksyjny rewizjonizm ma pewne cechy wspólne z instytucjonalnym marksizmem. Rozróżnienie twórczego i błędnego rewizjonizmu zakłada istnienie odpowiedniego urzędu lub autorytetu, stanowiącego ostateczną instancję i rozjemcę w sporze. Po wtóre, ortodoksyjny rewizjonista wie z pewnością, iż istnieją granice, których przekroczyć nie można bez zrywania z „marksizmem”, ale sam nie jest skłonny podać tych granic, gdyż to należy do funkcji autorytatywnego urzędu.

Termin „marksizm” oznacza również różnorodne próby stosowania aparatury pojęciowej Marksa w analizie zjawisk, jakich Marks nie rozpatrywał. W tym sensie marksistą był Plechanow, Lenin, Trocki, Bucharin, Lukacs, Bloch i wielu innych. W odniesieniu do tak określonej grupy marksistów toczą się niekończące się spory, czy są oni autentycznymi marksistami, czy też ta nazwa im nie przysługuje. Łączy się z tym inne zagadnienie, mianowicie czy dzielenie całej myślącej ludzkości na marksistowską i nie-marksistowską zachowało określony sens, czy też należy je odłożyć do muzeum starożytności.

W opinii Kołakowskiego wspomniane spory są jałowe i werbalne. Weźmy jako przykład socjologa i ekonomistę, który stosując teorię klas Marksa w analizie współczesnych społeczeństw dochodzi do wniosku, iż oparte na tej teorii przewidywania o polaryzacji proletariatu i burżuazji lub o postępującej pauperyzacji klasy robotniczej nie znajdują potwierdzenia w dzisiejszym świecie. O tym socjologu i ekonomistę można powiedzieć, że pod pewnym względem odstępuje od Marksa, ale pod innym pozostaje mu wierny. Albowiem wyniki jego badań są wprawdzie niezgodne z nauką Marksa, natomiast jego konkluzja, odrzucenie hipotezy nie potwierdzonej przez fakty, jest zgodna z regułą przez Marksa uznaną i praktykowaną.

Przykładu jałowości i werbalizmu sporu o podział myślącej ludzkości na marksistowską i nie-marksistowską dostarcza nadto następująca okoliczność. Od śmierci Marksa ekonomika, socjologia i historiografia dokonały wielkich postępów. Powstały całe nowe dziedziny badań, odkryto wiele nowych faktów, sformułowano wiele nowych teorii i pojęć, zastosowano metody niezna-

ne Marksowi. Czy teoria typów idealnych Maxa Webera jest idealistyczna, to znaczy nie-marksistowska, jak twierdzi Schaff, czy też tylko nieudaną próbą konstrukcji modeli w naukach społecznych, niepozbanowaną pewnej metodologicznej wartości, jak sądzi Lange? Czy w świetle nowych odkryć fizyki należy odrzucić filozoficzną definicję materii podaną przez Lenina, jak tego domaga się Helena Eilstein, czy też strzec jej jak zrenicy oka, stosownie do zalecenia Nowińskiego? Podobne pytania mnożyć można w nieskończoność. Na jakiej racjonalnej podstawie można doczepić etykietkę „marksistowski” lub „nie-marksistowski” do takich teorii jak funkcjonalizm w społecznej antropologii i socjologii, takich metod jak metoda wywiadu lub analiza nakładów i wyników produkcji (*input-output analysis*) w socjologii i ekonomice, takich nowych dziedzin badań jak psychoanaliza lub logiczna analiza języka?

Naturalnym biegiem rzeczy podział ludzi nauki na marksistów i nie-marksistów stracił sens i doniosłość. Słusznie można twierdzić, iż istnieje pewna suma poglądów swoistych dla Marksa. Do nich należy analizowanie zjawisk społecznych i historycznych w oparciu o zasadnicze podziały społeczeństwa na klasy; świadomość ograniczeń i deformacji, występujących w umysłach badaczy, wyznaczonych przez specyficzne warunki społeczne, w jakich oni żyją; porzucenie stanowiska moralizatora w ocenie zjawisk dziejowych; przekonanie, że natura ludzka nie jest wieczna i niezmienna, a produktem społecznym, kształtowany przez społeczne i historyczne doświadczenia; przypisywanie naukom społecznym funkcji poznawczej i praktycznej, użytkowanie wiedzy na rzecz postępu społecznego, rozumianego jako dążenie do egalitaryzmu, do wyzwolenia człowieka od ciężkiej pracy i wyzysku. Ale wystarczy te ogólne swoiste dla Marksa przeświadczenia sformułować, by się przekonać, iż wiele z nich weszło „do krwiobiegu życia naukowego”, tracąc w ten sposób swoistość, jakie kiedyś posiadały. Jeśli chodzi o twierdzenia, hipotezy i metody specyficznie związane z nazwiskiem Marksa, niektóre z nich nie oparły się nielitościwej próbie sprawdzalności, inne zostały bardziej precyzyjnie sformułowane i również włączone do powszechnie uznanego zasobu wiedzy rzeczowej i metodologicznej. Wszystko to świadczy jedynie o postępie nauki. Nie należy opłakiwać tego, iż w naukach społecznych, historycznych i humanistycznych marksizm jako nazwa pewnego kierunku wywodzącego się od Marksa kurczy się i zanika. Nazwisko Newtona, Harveya lub Gaussa nie ulega deprecjacji, chociaż nikt nie mówi o „newtonizmie” w fizyce, „harveyizm” w fizjologii i „gaussizm” w matematyce. „Jest to największe zwycięstwo uczonego, kiedy jego zdobycze przestają określać odrębny kierunek myślenia... stają się nieodłączną częścią tradycji naukowej i ztracają istnienie odrębne”.

Nieco odmiennie scharakteryzować należy miejsce Marksa w filozofii. Podobnie jak F. Waismann w eseju *How I See*



*Philosophy* (39), Kołakowski nie upatruje wielkości filozoficznego systemu w jego określonych tezach a w widzeniu świata, jakie inspiruje. Marksizm jako wizja świata zachowuje swój nieprzemijający walor na równi z platonizmem lub kartezjanizmem. Nie jest on wówczas systemem *sensu stricto*, który nadaje się do całkowitej afirmacji lub totalnej negacji, ale stanowi „żywotną inspirację filozoficzną w najogólniejszym sposobie widzenia świata, impuls stale czynny w społecznej inteligencji i społecznej pamięci ludzkości”. Marksowi zawdzięczamy wówczas odwołanie perspektywy, z której losy człowieka oglądamy przez pryzmat historii; śledzimy je w zależności od powodzeń w walce z przyrodą i w procesie humanizacji przyrody przez pracę; rozpatrujemy myślenie jako wytwór praktycznej działalności i demaskujemy mitologię sprowadzając je do ich właściwych, społecznych źródeł; patrzymy na życie społeczne jako nieustający konflikt; widzimy wreszcie w tych konfliktach pewien sens i kierunek, gdyż mimo niezliczonych osobistych cierpień i zawodów, niespełnionych jednostkowych dążeń i pragnień, zwycięstw i porażek, układają się one razem w obraz ewolucji „co do której wolno nam wierzyć, że w wielkiej skali dziejowej nie jest degradacją, ale postępem”.

#### Porównanie dwóch rewizjonizmów

Szczegółowa konfrontacja rewizjonizmu ortodoksyjnego i filozoficznego była niezbędna dla naocznego okazania ich głębokich różnic. Rewizjonizm ortodoksyjny wyrasta z zainteresowań politycznych. Uwzględniając siłę opinii akceptowanych w kołach znawców przedmiotu, stan umysłów i sytuację społeczną podejmuje on rewizję ortodoksji dla uczynienia z niej skutecznego narzędzia praktycznego działania.

Rewizjonizm filozoficzny jest postawą filozoficzną. Przejawia się ona w gotowości do weryfikacji każdej tezy i poglądu, jeśli tylko istnieją racje do podjęcia tej weryfikacji. Sprawdzanie jest postępowaniem logicznym. Jego wyniki nie podlegają sankcji lub ocenie z punktu widzenia praktycznego, politycznie dodatnich lub ujemnych, rzekomych lub rzeczywistych następstw, jakie weryfikacja i jej ogłoszenie może pociągnąć. Filozoficzny rewizjonizm wyrasta z postawy, która odrzuca jako nieuzasadnione dzielenie wszystkich poglądów na metodologicznie odwołalne i nieodwołalne, gdyż ani fakty ani rozumowanie nie uzasadniają przyjęcia takiej zasady podziału. Wszystkie poglądy są tymczasowe i odwołalne. Ani wiara w prawdziwość jakichś tez, ani subiektywna potrzeba tej wiary, ze względu na skuteczność działania, nie stanowią kryterium prawdy.

(39) *Contemporary British Philosophy, Personal Statements*, edited by H. D. Lewis, London, George Allen and Unwin, 1956, pp 482-483.

Rewizjonizm ortodoksyjny zawiera składniki dogmatyzmu, instrumentalizmu i irracjonalizmu, rewizjonizm filozoficzny jest anty-dogmatyczny i anty-irracjonalistyczny. Z tych względów drugi, a nie pierwszy, rewizjonizm zbliża się do postawy określanej mianem naukowej. Cechą charakterystyczną dla postawy naukowej jest traktowanie każdej prawdy odkrytej jako tymczasowej, najbardziej prawdopodobnej ze względu na wiedzę w danej chwili posiadaną. „Jedną z największych korzyści, jakimi nauka obdarza tych, którzy rozumieją jej ducha jest to, iż pozwala im żyć bez zwodniczej podpory subiektywnej pewności” (40).

Konflikt rewizjonistów ortodoksyjnych i filozoficznych jest konfliktem między ludźmi, z których pierwsi pragną skutecznie działać, stosownie do własnego wyobrażenia skuteczności, a drudzy chcą myśleć sprawnie. Kto myśli sprawnie, zazwyczaj działa lub pomaga działać innym skutecznie; kto podporządkowuje sprawność myślenia skuteczności, zazwyczaj nie myśli sprawnie i nie działa skutecznie. Tę maksymę, opartą na doświadczeniach indywidualnych i zbiorowych, uznaje w pewnym stopniu również ortodoksyjny rewizjonista. Do przyczyn jakie złożyły się na „błędy i wypaczenia” minionego okresu zalicza on bowiem „wąsko pojęty praktycyzm”. Ale ortodoksyjny rewizjonista nie jest w stanie otrząsnąć się całkowicie od dawnych wypaczeń. Stawiając wartości ideologiczne na szczycie hierarchii wartości, nadal podtrzymuje teorie uzasadniające z góry powzięte decyzje. Ponadto, posługując się tymi teoriami dla poparcia różnorodnych postanowień i konkretnych posunięć, zmuszony jest cenić je tym bardziej, im bardziej są one wieloznaczne i nieokreślone. Wreszcie redukując liczbę niewzruszonych prawd i „słusznych stanowisk”, nigdy się ich dotąd całkowicie i bezwarunkowo nie wyrzekł. Godzi się bowiem z poglądem głoszonym przez tzw. najwyższe czynniki w państwie, iż „nie ma twórczego marksizmu przeciw ideowym zasadom polityki Partii” (41).

#### Ostatnia faza w rozwoju filozoficznego rewizjonizmu

Uprzednio była mowa o tym, że charakterystyczną cechą filozoficznego rewizjonizmu jest jego orientacja moralna. Dla tych rewizjonistów, którzy byli przyrodnikami, humanistami określonej specjalności, socjologami, filozofami zainteresowanymi problematyką podstaw i metod nauk ścisłych, odnalezienie zasady moralnej autonomii i odpowiedzialności jednostki stanowiło zakończenie ich działalności rewizjonistycznej. Mogli oni bowiem wówczas iść śladem Kartezjusza i podjąć na nowo swą właściwą pracę. Kartezjusz wszedł na drogę metodycznego wątpienia

(40) B. Russell, *The Impact of Science on Society*, London, Allen and Unwin, 1952, p. 111.

(41) *Polityka* 2, 1958, 50/94, p. 3.



jako metody odkrywania prawdy zapewniwszy sobie oparcie, we wszelkich sprawach praktycznej decyzji, w zasadach moralnych, których słuszność i niezbędność w pełni aprobował. Osiągnąwszy niezależność myślenia od presji politycznej, wspomniana grupa filozoficznych rewizjonistów włączyła się bez reszty w szeregi pracowników nauki swych specjalności. Ich rewizjonizm polegał na emancypacji od ograniczeń, jakie uprzednio akceptowali; po odrzuceniu tych ograniczeń nie pozostało nic co w sensie metodologicznym różni ich od niemarksistowskich specjalistów.

Odmienne wyglądają sprawy tych, którzy zawahali się na drodze filozoficznego rewizjonizmu i powrócili pod skrzydła ortodoksji. Rewizjonistyczna przeszłość czyni z nich osobowości ambiwaletne, umysły rozszczepione między siłą atrakcyjną pracy intelektualnej opartej na nieskrępowanej dyskursywności i pełnej sprawdzalności wszystkich założeń, a postawą ortodoksji wymagającą obrony określonych pozycji, zajmowania określonych stanowisk i odrzucania innych w imię zachowania „wewnętrznej konsekwencji systemu myśli marksistowskiej”. Problem filozoficznych rewizjonistów ponownie nawróconych na ortodoksję jest interesujący dla psychologów i socjologów. Z filozoficznego punktu widzenia nie ma o nich niczego szczególnego do powiedzenia.

Wreszcie pozostają ci filozoficzni rewizjoniści, których przedmiotem zainteresowania nie była określona dyscyplina przyrodnicza, humanistyczna lub społeczna, ani też filozofia naukowa, a filozofia humanistyczna. Do tej grupy należy nade wszystko Leszek Kołakowski. W jakim kierunku potoczyła się dalsza ewolucja ich poglądów? W jakim stosunku te poglądy pozostają do ich stwierdzeń w dziedzinie filozofii moralnej i filozoficznej antropologii?

Przez filozofię humanistyczną należy rozumieć anty-scjencyjny kierunek w filozofii, który podkreślając swoistość zadań i metod nauk humanistycznych przeciwstawia się przenoszeniu do filozofii metod właściwych dla nauk ścisłych. W filozofii humanistycznej wyróżniają się w szczególności myśliciele, którzy są znawcami historii filozofii i z wiedzy w tej dziedzinie czynią przedmiot swych metateoretycznych badań. W ramach tych zainteresowań zajmują się oni różnymi rodzajami lub rodzinami światopoglądów, postaw wobec świata i życia, starając się wykryć ich właściwości strukturalne i typologiczne oraz ich funkcję społeczną i historyczną. W ten sposób, jak sądzą, można osiągnąć punkt obserwacyjny, z którego najlepiej daje się śledzić filozoficzną historię myśli ludzkiej, różnorodne próby udzielenia odpowiedzi na pytania dotyczące sensu życia człowieka, jego miejsca w świecie naturalnym oraz stosunku jednostki do zbiorowości. Z tej przyczyny filozofię humanistyczną nazywa się również filozofią życia.

Kołakowski reprezentuje ten kierunek w filozofii i przypy-

suje jej współcześnie wielką doniosłość ze względu na rozpręstrzenie się ideologii technokratycznych, które obiecują rozwiązać swoiście społeczne konflikty za pomocą czysto technicznych środków. Jednym z głównych zadań filozofii humanistycznej jest stworzenie „wartości więziotwórczych” zdolnych przeciwdziałać atomizującym tendencjom jakie się szerzą w nowoczesnych społeczeństwach i potęgują dzięki wzrastaniu wpływów technokracji (42).

W przekonaniu Kołakowskiego filozofia jest nauką humanistyczną. „Składniki świata, które percepcja filozoficzna dostrzega”, pisał on przed kilku laty, „nie dlatego ją przyciągają, żeby wiedza o nich była istotna w doskonaleniu ludzkich umiejętności panowania nad przyrodą, ale dlatego, że wiedza o nich wpływa na kształtowanie stosunków między ludźmi jako istotami społecznymi... Cechą swoistą poznawczej postawy filozoficznej jest humanizacja każdego przedmiotu poznania — okoliczność, że sens właściwy każdej wiadomości o świecie odkryty bywa w filozofii wtedy dopiero, kiedy odkryty jest jej sens praktyczny i ludzki”. Sens, jaki Kołakowski ma na myśli, to wartość i waga danego faktu, teorii lub światopoglądu w przeobrażaniu społecznych i moralnych postaw ludzi. Czyni to z filozofii naukę humanistyczną, czyli „wartościującą”; „antropocentryczną”, czyli „nauką o człowieku” Hume’a; praktyczną, czyli doniosłą dla życia moralnego człowieka (43).

W związku z tą koncepcją filozofii Kołakowski nigdy nie waha się szukać odpowiedzi na pytania, które nie mają sprawdzalnych rozwiązań, a domagają się natychmiastowego rozstrzygnięcia ze względu na żywotne społeczne zainteresowanie nimi i ich wpływ na postępowanie ludzi. Z tej także szczególnie przyczyną odrzuca on racjonalizm pozytywistyczny, któremu hołduje znakomita większość jego rówieśników pracujących czynnie w filozofii. Albowiem pojęcia sprawdzalności i sensowności, jakimi posługuje się logiczny empiryzm, nie pokrywają się ze znaczeniem „sensowności” i „sprawdzalności” przyjętymi w życiu codziennym i praktycznej ludzkiej działalności. Filozofia humanistyczna odrzuca „absolut w jakiegokolwiek postaci”, a więc odrzucić także musi „absolut” logicznego empiryzmu ograniczający filozofię do badań nad nauką i do systematyzacji logicznego całokształtu wiedzy (44).

Kołakowski wychodzi z założenia, które znaleźć można w filozofii Marksa, iż w świecie naturalnym opisywanym przez nauki przyrodnicze człowiek zajmuje pozycję szczególną, gdyż jest on zdolny nie tylko do adaptacji, ale również do twórczości. Ta zdolność twórcza sprawia, iż człowiek, cząstka świata natury, usamodzielnia się od przyrody i przeciwstawia światu natural-

(42) *Kultura i Społeczeństwo* 4, 1960, nr 1-2, pp. 77-78.

(43) L. Kołakowski, *Światopogląd i Życie Codzienne*, pp. 23-25.

(44) L. Kołakowski, *Racjonalizm jako Ideologia*, *Argumenty* 3, 1959, 19/48.



nemu. Uwalniając się od zależności od przyrody człowiek zyskuje swobodną świadomość, że „czymkolwiek jest i czymkolwiek się stanie, zawdzięcza sobie”, a to co zawdzięcza zdobywa dzięki swemu rozumowi, który jest jego głównym narzędziem orientacji w świecie. Tę świadomość osiąga człowiek dopiero w wieku historycznej dojrzałości. Z niej wyrasta ideologia racjonalizmu, pojęciowy odpowiednik sytuacji, w której człowiek uświadamia sobie swą wyłączną odpowiedzialność za samego siebie z wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami.

Człowiek osiąga dojrzałość historyczną przez swe uwikłanie w życie społeczne, przez rozwój sztuk i nauki. W nich człowiek dąży do osiągnięcia swej pełnej i wszechstronnej istoty. Chociaż człowiek wyłonił się z natury, cel swych dążeń może osiągnąć jedynie w opozycji do natury. Albowiem człowiek rządzić się chce w swych stosunkach społecznych innymi prawami niż prawami naturalnymi fizyki i biologii. *Social progress means a checking of the cosmic process at every step*, głosił kiedyś T.H. Huxley w słynnym odczycie *Evolution and Ethics* i Kołakowski podąża w jego ślady. Twórczość pozwala odkrywać człowiekowi, iż zdany jest wyłącznie na samego siebie, a z tej samowiedzy wyrasta powinność moralna i poczucie osobistej odpowiedzialności za własne losy. Dzieje aspiracji człowieka, dzieje jego wysiłków osiągnięcia dojrzałości moralnej i intelektualnej, znajdują konkretny wyraz i odbicie w następujących po sobie poglądach na świat i życie.

Zasada moralnej autonomii i moralnej odpowiedzialności jednostki uzupełnia i jest uzupełniana przez zasadę intelektualnej autonomii i intelektualnej odpowiedzialności. Są one różnymi aspektami jednostki działającej w świecie naturalnych konieczności, społecznych determinacji i powinności. Sytuacje, przed którymi jednostka jest postawiona lub które stwarza przeciwstawiając się przyrodzie, wymagają mobilizacji jej intelektualnych i moralnych zasobów. Staje się to jasne, jeżeli się zważy, że większość poglądów na świat i życie to „zbiór narzędzi do pozbywania się odpowiedzialności własnej, sposoby nieograniczonego przedłużania dzieciństwa” (45). Są to środki zagłuszania dojrzałej świadomości, która z trudem dochodzi do głosu, przez oddanie osobistej odpowiedzialności i powinności w ręce jakiejś kosmicznej zasady lub ludzkiej instancji, przez podporządkowanie własnych decyzji opatrności lub objawieniu, historycznej konieczności lub nieuniknionemu postępowi, ideologii lub autorytetowi, biologicznej naturze ludzkiej lub przyrodniczemu fatum. Każda z tych kosmicznych lub ludzkich instancji znajdująca odzwierciedlenie w poglądach na świat i życie może ulec przekształceniu w dogmat „intelektualnie hamujący a moralnie zniewalający”. Każda z nich stwarza pokusę znalezienia w niej

(45) L. Kołakowski, *Racjonalizm jako Ideologia*, *Argumenty* 3, 1959, 20/49, p. 8.

trwałego schronienia przed naszą odpowiedzialnością za siebie i wobec siebie. Racjonalizm jako ideologia jest pewną postawą, która czyni nas gotowymi do odrzucenia owych pokus, znieczulających umysł na niewiadome możliwości świata, oraz do akceptacji samodzielności we wszelkich sprawach.

„Racjonalizm żąda traktowania każdego uznanego punktu widzenia jako sytuacji prowizorycznej, żąda tolerancji dla możliwości jeszcze niezbadanych, żąda świadomości, że jest upokorzeniem działać tak, jak gdyby cokolwiek — Bóg, doktryna czy fatum — mogło przejąć na siebie nasz trud, skoro nigdy nie mogą objawić nam, że są do tego zdolne” (*Argumenty* 3, 1959, 20/49, p. 8).

Każda prawda absolutna jest reliktem ludzkiej świadomości z okresu historycznego dzieciństwa, próbą wyrzeczenia się samodzielności, która jest losem człowieka. W przeciwieństwie do tego racjonalizm zaostrza wrażliwość umysłu na to, co niedokonane, niewiadome i co ukrywa się w przyszłości, oraz przyjmuje związane z tym ryzyko błędu, wszelkiego błędu prócz tego jakiego popełniamy podejmując ryzyko dogmatu. Racjonalizm nie jest wyznaniem rozpacz i samotności, ale postawą pełną nadziei, filozofią „niekompletnego świata” i „trwałego niezakończenia człowieka”. Albowiem niemożliwość wyjaśnienia obecności i działania człowieka w świecie przez odwołanie się do racji transcendentnych i przyczyn poza nim samym, pozwala oglądać przyszłość jako możliwość niewiadomą i niewyznaczoną. Ideologia racjonalizmu jest „wiedzą rozsądną” w pełni wyemancypowanego umysłu.

Po tym opisie drogi Kołakowskiego od filozoficznego rewizjonizmu do filozofii humanistycznej możemy się z nim rozstać. Należy go pożegnać z uczuciem respektu, wdzięczności i sympatii za wszystko, czego dokonał i czego stał się symbolem. Z tezy o logicznej nieuniknioności rewizjonizmu nie można wyprowadzić konkluzji o jego faktycznej nieuniknioności, iż zawsze i wtedy jeżeli pojawia się ortodoksja wiadomego typu, to także nieodmiennie pojawia się za nią filozoficzny rewizjonizm. W świecie empirii jest to tylko prawdopodobieństwo, do którego ktoś przyłożyć musi ręki. Na spełnienie się tego prawdopodobieństwa złożyło się wiele czynników, ale Kołakowski *magna pars fuit*.

Ale pożegnanie rewizjonisty jest jednocześnie powitaniem samodzielnie myślącego filozofa, który w wyzwoleniu umysłu od wszelkiego dogmatyzmu i od wszelkich zależności ograniczających jego autonomię widzi cel i sens filozofowania. Rozszerzyło się pole działalności Kołakowskiego. Z rewizjonisty w stosunku do określonej ortodoksji stojącej na drodze do historycznej dojrzałości rozumu, stał się radykalnym rewizjonistą, burzycielem absolutnych doktryn znieczulających umysł na wielość rzeczywistości.



*Postscriptum zamiast polemiki*

Ponieważ zgodzić się trzeba z Kołakowskim, iż przyszłość jest możliwością nie tyle pod każdym co pod pewnymi względami niewiadomą, zdarzyć się może, że nadarzy się kiedyś okazja skrzyżowania z nim szpady. Na tym miejscu trzeba podkreślić tylko jeden punkt istotny. Filozofia wyrasta z różnych potrzeb, a szukanie sensu praktycznego i ludzkiego wiedzy o świecie jest jedną z nich tylko. Inną potrzebą jest ciekawość, czym jest świat, którego sens i wartość poszukuje filozofia humanistyczna. Ta ciekawość kosmologiczna genetycznie i logicznie wyprzedza dążenie do zrozumienia spraw ludzkich, jakie ożywia humanistę. Ciekawość kosmologiczna dostarcza zwykłej i solidnej kanwy, na której filozof życia wyszywa swoje arabeski. Nikt z obozu pozytywistycznych „absolutystów” nigdy nie przeczył temu, iż arabeski humanisty mają walor emocjonalny, apelują do uczuć i wyobraźni lub wpływają na moralne postawy istot ludzkich. Jeśli się twierdzi, iż nie mają empirycznego poznawczego sensu, nie znaczy to, iż są pozbawione wszelkiego sensu. Nie jest rzeczą wykluczoną, iż humanista i zwolennik metod nauk ścisłych zmiernie w tym samym kierunku wychodząc z różnych początkowych pozycji. Nie wiedząc o tym budują most nad przepaścią dzielącą świat rzeczy od świata spraw ludzkich. Z pewnością potwierdzają oni postulat racjonalizmu. Albowiem tylko łącznie a nigdy z osobna, zachowują umysł otwarty na „pluralizm możliwości świata”. Jeśli zaś wspomnianego mostu nad przepaścią zbudować się nie da, a widoki na to w niedalekiej przyszłości nie są zachęcające; jeśli ponadto nie możemy zdawać się na nic innego prócz własnego rozumu i wynalazczości, wykorzystajmy całą skalę ich różnorodnych zdolności. Wszyscy idziemy za światłem, jakie każdemu z nas jest dane, głosimy prawdę tak, jak ją widzimy.

Świat racjonalisty jest otwarty na różnorodne niewiadome możliwości. Nie wykluczajmy przeto z niego żadnej prócz jednej — dogmatycznie wyznaczonej przyszłości, gdyż ta unicestwiająca pozostałe czyni świat ortodoksyjnie zamkniętym. Pograża nas z powrotem, mówiąc słowami Kołakowskiego, w niesamodzielną umysłową.

Zbigniew JORDAN

## Próby zbliżenia

(FAKTY I TEKSTY)

### *Kairos*

— *der glückhafte Augenblick* — szczęśna chwila, czas błogosławiony — tak tłumaczy to greckie słowo redakcja nowopowstałego w Salzburgu pod tą nazwą kwartalnika (1) poświęconego religioznawstwu i teologii.

„Kairos” jest czasopismem katolickim, opatrzonym *imprimatur* arcybiskupstwa salzburskiego, czasopismem, które zakłada istnienie Boga osobowego w Trójcy jedyne jako stwórcy, a człowieka jako stworzenie i zamierza wejść w porozumienie nie tylko z kościołami zreformowanymi i prawosławnymi, ale też z judaizmem i islamem. Celem teologów i religioznawców skupionych wokół tego pisma ma być pogłębienie wiedzy religijnej, próba wzajemnego zbliżenia wyznawców Boga Jedyne, wyjaśnienie istotnych zbieżności i różnic poszczególnych doktryn religijnych. W zespole współpracowników pisma widnieją nazwiska uczonych z całego świata: księży jezuitów, Ojców dominikanów i benedyktynów, historyków, apologetów, biblistów, świeckich i duchownych. Każdy zeszyt objętości 64 stron dopełnia szereg wiadomości o zdarzeniach dotyczących Kościoła katolickiego, sprawozdań z konferencji i zjazdów na tematy religijne, oraz przeglądem wydawnictw religioznawczych.

1-szy zeszyt roku bieżącego poświęcony jest judaizmowi. Wstępne słowo to rozwinięcie biblijnego wersetu:

„Słuchaj, Izraelu: Pan Bóg nasz, Pan jeden jest”. (5 Mojż. VI, 4) — wersetu stanowiącego istotę wiary Żydostwa.

„Apokaliptyczne wydarzenia drugiej wojny światowej — czytamy w tym wstępie — i potworne (*grauenhaft*) prześladowanie Żydów spełnione w zasięgu władzy Hitlera, najgroźniejszy ze „znaków czasu tego” wyda, być może, spodziewaną

(1) Otto Müller Verlag.



chwile przeznaczenia, w której chrześcijanin i Żyd staną wobec siebie twarzą w twarz i nawiążą dialog”.

Kurt Schubert, profesor judaistyki na Uniwersytecie wiedeńskim, rozważa istotę żydowskiej gnozy. Teolog Emil Karl Pohl omawia szczególnie charakter żydowskiej mistyki. Mathias Vereo, redaktor pisma, wyklada przeciwieństwa obu Testamentów i rozwija możliwości zbliżenia chrześcijańsko-żydowskiego. Stanisław Vincenz w szkicu zatytułowanym *Begegnung mit Chassidim*, kreśli swoje zaznajomienie się z chasydyzmem sięgające lat dziecinnych na Huculszczyźnie, oraz wspomnienia zachowane wśród ludności tamtejszej o twórcy tej sekty Bal Szem Towie. W żywych obrazach i na przykładach maluje St. Vincenz doktrynę i obyczaje, a także stosunek do Boga i świata tej wszelkiemu życiu błogosławiącej, zbliżonej do Franciszkanizmu sekty mojżeszowej. Prawie jednocześnie pismo żydowsko-francuskie *Evidences* wydało w 200 rocznicę jego zgonu studium o tymże samym mędrцу, autentycznym, choć owianym legendą mistyku i reformatorze judaizmu, studium prof. Gershom Sholema, tłumaczone z hebrajskiego czasopisma „Molad”.

Dopełniające ten zeszyt „Kairos” omówienia, podają wiadomość o trójwymianowym zjeździe w opactwie benedyktyńskim w Niederaltaich (Niemcy Zach.) we wrześniu ub.r., jako o pierwszej chrześcijańsko-żydowskiej teologicznej wymianie myśli, w której wzięło udział około trzydziestu uczonych. Dalsze sprawozdania dotyczą obrad Towarzystwa chrześcijańsko-żydowskiej współpracy w katolickiej Bawarii, w opactwie Schäftlern, oraz w klasztorze Andechs; w końcu mamy omówienia wydawnictw dotyczących judaizmu i historii Żydów. Pośród tytułów dalszych rozpraw zapowiedzianych przez „Kairos” mamy m.in. studium o udziale Indii w powszechnej metafizyce, zestawienie teologii chrześcijańskiej z muzułmańską, pracę pt. „Słowo Boże a Królestwo Egipskie” i in.

#### *Evidences i Ankieta „Kultury”*

Z czasopisma „Kairos”, jak również z interesującej ankiety ogłoszonej w *Evidences* (2) na temat nauki religii chrześcijańskiej w odniesieniu do Żydów dowiadujemy się na ile przestępstwa hitlerowskie poruszyły sumienia, sięgając aż do skamieniałych tradycji i niewzruszonym konserwatyzmem obwarowanej twierdzy Watykanu.

W ankiecie *Kultury* na temat antysemityzmu polskiego, ogłoszonej w 1956 r. a której rezultaty podano w N-rach 111/112 1957 r., dwa głosy podkreśliły odpowiedzialność katolików, w pierwszym rządzie duchowieństwa katolickiego, za szerzenie i odradzanie się antysemityzmu w Polsce. Wspomniałam też wtedy modlitwę wielkopiątkową jedyną w całorocznej liturgii ka-

(2) N-ry 86 do 90.

tolickiej modlitwę za Żydów, w której dwukrotnie użyty był przymiotnik *PERFIDUS* (*Oremus pro perfidis Judeis...* oraz: *Omnipotens Deus qui Judaicam perfidiam a tuo misericordia non repellis...*) modlitwa po której celebrujący przemilcza wezwanie powtarzane po wszystkich poprzednich inwokacjach. *Oremus... Flectamus genua... Levate...* Formuła i tradycja krzywdząca Żydów i głęboko raziąca sumienie chrześcijanina. Z bardzo dokładnego omówienia tej sprawy przez Ojca Paula Demanna, teologa, specjalisty od katechezy katolickiej, reorganizatora nauki religii we Francji, kierownika „Cahiers Sioniens” oraz inicjatora w 1952 r. ankiety na temat *La Catéchèse Chrétienne et le Peuple de la Bible* (3) — dowiadujemy się, że formuła modlitwy za Żydów przekazała się bez zmian w liturgii katolickiej od VIII wieku, a w IX skreślono przyklęknięcie i cichą modlitwę wiernych, obowiązujące po każdej z poprzednich intencji. Ojciec Demann nie tai, że sama formuła inwokacji jak i pozbawienie jej wezwania wiernych do modlitwy (*Oremus* i dalej) miały charakter dyskryminacyjny w stosunku do Żydów, a trwając tyle wieków wpłynęły na tradycyjne, z Kościoła płynące ustosunkowanie się narodów chrześcijańskich do narodu żydowskiego, ze względu zaś na wyjątkową powagę liturgii Wielkopiątkowej zaważyło również na duchowieństwie.

#### *Okólnik papieski*

Papież Jan XXIII okólnikiem pod datą 21.3.1959 r. odmienił wreszcie Wielkopiątkową modlitwę za Żydów, usuwając z niej PO XII WIEKACH słowa *PERFIDIS* I *PERFIDIAM* (wyłożone po francusku *perfidie* i *perfidie*, a po polsku jako wiarołomnych Żydów i wiarołomstwo żydowskie) i naprawił tym odwieczną niesprawiedliwość wyrządzoną Izraelowi, spełniając życzenie bardzo wielu chrześcijan.

Okólnik watykański nie obejmie oczywiście od razu całości Kościoła katolickiego, ani nie odmieni z roku na rok zaskorupiałej urazy do Żydów i Żydów do „gojów”. Reforma nauki katechizmowej, zapoczątkowana w ostatnich latach we Francji, a rozszerzona na resztę narodów chrześcijańskich, proces długi i mozolny, powinna przy poparciu wszystkich ludzi dobrej woli uzdrowić najprzód pojęcia dzieci, u progu ich uświadomienia religijnego i przebudzić następnie sumienie wszystkich chrześcijan.

#### *Marienschwesterschaft*

O jednej ze współczesnych prób religijnego zadośćuczynienia zbrodni popełnionych na Żydach daje relację „Kairos” w

(3) *Evidences* Nr 78. 1959 r.



n-rze poświęconym judaizmowi. Chodzi o żeński, protestancki klasztor w Darmstadt, gdzie wszystkie siostry noszą imię Maria i są związane ślubami zakonnymi („evangelische, ökumenische Marienschwesterschaft”). Celem zgromadzenia jest ekspiacja drogą modlitwy i pokuty za przewinienia narodu niemieckiego wobec Żydów. Każdego piątkowego wieczoru Siostry zapalają świeczniki szabasowe, zagaszone w tyłu tysiącach świątyń, domów i chat żydowskich i odmawiają modlitwę: Panie, niechaj nastąpi Szabat dla Izraela, Szabat dla świata i dla ludów, Szabat Dnia Ostatecznego, kiedy Ty Boże staniesz się wszystkim we wszystkim...”

O tymże protestanckim, żeńskim klasztorze, którego członkinie noszą imię Maria i są związane ślubami zakonnymi wspomina ks. Biskup Kominek w „Tygodniku Powszechnym” (4), nie wymieniając jednak głównego celu zgromadzenia: ekspiacji za wymordowanie Żydów.

#### *Proces Eichmana i List Pastorski Biskupów Niemieckich*

Byli, istotnie byli Niemcy co nie wiedzieli całej prawdy, bo jej wiedzieć nie chcieli, byli nawet Żydzi, którzy do ostatniej chwili, nie chcieli, nie mogli uwierzyć (ale kto z nas kiedy indziej chciał wiedzieć wszystko? Kto nie umywał i nie umywał rąk po Piłatowemu?) Dziś już dochodzi do głosu w Niemczech Związkowych nowe pokolenie, które do żadnej winy, ani zadośćuczynienia osobiście się nie poczuwa; proces Eichmanna postawił jednak nagą prawdę przed oczy całego świata, a więc i przed oczy Niemców. Dziesiątki czy setki świadków ją objawiło, rozgłosiło, nie pomijając żadnego szczegółu. Sześć milionów pomordowanych przemawiało ich ustami. Niemcy słuchali, słyszeli. I oto proces Eichmanna sprowokował Episkopat Niemiec Zachodnich, który obradował br. w Bühl, od 29 do 31 maja, do wydania Listu Pastorskiego i zajęcia pozycji wobec pełnego obrazu winy. W 20 lat po eksterminacji Żydów i zdeptaniu Polski Biskupi Niemieccy wezwali Niemców do pokuty i zadośćuczynienia za przestępstwa spełnione nie tylko na Żydach, ale i na innych narodach.

„Konieczne jest — czytamy w tym orędziu — materialne zadośćuczynienie, ale ono samo nie wystarczy. Dlatego wzywamy wiernych aby najprzód błagali Boga o przebaczenie przestępstw popełnionych przez ludzi z naszego narodu, a następnie szukali dróg ekspiacji i pojednania z ofiarami”. W sprawie przewinień ciążyących na narodzie niemieckim zabierali już uprzednio głos niektórzy biskupi, ale obecny List Pastorski jest pierwszym zbiorowym wystąpieniem episkopatu Związkowej Republiki i surowym ostrzeżeniem przed nowymi próbami prze-

(4) *Tyg. Powsz.* Nr 662. „Postawa Katolików wobec Braci odłączonych”.

kreślenia praw Boskich. Biskupi zwracają się w tym liście do tych co kierują opinią publiczną z usilnym naleganiem, by pamiętali o ludziach ofiarnych, kobietach i mężczyznach, którzy kosztem nieraz własnego życia nieśli pomoc prześladowanym, cierpiąc i umierając razem z nimi w tym „najciemniejszym okresie historii Niemiec”. Te przykłady, piszą biskupi, nie powinny zaginać w pamięci narodu, te przykłady powinny być stawiane przed oczy młodzieży.

Orędzie biskupów niemieckich zakończone jest modlitwą za pomordowanych Żydów i za inne ofiary hitlerizmu, a także za ich prześladowców, modlitwą zaczynającą się od słów:

Panie, Boże naszych Ojców,  
Boże Abrahama, Izaaka i Jakuba!  
Ojciec Miłosierdzia, Poczycielu nasz,

wyznajemy w pokorze, że wymordowano spośród nas niezliczonych ludzi za to jedynie że należeli do narodu z którego wedle ciała narodził się Mesjasz. Błagamy Cię, daj opamiętanie bliźnim naszym, winnym zbrodni, lub zaniedbania pomocy, lub przemilczenia zbrodni; pozwól żeby poznali swą winę, nawrócili się i czynili pokutę. W Imię Syna Twego, w bezgranicznym miłosierdziu Twoim, wybacz niezmierną winę, której żadna ludzka pokuta zgładzić nie jest w stanie.

Dozwól byśmy brali przykład z tych którzy usilowali pomagać prześladowanym, stawiać opór prześladowcom. Pocziesz w żalu pograżonych, daj ukojenie goryczą napojonych, zlituj się nad samotnymi i chorymi, zalecz rany zadane duszom. Spraw abyśmy i my, podobnie jak cała ludzkość, mogli pojąć przykazanie miłości wzajemnej, tej miłości jaką Syn Twój nas ukochał. Pomordowanym daj pokój w krainie Życia i spraw aby ich śmierć niezawiniona, przez Krew Syna Twego jedyne stała się zbawieniem”.

Z polecenia biskupów powyższa modlitwa była odczytana na zakończenie specjalnego nabożeństwa w niedzielę 11 czerwca 1961 r. we wszystkich kościołach katolickich Niemiec Zachodnich.

„Poza Kościołem katolickim nie ma zbawienia”

— tak nas uczono na pierwszych lekcjach religii. Z czego wynikało, że wszyscy heretycy i schizmatycy, wszyscy Żydzi, muzułmani i inni byłiby z góry skazani na wieczne potępienie. Już wtedy zdawało mi się to okrutne i nieprawdopodobne. Mieliśmy ukochaną babkę protestantkę. Ale tak nauczali Ojcowie Kościoła pierwszych wieków, tak głosi prawo kanoniczne potwierdzone wyrokiem św. Tomasza z Akwinu, wyjętym z jego Summy:

*Meruerunt haeretici non solum ab ecclesia per excommunicationem separari, sed etiam per mortem a mundo excludi...*”  
...przez śmierć wyłączeni ze świata.

Dyplomata rosyjski, wyznania protestanckiego, zwiedzając jachtem wybrzeża włoskie postanowił zbadać tę sprawę w sa-



mym Watykanie i dowiedział się, że w połowie XIX w. nic się nie zmieniło od czasów średniowiecza.

„Jak można pogodzić ów wyrok z przykazaniem miłości chrześcijańskiej?” — zapytał ów ciekawy podróżnik, baron Feliks Meyendorff (5).

Ale światły prałat watykański miał odpowiedź gotową i kategoryczną:

„Zadając śmierć heretykowi ratujemy od wiecznego potępienia całe potomstwo, które by mógł mieć, będąc zachowany przy życiu...”.

Minęło odąd jeszcze sto lat i mimo tekstów pierwotnego Kościoła i wyroku św. Tomasza Kościół katolicki zdołał inaczej zinterpretować obowiązującą przez wieki doktrynę. Dziś nie odcina się od inowierców, nie potępia ich, ani nie wydaje władzom świeckim aby „przez śmierć byli wyłączeni ze świata”, ale szuka dróg porozumienia i zbliżenia, podaje rękę „braciom odłączonym”.

Wszchświatowy Sobór Watykański z woli papieża Jana XXIII ma być zwołany w ciągu 1962 r.

To że na trzy miliardy mieszkańców naszej planety jest tylko pół miliarda katolików nie jest najważniejsze, groźne jest, że ewolucją świata nie kieruje Kościół, że ta ewolucja go pomija że komunizm jest mu wrogi a amerykańizm, w najszerszym tego słowa znaczeniu — obojętny.

Olbrzymia machina przygotowawcza Soboru Wszchświatowego poszła w ruch. Stworzono w początkach 1961 roku dwa-nastę komisji i wyznaczono siedemset kilkadziesiąt osób na członków tych komisji. Skontaktowano się z całym światem katolickim; dziesiątki tysięcy sugestii i życzeń napływają do Watykanu. Członków komisji i sekretariatów obowiązuje ścisła, zaprzysiężona tajemnica.

Teoretycznie przedmiotem Soboru miało być zjednoczenie całego świata chrześcijańskiego, nikt jednak się nie łudzi aby to mogło rychło nastąpić, Kościół będzie więc szukał dróg porozumienia, zajmie się usuwaniem przeszkód — czyli reformą samego Kościoła Rzymskiego. Rozważenie niebezpieczeństw groźących od strony komunizmu będzie szczególnie drażliwe, ze względu na Kościoły trwające w krajach skomunizowanych, jak Polska, Litwa, Czechy, Węgry i in.

Dalsze problemy będą dotyczyły młodego Kościoła afrykańskiego i jego stosunku do islamu, trudności polegające na odrębnej strukturze umysłowej ludów afrykańskich, pozbawionych więzi z kulturą Zachodu, jak również Kościołów Ameryki Łacińskiej, w zasadzie od szeregu wieków chrześcijańskiej, której wiara w szerokich masach ludowych, z braku duchowieństwa, stanowi zlepek miejscowych tradycji pogańskich, magicznych praktyk przeszczepionych z Afryki oraz szczerzego kultu Chrystusa i Matki Boskiej.

(5) *Trois semaines en Yacht*. Paris. 1868.

Papież przyjął bieżącego roku arcybiskupa Canterbury, dr. Fischera i przywitał otwartymi ramionami dr. Lichtembergera, głowę episkopalnego Kościoła protestanckiego Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, który liczy ok. pięciu milionów członków. Pierwotną myślą Jana XXIII było zaproszenie na Kongres przedstawicieli wszystkich Kościołów niekatolickich, to jednak okazało się niemożliwe i Ojciec św. ograniczył się do zaproszenia jedynie obserwatorów.

Dla świata zewnętrznego 2-gi Sobór Watykański kryje w sobie nieprzeniknioną tajemnicę. Około trzech tysięcy członków zjedzie, a raczej zleci do Rzymu z całego świata i każdy z tych wielojęzycznych infulatów będzie miał swoje słowo do powiedzenia; wyniki mogą być nieprzewidziane.

W Polsce, podobnie jak w innych krajach, została ogłoszona w początkach listopada za pośrednictwem *Tygodnika Powszechnego* (Nr 667) ankieta, w której mają się wypowiedzieć katolicy polscy na temat spodziewanych w Kościele katolickim reform. Organizatorzy podali szereg problemów, o których uwzględnienie proszą uczestników ankiety m.in. wymieniony jest stosunek katolików do niewierzących i do chrześcijan nie katolików, pominięto jednak stosunek katolików do Żydów, do Judaizmu i do Starego Testamentu. Ten problem w katolickim społeczeństwie polskim zawsze istotny, przy obustronnym obciążeniu urazami — kapitalny, wymagający zastanowienia i uświadomienia, nie powinien być pominięty w ankiecie ogłoszonej w Polsce, a dotyczącej wielkiej sprawy — wszchświatowego Soboru.

Maria CZAPSKA

**WOLNE OD CŁA — PACZKI PEKAO**

**PRZEKAZY PIENIĘŻNE  
PACZKI HASKOBY**

Katalog 500 najpopularniejszych  
na żądanie

**CENTRALA WYSYŁKOWA  
HASKOBA LTD**

**121 Earls Court Rd, London S. W. 5**





# „BIBLIOTEKA POLSKA”

ogłasza przedpłatę NA TOM PREMIOWY

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

## OD BOSKIEJ DO NIE-BOSKIEJ KOMEDII

(SZKICE Z ZAKRESU EUROPEJSKIEJ PSYCHOLOGII  
RELIGIJNEJ)

Ostatnią zaplanowaną przez światowej sławy romanistę i zarazem polonistę, prof. Władysława Folkierskiego książką jest tom studiów i szkiców, częściowo już drukowanych w czasopismach, częściowo jeszcze nie ogłoszonych, pod ogólnym tytułem: „Od Boskiej do Nie-boskiej Komедii”. Wydanie tego tomu zaplanował śp. Prof. Folkierski wraz z redakcją „BIBLIOTEKI POLSKIEJ” i ustalili, że wejdą doń prace następujące:

„Artyzm Boskiej Komедii”, „Aktualność Boskiej Komедii”, „Wątki orientalne w Boskiej Komедii”; „Złuda i prawda powrotu do natury: św. Franciszek czy J.J. Rousseau?”; „Dwa źródła myśli i literatury nowoczesnej Francji: Descartes i Pascal”; „Oddech twórczy Adama Mickiewicza (Rytm wewnętrzny jego dzieła)”, „Wpływ Mickiewicza na Maurycego Barrés’a”; „Modernizm w zwierciadle powieści Bourgeta”; „Wnuk Renana: Ernest Psichari”; „Apostoł Sahary: Ojciec de Foucauld”; „Wielki charakter: Kardynał Sapieha”; „Eschatologiczna wizja rewolucji w Nie-boskiej Komедii”.

Jak z powyższego wykazu widać, nowa książka będzie sumą wspaniałej pracy naukowo-literackiej wielkiego polskiego komparatysty (historyka literatur porównawczych). Znane są powszechnie walory świetnego stylu Prof. Folkierskiego i jego erudycja. Nowy tom premiowy „BIBLIOTEKI POLSKIEJ” będzie zatem należał do największych osiągnięć nauki i literatury na obczyźnie.

Cena w przedpłacie: 25/-. dol. 3.75, N.F. 17.25. Dla stałych subskrybentów zamawiających najmniej 6 tomów rocznie 20-, dol. 3.00, N.F. 14.00.

Termin przedpłaty upływa w W. Brytanii dnia 31 stycznia 1962, w krajach zamorskich 28 lutego 1962.

Zgłoszenia:

VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE,  
12 Praed Mews, London, W.2.

## Izaak Babel

### *Curriculum vitae*

„W Moskwie robi furorę Babel. Wszyscy poszaleli na jego punkcie” — pisał 16 lipca 1924 roku Konstantin Fiedin w liście do Gorkiego. Kim był ten ulubieniec publiczności? Ponieważ czytelnicy polscy wiedzą o nim niewiele (jakkolwiek przed wojną parę jego nowel ukazało się w wyborze prozy sowieckiej, opracowanym przez Mieczysława Binoma i poprzedzonym wstępem Kadena-Bandrowskiego), najlepiej zacząć od *curriculum vitae*. Profesorowi Renato Poggioli, rusycyście włoskiemu wykładającemu w Harvard który Babela uważa za „najwybitniejszego prozaika porewolucyjnej Rosji” i przed trzema laty wydał jego opowiadania zebrane (1), zawdzięczamy tak wzorowy rys biograficzny autora *Konarmiji* że szkoda czasu na dublowanie. Wystarczy zacytować tę notę, a potem rozszerzyć jej zakończenie o to wszystko czego Poggioli nie mógł jeszcze wiedzieć gdy ją pisał. Zresztą i w dalszym ciągu niniejszego szkicu rusycysta włoski przyjdzie nam niejednokrotnie z pomocą także w analizie i ocenie twórczości Babela.

„Izaak Emmanuilowicz Babel urodził się w roku 1894 w Odessie, w rodzinie drobnych handlarzy żydowskich. Dzieciństwo spędził w Nikołajewie, gdzie — jak świadczą jego opowiadania — miał możliwość przekonać się na własnej skórze co dla Żyda znaczyło żyć pod rządami carszemu. Od młodości musiał zadawać sobie to samo pytanie, jakie w *Ludziach z Odessy* słyszemy z ust „króla” Mołdawanki, bandyty Beni Krzyka: „Ale czy ze strony Pana Boga nie było omyłką osiedlić Żydów w Rosji, żeby męczyli się jak w piekle?”. W *Historii mojego go-*

(1) Isaak Babel. *I racconti*. Traduzione di Renato Poggioli e Franco Lucentini. Turyn, Einaudi, 1958. Str. 320.



łębnie Babel napomyka o trudnościach jakie musiał przezwyciężyć by dostać się do gimnazjum rosyjskiego, otwartego na mocy *numerus clausus* tylko dla bardzo nielicznych chłopców żydowskich; w tym samym opowiadaniu i w *Pierwszej miłości* wspomina zamordowanie swego dziadka Szojła w pogromie 1905 roku, oraz upokorzenie swego ojca: stary Babel, choć padł na kolana przed oficerem kozackim, nie zdołał ocalić swego sklepu od złupienia a siebie od ruiny.

„Twórczość Babla, często autobiograficzna, nie jest nigdy patetyczna i odsłania tylko pośrednio najtymniejsze tajniki psychologii i osobowości autora. W każdym razie czytając jego opowiadania łatwo dostrzec udrękę spowodowaną poczuciem wyobcowania ze świata. U źródeł tego poczucia tkwiły trzy przekleństwa jego życia: rasa, bieda i powołanie artysty. Bardziej może jeszcze niż ubóstwo i pochodzenie żydowskie, odsuwały go od otoczenia okulary na nosie i książki pod pachą. (Warto tu w nawiasie wtrącić parę drobiazgów pominiętych przez Poggioliego. „Jako dziecko, przykuty do Talmudu, pedziłem życie eremity” — pisał o sobie Babel. Jego babka ze strony matki, rodem z Polski, używała wyłącznie *jidysz* i przekreślała słowa rosyjskie. Od lat chłopięcych Izaak zaczął sobie przyswajać przedziwny amalgamat językowy, złożony z barwnego dialektu odesskiego, z *jidysz* i z hebrajskiego; później — rzecz prawie nieunikniona w „paryskiej” Odessie — nauczył się francuskiego, i francuszczyźnie zawie-rzył pierwsze sekretne próby swego pióra; z tego wielokrotnego szczerzenia powstała proza, uważana za jedną z najpiękniejszych we współczesnej literaturze rosyjskiej. Co do owych innych składników „alienacji”, to Babel sam zwykł był mawiać o sobie jako o człowieku który „ma na nosie okulary a w duszy jesień”). Męczyło go całe życie to uczucie osamotnienia, tak typowe dla inteligencji przedrewolucyjnej, ciągle zżeranej mistyczną, rozpaczliwą i nieodwzajemnianą miłością do mas, do ludu rosyjskiego. Równocześnie, mieszkając w ghetcie i w najędzniejszych dzielnicach miejskich, odczuwał jako człowiek i artysta kalectwo niezdolności obcowania z przyrodą, rozkoszowania się umysłem i sercem wszystkimi urokami jakimi Stwórca ozdobił świat gwoli ludzkiej radości.

„Izolacja Babla jest zresztą widoczna także w jego postawie wobec kultury żydowskiej. Kiedy jego rodzina wróciła do Odessy, nie udało mu się znaleźć dla siebie miejsca w nurcie, który nadawał podówczas ton żydowskiemu życiu kulturalnemu w zamożnym i ruchliwym mieście czarnomorskim. Podczas gdy Wilno było stolicą literatury *jidysz*, wyrażającej życie ghetta w języku narzecza i środkami prozaicznego realizmu pełnego ironii i *self-pity*, Odessa była moralnym ośrodkiem sjonizmu i wydała całą szkołę poetów zwróconych ku profetycznym i mesjanicznym tradycjom przeszłości, poetów którzy śpiewali chwałę Ziemi Obiecanej w sakralnym i symbolicznym słownictwie starych

ksiąg. Miasto rodzinne Babla zasługiwało więc naprawdę na melancholijną pochwałę, wypowiedzianą przez jednego z tylu rabinów zaludniających jego utwory: „Miasto bogobojne, gwiądno naszego wygnania, mimowolna studnio naszych nieszczęść!”. Ale Babel odrzucił zarówno *jidysz* jak hebrajski; wybrał rosyjski, język „gojów”. I uczynił tak nie tylko by uciec z ghetta, lecz by poprze Rosję zwrócić się ku Zachodowi i Europie.

„W tych latach odkrył swoich mistrzów. Byli nimi nie tylko Tołstoj, Czechow i Gorkij, ale Rabelais, Flaubert i Maupassant. I ten sam impuls, impuls poznania szerszego i otwartego świata, pchnął go do osiedlenia się w Petersburgu pod koniec pierwszej wojny światowej. Miasto było w owym czasie zamknięte dla Żydów bez prawa stałego pobytu, toteż Babel mieszkał w stolicy nielegalnie, borykając się z tysiącnymi trudnościami, nieugięty w swej decyzji wstąpienia na drogę kariery literackiej. Jego opowiadania ukazały się po raz pierwszy w roku 1916 w redagowanym przez Gorkiego czasopiśmie *Letopis*. Zdobyły rozgłos skandalu i na głowę młodego autora ściągnęły oskarżenie o nieprzystojność (paragraf 1001 carskiego kodeksu karnego — przyp. mój); ale upadek carystu zmiotł sprawę z wokandy. W międzyczasie Babla powołano pod broń, i rewolucja lutowa zastała go na froncie rumuńskim.

„W rewolucji Babel ujrzał pierwsze doświadczenie zbiorowe, pierwsze wydarzenie o szerokim zasięgu historycznym i społecznym w którym mógł nareszcie wziąć czynny udział. Po Październiku, choć nie zapisał się był do partii, służył z zapałem nowemu porządkowi komunistycznemu na różnych odcinkach; w końcu odkomenderowano go, najpierw jako cywila a potem jako wojskowego, do Konnej Armii marszałka (wtedy generała) Budionnego; uczestniczył w kampanii polskiej i w wojnie domowej. Redagował między innymi piśmko polowo-agitacyjne *Krasnyj Kawalerist*. Później, po paroletnim milczeniu, wrócił do pióra. „Dopiero w roku 1923 — czytamy w jego wspomnieniach — nauczyłem się wyrażać moje myśli w sposób jasny i zwięzły”. Tak zaczął utrzymywać na papierze wrażenia z obu tych kampanii w króciutkich obrazkach, które w miarę drukowania wywoływały coraz gwałtowniejsze protesty ze strony Budionnego (wąsaty marszałek dopatrywał się w nich znieważenia swych kozaków). W roku 1924 *Konarmija* wyszła w książce. Czytelnicy rosyjscy powitali entuzjastycznie nowy talent.

„Wkrótce potem Babel ogłosił mały zbiorek *Opowiadań odesskich*, który przeszedł jednak prawie niezauważony. Tymczasem klimat społeczny i polityczny w Rosji szybko się zmienił. Babel nie odczuwał już w sobie zgody na wypadki i to nie tylko na froncie literackim. Nawet przedtem krytyka oficjalna określała go jako *poputczika* w tym sensie, jaki Trockij nadał owemu słowu w *Literaturze i rewolucji*. To dla takich pisarzy jak on, po zapanowaniu ortodoksji literackiej



która znalazła swój wyraz w dogmacie „realizmu socjalistycznego”, Gorkij ukuł inną formułę „romantyzmu rewolucyjnego”, usiłując usprawiedliwić nią nieszkodliwych heretyków oglądających się z niezmienną nostalgią wstecz, ku tragicznym i epickim latom wojny domowej, i ślepych na nadchodzące lata „budownictwa socjalistycznego”.

„W zmienionej atmosferze Babel nie zdołał już stworzyć nic ważkiego czy nowego, chociaż zaczął powieść i z *Opowiadań odeskich* wyroił dramat *Zmierzch*. Po kilku latach przestał w praktyce pisać, jak to sam — nie bez pewnej dwuznaczności — wyznał w przemówieniu wygłoszonym na kongresie pisarzy sowieckich w roku 1934. Wolno mu było jeszcze wtedy wyjeżdżać swobodnie zagranicę, i podczas dłuższego pobytu w Paryżu próbował, jak w latach wczesnej młodości, ożywić swoje pióro w języku Maupassanta. Gdy wrócił do Rosji, jego źródło twórcze zamuliło się ostatecznie. Ogłosił jedynie nowe, przejrzan i poszerzone, wydanie całego swego dorobku nowelistycznego w tomie który ujrzał światło dzienne w roku 1934. Jest rzeczą znamienną że w tej wersji liczne aluzje historyczne i polityczne na temat roli Trockiego w rewolucji i w wojnie domowej zostały usunięte, niewiadomo czy z nakazu cenzury czy z woli samego autora. Nazwisko Babla ukazało się w druku po raz ostatni w roku 1937. W rok później, u szczytu czystki skierowanej przeciw trockistom, aresztowano także i jego — podobno za nieostrożny dowcip o Stalinie. Zesłany do łagrów, umarł tam ponoć w roku 1940 lub 1941. Według jednych, padł ofiarą niedomagań fizycznych i niedostatków życia obozowego; inni twierdzą, że został rozstrzelany. Tak czy owak, zabiła go ta sama siła w którą tak rozpaczliwie chciał uwierzyć, i wyszedł na spotkanie śmierci w tym samym wyobcowaniu w jakim żył. Nawet jeśli jako człowiek umarł śmiercią naturalną, pewne jest że jako pisarz został oficjalnie skazany na śmierć. Po jego zgonie wszystko co napisał znalazło się na indeksie, a jego nazwisko strącono w otchłań zapomnienia”.

#### *Aresztowanie, śmierć, „rehabilitacja”*

Tyle Poggioli. Jego doskonałe studium o Bablu, z którego wyjąłem tę notę biograficzną, było przypuszczalnie napisane w roku 1956 lub 1957. Dziś wiemy już nieco więcej.

Zima 1939 roku trwała długo: jeszcze 10 maja padał w Pieredelkinie od dwóch dni śnieg. W drugiej połowie maja nadeszło wreszcie przedwiosnie — anemiczne, nieśmiałe, ze słońcem przeświecającym rzadko zza brych chmur, z podmuchami ciepła podszytymi opornym ziąbem. Na ogółoconych gałęziach drzew tajały wolno resztki śniegu, z dachów zwisały topniejące wolno sople lodu, na ścieżkach błoto roztopów było wciąż twarde

i czerniało tylko gdzieniegdzie w dookolnej bieli jak rozgniecione trupy wron. Ale choć ociągając się i zatrzymując po drodze dla nabrania w piersi pełnego oddechu odwilży, wiosna zbliżała się do Pieredelkina z każdym dniem.

Pod koniec maja, późną nocą, błoto mlaskało już miękko pod kołami samochodu który zatrzymał się przed domkiem położonym w pobliżu *daczy* Pasternaka. Nie trzeba było budzić jego gospodarza: niekiedy świt zastawał go nad książką, a godziny czuwania wydłużał „ten typowo żydowski niepokój” o matkę i siostrę w dalekiej Brukseli, o żonę i córeczkę w dalekim Paryżu. Rewizja ciągnęła się zapewne dość długo: nie łatwo było połapać się w stertach szpargałów pisarza, który na wzór jednego ze swych francuskich mistrzów dla zrobienia zapałki wyrąbywał szmat lasu — dla napisania dziesięciostronicowego opowiadania zaczerniał drobnym pismem dwieście arkuszy papieru. Zapewne też (gdyż taki był wówczas obyczaj NKWD) od razu na wstępie poczęstowano go kilkakrotnie naodlew, żeby sobie dobrze zakarbował w pamięci „z kim ma okoliczność” i żeby „nie próbował przechytrzyć i wywieść w pole radzieckiej władzy jęwejskimi kruczkami”. Jeśli tak, to bardzo prawdopodobne że rozbito mu okulary. Wyszedł więc do samochodu przytrzymywany silnie pod ręce, szukając po omacku nogami schodków *daczy*, bardziej zgnubiony niż kiedykolwiek bez swojej „drugiej pary oczu”. I miał teraz tylko „w duszy jesień”.

Za co go aresztowano, o co oskarżano? Aluzja rusycysty włoskiego do trockizmu jest zawieszona w próżni: Babel nie interesował się nigdy na serio polityką, uciekał od niej jak od święconej wody, rewolucję przyjął „globalnie” i szukał w niej dla siebie miejsca jako inteligent „zakochany w ludzie”, jako Żyd bity i pędzony precz za cara, i jako rosyjski pisarz. Budionny skorzystał wreszcie z okazji jaką nastęrczał rozszałały teraz na dobre sabat czarownic, doczekał się w końcu słodkiej chwili zemsty za „zniesławienie bohaterskiej Konarmiji” i za wszystkie upokorzenia jakich najadł się w związku ze swymi protestami od Gorkiego, i wyprosił u Stalina głowę tego pokracznego żydowskiego okularnika strojącego się w piórka jasnej sławy kozaczek? Być może, ale wątpliwe by na *wierchuszce* zaprzątano sobie wówczas myśli takimi drobnymi tranzakcjami. Antysemityzm samego Stalina? Nie doszedł jeszcze wtedy do paroksyzmu, który znamy z okresu likwidacji kultury *jidysz* i „spisku lekarzy żydowskich”. Pozostaje więc wspomniany przez profesora Poggioli „nieostrożny dowcip o Stalinie”, a wiadomo że takich rzeczy „geniusz i dobroczyńca ludzkości” nie puszczał śmiałkom płazem. Oto inkryminowany tekst z przemówienia na zjeździe pisarzy sowieckich w roku 1934, z owego „dwuznacznego” przemówienia w którym Babel nazwał między innymi siebie samego „mistrzem w sztuce milczenia”: „Trzeba nam nowego stylu i nie możemy się go nauczyć ze starych książek. A musimy się go nauczyć. Na jakich tekstach? A pro-



pos słowa chciałbym wam powiedzieć że istnieje człowiek który nie ma specjalnych, zawodowych związków ze słowem, a przecież popatrzcie tylko jak Stalin wybija młotem swoje mowy, jak żelazne są jego nieliczne, mocarne słowa, jak szanują czytelnika. (Oklaski). Nie twierdzą że należy pisać tak jak Stalin, ale pracować nad słowami tak jak on, to tak, to nasz obowiązek (Oklaski)". Jedno z dwojga: albo Stalin przełknął ten zjadliwy panegiryk równie gładko jak parę tysięcy oklaskujących Babla osłów (o czym zdawałoby się świadczyć ogłoszenie go w *Prawdzie*), a w takim razie trudno przypuścić by przy swojej wrodzonej gruboskórności przejrzał sam nawet po pięciu latach; albo zatrute kolce tej róży przebiły jednak jego skórę, a w takim razie nie do wiary by aż pięć lat zwlekał z odpiątą. Z czego wniosek że ukryty chichot Babla, utrzymany w najlepszym stylu dawnych — mądrych i drwiących — błaznow nadwornych, musiał Władcy „rozpracować” na piśmie dopiero w roku 1939 jakiś usłużny (wobec adresata) i zawistny (wobec przedmiotu donosu) kolega po piórze autora *Opowiadań odeskich*.

Nie wiemy do jakiego łagru zesłano Babla i w jakich okolicznościach umarł: czy nie mógł podostać na *lesopowale* i wylądował w „trupiarni” dla *dochadziogów*, czy wygłodzony na „pierwszym kotle” nabawił się krwawej dezenterii po zjedzeniu jakichś zgnitych odpadków znalezionych na śmietniku, czy doigrał się *bołtownią* kulki w „wewnętrzny izolatorze”, czy zgubił w lesie lub w kopalni węgla nowe okulary i wracając wieczorem do zony został zabity przez *strelka* za wystąpienie z szeregu, czy w okresie *proizwołu* pobili go — jak Karola Radka na Sołówkach — kryminalni tak dotkliwie że skończył później z ran na pryczy, czy też surowy Bóg Starego Testamentu (którego nazywał *ex-Bogiem*) nie odmówił mu w nagrodę za prześliczną *Historię mojego gołębnika* łaski spokojnego zaśnięcia na wieki w śnieżnobiałym jak odeskie mowy łóżku szpitala obozowego. Znamy tylko z urzędowej publikacji sowieckiej datę jego śmierci: 17 marca 1941 roku.

„Zrehabilitowano” go, jak opowiada Erenburg w trzecim tomie swoich pamiętników, pod koniec 1954 roku. Autorowi *Odwilży* przypadł zaszczyt usłyszenia tej wspianiałomyślniej decyzji wprost z ust Naczelnego Prokuratora ZSSR. Autor *Odwilży* napisał przedmowę do pośmiertnego tomu Babla *Izbrannoje*, wydanego w Moskwie w roku 1957. I autor *Odwilży* zaopatruje to wszystko w takich komentarz: „Babel był jednym z tych, którzy zapłacili walką, marzeniami i książkami, a potem śmiercią, za szczęście przyszłych pokoleń”.

Te słowa nie powinny dziwić pod piórem Erenburga, który raz już zgodził się chętnie zapłacić za szczęście przyszłych pokoleń z kieszeni wymordowanych przez Stalina pisarzy *jidysz*. Ale przykro jest czytać coś podobnego — choć w oględniejszej nieco formie — we wstępie młodego i wrażliwego bądź co bądź

krytyka do polskiego wyboru utworów Babla (2): „Babel należy do pisarzy leninowskiego nurtu dziejów literatury rewolucyjnej”. Ma to prawdopodobnie znaczyć, że w starciu dwóch rewolucyjnych „nurtów dziejowych” Stalin kazał zgładzić Babla jako literackiego rzecznika Lenina. Jak prosto i żwawo specjalści od „pokoleń” i „nurtów” załatwiają cudzą śmierć! Jak łatwo bałwochwalczy „nieuchronnych procesów historycznych” wpadają, nawet wbrew swej woli, w „nurt” którym płynie wszelki chłam intelektualny pokroju autora *Drugiego dnia stworzenia!*

### Dwie cenzury

*Izbrannoje*, jak wskazuje sama nazwa, jest selekcją. Nie chodzi tu jednak o selekcję podyktowaną względami objętości, skoro Babel zdążył napisać w ciągu swego krótkiego życia bardzo niewiele, a najdłuższe jego opowiadanie liczy dziesięć stron. Zaprzężono tu raczej do brony cenzurę, nadając pośmiertnemu powrotowi Babla do literatury sowieckiej charakter „rehabilitacji z rezerwą”.

Rusycyści amerykańscy Max Hayward i Patricia Blake zwrócili już uwagę w *Partisan Review* (numer 3-4 z 1961 roku) na retusze w tekstach poszczególnych nowel Babla nawet w zestawieniu z podretuszowanym wydaniem zbiorowym z roku 1934. Ale zabieg kosmetyczny cenzury sowieckiej sięga głębiej, aż do amputacji. Pominięto (ciągle w zestawieniu z edycją z 1934 roku) dwa opowiadania Babla: *Po stronie bałki Machno* (dwie stroniczki) oraz *Iwan i Marja* (dziesięć stroniczek). W wypadku pierwszego cenzorami powodowały z pewnością opory natury pruderyjno-moralnej, niezbyt zaskakujące dla każdego kto wie cokolwiek o sowieckim purytaniźmie obyczajowym (przynajmniej w literaturze): jest to historia — świetnie zresztą napisana! — dziewczyny żydowskiej zgwałconej przez sześciu żołnierzy z „zielonych oddziałów” Machny. Bardziej skomplikowany wydaje się *casus* drugiego opowiadania. Babel opisuje w nim zatwierdzony przez Lenina w roku 1918 pomysł ekspedycji aprowizacyjnej, opartej na zasadach handlu wymiennego. Wołgą wyrusza statek wyładowany wszelkim dobrem „miejskim”, które kierownicy ekspedycji wymieniają po drodze u zamężnych chłopów na produkty rolne. Statek zarzuca na dłużej kotwicę w Barońsku (dawny Katerinenstadt), gdzie nadwoźniacy koloniści niemieccy i holenderscy żyją jak w breughlowskim Schlarafenlandzie — pijąc, jedząc, popuszczając pasa i zasypiając

(2) Izaak Babel. Utwory wybrane. Wstęp Jerzego Pomianowskiego. Tłumaczyli Mieczysław Binom, Ziemowit Fedeci, Seweryn Pollak, Jerzy Pomianowski, Krystyna Pomorska, Marian Toporowski, Wiktor Woroszyński. Warszawa, Czytelnik, 1961. Str. 373.



na słonku pod drzewami — i z ochotą przystają na tę tradycyjną formę handlu, wskrzeszoną przez błędnych rycerzy rewolucji. Do tegoż Barońska dobiega dwa razy na tydzień z Saratowa statek *Iwan i Marja* z bronią dla czerwonego frontu, odległego o dwadzieścia wiorst. Dowodzi nim kapitan Korostelew, duch niespokojny, niegdyś *bosiak* i włóczęga, bywalec więzień i monasterów, *istinnij russkij czełowiek* który bez gorzałki ani rusz. Pewnego wieczoru Korostelew wysącza wraz z załogą do ostatniej kropli cały posiadany zapas samogonu, a tu noc jeszcze długa, jakże tak o suchym pysku wyglądać świtu? Ku oburzeniu komisarza politycznego, lotewskiego rewolucjonisty Karla Larsona, Korostelew każe podnieść kotwicę nie czekając na poranne wyładowanie broni: w odległości czterdziestu wiorst w górę rzeki znajduje się miejscowość Wozniesienskoje, a w niej samogonu ile dusza zapagnie. Na darmo Larson protestuje. „Ty, Karl, Rosji naszej nie męcz” — odpowiada mu Korostelew i z okrzykiem *Rassieja, Rassieja!* wdrapuje się na mostek kapitański. Pijany statek-widmo cudem dociera do stolicy samogonu i o świcie wraca do Barońska, bardziej pijany niż przedtem. Tam czeka już na Korosteleva wystannik Czapajewa i kładzie go trupem na miejscu wystrzałem z mausera. Czytelnik tego znakomitego opowiadania Babla niech rozstrzygnie co przerażyło w nim cenzora sowieckiego: pochwała handlu elementarnego, obrazek dostatku kułackiego nad Wołgą przed kolektywizacją, czy strzał czapajewskiego oficera który przeciął zapijaczoną mękę *russkowo duszy-czełowieka*. Nie, nie chodziło o zwłokę w zaopatrzeniu frontu — broń miano przecież wyładować dopiero o świcie. Chodziło o coś innego, i wyjaśnia to po egzekucji sam zabójca: „No i dobrze, chłop z kośćmi był z tego Korosteleva... W pustelniach bywał, po Białym Morzu zeglował, dzielny człowiek nie ma co gadać... Ale ot co: paliwa marnować nie wolno...”. Nowela skręca tu nagle jak na ostrym wirażu i kończy się takim kontrapunktem: „Potem poszliśmy na nasz statek i w kabinie wyciągnęliśmy rachunki i rejestry. Zacząłem pisać pod dyktando telegram do Iljicza: Moskwa. Kreml. Lenin. W telegramie zapowiadaliśmy proletariatuwi Petersburga i Moskwy nadejście pierwszych pociągów zboża: dwóch pociągów po dwadzieścia tysięcy pudów zboża każdy”.

Cenzura polska podwyższyła sowiecką dawkę amputacyjną sześciokrotnie ze względów, jak zobaczymy, „lokalnych”. Nie odpowiada prawdziwie napis na wewnętrznej stronie wydania warszawskiego: „Tytuł oryginalu *Izbrannoje*”. Gdyż ten napis zdaje się sugerować że polski wybór Babla z 61 roku jest wierną kopią moskiewskiej edycji „rehabilitacyjnej” z 57 roku, a tymczasem rzecz ma się zgoła inaczej. Prócz dwóch wspomnianych wyżej opowiadań usuniętych przez cenzurę sowiecką, cenzorzy *Czytelniaka* usunęli dziewięć opowiadań z *Konnej Armii* (*Bród Zbrucza, Kościół w Nowogrodzie, Pan Apolek, Żyd Gedali, Beresteczko, Kozak Afonka Bida, Kościół Świętego Walentego,*

*Iwany, Przed Cześnikami*) oraz dwie pozycje z *Opowiadań różnych* (*Koniec Świętego Ipatija i Karl-Jankel*).

Można przecierać oczy albo — jeśli kto woli — pokrzykiwać z uciechy, ale operacja której ofiarą padła *Konna Armia* dokonana została najwyraźniej w trosce o nie zranienie „uczuć patriotycznych i religijnych” czytelnika polskiego: cała dziewiątka „prohibitów” zadekretowanych przez wydawnictwo komunistyczne w Warszawie traktuje mianowicie o walkach z Polakami w roku 1920 (z dosadnymi często epitetami pod naszym adresem), o łupieniu i profanowaniu kościołów katolickich, o mordowaniu polskiej ludności cywilnej przez kozaków Budionnego i żydowskiej ludności cywilnej przez żołnierzy polskich, o nienawiści ukraińskich chłopów do polskich *pomieszczików*, o zwariowanym polskim malarzu-heretyku który w kościele w Nowogrodzie Wołyńskim sportretował całą miejscową biedotę żydowską i chłopską w obrazach Świętych, o Woroszyłowiu wydającym rozkaz: Na Warszawę! (to ostatnie opowiadanie, *Przed Cześnikami*, można już będzie śmiało po zdemaskowaniu Woroszyłowa na XXII kongresie włączyć do następnego wydania polskiego Babla). Rozczulający jest ten respekt dla nieuleczalnie chorobliwej wrażliwości szerokich rzesz czytelniczych nad „czerwoną Wisłą rzeką”: jakby wojna nie była wojną a wojna roku 1920 wojną rosyjsko-polską, jakby kozacy Budionnego mieli obowiązek kochać Polaków a komuniści szanować kościoły katolickie, jakby żadnemu Żydowi nie spadł nigdy włos z głowy z ręki żołnierza polskiego, jakby w naszej bogobojnej Ojczyźnie nie mógł się żadną miarą przytrafić malarz w rodzaju Pana Apolka, jakby Woroszyłow pomylił kierunek marszu z winy zepsutego kompasu!

Nonsens posuwa się tak daleko, że natrafiwszy we wstępie Pomianowskiego na zdanie: „Babel czuł znaczenie słowa internacjonalizm... w przeraźliwym i wspaniałym opowiadaniu *Iwany* pisze jak zobaczył brata w zabitym polskim żołnierzu, walającym się na miedzy wśród stratowanych pól”, czytelnik szuka czym prędzej tego opowiadania i nie znajduje go. Jest ono istotnie przeraźliwe i wspaniałe, ale wolno powątpiewać czy stanowi najlepszą ilustrację słowa „internacjonalizm”. Fragment, o którym z mroków konspiracji napomyka półgębkiem krytyk warszawski, brzmi tak: „Objuczony siodłem, szedłem wijącą się ścieżką i zatrzymałem się na zakręcie dla załatwienia potrzeby fizjologicznej. Kiedy skończyłem i zapinałem rozporek, poczułem że coś mi przyska na rękę. Zapaliłem latarkę kieszonkową, odwróciłem się i ujrzałem na ziemi martwego żołnierza polskiego, oblanego moim moczem. Uryna wytryskała mu z ust, przeciekając między zębami i zbierając się w pustych oczodolach. Obok trupa leżał zeszyt z zapiskami i plik ulotek z odezwą Piłsudskiego. W notatniku można było jeszcze odczytać rachunki osobiste, program przedstawień teatru w Krakowie i datę imieniem jakiejś kobiety imieniem Maria Luiza. Odezwą



marszałka Piłsudskiego otarłem śmierdzącą ciec z czaszki mojego nieznanego brata i ruszyłem dalej, zgarbiony pod ciężarem siodła”.

Trudniej zrozumieć usunięcie dwóch nowel z *Opowiadań różnych*. Pierwsza, *Koniec Świętego Ipatija*, jest króciutkim opisem okupowania cel w monasterze prawosławnym nad Wołgą przez rodziny robotników tekstylnych w Kostromie, wyposażone w ten osobliwy przydział mieszkaniowy. Druga, *Karl-Jankel*, należy chyba do najcelniejszych osiągnięć talentu Babla. Napisana tą jego przedziwną mieszaniną ironicznego uśmiechu i spojrzenia zamglonego melancholijną łezką, jest epizodem z życia młodej Żydówki odeskiej która staje przed „sądem ludowym” za to, że pod nieobecność męża-fanatyka komunistycznego i za namową ortodoksyjnej matki w peruce zgodziła się na obrzezanie swego nowonarodzonego synka i na nadanie mu imienia Jankel (zamiast Karl, jak tego chciał ojciec dla uczczenia pamięci Marxa). Walka na sali sądowej toczy się zawzięta, a tymczasem w *krasnym ugołku* na korytarzu ryczy wniebogłosy nie karmiony od rana noworodek: przystawia go sobie w końcu do piersi jakaś zdrowa i rosła Kirgizka. Babel zamyka to opowiadanie wzruszającą klamrą: „Wychowałem się na tych ulicach, a teraz pora na Karla-Jankela. Ale o mnie nie bili się ludzie tak jak o niego: nikt w moim dzieciństwie nie włożyłby tyle ognia w walkę o mnie. — Nie może to być — mruknąłem do siebie, — żebyś nie był szczęśliwy, Karl-Jankel... Nie może to być, żebyś nie był szczęśliwszy ode mnie...”

Podejrzewam że kolegium cenzorów *Czytelnika*, któremu powierzono oczyszczenie polskiego wydania Babla, składało się z kawalera *Virtuti Militari* za rok 1920, z b. redaktora *Rycerza Niepokalanej* albo co najmniej przedstawiciela klubu poselskiego *Znak*, z popa prawosławnego w świeckim przebraniu P.O.P., i z rabina doproszonego na tajną naradę w Warszawie z Izraela.

### *Los desastres (y las glorias) de la guerra*

W *Żydzie Gedalim*, jednym z dziewięciu opowiadań usuniętych przez cenzorów polskich z *Konnej Armii*, toczy się rozmowa między handlarzem starzyzny w Żytomierzu a autorem.

— Rewolucja: my jej powiemy że tak; ale mielibyśmy może powiedzieć szamesowi że nie? — zaczyna Gedali. — Tak! krzyczę rewolucji, krzyczę jej że tak, ale ona nie pokazuje się Gedalemu na oczy i posyła tylko naprzód strzelaninę...

— Światło słoneczne nie przenika w tego, kto ma oczy zamknięte — odpowiadam staruszkowi, — ale my otworzymy oczy nawet tym co nie chcą widzieć...

— Polak mi zamknął oczy — rozlega się ledwie dosłyszalny szept staroego, — Polak jest złym psem. Polak łapie Żyda

i wrywa mu brodę, och, jaki pies! Ale teraz go biją, złego psa. To tak, to jest rewolucja. I kiedy ten który pokonał Polaka mówi do mnie: „Sprzedaj taniej twój gramofon, Gedali...”, ja odpowiadam rewolucji: „Pani złota, ja jestem wielkim amatorem muzyki, ja kocham muzykę...”. A ona na to: „Ty, Gedali, co ty możesz wiedzieć o kochaniu? Ja ciebie każę rozstrzelać i wtedy zmartuje się, bo ja nie mogę się obejść bez strzelania, ja rewolucja...”

— Ona nie może się obejść bez strzelania, Gedali — mówię staruszkowi, — bo ona jest rewolucją.

— Ale Polak strzelał, mój drogi panie, bo on był kontrrewolucją... A wy strzelacie, bo wy jesteście rewolucją. Ale rewolucja to jest zadowolenie. A zadowolenie nie lubi, kiedy są w domu sieroty. Dobry człowiek robi dobre rzeczy. Rewolucja jest dobrą rzeczą zrobioną przez dobrych ludzi. Ale dobrzy ludzie nie zabijają. Znaczą się że rewolucję robią źli ludzie. A Polacy też są złymi ludźmi. No to kto powie Gedalemu z której strony jest rewolucja, a z której kontrrewolucja? Ja studiowałem Talmud, lubię księgi Majmonidesa. I są w Żytomierzu inni co im nie brakuje oleju w głowie. I teraz my wszyscy, ludzie uczeni w piśmie, rzucamy się plackiem na ziemię i krzyczymy: „Gwałt! Kuda polazła ta błogosławiona rewolucja, co się z nią dzieje?”

— Zbliży się szabes — mówi z powagą Gedali, — i Żydzi muszą iść do bóżnicy. Panie towarzyszu, przywieźcie nam do Żytomierza trochę dobrych ludzi. Och, bieda w naszym mieście, wielka bieda! Przywieźcie nam dobrych ludzi, a my im oddamy wszystkie nasze gramofony. Nie jesteśmy ciemni jak tabaka w rogu. Międzynarodówka, my wiemy co to jest Międzynarodówka. Ja chcę żeby była Międzynarodówka samych dobrych ludzi, ja chcę żeby spisałi każdą żywą duszę i dali jej tałończyk pierwszej klasy. Naści, kochaneńki, jedz i używaj życia! Wy, panie towarzyszu, nie wiecie nawet z jaką omastą je się Międzynarodówkę...

— Je się ją z prochem — odpowiadam staruszkowi. — i polewa się ją najlepszą krwią...

W ostatnim zdaniu noweli Gedali, „założyciel Międzynarodówki niemożliwej”, żegna swego rozmówcę i rusza na sobotnie modły do bóżnicy.

Krytyk amerykański Lionel Trilling twierdzi, że *Konna Armia* jest owocem konfliktu wewnętrznego między Żydem a kozakiem: „Postawa Babla wobec kozaka była bliższa Tołstoja, niż tradycyjnej postawy żydowskiej. W jego oczach kozak był „szlachetnym dzikusiem”, zanadto dzikusiem, nie zawsze szlachetnym, w każdym razie człowiekiem którego dumna natura posyłała cechy zdolne obudzić dziwne pytania w umyśle żydowskim”. Poggioli poprawia Trillinga: tak, bliższa postawy Tołstoja, ale bliższa w większym stopniu staroego i dojrzałego



twórcy *Hadzi-Murata*, niż młodzieńczego autora *Kozaków*. Sens tego subtelnego rozróżnienia polega na tym, że przed Tołstoja sentymentalnego i roussovskiego wysuwa się Tołstoja heroicznego i epickiego.

Trzeba rozszerzyć *Konną Armie* o jeszcze jeden element: w sercu jej autora odbywa się coś w rodzaju ustawicznej rozmowy między Żydem, kozakiem, a rewolucjonistą. Babel nie podziela niby żydowskiego sceptycyzmu handlarza starzyzny w Żytomierzu, wie niby dobrze „z której strony jest rewolucja, a z której kontrrewolucja”, chyli z pokorą głowę przed apokalipsą wojny i rewolucją jako krwawym lecz nieuniknionym zmartwychwstaniem Historii, przed wszystkimi którzy po łokcie urabiają sobie ręce w okrutnym dziele zabijania by „wyluskać migdał z łupiny”; a przecież, gdy cwałuje naprzód wśród czerwonych jeźdźców Budionnego, słowa Gedalego pędzą wraz z nim jak przyrośnięty z tyłu do siodła nieodstępny cień, każąc mu w pewnej chwili wykrzyknąć: „Kronika tyłu codziennych zbrodni dławi mnie bez wytchnienia na podobieństwo wady serca”. Babel rozumie że dla kozaków wojna jest wyłącznie zawodem czy atawistycznym powołaniem a nie obowiązkiem nałożonym przez ideologię, kocha ich za to w duchu, cierpi że nie odważają się jego miłości i uważają go za nasłanego przybłądę, chciałby ich naśladować „modląc się do losu o najprostszą ze zdolności — zdolność zabicia człowieka”; a przecież prawdziwa solidarność łączy go nie z zabijającymi, lecz z zabijanymi. Babel drży na widok okropności wojennych, marzy o „świecie bez wrogów”, a równocześnie jego „zajęte serce” przepętlone jest podziwem dla porywów kozackiego męstwa. Babel powtarza jak wyuczony pacierz że „rewolucja nie może się obejść bez strzelania” i że trzeba „otworzyć oczy nawet tym co nie chcą widzieć”, a zaraz potem pogrąża się w zadumie i jakiś ukryty głos odzywa się w nim tymi słowami o Żydach galijskich i wołyńskich: „Ich zdolność do cierpienia miała w sobie posępną wielkość”. Babel to wywyższa się bezwiednie nad żołnierzy Budionnego jako Żyd i rewolucjonista, to przeżywa wobec nich wszystkie katusze kompleksu niższości jako niegodny kozak na przyczepkę. Babel stara się „jeść Międzynarodówkę z prochem i najlepszą krwią”, ale ciągle zbiera mu się na wymioty. To nieustające ani na chwilę kłębówisko sprzeczności sprawia, że *Konna Armia* jest książką nadzwyczajną: jakbyśmy na każdej stronicy dotykali dłońmi obnażonego serca ludzkiego — gorącego, rozdygotanego, miotanego wieloma namiętnościami naraz. Wymiar „rewolucyjny”, dodany do wymiarów „żydowskiego” i „kozackiego”, tłumaczy lepiej niż Tołstoj tę szczególną fakturę prozy Babla, w której widać wątki epicko-heroiczne (surowe a nawet okrutne, dramatyczne, oschłe, esencjalne), przeplatające się z niewiarygodną naturalnością z wątkami sentymentalno-lirycznymi (tu i ówdzie nie bez barokowej ozdoby oka błyszczącego żartem lub zaszklonego łzą).

Czytając 35 opowiadań *Konnej Armii*, myśli się często o 82

planszach Goyi. Tyle tylko że do *Los desastres de la guerra* należy dodać szeptem: *y sus glorias*.

### *Blask i nędza Mołdawanki*

W Mołdawance, żydowskiej dzielnicy Odessy, spotykamy innego Babla. Krytycy (m. in. także Pomianowski) spokrewniają *Opowiadania odesskie* i *Zmierzch z Operą za trzy grosze* Brechta. Poggioli, nie tracąc nigdy z oczu na wskroś plastycznych walorów prozy Babla, wspomina szyćchy Hogartha i Calota. Wszystko to może prawda, ale omijająca trochę z boku istotę rzeczy.

„Policja kończy się tam, gdzie zaczyna się Benia Krzyk” — niekoronowany „król” Mołdawanki, bandyta i galant w jednej osobie. Najlepiej wybrać z różnych *Opowiadań odesskich* kilka fragmentów i ułożyć je w mozaikę. Epilog zaślubin Dwojry Krzyk, siostry „króla”: „A kiedy Benia wrócił do domu, na dworze gasły już latarenki i na niebie zapalał się brzask. Goście się rozeszli, a muzykanci drzemali z głowami dotykającymi szyjek basetli. Tylko ogromna Dwojra nie miała zamiaru spać. Popychała oburzą swego maleńkiego i odrętwiałego z lęku męża w stronę drzwi małżeńskiej sypialni i spoglądała nań żarłocznie jak kot, który trzymając w pysku mysz z lekka próbuje jej zębami”. Pogrzeb biednego Muginsztejna, zabitego przypadkowo przez Sawkę Bucisa z bandy Beni; pogrzeb urządzony na koszt „króla”: „O ten pogrzeb może pan spytać cmentarnych żebraków. Niech pan spyta szamesów z synagogi, handlarzy koszernym drobiem, albo staruch z drugiego przytułku. Takiego pogrzebu Odessa jeszcze nie widziała, a świat już nie zobaczy. Stójkowi tego dnia wdziali niciane rękawiczki. W synagogach umajonych zielenią i otwartych na rościęz płonąła elektryczność. Na białych koniach zaprzężonych do karawanu kołysały się czarne pióropusze. Sześćdziesięciu chórzystów szło na czele orszaku. Chórzyci byli chłopcami, ale śpiewali dziewczęcymi głosami. Zawiadujący synagogą przekupniów koszernego drobiu prowadzili ciocię Pesię pod rękę. Za nimi szli członkowie związku starozakonnych biuralistów, a za starozakonnymi biuralistami — adwokaci, lekarze i dyplomowane akuszerki. Z jednego boku cioci Pesi kroczyły handlarki kur ze Starego Bazaru, a z drugiego honorne mleczarki z Bugajewki okręcone pomarańczowymi szalami. Mleczarki tupały nogami jak zandarmi na defiladzie podczas galówki. Od ich szerokich bioder bił zapach morza i mleka. A z tyłu wlekli się oficjaliści Ruwima Tartakowskiego. Było ich stu albo dwustu, albo i dwa tysiące. Nosili czarne surduty z jedwabnymi klapami i nowe buty, które popiskiwają jak prosięta w worku”. Baśka, córka furmana Gracza, ogląda wieczór na Mołdawance: „Siedziała na ławce i szła sobie wyprawę. Kobiety w ciąży siedziały obok niej, zwały płótna obsuwały się z jej potężnych rozkraczonych kolan, ciężarne



baby nabrzmiewały różnymi różnościami jak krowie wymię nabrzmiewa na pastwisku różowym mlekiem wiosny, a przez ten czas ich mężowie, jeden po drugim, wracali z pracy. Mężowie pyskających żon wyżyłali pod kranem swoje rozczochrane brody, ustępując potem miejsca garbatym staruchom. Staruchy kąpały w korytach tłuste niemowlęta, klepały wnuków po łśniących poślachkach, i zawijały ich w swoje stare halki. I oto Baśka z Tuczyna zobaczyła życie Mołdawanki, matki naszej szczodrej, życie zapchane cyckającymi niemowlętami, suszącymi się szmatami, nocami poślubnymi pełnymi podmiejskiego szyku i żołnierskiej wytrwałości". Nocami nad Mołdawanką „księżyc harcował wśród czarnych obłoków jak zblakany cielak". Cmentarz żydowski w Odessie ze znacznie późniejszego opowiadania *Koniec przytulku*: „Stary czeladnik krawiecki demonstrował swemu zwierchnikowi stuletnią historię Odessy, spoczywającą pod granitowymi płytami. Pokazał mu pomniki i grobowce eksporterów pszenicy, maklerów okrętowych i kupców, którzy zbudowali rosyjską Marsylię tam, gdzie stała wioska Hadżibej. Tu oto leżeli, twarzami ku wrotom, wszyscy Aszkenazowie, Hessenowie i Efrusowie — kutwy z polorem, hulaki z żyłką do filozofii, twórcy odeskich fortun i anegdot. Leżeli pod nagrobkami z labradoru i różowego marmuru, odgrodzeni szpalerem kasztanów i akacji od plebsu stłoczonego pod murami”.

Plebs, stłoczony po śmierci pod murami cmentarza żydowskiego w Odessie a za życia w drewnianych domkach Mołdawanki, jest bohaterem tego cyklu opowiadań Babela. Żyje często w nędzy, ale zawsze w blasku roznieconym magicznymi fajerwerkami swego piewcy. Plebs zawadiacki, skory do bitki i do wypitki, z żyłką do filozofii nie ustępującą w niczym karmazynom i hulakom z bogatych kamienic, odmalowany kolorami z palety podobnej do pawiego ogona. Babel nie boi się tu przesady, jak linoskoczek balansuje zwinnie na pograniczu karykatury realistycznej i romantycznej bajki plebejskiej, co pewien czas wykonuje *salto mortale* z koziołkami w rejonie czystej groteski, znowu lądjuje cudem na lince, przywraca ciału równowagę z pomocą pstrokatego parasola, śmieje się do rozpuku, jest w swoim żywiole jak oszalały włoski aktor tragiczny z opowiadania *Di Grasso*. Trzeba ze świecą i bardzo długo szukać w jego obrazie Mołdawanki brechtowskich akcentów buntu społecznego. Alchemia poetycka którą wykarmiły wspomnienia dzieciństwa daje życiodajny oddech tej feerii ludowej, wykrzesanej z żydowskiej nędzy.

Babel kocha Odessę i Mołdawankę tak, jak tylko pisarz potrafi kochać pierwsze źródło swej inspiracji. Wielokrotnie potem, w okresie milczenia lub ugorowania, wracał myślami (a nie raz i fizycznie) tam gdzie narodził się jego pęd do opowiadania historii, które — jak głosi zakończenie *Lubki Kozaka* — zamierzał „opowiedzieć wszystkie po kolei, bo to bardzo ciekawe historie”.

### *Ars poetica*

Konstantin Paustowskij opowiada wizytę Babela w redakcji *Morjaka*. Babel położył na stole czytanego właśnie Kiplinga. Potoczyła się rozmowa o różnych sprawach, ale w końcu leżąca na stole książka zrobiła swoje. Należy pisać tak jak Kipling — dowodził Babel, — żelazną prozą i z absolutną jasnością. Opowiadanie powinno dążyć do precyzji meldunku wojskowego lub przekazu bankowego. Nagle dodał nieoczekiwanie: „U nas w Odessie nie będzie Kiplingów. My odessyci jesteśmy spokojnymi wielbicielami życia. Będziemy za to mieli Maupassantów. Za Maupassantów ręczę”.

W jakiś czas potem Paustowskij zobaczył u Babela ogromny manuskrypt: były to dwadzieścia dwie redakcje *Lubki Kozaka*, dziesięciostronicowego opowiadania. Babel, dostrzegłszy na twarzy gościa wyraz osłupienia, wtajemniczył go w sekrety swego warsztatu. „Nie mam wyobraźni. Mówię poważnie. Nie umiem zmyślać. Muszę znać wszystko, aż do najdrobniejszego włókna, inaczej na nic moja pisanina. Na mojej tarczy wytłoczone jest motto „autentyczność”. To dlatego piszę tak mało i tak wolno... Dyspozycja mozartowska, radość jaką się odczuwa nad białą kartą papieru, lekki lot fantazji — wszystko bzdury... Nawet kiedy piszę najbliższe opowiadanko, czuję się jak człowiek który musi sam łopatać rozkopać Everest... Moja proza jest mimo to potoczysta? Dochodzę do tego wyłącznie poszukiwaniem stylistycznym. Stylem dokonujemy naszych podbojów, stylem! Mógłbym napisać opowiadanie o praniu, a zadźwięczy jak proza Juliusza Cezara. Od języka i stylu zależy wszystko, ale rzecz w tym żeby mieć doskonały materiał, drogocenny surowiec... Dwadzieścia dwie redakcje jednego krótkiego opowiadania, co za przesada! A ja tymczasem nie jestem pewien, czy ostatnia nadaje się już do druku. Może dałoby się osiągnąć jeszcze większą zwięzłość. Ta nieustanna selekcja stwarza właśnie siłę języka i stylu. Biorę jakikolwiek drobiazg, anegdotę, epizod podpatrzony na jarmarku, i robię z tego rzecz od której nie mogę się więcej oderwać: jest połyskująca, gładka i obtoczona jak kamyk na plaży, trzyma się dzięki powiązaniu poszczególnych drobni. I to powiązanie jest tak trwałe, że nawet piorun nie mógłby go rozbić. Oto opowiadanie które będzie czytane i zapamiętane. I wzbudzi także śmiech, nie dlatego że jest zabawne, ale dlatego że zawsze przychodzi ochota zaśmiać się gdy oglądamy udany wynik ludzkiego przedsięwzięcia... Ciągły dotyk ręki nadaje piękny połysk nawet najbardziej surowemu drzewu, które staje się podobne do kości słoniowej. I tak się też dzieje z naszymi słowami, z językiem rosyjskim. Dość położyć na nim ciepłą dłoń, a zamienia się w żywy klejnot”. Dalej nastąpiły szczegóły techniczne: wielokrotna kontrola zdania po zdaniu z wykreślaniami każdego zbędnego słowa („trzeba tu być wyjątkowym ostrowidzem, gdyż język posiada sporą zgręczność w ukry-



waniu swoich odpadków, powtórzeń i synonimów, całego tego śmiecia bez sensu”), kontrola świeżości i ścisłości wszystkich obrazów, porównań i metafor („jeśli nie można znaleźć celnego porównania, lepiej dać spokój i poprzestać na samym rzeczowniku”), rozbitcie tekstu na krótkie i lekkie zdania („nie należy się bać kropek, każde zdanie powinno zawierać jedną myśl, jeden obraz”), eliminacja imiesłów z wyjątkiem absolutnie nieodzownych („imiesłowy wprowadzają do stylu kanciastość i ciężkość, niszczą harmonię języka”), przestrzeganie zasady jednego przymiotnika towarzyszącego rzeczownikowi („użycie dwóch przymiotników przy jednym rzeczowniku jest zuchwałstwem, na które może sobie pozwolić tylko geniusz”), stosowanie interpunkcji i akapitów zgodnie z regułami ale bez niewolniczej i mechanicznej wierności „nudnemu katechizmowi”. W sumie: „Linia w prozie powinna być sucha i czysta jak w grawiurze”.

Znamy to po części również z pięknego opowiadania *Guy de Maupassant*, które jest beletrystycznym wykładem poetyki Babla. „Fraza rodzi się w kształcie jednocześnie i złym i dobrym. Tajemnica sprowadza się do ledwie wyczuwalnego obrotu. Dźwignia powinna dobrze leżeć w dłoni i grzać się w jej ciepłe. Użyć jej należy raz tylko, a nie dwa”. (Uderzające jest podobieństwo tego „przepisu” do rzuconej gdzieś mimochodem uwagi Henry James’a, mimo że trudno o pisarzy bardziej sobie obcych i odmiennych). Albo: „Zaden sztylet nie potrafi wejść w ludzkie serce z tak mrozącą siłą, jak postawiona w porę kropka”.

Był całkowicie szczery Babel, zapewniając że „nie ma wyobraźni” i „nie umie zmyślać”? W pewnym sensie tak. W jego najlepszych opowiadaniach, nawet odeskich, co może na pozór uchodzić za rozbrykaną fantazję, jest w rzeczywistości tylko transfiguracją poetyką faktów świeżo widzianych na własne oczy lub odcisniętych w pamięci po wysłuchaniu cudzej relacji. Dopiero one poruszają wtórnie do gry wyobraźnię osadzoną mocno w realiach, trzymaną — choć to nie do wiary! — w cuglach niezmiernie świadomej i „zimnej” procedury artystycznej. Z Maupassantem łączyło jedno: gdy przemawiał doń jakiś epizod i decydował się wziąć go na warsztat, starał się drogą niezliczonych redukcji i uściśleń dotrzeć w nim do twardego jądra, nieflamliwego i nie poddającego się więcej grubym obciosaniom; pracował przy tym tak, jakby za każdym razem miał nadzieję uwięzić w kropli wody odbicie całego świata. Wtedy zaczynał się szlif. A że nie mógł się on już odrywać inaczej niż w samej sferze języka i stylu, nie była bynajmniej u Babla zaskakująca flaubertowska obsesja *le mot juste*. Z Maupassanta pamiętamy po latach pewne pejzaże, pewne zdarzenia, pewne chwile, i mamy poczucie ich ważności wykraczającej daleko poza słowa w których zostały utrwalone. Babel nie przyniósł wstydu swemu Mistrzowi: zostanie po nim nie mało opowiadań o spoistości kamyków nadmorskich, których nie roztrząska żaden grom.

Babel zachwycał się wczesnym Gogolem z opowiadań ukraińskich, żalując że z biegiem czasu „Petersburg zwyciężył Poltawszczyznę, a Akakij Akakijewicz pognął Hrycia”. Wbrew temu sam, według Erenburga, zaczął w latach trzydziestych szukać drogi którą Gogol poszedł w drugim okresie swej twórczości. Pomianowski słusznie zaopatruje to twierdzenie w znak zapytania: w roku 1937 Babel napisał *Pocałunek*, ostatnie opowiadanie ogłoszone drukiem w Rosji przed banicją literacką, w którym odskoczył w siedmiomilowych butach od wcześniejszej o trzy lata *Nafty*, powitanej entuzjastycznie przez krytykę sowiecką jako zapowiedź oczekiwanego od dawna „równania roku”. Nie twierdząc, że *Nafta* jest pozbawiona wartości. Twierdząc tylko, że Babel przemawia w niej niepełnym i niezupełnie swoim głosem.

#### Opowiadania trefne

Pomianowski informuje, że „działa dziś w Moskwie specjalna komisja Związku Literatów Radzieckich, zajmująca się odszukiwaniem i zbieraniem wszystkich dzieł i pism rozproszonych Babla”. Wolno wątpić czy szanowna komisja specjalna działa w dobrej wierze. *Izbrannoje* z 1957 roku ujawniło już jeden aspekt tej działalności. Feltrinelli, wydawca *Doktora Żiwago*, ujawnia teraz inny: tom trzeci *opera omnia* Babla po włosku przynosi „opowiadania zakazane” i listy pisarza do rodziny (3).

Mianem „zakazanych” objął wydawca włoski dwa debiutanckie opowiadania Babla z roku 1916 (*Mama, Rimma i Alla* oraz *Ilja Isaakowicz i Margarita Prokofiewna*; ukazały się w redagowanym przez Gorkiego czasopiśmie *Letopis* i to one właśnie naraziły młodego autora w oczach carskich stróżów moralności na zarzut pornografii), dwa opowiadania z roku 1924 (*Bagrat-Ogły i oczy jego byka* oraz *Bajka o jednej kobiecie*; ogłosiła je *Krasnaja Now*), i wreszcie pierwszy rozdział projektowanej powieści *Wielikaja Krinica* (wydrukował go w roku 1931 *Nowyj Mir* pod tytułem *Gapa Guźwa*).

Co najmniej trzy z tych pięciu utworów musiały w cenzorze sowieckim wzbudzić sprzeciw pruderyjny, podobny do oburzenia jego carskiego poprzednika. W pierwszym rozdziale zamierzonej powieści można się od biedy przez szkło powiększające dopatrzeć *nieblagonadiożnych* akcentów politycznych: rzecz dzieje się podczas kolektywizacji na Ukrainie (nawiasem mówiąc, ta brawurowa uwertura przywodzi najbardziej na myśl wczesne opowiadania Gogola). I trudno tu stosownie — choć skromnie — uczcić pamięć pisarza okrojonego w Moskwie i w Warszawie, niż przekładając jedno z jego opowiadań trefnych.

(3) Isaak Babel. *Racconti proibiti e lettere intime*. A cura di Maria Olsoufiewa. Mediolan, Feltrinelli, 1961. Str. 413.



## ILJA ISAAKOWICZ I MARGARITA PROKOFIEWNA

Herszkowicz wyszedł z cyrkułu z ciężkim sercem. Zawiadomiono go że jeśli nie opuści Orła pierwszym pociągiem, zostanie odstawiony do swego miasta rodzinnego pod konwojem. A wyjechać znaczyło zaprzepaścić interes.

Z teczką w ręce, chuderlawy, szedł bez pośpiechu ciemną ulicą. Na roku zaczęła go wysoka kobieta:

— Pójdiesz ze mną, duszko?

Herszkowicz podniósł brwi, przyjrzał jej się zza okularów które zaświeciły krótkim błyskiem, podumał chwilę i odpowiedział z godnością:

— Dobrze.

Kobieta wzięła go pod pachę. Skręcili za róg.

— Dokąd pójdziemy? Do hotelu?

— Muszę prznocować u ciebie — odpowiedział Herszkowicz.

— No to trzy ruble, ojczulku.

— Dwa — powiedział Herszkowicz.

— Będę stratna, ojczulku.

Zgodzili się na dwa ruble pięćdziesiąt kopiejek. Uszli jeszcze kawałek.

Pokój prostytutki był mały, czysty, z wytartymi firaneczkami i różowym abażurem. Kobieta zdjęła płaszcz, rozpięła bluzkę... i puściła oko.

— Eh — skrzywił się Herszkowicz, — a to co za głupstwa!

— Gniewasz się, ojczulku?

Usiadła mu na kolanach.

— Na psa urok! — powiedział Herszkowicz. — Wazysz jakie osiemdziesiąt kilo, ha?

— Siedemdziesiąt i pół.

Obcałowała mu dziobaty policzek.

— Eh — skrzywił się znowu Herszkowicz. — Jestem zmęczony, chcę pospać.

Prostytutka wstała. Jej twarz stała się zła.

— Żyd?

Spojrzał na nią znad okularów i odpowiedział:

— Nie.

— Ojczulku — wycedziła wolno prostytutka, — za taką zabawę płaci się dziesięć rubli.

Herszkowicz wstał i ruszył ku drzwiom.

— Pięć — powiedziała kobieta.

Herszkowicz wrócił na dawne miejsce.

— Pościel mi łóżko — powiedział zmęczonym głosem. Zdjął zakiet i rozejrzał się dokoła, szukając gdzie by go tu powiesić. — Jak ci na imię?

— Margarita.

— Zmień prześcieradła, Margarita.

Łóżko było szerokie, z miękką pierzyną.

Herszkowicz zaczął się powolutku rozbierać: ściągnął białe skarpetki, rozczapierzył spocone palce u nóg, przekręcił klucz w drzwiach i schował go pod poduszkę. Margarita wylazła ziewając z sukni, wycisnęła sobie zezując pryszcz na plecach, i zaczęła rozczesywać warkocz, rzadki warkoczyk, gotowa do snu.

— Jak ci na imię, ojczulku?

— Eli, Ilja Isaakowicz.

— Handlujesz?

— Taki tam nasz handel — odpowiedział Herszkowicz.

Margarita zdmuchnęła płomyk lampy i wsunęła się pod pierzynę.

— Na psa urok! — powiedział Herszkowicz. — Jest co w rękę wziąć.

Usnęli szybko.

Nazajutrz rano światło słoneczne zalało pokój. Herszkowicz obudził się, ubrał się, podszedł do okna.

— U nas morze, u was pole — powiedział. — Ładnie.

— Skąd jesteś? — zapytała Margarita.

— Z Odessy — odpowiedział. — Drugiego takiego miasta nie ma na całym świecie. Piękne miasto — i uśmiechnął się chytrze.

— Zdaje się że dla ciebie wszędzie pięknie.

— Czemu nie? — odpowiedział Herszkowicz. — Wszędzie pięknie kiedy ludzie dokoła.

— Ah durak ty, durak — powiedziała Margarita, podnosząc się z łóżka. — Ludzie są źli.

— Nie — zaprzeczył Herszkowicz, — ludzie są dobrzy. Ale wyuczono ich że są źli i oni w końcu uwierzyli.

Margarita zamyśliła się, a potem uśmiechnęła.

— Cudak z ciebie — powiedziała wolno i zmierzyła go uważnie od stóp do głów. — Odwróć się. Muszę się ubrać.

Potem zjedli śniadanie, herbatę z obwarzankami. Herszkowicz nauczył Margaritę w specjalny sposób smarować masłem obwarzanki i obkładać je kiełbasą.

— Skosztuj sama. Ja i tak muszę już iść.



Wychodząc powiedział:

— Ot tobie trzy ruble, Margarita. Żebyś tak zdrowy był, trzeba się w dzisiejszych czasach dobrze naharować za jedną kopiejkę.

Margarita uśmiechnęła się:

— Kutwa bo kutwa. Przyjdiesz wieczorem?

— Przyjdę.

Wieczorem Herszkowicz przyniósł śledzia, butelkę piwa, wędlinę, jabłka. Margarita miała na sobie ciemną suknię zapiętą pod szyją. Podczas kolacji rozmowa się ożywiła.

— Pięćdziesiąt na miesiąc nie starcza — mówiła Margarita. — W tym zawodzie kto wkłada na grzbiet łachy, nie zarobi nawet na zupe. A piętnaście płacę za pokój. Porachujno ździebko.

— U nas w Odessie — odpowiedział po namyśle Herszkowicz, pochłonięty krajaniem śledzia na równe części — za dzień się rubli w Mołdawance pokój jak dla króla.

— Dobrze ci gadać. Do mnie rozmaici przychodzą ludzie, od pijanic też Bóg nie uchroni...

— Każdemu nie brak kłopotów — zawyrokował Herszkowicz i opowiedział o własnej rodzinie, o kiepskich interesach, o pierworodnym wziętym z poboru.

Margarita słuchała z głową opartą na stole, miała na twarzy wyraz uwagi, spokoju i skupienia.

Po kolacji Herszkowicz zdjął zakiet i wytarłszy dokładnie okulary małą szmatką, zasiadł do stołu, przysunął do siebie lampę i zabrał się do pisania listów handlowych. Margarita myła włosy.

Herszkowicz pisał z rozmachem, unosząc brwi w ważniejszych miejscach, co jakiś czas robił pauzę dla zastanowienia się, umaczawszy pióro pamiętał zawsze by strząsnąć do kałamarza nadmiar atramentu.

Kiedy skończył pisać, posadził Margaritę na przycisku.

— Wielka z ciebie pani, masz swoją wagę. Posiedź na tym trochę, Prokofiewna, do nóg się kłaniam.

Herszkowicz uśmiechnął się, zamigotały szkła, oczy stały się błyszczące, małe, wesołe.

Nazajutrz był dzień wyjazdu. Przechadzając się pod dachem peronu na parę minut przed odejściem pociągu, Herszkowicz ujrzał Margaritę jak biegła ku niemu z paczuszką w ręce. W paczuszce były ciasteczka, na papierze opakowania rozlewały się tłuste plamy. Margarita miała twarz zarumienioną, wyglądała żałośnie, pierś falowała jej od biegu.

— Niech pan pozdrowi ode mnie Odessę — powiedziała, — niech pan pozdrowi...

— Dziękuję — odpowiedział Herszkowicz. Wziął ciasteczka, uniósł brwi, podumał o czymś i zgarbił plecy.

Zadzwieczęła trzeci dzwonek. Podali sobie ręce.

— Do widzenia, Margarita Prokofiewna.

— Do widzenia, Ilja Issakowicz.

Herszkowicz wsiadł. Pociąg ruszył.

#### *Listy do matki i siostry*

Listy do matki Fiodosji i siostry Marii, osiadłych wkrótce po rewolucji w Brukseli, pisał Babel z różnych miejscowości Związku Sowieckiego w latach 1925-1939. Zaginęły listy do żony Żeni która wraz z córeczką pisarza, Nataszą, mieszkała w Paryżu i tam zmarła. Bablowi udawało się niekiedy wyjeżdżać na dłuższe nawet okresy zagranicę: część jego listów do belgijskiej „filii rodziny” pochodzi więc z Paryża i z Włoch, gdzie był w Sorrento gościem Gorkiego. Jeśli nie liczyć przyjaciół i dalszych krewnych (a w ostatnich latach kobiety, która urodziła mu drugą córeczkę Lidię), żył w Rosji zupełnie sam. Wszystkie próby skłonienia do powrotu najbliższych z Brukseli i Paryża spełzły na niczym. Dał w końcu za wygraną.

Listy Babela do matki i siostry czyta się z mieszanymi uczuciami. Tłumaczka włoska, przypuszczalnie wtajemniczona przez adresatki, wyjaśnia że rozliczne wzmianki o wysyłce książek odnoszą się do przekazów pieniężnych: Babel pracował jak wół, dwoił się i troił, podpisywał umowę za umową na scenariusze filmowe, byle sprostać finansowo swoim obowiązkom rodzinnym (miał także na karku rozgałęzienia „klanu” w Odessie i w innych miastach rosyjskich). Ale prócz tego szyfru książkowo-walutowego natrafiamy przy uważnej lekturze na inny, bardziej wymyślny.

W miarę upływu lat, krzepnięcia stalinizmu z całą „nadbudową” jego następstw, znikają z listów dość przejrzyste aluzje krytyczne, ustępując miejsca podejrzanym wybuchom zachwytu: wszystko jest nagle „gigantyczne, wspaniałe i epokowe”, każda fabryka i każdy kolchoz pozostawiają „niezatarte wrażenie”, Moskwa prześciga w rekordowym tempie stolicę Zachodu, naród rosyjski wykonał „tygrysi skok naprzód”, Arkadia komunistyczna staje się rzeczywistością ukrytą tuż tuż za węglem, stopa życiowa pnie się wzwyż „z niesłychaną szybkością”, gazety są z każdym dniem ciekawsze, pisarze coraz lepsi. A równocześnie: „zaraziliście mnie tą typowo żydowską chorobą wiecznego niepokoju”; „piszcie, piszcie, bo jesteście jedynymi autorkami które czytam z zainteresowaniem”; „kochana mamusiu, odzywam się rzadko nie dlatego że mi się źle wiedzie, nie chodzi wcale o to — miliony ludzi uważałyby moje życie za łatwe, szczęśliwe, uprzywilejowane — pisuję rzadko gdyż moja egzystencja jest nie-



pewna i ta niepewność nie wynika z niczego innego jak z kryzysu i z wątpliwości związanych z moją pracą; w kraju tak jednolitym i zwartym jak nasz nie można uniknąć pewnej banalności, ale ja chcę ją poskromić, chcę wprowadzić do naszej literatury nowe myśli, nowe uczucia i nowy rytm" Miłość do matki dochodzi do tonów ekstatycznych, prawie chorobliwych: „A mama? Wszystkie słowa zostały powiedziane, moje serce zamiera z niepokoju, nie ma chwili bym nie modlił się za nią do Boga. Czytając pergaminy lat widzę że w moim życiu była tylko jedna prawdziwa, niezmienna, niezniszczalna miłość: do Fieni". Nie wiodło mu się istotnie źle, nie mógł narzekać na materialne skąpstwo losu: miał mieszkanie i samochód w Moskwie, przydzielono mu nowiuteńką *dacę* w Pieredelkinie, zamierzał się „pobudować” w Odessie, podróżował wzdłuż i wszerz po Rosji, wszędzie rozchwytywany przez wielbicjeli, goszczony, fetowany. A jednak antenami swej „żydowskiej nadwrażliwości” musiał czuć, że powoli zaciska się obręcz. Pozostawało czekać szastając się i rozmięniając na drobne, skacząc nieprzytomnie z miejsca na miejsce, ściskając na przemian dłonie przyjaciół szczyrych i obłudnych, zakopując się tygodniami w niewdzięcznej robocie zarobkowej; i bez ustanku chwytać się za serce zdławione w kleszczach niepokoju, śląc jedno S.O.S. za drugim do Brukseli i Paryża gdy powstawały przerwy w korespondencji. Nie, nie było innego wyjścia. Podobnie jak znacznie później Pasternak, tak on rozstrzygnął *ten* problem raz na zawsze po powrocie z Paryża w roku 1928: „Nie brak tu biedy, dużo jest rzeczy smutnych, ale czuję wyraźnie z każdym dniem który mija, że wracam do mojego stanu normalnego, podczas gdy w Paryżu było we mnie coś podrabianego, prowizorycznego. Gotów jestem szukać za granicą rozrywki, ale pracować trzeba tutaj”.

Czy przynajmniej „pracował tutaj” na serio, czy pisał cokolwiek poza scenariuszami filmowymi i od czasu do czasu króciutkim opowiadaniem? Trudno wyrobić sobie o tym jasne zdanie. Gdyby wierzyć listom, zwłaszcza poczynawszy od roku mniej więcej 1931, ogary Berii przyniosły z Pieredelkina swemu panu w pyskach wraz z pisarzem jego obszerny i drogocenny choć niewykończony manuskrypt. W samej rzeczy, niemal każdy z tych listów donosi o wielkim dziele zbliżającym się już do końca, o przykładowej nauce dla niewiernych Tomaszów, o szykowanej w zaroślach „ciężkiej artylerii” wobec której drukowane właśnie drobiazgi są pukawkami bez znaczenia, o „szufladach” wypchanych po brzegi skarbami. Co do mnie, skłonny jestem raczej podejrzewać że częstotliwość i uporczywość tych anonosów wskazuje na ich obsesyjny mechanizm psychologiczny: Babel zapewne nie pisał nic poza tym co ogłaszał, a uprawiał tylko grę często spotykaną u autorów rażonych czasową niemocą twórczą: grę znieczulającego autoiluzjonizmu połączonego z wiarą, że słowa jak zaklęcia uderzą na koniec w skałę łaską Mojżesza. I jakkolwiek okrutny, ten domysł jest mimo wszystko mniej boles-

ny od przypuszczenia że rękopis Babela spłynął z wodą i nieczystościami wychodków na Łubiance tam, skąd nie wydobędzie go już żadna „specjalna komisja Związku Literatów Radzieckich”.

W liście z 22 lipca 1930 roku czytamy: „Cała ta obrzydliwość w związku z „wywiadem na Riwierze” skończyła się moim pełnym triumfem. *Literaturnaja Gazeta*, która w swojej niecierpliwości (nijak nie mogła dłużej wytrzymać oczekiwania na moje czcigodne utwory) przekroczyła wszelkie granice, ma teraz odprawę na jaką zasłużyła. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Ale całe to podniecenie wokół mojej pracy (nie macie pojęcia jak gorączkowe) nadszarpnęłoby każdego człowieka mniej stanowczego ode mnie...”. Obrzydliwość o której wspomina Babel dotyczy „wywiadu na Riwierze” przeprowadzonego z nim przez współpracownika warszawskich *Wiadomości Literackich*, Aleksandra Dana. Czy był to istotnie autoryzowany wywiad, czy tylko towarzyska pogawędka na plaży wykorzystana później bezceremonialnie przez obrotowego dziennikarza polskiego, nie podobna dziś ustalić z absolutną pewnością. Nie podobna też ustalić czy Babel powiedział istotnie swemu przygodnemu rozmówcy, że nie może swobodnie pracować w Rosji sowieckiej. Pewne są natomiast dwie rzeczy: że ten nieszczęsny „wywiad na Riwierze” był po wydrukowaniu dla Babela źródłem wielu kłopotów; i że jeśliby nawet Babel posunął był swą lekkomyślność lub nieostrożność aż tak daleko, nie należało tego ogłaszać w *Warszawskich Wiadomości Literackich* jest to, że nie posiadał on jeszcze wówczas w delikatnej dziedzinie „sowieologicznej” takiego doświadczenia, jakie posiada dziś redaktor londyńskich *Wiadomości*. A dość prawdopodobna jedna: że odnośny numer *Wiadomości Literackich* znalazł się później wśród załączników do „aktu oskarżenia” przeciw pisarzowi. „Pełny triumf” Babela polegał na tym, że sekretariat Federacji Pisarzy Sowieckich wziął go w obronę przed napaścią *Literaturnoj Gazety*, stając na stanowisku że „wywiad na Riwierze” był „zwykłym burżuazyjnym falsyfikatem” (Babel zamierzał wytoczyć tygodnikowi polskiemu proces o „oszczerstwo” za pośrednictwem ambasady sowieckiej w Warszawie). Szczegół nie pozbawiony pikanterii: rolę donosiciela i oskarżyciela w tej sprawie odegrał Bruno Jasiński, który warszawską „bombę” wyeksplodował natychmiast w Moskwie; nie uchroniło go to, jak wiadomo, od podzielenia w końcu losu Babela.

Ostatni list z 10 maja 1939 roku, na dwa tygodnie przed aresztowaniem:

„Do waszej wiadomości: donoszę wam że w Pieredelkinie pada śnieg od dwóch dni... Nie ma co, piękna połowa maja! Klimat Brukseli ma prawo nam zazdrościć. Jestem tu już urządzony i czuję się świetnie, nudzi mnie tylko palenie w piecach. Jutro pojedę na dzień do Moskwy, mam nadzieję że zastanę



tam list od Meri (tak Babel nazywał siostrę Marię — przyp. mój). Jak się udała jej podróż? Szkoda że mama nie mogła pojechać razem z nią... Posłałem Nataszy (córeczka Babla w Paryżu — przyp. mój) kilka książek; obsłużwszy wnuczkę, muszę teraz pomyśleć o babci, postaram się jutro zdobyć dla niej trochę nowej literatury... Nie przewiduję chwilowo nowych zajęć; kończę ostatni scenariusz (do filmu o Gorkim) i niebawem zabiorę się do definitywnej redakcji dzieła które najbardziej leży mi na sercu, licząc że będę je mógł złożyć w wydawnictwie jesienią. Piszcie często, bo nie mam czasu odpisywać wam tomami, a wasze epistoły są moją ulubioną lekturą. Jak się mają Grisza i Borys, widzicie ich często?”.

Na tym koniec; oddała się w ciemność i śmierć największy może nowelista, jakiego Rosja wydała w pokoleniu wchodzącym na scenę po Czechowie i Buninie.

### Nagrobek

Gdyby na cmentarzu żydowskim w Odessie, który tak często występuje w opowiadaniach Babla, postawiono kiedyś jego symboliczny nagrobek, powinny się na nim znaleźć cztery napisy.

Z listu do matki: „W życiu bywają dni smutne i dni wesołe, ale nie trzeba obsmarowywać wszystkiego na czarno. Powinniśmy smuć się tym co smutne, a weselić tym co wesołe. Najprostsza to i jednocześnie najważniejsza filozofia”. Gdyż był człowiekiem dobrym i — choć „miał jesień w sercu” — z natury pogodnym, przekonany że „ludzie są dobrzy, ale wyuczono ich że są źli i oni w końcu uwierzyli”.

Z dramatu *Zmierzch*: „My wiemy, aż nazbyt dobrze wiemy, że nikt drogi życia nie wybrukował, nikt nie ponastawiał ławek na tym długim szlaku, i przez to że wielkie tłumy ludzkie tą drogą już przeszły nie stała się ona lżejsza, stała się jeszcze cięższa”. Gdyż wbrew swym własnym zapewnieniom był rewolucjonistą wątpliwym, podatnym na przypiływy „żydowskiego sceptycyzmu”.

Z Biblii: „Siła jest złakniona, a tylko smutek gasi pragnienie serca”. Gdyż kochał ten tajemniczy werset i, jak to widać z jego listów, nie przestawał wciąż krążyć wokół swego „ex-Boga”.

Z opowiadania *Guy de Maupassant*: „Jego dzieła były pięknym grobowcem ludzkiego serca”. Gdyż zasłużył na takie samo określenie jako rosyjski uczeń wielkiego pisarza francuskiego.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## Mówi Moskwa

— Miju! — płacze mały, słaby kotek.  
— Miju! — jeszcze się miauczenia nie nauczył.  
Opuszczony, sam, ze strachem i tęsknotą,  
pod ławkami włóczy się i kłuczy.

A na ławkach siedzi ludzi zgraja,  
tacy wielcy, silni, tyle ludzi wszędzie.  
Samochoody, jak złe psy, szczekają.  
Kotek przerażony: co z nim będzie?

W świat puścili go, samego zostawili,  
jakże cięży samodzielność w świecie.  
— Miju! — kotek wyzwolony kwili.  
— Wytłumaczcie! Jak mam żyć, powiedzcie!

Cóż — podrośnie kotek i okrzepnie,  
w kły, w pazury zaopatry się wkrótce,  
ostro błysną jego żółte ślepie,  
jak rozbita butelka po wódce.

I nauczy się „Mia-u”! Krzyknie z całej mocy,  
że jest gotów wbić pazury w wraźą szyję;  
a na razie — serce w nim łomoce,  
a na razie: — Miju... miju... miju...

Ilja Czur „Moskiewskie bulwary”

### I

Gdy obecnie staram się w myśli odtworzyć wydarzenia ubiegłego lata, jest mi niezmiernie trudno usystematyzować moje wspomnienia, połączyć je i wyłożyć wszystko, co widziałem, sły-



szaleł i czulem; ale ów dzień, gdy się to zaczęło, zapamiętałem bardzo dobrze, aż do najdrobniejszych, nic nie znaczących szczegółów.

Siedzieliśmy w ogrodzie, na podmiejskiej wsi. Poprzedniego dnia, wszyscy, którzy zjechaliśmy na urodziny Igora, mocno popiliśmy, hałasowali i nareszcie udaliśmy się na spoczynek, przekonani, że będziemy spali aż do południa; jednakże ta podmiejska cisza zbudziła nas już o siódmej rano. Wstaliśmy i zaczęliśmy wszyscy razem zachowywać się w najbardziej nonsensowny sposób: biegaliśmy przez aleje w samych spodenkach, podciągaliśmy się na drążku (i tak nikt nie potrafił zrobić tego więcej, niż pięć razy), zaś Włodek Margulis nawet oblał się wodą ze studni, chociaż wszyscy wiedzieli, że zrana nigdy się nie myje, żeby się nie spóźnić — jak twierdził — do pracy.

Siedzieliśmy, żywo spierając się, jak najlepiej spędzić niedzielę. Naturalnie, była mowa o kąpeli, o grze w siatkówkę i przejażdżce na łódkach; jakiś rozzuchwalony entuzjasta zaproponował nawet wyprawę na piechotę do sąsiedniej wsi, do cerkwi.

— To bardzo piękna cerkiew — powiedział — bardzo stara, tylko nie pamiętam, z którego stulecia...

Wyśmiano go — nikomu nie uśmiechała się perspektywa zapychania ośmiu kilometrów w takich upale.

Tworzyliśmy, zapewne, bardzo osobliwe widowisko: trzydziesto-trzydziestopięcioletni mężczyźni i kobiety, porozbierani, jakby to było na plaży. Przez delikatność staraliśmy się nie zauważać nawzajem różnych śmiesznych i żalonych niespodzianek: zapadłe piersi i zaznaczające się brzuszki u mężczyzn, owłosione nogi i brak wciętej kibici u kobiet. Znaliśmy się wszyscy od dawna, wiedzieliśmy, jakie kto nosi garnitury, krawaty i suknie, ale nikt z nas sobie nie wyobrażał, jacy jesteśmy bez ubrania, w naturalnej postaci. Któżby, na przykład, mógł odgadnąć, że Igor, taki elegancki i zawsze dbający o siebie, mający niewątpliwie powodzenie u koleżanek w akademii, posiada krzywe nogi? Oglądać siebie nawzajem było tak samo interesująco, śmiesznie i wstydliwie, jak przyglądać się pornograficznym zdjęciom.

Siedzieliśmy, mocno przylepieni tyłkami do krzeseł, głupio wyglądających na trawniku, i rozmawialiśmy o oczekujących nas sportowych wyczynach. Nagle na tarasie zjawiała się Lila.

— Chłopcy — powiedziała — nic nie rozumiem.

— A cóż ty właściwie masz do rozumienia. Chodź do nas.

— Nic nie rozumiem — powtórzyła, uśmiechając się żałośnie — radio... Nadawali przez radio... Usłyszałam tylko zakończenie... Za dziesięć minut znowu będą nadawać.

— Coś bieżącego — speakerskim basem powiedział Włodek — dwudziesta pierwsza z kolei obniżka cen chomątów i popręgów...

— Chodźcie do domu — powiedziała Lila. — Bardzo was proszę...

Łumnie wtargnęliśmy do pokoju, w którym na gwoździu wisiał głośnik z plastyku. W odpowiedzi na nasze zdumione pytania Lila tylko wzdychała.

— Wzdycha jak lokomotywa — zażartował Włodek. — A co, dobrze powiedziane? Określenie zupełnie jak z Ilfa i Pietrowa.

— Lilka, przestań z nami rozrabiać — zaczął Igor. — Wiem dobrze, że ci się samej nudzi przy myciu naczyń...

I właśnie w tej chwili przemówiło radio.

— Tu mówi Moskwa — odezwał się głośnik — tu mówi Moskwa. Nadajemy Dekret Rady Najwyższej Związku Sowieckich Socjalistycznych Republik, z dnia 16-go lipca 1960 roku. W związku z rosnącym dobrobytem...

Obejrzałem się. Wszyscy stali spokojnie, wsłuchując się w przelewający się baryton speakera, a tylko Lila sama jedna uwijała się, jak fotograf przed dziećmi, coraz to robiąc zapraszające gesty w kierunku głośnika.

— ...naprzeciw życzeniom szerokich mas pracujących...

— Włodek, proszę o zapałki — powiedziała Zoja. Ktoś na nią syknął. Wzruszyła ramionami, chwyciła dłonią papieros który wyleciał z ust, odwróciła się ku oknu.

— ...ogłosić niedzielę 10 sierpnia 1960 roku...

— O, to właśnie! — zawołała Lila.

— ...dniami jawnych morderstw. W wymienionym dniu wszyscy obywatele Związku Sowieckiego, którzy ukończyli szesnaście lat, będą mieli prawo swobodnego zamordowania każdego innego obywatela, z wyjątkiem osób wymienionych w punkcie pierwszym dodatku do niniejszego dekretu. Dekret staje się prawomocny 10 sierpnia 1960 roku, o szóstej godzinie zrana i traci moc o 24-ej tegoż dnia. Dodatek. Punkt pierwszy. Zabrania się mordować: a) dzieci poniżej szesnastu lat; b) wojskowych i pracowników milicji w mundurach; c) pracowników komunikacyjnych przy wykonywaniu obowiązków służbowych. Punkt drugi. Morderstwo, popełnione przed lub po upływie wyszczególnionego terminu, podobnie jak morderstwo, popełnione w chęci zysku, albo połączone z gwałtem nad kobietą, będzie traktowane jako przestępstwo kryminalne i karane zgodnie z istniejącymi prawami. Moskwa, Kreml. Przewodniczący Prezydium Najwyższej...



Następnie głośnik zapowiedział:

— W dalszym ciągu transmitujemy koncert lekkiej muzyki...

Staliśmy, spoglądając jedno na drugie w zupełnym osłupieniu.

— Dziwne — powiedziałem. — Bardzo dziwne. Nie rozumiem, w jakim celu.

— Wyjaśnią — odezwała się Zoja. — Nie może być żeby gazety nie podały wyjaśnienia.

— Towarzysze, to prowokacja! — Igor zaczął miotać się po pokoju, w poszukiwaniu koszuli. — To prowokacja. To „Głos Ameryki”, który włączył się na naszą falę.

Skakał na jednej nodze, wciągając spodnie.

— Och, przepraszam! — wyskoczył na taras i tam zapiął rozporek. Nikt nawet nie uśmiechnął się.

— „Głos Ameryki”? — zamyśleniu powtórzył Włodek. — Nie, to niemożliwe. Technicznie niemożliwe. Przecież w tej chwili — spojrzął na zegarek — pół do dziesiątej. Nadają audycje. Gdyby nadawali na naszej fali, byłoby słycać i jednych i drugich...

Znowu wyszliśmy na zewnątrz. Na tarasach sąsiednich willi zjawiali się na pół rozebrani ludzie. Zbijali się w gromadki, wrzuszali ramionami i robili nonsensowne gesty.

Zoja zapaliła nareszcie swego papierosa. Usiadła na stopniu, oparła się łokciami o kolana. Patrzyłem na jej obciśnięte kostiumem kąpielowym biodra, na piersi, widniejące do połowy w głębokim dekolcie. Pomimo dość obfitych kształtów była bardzo ładna. Ładniejsza od wszystkich pozostałych kobiet. Jej twarz była, jak zwykle, spokojna i nieco senna. Za oczami nazywano ją „madame Flegma”.

Igor stał wśród nas całkowicie ubrany, niby misjonarz między Polinezyjczykami. Po usłyszeniu kategorycznego oświadczenia Włodka, że wiadomości radiowej nie można przypisać sztuczkom zaoceanicznych gangsterów, Igor spokojnie. Najwidoczniej, już żałował, że tak zdecydowanie uznał audycję za prowokację. Pomyślałem jednak, że przestraszył się niepotrzebnie: donosiciele wśród nas raczej chyba nie było.

— A właściwie, dlaczegośmy się tak spłoszyli? — powiedział dziarskim tonem. — Zoja ma rację: będą jakieś wyjaśnienia. A ty, Tolku, co o tym myślisz?

— A diabli wiedzą... — wymamrotałem. — Jeszcze prawie miesiąc do tego, jakże to powiedzieli? — dnia jawnych...

Zaciąłem się. I znowu patrzyliśmy na siebie ze zdumionym zakłopotaniem.

— Wszystko jedno — Igor potrząsnął głowę. — Myślę, że to chyba w związku z międzynarodową polityką.

— W związku z wyborami prezydenta w Ameryce? Igor, o tym myślałeś?

— Och, Lilka, już byś lepiej milczała! Pleciesz jakieś bzduiry!

— Chodźmy kąpać się — powiedziała Zoja, podnosząc się. — Tolek, przynieś mi mój gumowy czepek.

Najwidoczniej, ta cała niezrozumiała historia nawet ją zbiła z pantafelku, gdyż w przeciwnym razie nie zwróciłaby się do mnie przy wszystkich per „ty”. Ale, zdaje się, i tak nikt tego nie zauważył.

Kiedyśmy szli ku rzeczce, Włodek dogonił mnie, wziął pod rękę i powiedział, z żalnością w swoich biblijnych oczach:

— Wiesz co, Tolek, zdaje mi się, że to coś na konto Zydów wymyślili...

## II

*Któż by wytrzymał, któż by zniósł to,  
gdyby nie było wśród nas  
najrozmaitszych masek mnóstwa,  
na każdy dzień, na każdy czas?  
Wybieraj którąkolwiek z twarzy,  
przemawiaj coraz innym tonem,  
bądź za poetę, za windziarza,  
wołaj o bilet, lecz uważaj:  
„Bez maski wejście zabronione”.*

Ilja Czur „Bilety do sprzedania”

Więc piszę to wszystko i rozmyślam: a właściwie, po co mi robienie tych notatek? Ogłosić ich u nas nigdy się nie uda, nawet nie ma komu pokazać, przeczytać. Przemycić zagranicę? Po pierwsze, w praktyce jest to nie do zrealizowania, a po drugie, to, o czym zamierzam pisać, już opowiedziano w setkach zagranicznych gazet, radio też na ten temat barłoczyło po całych dniach i nocach; nie, oni to już dawno obcmoktali ze wszystkich stron. A i, prawdę powiedziawszy, niezbyt to ładne — ogłaszać w antysowieckich wydawnictwach.

Udaję przed samym sobą. Wiem, po co to piszę. Muszę sam sobie zdać sprawę, że to jednak rzeczywiście się stało. A najważniejsze, co stało się ze mną? Oto siedzę za swoim biurkiem. Mam trzydzieści pięć lat. Jak dawniej, pracuję w tym idiotycznym, handlowym wydawnictwie. Mój wygląd zewnętrzny nie uległ zmianie. Również nie zmieniły się zamiłowania. Jak dawniej, lubię



wiersze. Lubię popić. Lubię baby. I one, na ogół, także mnie lubią. Swego czasu byłem na wojnie. Zabijałem. A i mnie o mało co nie zabili. Gdy któraś z kobiet nagle dotknie blizny na moim biodrze, cofa dłoń i wykrzykuje szeptem: „Aj, co to jest?”. „To rana — odpowiadam — od eksplodującej kuli”. „Biedaku — mówią kobiety — bardzo cię bolało?”. A w ogóle, wszystko, jak dawniej. Każdy znajomy, każdy przyjaciel, czy kolega biurowy mógłby powiedzieć: „Wiesz, Tolek, nic a nic się nie zmieniasz!”. Ale ja wiem, dobrze wiem, że tamten dzień chwycił mnie za kołnierz i postawił twarzą w twarz z samym sobą! Wiem, że wypa-  
dło mi samego siebie poznawać na nowo!

Ach, i jeszcze jedno. Nie jestem pisarzem. We wczesnej młodości pisywałem wiersze, a i teraz okazynie potrafię; napisałem kilka teatralnych recenzji — myślałem, że w ten sposób przedostaną się do literatury, ale nic z tego nie wyszło. I mimo wszystko — piszę. Nie, nie jestem grafomanem. Grafomani (często mam z nimi do czynienia, z racji mojej pracy doradcy literackiego), grafomani wierzą w swój geniusz, a ja zdaję sobie sprawę, że nie mam talentu. A jeśli mam, to niewielki. Jednak ogromnie lubię pisać. Co najlepsze, najprzyjemniejsze w mojej sytuacji? Wiem z góry, że nikt tego nie przeczyta i mogę pisać bez obawy, wszystko, co tylko przyjdzie do głowy! Zechce mi się napisać:

*A czarnej Afryki fortepian  
wyszczersza zęby po murzyńsku...*

więc napiszę! I nikt mnie nie oskarży ani o pretensjonalność, ani o kolonializm. Zechce mi się napisać, że rząd to sami demagodzy, obłudnicy i w ogóle ścierwa — także i to napiszę... Mogę sobie pozwolić na taki luksus — być komunistą sam ze sobą.

Lecz jeśli mam być szczery całkowicie, wyrażę nadzieję, że jednak znajdę kiedyś czytelników — naturalnie, nie teraz, po wielu-wielu latach, gdy mnie już nie będzie na świecie. Powiedzmy sobie ogólnie — „kiedyś po latach mnich pracowity odczyta moją pracę, gorliwą, bezimienną...”. Sama myśl o tym sprawia przyjemność.

Tak więc, gdy obecnie otworzyłem całkowicie moje serce przed ewentualnym, w wyobraźni stworzonym czytelnikiem, mogę kontynuować.

Zabawy owego dnia już nie było. Dowcipy wypadały nudnie, graliśmy w piłkę bez zapału, pić w ogóle nikt nie chciał i wróciliśmy do naszych domów bardzo wcześnie.

Następnego dnia, już w Moskwie, poszedłem do pracy. Z góry wiedziałem, że będzie nieunikniona paplanina o dekrete, wiedziałem, kto będzie wydawać opinię, a kto zmilczy. Ku memu zdziwieniu milczeli prawie wszyscy. Dwie, czy też trzy osoby za-  
pytały mnie: „Co o tym wszystkim sądzicie?”. Wybąkałem coś w rodzaju: „Nie wiem... Zobaczy się z czasem...” — i rozmowa na tym urwała się.

Nazajutrz w „Izwiestjach” ukazał się duży wstępny artykuł, pod tytułem „Na spotkanie dnia jawnych morderstw”. Było w nim bardzo niewiele o istocie zarządzenia, a za to powtarzała się zwykła gadanina: „Rosnący dobrobyt — siedmiomilowym krokiem — prawdziwa demokracja — jedynie w naszym kraju — wszystkie myśli — po raz pierwszy w dziejach — widniejące zarysy — burżuazyjna prasa...”. Artykuł zapowiadał ponadto, że nie wolno będzie działać na szkodę ludowego mienia, wobec czego zabronione są akty podpalania i wysadzania w powietrze. Ponadto, dekret nie dotyczył więźniów. No, więc tak. Wszyscy czytali ten artykuł od deski do deski, nikt, jak przedtem, niczego nie rozumiał, a jednak wszyscy, nie wiadomo czemu, od razu uspokoili się. Prawdopodobnie, sam styl artykułu — uroczysty, jak zawsze, górnotny, jak na co dzień — przyniósł uspokojenie. Nic nadzwyczajnego: „Dzień artylerii”, „Dzień sowieckiej prasy”. „Dzień jawnych morderstw”... Transport będzie czynny, do milicji zabierać się nie kazano — to znaczy, że porządek zostanie zachowany. I wszystko weszło w zwykłe tryby.

Tak minął tydzień, półtora. I właśnie wtedy zaczęło się coś takiego, co nawet trudno określić słowami. Jakiś niepokój, wrzenie, jakiś dziwaczny stan. Nie, nie mogę znaleźć właściwego określenia! Wszyscy jakoś zaczęli krzątać się i uwijać. W metrze, w kinach, na ulicach ci i owi podchodzili do innych ludzi i, z przy-  
pochebnym uśmiechem, zaczynali mówić o swoich chorobach, o rybołówstwie, o jakości kapronowych pończoch — jednym słowem, o czym chcecie. A jeśli im natychmiast nie przerywano rozmowy i słuchano, wtedy długo ściskali rozmówcy dłoń, spoglądając w oczy z głęboką wdzięcznością. Niektórzy zaś — zwłaszcza młodzież — zaczęli zachowywać się krzykliwie i napastliwie; każdy wygłupiał się na swój sposób; częściej niż zazwyczaj śpiewano na ulicy i wykrzykiwano wiersze, zwłaszcza Jesienina. I aż propros wierszy. Czasopismo „Literatura i życie” ogłosiło wybór wierszowanych utworów, związanych ze zbliżającym się wydarzeniem — Bezymińskiego, Michałkowa, Sofronowa i innych. Niestety, nie mogłem teraz odszukać tego numeru pisma, mimo wielkich starań, ale fragment wiersza Sofronowa utrwalił się w pamięci:



*Warsztatów huk Rostselmasza,  
syreny głośniejszej i wyżej,  
i Partia wspaniała nasza  
trockistów brata za pirze.*

*Byłem zupełnym smarkaczem,  
zaledwie lat siedemnaście,  
nie mogłem wiedzieć, co znaczy,  
że Partia wrogów swych maści.*

*Spiewałem coraz to śmieiej,  
lecz wiersze nie rosły w siłę:  
nie wykończyłem z nich wielu  
i dobić nie potrafiłem.*

Opowiadano kawały w zupełnie astronomicznych ilościach; Włodek Margulis biegał od jednego przyjaciela do drugiego i opowiadał je, zachłystując się. Któregoś dnia, po wyczerpaniu całego zapasu tych kawałów, poinformował mnie, że na jakimś zebraniu w swojej akademii Igor miał oświadczyć, iż dzień 10 sierpnia wynika z mądrej polityki naszej partii, że dekret stanowi jeszcze jeden argument na rzecz rozwijania twórczej inicjatywy ludowych mas — i tak dalej, w zwykłym sensie.

— Wiesz, Tolek — powiedział mi — chociaż wiedziałem, że Igor jest karierowiczem i w ogóle, to jednak czegoś takiego po nim nie spodziewałem się.

— Niby dlaczego? — zapytałem. — Cóż w tym dziwnego? Kazali mu przemawiać, więc przemówił. Gdybyś należał do partii, jak Igor, także byś przemawiał na całego.

— Ja? Nigdy! Po pierwsze, za żadne skarby nie zapiszę się do partii, a po drugie...

— Po drugie, po drugie! Nie drzyj się! Nie jesteś lepszy od Igora. Kiedy wyskoczyła sprawa lekarzy, może nie plotłeś w swojej szkole na temat nacjonalizmu?

Powiedziałem i od razu pożałowałem. To był jego obolały odcisk. Nigdy nie mógł sobie darować, że wówczas uwierzył na jakiś czas gazetom.

— Opowiedz lepiej, jak idą sprawy z Ninką — powiedziałem pojednawczo. — Jak dawno ją widziałeś?

Włodek ożywił się.

— Zrozum, Tolek, no, trudno, ja ją kocham, trudno! Dzwonię do niej wczoraj, powiadam, że chcę się z nią zobaczyć, a ona mi odpowiada...

Włodek zaczął szczegółowo mówić, co mu odpowiedziała, co on jej powiedział, co oboje powiedzieli.

— Rozumiesz, Tolek, ty mnie znasz, nie jestem sentymentalnym człowiekiem, a jednak nieomal zacząłem ryczeć...

Słuchałem, zastanawiając się, że też ludzie potrafią stwarzać zagadnienia w zupełnej pustce. Włodek ma żonę i dwoje dzieci, wykłada w szkole literaturę, uważany jest za najlepszego metodyka w okręgu i, w ogóle, za rozumnego chłopca. Ale te jego romanse! Oczywiście, żona — wydra, jak się ma taką żonę, to na każdą babę wskoczysz, więc namiętności afrykańskie, ten cały prowincjonalny hamletyzm? A jakie przy tym zwroty: „moralne zobowiązania”, „rozdwojenie duchowe”, „ona ma do mnie zaufanie”... Co prawda, owe „ma do mnie zaufanie” dotyczy równie dobrze żony, jak każdej kolejnej flamy. Osobiście, widzę te sprawy o wiele prościej. Od samego początku żadnych gier, żadnej dyplomacji, żadnych zobowiązań. Stawiać sprawę uczciwie. Podobamy się sobie nawzajem? To świetnie. Pragniemy siebie nawzajem? Cudownie, cóż tam jeszcze? Że niby małżeńska zdrada, cudzołóstwo! No, to co? Jeżeli ożenię się, nie pozwolę, żeby mnie męczyły włódkowe problemy, po prostu będę z góry uprzedzać: „Wiedziecie, jestem żonaty, rozwodzić się nie zamierzam, ale cholernie mi się podobacie. Czy to wam odpowiada? Wspaniale, kiedy i gdzie się spotkamy? Nie odpowiada? Bardzo żałuję, do widzenia, proszę jednak zastanowić się...”. Tylko tak. No, rozumie się, nie w takiej prymitywnej formie. Myślę, że to o wiele lepiej, niż zwracać gitarę na temat braku duchowej harmonii w małżeństwie, albo że „naturalnie, bardzo szanuję moją żonę, ale...”. Nigdy jeszcze nie wyrządziłem poważnej krzywdy żadnej kobiecie, a to dlatego, że nie dopuszczałem, aby sobie tworzyły złudzenia na moje konto...

Włodek gadał jeszcze jakieś pół godziny o swojej skomplikowanej miłości i poszedł. Odprowadziłem go, ale natychmiast zadzwonił znowu, wsunął głowę w uchylone drzwi i powiedział szeptem, żeby nikt z sąsiadów nie usłyszał:

— Tolek, jeżeli 10 sierpnia urządzią żydowski pogrom, będę się bił. Tu nie Babi Jar i nie Fabryka Traktorów. Ja sam do nich, ścierwów, będę strzelać. Patrz!

Rozpiął marynarkę i pokazał kolbę oficerskiego TT, sterczącą z wewnętrznej kieszeni. Zachował go z wojennych lat.

— Za tanioczę to już oni mnie nie wezmą...

Gdy poszedł definitywnie, długo stałem na środku pokoju. I któż to są „o n i”?



## III

*Nie, Alkinoju, mylisz się: jest nieskończoność w naturze,  
a świadczy o tym najlepiej ludzka głupota i podłość.*

Kiriłł Zamojskij „Doświadczenie i nauki”

— Ach, Tolek, po prostu nie chcecie rozumować poważnie!  
Proszę zrozumieć taką prostą rzecz...

Współlokator mydlił wiechciem brudne naczynia; brzuch, zarośnięty siwymi włosami, mocno opięty siatkową koszulką, wylewał się ze spodni, kładąc się na brzegu zlewu. Był niezmiernie rozgorączkowany, chociaż nie przeczyłem ani jednym słowem.

— ...nie, nie, proszę zrozumieć mnie właściwie! Już kto jak kto, a ja nie jestem zwolennikiem prasowych szablonów. Jednak fakty są faktami i trzeba umieć spoglądać im w oczy: nie ulega wątpliwości, że uświadomienie znacznie wzrosło! Ergo: państwo ma prawo zdobyć się na daleko posunięty eksperyment, ma prawo przekazać swoje poszczególne funkcje w ręce ludu! Proszę spojrzeć — brygady współpracujących z milicją, patroli komsomolców, ludowe drużyny dla ochrony społecznego porządku — to przecież fakt! I to fakt wiele znaczący. Rozumie się, zdarzają się u nich błędy, lapsusy, że tak powiem, — to komuś zbyt wąskie spodnie pocięli, to znowu jakimś dziewicom głowy ostrzygli — no, ale bez tego nie można! Koszty produkcji! Las wyrabują! Więc też obecny dekret nie jest niczym innym, tylko logicznym przedłużeniem rozpoczętego uprzednio procesu — procesu demokratyzacji. Demokratyzacji czego? Demokratyzacji organów władzy wykonawczej. Ideał polega — proszę mnie tylko właściwie zrozumieć — na stopniowym rozpuszczeniu się władzy wykonawczej w szerokich ludowych masach, w samych, że tak powiem, społecznych dołach. Nie, nie w dołach, niewłaściwie się wyraziłem, żadnych dołów u nas nie ma, no, na pewno mnie rozumiecie... Proszę mi uwierzyć na słowo starego prawnika: nasz lud przede wszystkim porachuje się z chuliganami, z darmozjadami, z wyrzutkami społecznymi... Tak, tak, pamiętacie, jak Tołstoj napisał: „Całą gromadą chcą zwalić się! Za jednym zamachem kres położyć!” Tak właśnie, Tolku, — „całą gromadą”, wspólnotą, kupą, że tak powiem, po rosyjsku!...

Czekałem z niecierpliwością, kiedy wypuści z rąk śliski talerz. Istotnie, wreszcie go rozbił. Zwabiona hałasem, z pokoju wypłynęła jego żona, z niezadowoleniem popatrzyła na szczątki i powiedziała spokojnym głosem:

— Piotr, chodź do pokoju.

„Widać, durniu — pomyślałem — za krótko ciebie w łagrze trzymali”.

Rozległ się dzwonek, więc poszedłem otworzyć.

Weszła Zoja.

Udaliśmy się do mojego pokoju. Z westchnieniem ulgi Zoja zrzuciła pantofle. Lubię przyglądać się, gdy kobiety zdejmują pantofelki: kształt nogi zmienia się, jej zarys od razu staje się intymny, domowy, jakiś taki prostoduszny.

— Zupełnie jakbyś była w białych trepkach — powiedziałem, wskazując na jej nieopalone stopy. — Pokaż, gdzie jeszcze jesteś biała.

— Chciałam z tobą pomówić — odpowiedziała Zoja. — No, nic, pomówimy później...

Objąłem ją.

— Zamknij drzwi.

...Leżeliśmy obok siebie, nieco odsunięci jedno od drugiego. Pomimo upału, skóra Zoji była chłodnawa; jasnobrązowe ciało przepasywały trzy białe wstążki: na piersiach, biodrach i stopach. Leżała obok, rozrzucona z całą bezwstydną swobodą, piękna i okazała, jak cyrkowiec na arenie, a ja czułem, że jestem w niej bardzo zakochany. Miałem chęć z taką samą bezwstydną swobodą łypnąć okiem do kogoś, do jakiegoś wymyślanego obserwatora i, być może, współnika, i powiedzieć: „Popatrz no, przyjacielu, co za kobieta mi przypadła w udziale!”. Leżałem rozmyślając, że wszystko, co dzieje się między nami, to właśnie jest prawdziwym „życiem”: walka, podbój, wzajemna kapitulacja, potwierdzenie i zapalczywe przeczenie, przejmujące odczucie samego siebie i całkowite zatracenie się, obcość i zupełna łączność — i to wszystko razem, wszystko jednocześnie. Było mi w tej chwili obojętne, że jest mężatką, że nie ja jeden posiadam to sprawne, pokorne, nieustannie pożądające ciało, że ma męża, który ją pieści pełnoprawnie, że po miesiącu wraca z wakacji moja siostra i Zoja już nie będzie mogła do mnie przychodzić, że znowu nam wypadnie, jak bezdomnym kotom, włóczyć się po różnych bramach i strychach, że znowu będzie mnie zadziwiać, a nawet nieco szokować jej umiejętność oddawania się w najmniej właściwych okolicznościach i że znowu będę jej niezmiernie za to wdzięczny. Ale w owej chwili wszystko to było mi najzupełniej obojętne. Leżałem i czekałem, aż przemówi.

I wreszcie przemówiła.

— Tolek — powiedziała Zoja. — Wkrótce „Dzień jawnych morderstw”.



Wypowiedziała te słowa tak zwyczajnie i rzeczowo, jak gdyby chodziło o stwierdzenie, że „wkrótce Nowy Rok”, albo „wkrótce majowe święta”.

— No, to co? — zapytałem. — Co to ma wspólnego z nami?

— A czy tobie — zapytała Zoja — nie znudziło się to ciągłe ukrywanie? Przecież wszystko możemy zmienić.

— Nie rozumiem — wymamrotałem. Ale to było kłamstwo — już wiedziałem o co chodzi.

— Wiesz co... zamordujmy Pawełka.

Tak właśnie powiedziała: „Pawełka”. Nie „męża”, nie „Pawła”, a właśnie „Pawełka”. Poczułem, że mi drętwieją wargi.

— Zoja, czyś ty oszalała? Co ty mówisz?

Powoli zwróciła się do mnie twarzą i potarła policzek o moje ramię.

— Toleczku, tylko proszę cię, nie denerwuj się. Pomyślno spokojnie. Przecież drugiej takiej okazji nie będzie. Ja już wszystko obmyślałam. Przyjdiesz do nas poprzedniego dnia. Powiesz, że chcesz spędzić całą dobę z nami. Pawełek i ja postanowiliśmy tego dnia w ogóle z mieszkania nie wychodzić. I załatwimy go we dwójkę. A potem sprowadzisz się do mnie i pobierzemy się. Ja bym ciebie w to wszystko nie wplątywała, sama bym wszystko zrobiła, ale boję się, że nie dam rady.

Mówiła, a ja leżałem i słuchałem, i za każdym jej słowem chwyciła mnie za krtań paroksyzmy duszności.

— Tolek, dlaczego milczysz?

Odkaslnąłem i powiedziałem:

— Wyjdź stąd!

Zoja nie zrozumiała.

— Dokąd?

— Do diabła!

Przez kilka chwil Zoja patrzyła mi w oczy, potem wstała i zaczęła ubierać się. Włożyła staniczek, majteczki, potem kombinę. Przyglądałem się, jak stopniowo znika pod ubraniem. Narzuciła sukienkę, wsunęła stopy w pantofelki, zaczęła się czesać.

Uczesała się, wzięła torebkę, otworzyła drzwi. Na progu odwróciła się i powiedziała cichym głosem:

— Ciepły klusek.

I poszła. Zaraz rozległo się trzaśnięcie wyjściowych drzwi.

Wstałem, ubrałem się. Starannie zaścieliłem rozrzucone łóżko. Zamiotłem pokój. Zrobiłem wiele ruchów, koncentrując się na wykonywaniu każdego z nich. Nie miałem najmniejszej chęci myśleć i zastanawiać się.

## IV

*I już nienawiści zbyt wiele,  
aż w gardle mnie dusi i świszcze:  
— Och, gdybyż tych wszystkich skurwielei  
pozbierać do kupy i zniszczyć!*

Georgij Bołotin „Trąby epoki”

A jednak wypadło zastanowić się. Być może, to głupota, a jednak najbardziej mnie oszołomiły te dwa słowa, rzucone przez Zoję — „ciepły klusek”; przecież nie jestem tchórzem, wiem o tym dobrze, przekonałem się na froncie, a przesztą i po wojnie zdarzały się różne okazje. Zoja zaś doszła do przekonania, że stchórzyłem. Ależ nie, żadne tchórzostwo, po prostu to coś niesamowitego: ot, tak, jakby nic, zabić Pawełka, pokornego, godzącego się z losem, łagodnego, nie orientującego się w niczym Pawełka. Pewnie oszukiwaliśmy go; gdyby dowiedział się o naszym związku, to by mu na pewno sprawiło cierpienie; piliśmy za jego pieniądze, kpiliśmy z niego w oczy i za oczami; to wszystko prawda — ale zabić? Za co? I po co? Przecież jeśli już tak sprawę postawić, jeśli chodzi jej tylko o to, żeby wyjść za mnie, to mogłaby się rozwieść! To znaczy... znaczy, morderstwo to dla niej nie tylko sposób na pozbycie się niekochanego, starszawego i głupkowatego męża? Widocznie, morderstwo zawiera dla niej jakiś niezrozumiały dla mnie sens? Być może, nienawidzi go, pragnie zemsty? Naturalnie, mści się za to, że swego czasu, mając dziewiętnaście lat, zakochała się w nim, a ten jedynie potrafił powtarzać: „Technika na granicy fantazji”, „Klucz od pokoju z pieniędzmi” — i jeszcze wciąż opowiada żydowskie i ormiańskie kawały... Tak, ona musi go nienawidzić. A jeśli nienawidzi, to, rozumie się, jest w stanie zamordować. To rozumiem. Nienawiść uprawnia do morderstwa. Na tle nienawiści i sam mógłbym... Mógłbym? Niewątpliwie, mógłbym. Kogo ja właściwie nienawidzę? Kogo nienawidziłem przez całe życie? Szkolne czasy, rzecz prosta, nie liczą się, a jak w dojrzałym wieku? Instytut. Nienawidziłem jednego z wykładowców, który umyślnie, cztery razy pod rząd, ściał mnie na kolokwium. Wszystko jedno, niech go wszyscy diabli, to było już tak dawno! Zwierzchnicy różnej maści, z którymi zdarzało się pracować. Tak, to byli szubrawcy i napsuli mi dużo krwi. Mordy by im, ścierwom, porozbijają! Któż jeszcze? Literat K., pisujący czarnosecinne powieści. Tak, tak, pamiętam, kiedyś mówiłem, że zamordowałbym go, gdybym wiedział, że nic mi się za to nie stanie. O, tego łotra warto by rozumu nauczyć! I to tak,



żeby więcej nie wziął pióra do ręki... No, a ci wszyscy, o spasiowych pyskach, obradujący i przewodniczący, władcy naszych losów, nasi wodzowie i nauczyciele, wierni synowie ludu, otrzymujący powitalne depesze od kołchoźników Riazańskiego Obwodu, od hutników z Krzywego Rogu, od cesarza Etiopii, od zjazdu nauczycieli, od prezydenta Stanów Zjednoczonych, od personelu publicznych klozetów? Najlepsi przyjaciele sowieckich sportowców, pisarzy, tkaczy, daltonistów i umysłowo chorych? Co z nimi zrobić? Czyżby przebaczyć? A trzydziesty siódmy rok? A szaleństwo powojenne, gdy cały kraj, jak nawiedzony przez szatana, rzucał się w epileptycznym ataku, w histerii, i pożerał sam siebie? Myśla, że jak raz napaskudzili na grobie Wąsatego, to już wszystko jak z gęsi woda? Nie. Nie, nie, z nimi trzeba inaczej: pamiętasz jeszcze, jak to się robi? Zapłon. Oderwać bezpiecznik. Rzucić. Padnij na ziemię. Padnij! Wybuch. A teraz — skokiem naprzód. I w biegu — pociągnąć szeroko od biodra. Seria. Seria. Seria! O, tam leżą, poszarpani wybuchem, posiekani kulami. Ślisko. Nogi ślizgają się. Kto to? Pełźnie, wlekąc za sobą kiszki po posadzce, zasypanej sztukaterią. Ach, to ten, obwieszony orderami, co zawsze towarzyszy Naczelnemu w podróży! Ale dlaczego taki chudy? Dlaczego ma na sobie waciak? Widziałem go już kiedyś pełną parą wzdłuż rowu, wywalającego w kurz siność i czerwien swego brzucha. A ci? Ich także widziałem! Tylko, że wówczas mieli pasy z literami „Gott mit uns” na klamrach, czapki z czerwonymi gwiazdami, buty o niskim podbiciu, bij prosto w oczy, owijające, furazjerki, Rosjanie, Niemcy, Gruzini, Rumuni, Żydzi, Węgrzy, buszłaty, plakaty, deputaty, łopaty, przez trupa przeszedł jeden samochód, dwa samochody, osiem samochodów, czterdzieści samochodów, a ty pozostaniesz w pozycji leżącej, rozplaszczony jak żaba — i wszystko to stało się już dawno!

Podniosłem się z łóżka, podszedłem do okna i obtarłem firanką zalaną potem twarz. Udałem się do kuchni, obmyłem się pod zlewem i włożyłem marynarkę. Pozostawać w domu dłużej już nie mogłem.

Szedłem przez ulicę, rozpaloną sierpniowym słońcem; na przeciw szły gospodynie z siatkami na zakupy, szczeniaki hałasowały na rowerach, podtatusiali mężczyźni wlekli się chodnikami, zatrzymując się przy każdym kiosku z sodową wodą. Znalazłem się na rogu Arbatu i ulicy Smoleńskiej, i zatrzymałem się. Żeby chociaż kogoś odwiedzić. Ale kogo? Lato, wszyscy wyjechali na wakacje. A kto nie wyjechał na wakacje, ten siedzi w Srebrnym Borze, albo w innym miejscu, gdzie można wykąpać się. I dobrze byłoby gołnąć. Przypomniałem sobie, że niedaleko, w pobliżu Kijowskiego dworca, mieszka Sasza Czuprow, artysta

i mój przyjaciel. Jeśli nawet nie zastanę go w domu, będzie można odpocząć: drzwi jego pokoju zawsze były otwarte. —

Wpadłem do spożywczego magazynu na najbliższym rogu i wlokłem się z działu do działu, w poszukiwaniu sekcji alkoholowej. Podchodziłem do każdej lady i przyglądałem się pracy ekspedientów. W swoich sklepowych ubraniach, wszyscy byli podobni do siebie, ale zachowywali się inaczej: rzeczowo i solidnie w dziale z wędlinami, obojętnie i pysznie — w owocowym, usługiwano i kokieteryjnie — w cukierniczym, nonsensownie i po bałaganiarsku w dziale towarów kolonialnych. W dziale z wódkami, do którego wreszcie dobiegłem, ekspedient zachowywał się wyrozumiale i z lekką poufałością. Przyglądałem się ruchomemu stożkowi z ustawionych butelek, piętrzących się obok kolumny. To była prawdziwa skarbnica emocji wszelkiego rodzaju. Zamknięta w butelce, zatrzęsnięta u góry lakową pieczęcią, każda emocja miała swoją przypawkową etykietkę: „Koniak”, „Stoleczna”, „Gurdżani”, a w rzeczywistości do tych butelek zapędzili melancholię, wesołość, niepohamowany gniew, wzruszającą ufność, obraźliwość i odwagę. Wszystkie te emocje miały wyjść ze swoich szklanych więzień, wysłuchiwać głupich, pożegnalnych toastów i wzbierać w rękach, ściągających serwety, w ustach, całujących się nieumyślnie, w płucach, które nabierają jak najwięcej powietrza, aby w należyty sposób wykonać „Wieczory pod Moskwą”. „Czas pracuje dla nas — myślały emocje, połyskując różnobarwnie w świetle elektryczności — słusznosc jest po naszej stronie, także i na naszej ulicy będzie święto...”.

Kupiłem butelkę koniaku (gruzińskiego, na lepszy nie starczyło pieniędzy), cytrynę i wyszedłem z magazynu.

Czuprowa zastałem w domu.

— To ty, staruszkę — powiedział ponuro. — Właż...

W obszernym, jasnym pokoju panował niesamowity bałagan. Na podłodze leżał byle jak otwarty szkicownik, na stole, pod stołem, na parapetach okien zwinięte rulony papieru. Gospodarz kręcił się w ubraniu na pościeli, lokując nogi na oparciu łóżka.

— Co u ciebie? — zapytałem.

— Scierwa — odpowiedział. — Pracowałem, tyrałem i wszystko psu pod ogon.

— Nad czym pracowałeś?

— Wiadomo nad czym — plakaty.

Czuprow malował nowatorskie obrazy i w liberalnych kołach cieszył się opinią awangardzisty. Ale sprzedawać płócien, napiętnowanych rozkładowym wpływem Zachodu, nie było komu, z cudzoziemcami nawiązywać kontakty obawiał się, zaś bez



zarcia obejść się nie można. Wobec tego malował plakaty: dziewczęta z rozjaśnionymi twarzami na tle kremłowskich murów, górników w pełnym kopalnianym rynsztunku, idących pewnym krokiem ku jasnej przyszłości, młodych inżynierów w kombinizonach, z cyrklami sterczącymi z kieszeni na piersi, i z „Historią KPZS” pod pachą. Płacono mu pierwszorzędnie, chociaż nieregularnie.

— Co, nie przyjęli pracy? — zapytałem. — A cóż to, nie podpisałeś umowy?

— W tym właśnie rzecz, że nie podpisałem. Pomyślałem, że nie będą mieli z czego wybierać, i postanowiłem przy takiej okazji zaryzykować. Po nowatorsku zrobiłem, na swój własny, swobodny sposób. Wyobrażasz sobie? Przynoszę, a ci...

— Zaczekaj, przy jakiej okazji?

— Cóż ty, z księżycą spadłeś? Z okazji Dnia jawnych morderstw. Bez plakatów nie obejdą się, co? Posłuchaj, nie przerywaj. Więc przynoszę, a trzeba ci wiedzieć, że kierownik to rutyniarz, akademik, tylko mycki do kompletu mu brakuje. „Wy — powiada — Czuprow, zwróciliście się pod niewłaściwym adresem; taka — powiada — produkcja może w „Life” by się podobała, ale nam całkowicie nie odpowiada”. I dopiero jak zaczął! „Wydarzenie w życiu kraju... partia nas nastawia... wielkie idee żądają czujnego uzmysłowienia... żeby dawało natchnienie... żeby przyzywało... popatrzcie na to...”. I pokazuje mi plakat Artemjewa i Kranca. Możesz mi uwierzyć, stary, spojrzęć nie ma na co! Mówię tak nie dlatego, że mój plakat odrzucili, a ich przyjęli, wiesz przecież, jaki jest mój stosunek do tej pracy. To dla mnie koryto i nic więcej. Ale przecież trzeba mieć choćby odrobinę sumienia! Jak już coś robisz, to rób solidnie! Nie fuszeruj! Wyteż się! A ci, główniarze, napacykowali jakieś manekiny — nie wiadomo, gdzie żywi, gdzie truposze — wieżowy żuraw kropnęli na drugim planie — i sprawa skończona, cieszcie się, malowniczy plakat! Ostatecznie, forszę mam gdzieś, dość nachapałem się na Pierwszym Maju, ale pracy mi szkoda, i d e i mi szkoda! Kiedyż nareszcie u nas zrozumieją, że to połowa XX w., że sztuka powinna poruszać się na nowych... na nowych... m-m-m... tempach, czy jak?

Czuprow wyrzucił to wszystko z siebie jednym tchem i zaklął w matkę; spopieleny koniec papierosa złamał się i upadł na poduszkę.

— Słuchaj, Sasza — powiedziałem ostrożnie — a ten twój odrzucony plakat. Można go obejrzeć?

— Oczywiście! Patrz — leży tam, pod ścianą.

Zrobiłem wolne miejsce na podłodze i rozwinąłem rulon.

Na tle olbrzymiego, nie wiadomo, wschodzącego czy zachodzącego słońca stał konwencjonalny młodzieniec obok dziewczęcia; słońce biło im w plecy i czerwone cienie ich postaci kładły się na skos; na dole, z lewej strony cienie łączyły się z czerwono-czarną kałużą, podciekającą pod narożnik konwencjonalnego domu; po prawej stronie leżał trup z podniesionym kolaniem i rozrzuconymi rękami.

— I co? — zapytał Sasza.

Zastanowiłem się i powiedziałem:

— Mnóstwo ekspresji.

Niczym nie ryzykowałem: wiedziałem na pewniaka, że Sasza nigdy nie czytał Huxleya.

— Prawda? — upewniał się Sasza.

— Tak — kontynuowałem — ale wydaje się, że trup jest zbyt jaskrawy, wyskakuje z całości.

Sasza zeskoczył z łóżka i, wydawszy wargi, patrzył na swoje dzieło.

— Może i masz rację, stary — odpowiedział. — A wiesz, dlaczego? Należało go namalować bardziej konwencjonalnie, nie tak realistycznie, prawdziwie, czy co...

Piliśmy koniak. Sasza zwierzał się ze swoich pomysłów, słuchałem i myślałem, że wszystkiemu winna jest Zoja, że gdyby nie ona, do głowy by mi nie przyszło, żeby zastanawiać się nad tym przeklętym Dniem morderstw. Co mnie to obchodzi? Po kiego diabła... A niech to jasny szlag trafi! Zojka jest suką. Trzeba powiedzieć Pawełkowi. Chociaż nie, teraz już nie ma potrzeby. Teraz, kiedy odmówiłem, będzie się bała. Suka, morderczyni. Wszystko szło doskonale, było nam ze sobą tak dobrze, ale teraz nawet jej nie dotknę. A i sama nie pozwoli. To przez nią, jedynie przez nią muszę tu siedzieć i wysłuchiwać pijackich zwierzeń Czuprowa. Niezależny, awangardzista! Niech jutro ogłoszą Dzień pederasty, natychmiast chwyci pędzle do ręki. Wyrysuje wzrost homoseksualizmu w zestawieniu z 1913 rokiem. A ja już nie chcę nikogo zabijać. N i e c h c ę !

— Czego nie chcesz? — zapytał Czuprow.

— Nie chcę więcej pić.

— Przecież już nic do picia nie ma. A właściwie, dlaczego nie chcesz pić? Akurat teraz. Zaczekaj, pójde po butelczynę... Albo wiesz co — jeśli chcesz, poznam cię z jednym facetem, starszy gość, chcesz? Ależ starzec! Wiersze pisuje. Jazda, jazdem, wdzięczny mi będziesz, tyś jeszcze czegoś takiego nie widział.

— Jazda!



Wstałem, zatoczyłem się.

— Jadziem, Saszka! Jadziem, Aleksandrze Czuprow! Jadziem, genialny artysto! Ten stary także jest geniuszem? Wszystko nam wyjaśni? Wszystko! Stary wszystko może wyjaśnić! Stko nam wyjaśni?

Wszystko! Stary wszystko może wyjaśnić! Jest kelnerem.

## V

*W sąsiedniej bramie przyczajone zgrają,  
 cękliwym zapachem sączą się kęrbolu,  
 na półce rzędem starych książek stają,  
 są w gestwie, w trawie, na zielonym polu.  
 Wciąż słyhać martwy szept ich — i nic więcej —  
 i zła się czai wróżba w każdym zdaniu,  
 gdy one wszędzie, w kuchni i w lazience,  
 i wodociągu schryplym mamrotaniu.*

Georgij Bołotin „Szatany śmierci”

Zanim kupiliśmy wódkę, znaleźli taksówkę i zajechali gdzieś w pobliże Daniłowskiego Targu, zdążyłem nieco otrzeźwieć. „A właściwie dokąd jadę i po co? — myślałem. — Po diabła mi ten starzec! A zresztą...”. A zresztą dzień niedzielny trzeba było jakoś zakończyć. Starzec, no to starzec. Też, wielka mi rzecz: z kobietą się rozstał. Zerwał z kochanką. Z babą się pokłócił. Starzec, no to niech będzie starzec.

Sasza zatrzymał samochód i zapłacił rachunek.

— Zaczekaj, pójde dowiedzieć się, czy do niego można. Jedna chwileczka...

Usiadłem na bulwarowej ławce i zapaliłem papierosa. Za mną terkotały tramwaje. W alejkach młodzi ojcowie popychali wózki z dziećmi. Wysztyfowani żołnierze spacerowali z dziewczętami, rozmawiali szlachetnie i statecznie, i nie próbowali podmacywać — było jeszcze zbyt widno. Podniosłem wzrok.

Nowe, ośmio- i dziewięcio-piętrowe domy stały w odstęпах równoległe do bulwaru; ich jasne, ceglane oblicza o czysto wymytych oknach życzliwie i z otuchą spoglądały na młodziutką zieleń sadzonek. Ale w przerwach tego odświeżonego optymizmu widniały szare gmachy z lat trzydziestych. Uporczywie, z ponurym przekonaniem o własnej wyższości, ustawione narożnikami do bulwaru, klinowym szykiem na niemiecki sposób, stały nieruchomo, a mimo to napierały z głębi podwórek. Wyczuwało się w nich taka pewność swojej racji, taka niewzruszona wierność idei, że wydawało się: niech tylko wstanie z grobu Budowniczy, który je powołał do życia, niech wyciągnie wskazującą dłoń — a szare masy ruszą naprzód, zmiotą tekturowy blichtr nowych budo-

wli, niwelując na poziomie asfaltu automatyczne windy, fińskie meble, dwutomowe wydania Hemingwaya i figi w kieszeniach modnych spodni.

Czuprow zjawił się przy mnie jakoś niespodzianie, jak gdyby wyskoczył spod ziemi.

— Jazda — powiedział. — Mistrz jest u siebie.

Poszedłem za nim, uderzając pierś o butelki, wsunięte do wewnętrznych kieszeni marynarki.

W czyściutkim, wylizanym tak, że aż błyszcząło, jednopokojowym mieszkanku przywitał nas malutki staruszek. Jego brwi poruszały się bez przerwy. Miał na sobie trykotowe, sportowe spodnie i staroświecką pidżamę ze sznurami, podobną do huzarskiej kurtki; spod pidżamy wyglądała czarna rosyjska koszula z białymi guzikami, jak u harmonii.

— Proszę — powiedział. — Bardzo mi przyjemnie. Arbatow, Giennadjusz Wasylowicz. A Wasza godność? A imię tatuś? Anatol Mikołajewicz. Bardzo przyjemnie. Proszę, proszę siadać i wybaczenie nieporządek: prowadzę kawalerskie życie, małżonka raczyła wyjechać na wakacje.

Weszliśmy do dużego, podłużnego pokoju; meble były nowe, spracowaną serwetę na okrągłym, masywnym stole starannie przykrywała przezroczysta cerata, na kanapie, będącej zarazem łóżkiem, leżało kilka poduszek, jedna mniejsza od drugiej, jak ziarnka grochu. Jedna ściana była szczelnie zasłonięta szarą kotarą.

— Giennadjuszu Wasylowiczu, mój przyjaciel, Tolek, bardzo chciałby poznać wasze wiersze — powiedział Czuprow. — Można prosić o przeczytanie?

— Bardzo się wam, Saszeńka, spieszy. Ciągłe pośpiech, zawsze aby prędzej. A czy wolno zapytać — dokąd? Wszystko ma swoją kolej. Nie należy przynaglać szybkołotnego czasu — zdążyć. Ot, napijemy się zaraz wódeczki z Anatolem Mikołajewiczem, pogawędzimy o tym i o owym, obwąchamy się wąsikami, jak mrówki. A potem wiersze same przyjdą. „Wierszyczek — radość dla kiszczyk”, jak mawiał pewny mój stary przyjaciel. A wy, Anatolu Mikołajewiczu, zgadzacie się ze mną?

— Ależ nie nazywajcie go Anatolem Wasylowiczem! Po prostu — Tolek!

— A nie, szanowny Saszeńka, w żadnym wypadku. Myśmy z szanownym młodzieńcem spotkali się po raz pierwszy, beczi soli jeszcze nie zjedli. Na wszystko w dzisiejszych czasach się zgadzam, wszystko przyjmuję i, jak to się mówi, wszystkiemu gratuluję, a ot z tym nowomodnym zwyczajem, żeby człowieka nie uszanować, zgodzić się w żaden sposób nie mogę. Mnie, jeśli



łaska, od piętnastego roku życia Gennadjuszem Wasylowiczem nazywano. Prawidłowo! Albowiem poważające traktowanie człowieka wywyższa, podnosi, że tak powiem, nad grzeszną ziemią. Jak uważacie, Anatolu Mikołajewiczu?

— Jak wam wygodniej — odpowiedziałem. — Nazywaj choćby garnczkiem...

— ...tylko do pieca nie wsadzaj — dokończył starzec. Mówiąc, szybko i dokładnie zastawiał stół. Kieliszki, widelce, talerzyki, rzodkiewka, ogórki, pokrajany chleb, kiełbasa zjawiały się na stole z bajeczną szybkością. I tak samo szybko sypały się słowa, jakby wyczone na pamięć, okrągłe, przytulne i staroświeckie, jak te widelce z kościanymi trzonkami. Starzec nalał kieliszki. Wypiliśmy.

— Tak, na temat garnczka i pieca, toście prawidłowo, Anatolu Mikołajewiczu zauważyli. Mówiąc nawiasem, właśnie wręcz przeciwnie zjawisko daje się zauważyć: każdy ze skóry wyłazi, żeby innego nie tylko garnczkiem mianować, ale i do pieca wsadzić — na węgielki, do ciepełka...

— Ludzie to zwierzęta — posępnie zauważył Czuprow. Widocznie, przypomniał sobie odrzucony plakat.

— A nie trzeba, nie trzeba tak, Saszeńka. Niepotrzebnie zwierzątko obrażacie. Czy byliście łaskawi zauważyć, o czym ludzie, gdy wpadną w niefrasobliwy nastrój, najchętniej rozprawiają? O zwierzętach, o zwierzęteczkach. A dlaczego? Dlatego, że każdemu są przyjemne. Na inne tematy, książki, powiedzmy, obrazki, posągi różne — na każdy temat ludzie sprzecząją się. O polityce, to już samo przez się zrozumiałe. A co do zwierząt, to już sprzeczać się nie ma żadnego powodu. Ot, jakoś wiosną przeczytałem artykuł, ilustrowany zdjęciami, o parkach zoologicznych w różnych krajach — dyrektor moskiewskiego Zoo napisał — i błogo na duszy. Zdawałoby się, co mi z tego przyjdzie, że we Włoszech narodził się malajski tapirek? A jednak czytamy — i serce cieszy się. I tak we wszystkim. Niebawem zwierzęta staną się jedynym wiążącym ogniwem, jedynym punktem kontaktu między ludźmi. Zwierzęta, szanowni młodzieńcy — to nie zwykłe bydłaki, nie, to strażnicy i nosiciele duchowego pierwiastka!

Mimowoli podniosłem głowę nad talerzem — tak bardzo nie pasowały te ostatnie zdania do poprzedniej jego przemowy — do tych wszystkich „posągów”, „narodził się”, „byliście łaskawi zauważyć”. Starzec zauważył mój gest i przerwał. Sasza natychmiast wykorzystał chwilę ciszy.

— Wypijmy za tapirka! Jakże go — malajski? No, to za malajskiego tapirka! Hurra!

Wypiliśmy kilka kieliszków pod rząd. Starzec szybko zaczął się wstawiać, a im bardziej był wstawiony, tym jaśniejsze i bardziej inteligentne stawały się jego słowa. Przeszedł stosość wyszukane zwroty. Założył nogę na nogę, kręcił głową, zwracając ją na przemian do mnie i do Saszy, niższym głosem mówił szybko i bardzo wyraźnie:

— Nikt z nas nie wie, co kryje się w duszy innego. Na przykład, ta nasza szczerza rozmowa stanowi szaleńcze, samobójcze obnażanie się z ubrania. Jeżeli na ulicy obnażycie się z ubrania w dosłownym tego słowa znaczeniu, zaprowadzą was na milicję, każą zapłacić karę, dadzą publiczną naganę — i tylko tyle! Natomiast szczerść, rozbieranie się z odzieży duchowej — jest niedopuszczalne! Bo skąd my wiemy, a nuż jakieś moje słowo, jakiś moja myśl ugodzi was w najbardziej utajone, najbardziej obolałe miejsce, wbije się na tyle silnie, że wyrwać tę jadovitą drzazgę będzie można jedynie za cenę mojego życia? I rzucicie się, żeby mnie zamordować, żeby uratować samych siebie! Któż z nas zdaje sobie sprawę, jaki jest ciężar wrogości, którą ktoś do nas czuje? A co wywołało tę wrogość? Niezręczne odezwanie się, zachowanie się przy jedzeniu, kształt nosa? Przy okazji — zwrócił się do mnie — nie jesteście Żydem?

— Nie — odpowiedziałem, dotykając nosa. — A co, podobny?

— Tak, jest coś takiego. O, właśnie, Żydzi, to jest mądry naród. Żyją pod strachem. I nie pod strachem Bożym, lecz pod strachem człowieczym. Każdego uważają za możliwego wroga. I słusznie postępują. Cóż może być straszniejszego od człowieka? Zwierzę morduje, aby nasycić głód. Taki zwierzak ma gdzieś ambicję, pragnienie władzy, karierę. Nie jest zazdrosny! Natomiast my — skąd możemy wiedzieć, kto pragnie naszej śmierci, kogośmy obrazili, nic o tym nie wiedząc? Obraziliśmy przez sam fakt naszego istnienia... Nie wiemy, niczego nie wiemy...

— Zwierzęta walczą aż do śmierci o samice — powiedział Sasza.

Gennadjusz Wasylowicz poruszył brwiami.

— To zupełnie inna sprawa. Tutaj gra instynkt zachowania gatunku. Zwierzęta są rozsądne i nieskomplikowane: nie zakochują się. A za to człowiek... Wystarczy żeby człowiek się zakochał, już zdolny do każdej podłości, do każdej zbrodni. Nie próżno Rzymianie mawiali: „Femina mors animae” — kobieta, śmierć duszy. Ale nie o to mi chodzi. Zapytuję was, Sasza, i was, Anatolu, czy jesteście pewni, że wśród waszych znajomych nie ma takich, którzy mogliby was zamordować? Co do mnie, jestem



przekonany, że tak! A Śmierć... Jesteście młodzi, nie myśleliście o niej, a ja — ja jestem stary. Leżę w nocy na tej kanapie, przyrzycie się — ma drewniane plecy — przewracam się z boku na bok, uderzę łokciem w drzewo i od razu: „Tak właśnie będzie w trumnie — drzewo obok, drzewo w górze, drzewo, drzewo!...”.

Nabrał tchu; jego głowa trzęsła się prawie niedostrzegalnie.

— Niczego nie można przewidzieć. Nic nie pomoże: ani ostrożność, ani samotność — nic! Na próżno spierają się, rozprawiają, krzątają się...

— Kogo macie na myśli, Gennadjuszu Wasylowiczu?

— A właśnie tych... gryzipiórków — odpowiedział znużonym głosem starzec.

Wstał, zataczając się, i odsunął szarą kotarę: wzdłuż ściany ciągnęły się półki z książkami. Tłum pisarzy, jaskrawych, oprawionych w kwaciaste kretony, wdarł się do pokoju, jak tatarska horda, rwąc na strzepy pozory dostatku, mylący spokój mieszczkańskiego ogniska domowego, a wraz z nimi wtargnęły skrzyjące, ociężałe wozy systemów filozoficznych, błyskające jak krzywe zwierciadła szable samoanalizy, tępe tarany wszechświatowego pesymizmu, żrebcy cywilizacji z żółtą pianą nienawiści do człowieka na wyszczerzonych pyskach, na szczęty, w drobny mak, na miazgę tratując siwobrodych ewangelistów, unoszących ku obojętnemu sufitowi rozpadające się w atomowym kurzu przykazania...

— Jeden drugiego chciałby w łyżce wody utopić — westchnął Czuprow i nalał resztki wódki.

...Wędrowałem wraz z Czuprowym przez puste ulice. Na skrzyżowaniach majaczyli posterunkowi, potężnie płonęły neonywe szyldy magazynów, obcasy ostro i dźwięcznie postukiwały na chodnikach, ale nawet ten stuk, który zazwyczaj tak mi się podobał, tym razem nie sprawiał radości. Do dnia jawnych mordstw pozostawał dokładnie tydzień.

## VI

*Nie wstaniez, nie umkniez — zostaniez struchlały —  
a nas nie obchodzi już wcale,  
czy żołnierz odejdzie ku śmierci bez chwaly,  
czy ku nieśmiertelnej chwale...*

Georgij Bołotin „Postój”

Przestałem chodzić do pracy. Zadzwoiłem do redakcji, oświadczyłem, że jestem chory. Wylegiwałem się na łóżku, sła-

niałem się po pokoju i niekiedy rysowałem profile na pakunkowym papierze, w którym przynoszono mi ze sklepu kiełbasę.

Przez cały ten czas był u mnie tylko Włodek Margulis, który natychmiast po przyjściu zadał mi idiotyczne pytanie: „Na co im był potrzebny ten Dekret?”. „I m” — to znaczy rządowi. Zmilczałem, więc, zachwycony, że nie posiadam własnej opinii, zaczął mi wyjaśniać, na czym polega ta niesamowita historia, że jest nieunikniona, że wynika z samej istoty nauki o socjalizmie.

— Dlaczego? — zapytałem.

— A jakże inaczej? Wszystko w porządku: musieli zalegalizować morderstwo, uczynić z niego 'zwykłe zjawisko i właśnie dlatego nie wyjaśniają niczego. Dawniej wyjaśniali, przeprowadzali agitację.

— DUBY smalone! Kiedyż-to?

— Za rewolucji.

— Aleś, bracie, zagiął! Wcale nie tak i nie po to rewolucję robili.

— No, a rok trzydziesty siódmy?

— Ze niby co ten trzydziesty siódmy?

— To samo było. Całkowita swoboda mordowania. Tylko że wtedy podawali w odpowiednim sosie, a teraz zwyczajnie, bez niczego. Mordujcie — i basta! A poza tym wtedy mordercy mieli do swojej dyspozycji cały aparat, olbrzymie etaty. A teraz — bądźcie łaskawi sami. W trybie samoobsługi.

— Ech, Włodek, dość już tego! Twoje antysowieckie monologi przestały być dowcipne.

— A ty co, obraziłeś się z powodu sowieckiej władzy? Uważasz, że należy jej bronić?

— Naturalnie, prawdziwej sowieckiej władzy trzeba bronić.

— I któraż to prawdziwa? Ta bez komunistów? Jak u Szołchowa w „Spokojnym Donie”?

— Idź do diabła!

— Nie-e-zmiernie przekonywująca odpowiedź — ukłął mnie Włodek. — A ty...

— Dość już tego — oświadczyłem.

Milczeliśmy przez chwilę, po czym Włodek poszedł, najwidoczniej obrażony.

Znowu położyłem się do łóżka i puściłem wodze myślom. Dlaczego i po co wydano ten Dekret, było mi najzupełniej obojętne. Nie ma sensu szukać jakiejś naukowej podstawy i blagować o rewolucji. Nie lubię tego. Mój ojciec był komisarzem podczas



wojny domowej. Myślę, że dobrze wiedział, o co wojuje. Ojca pamiętam niewyraźnie — wzięli go w trzydziestym szóstym, jako jednego z pierwszych — ale po śmierci matki znalazłem jego listy. Po przeczytaniu doszedłem do wniosku, że ludzie z mojego pokolenia nie mają prawa do rozpuszczania jęzorów o tamtych czasach. Możemy i powinniśmy decydować każdy w swoim własnym imieniu. To jedyne, co nam zostało, jedyne, co jesteśmy w stanie zrobić, ale i tak to dużo. Za dużo.

Tak, to ten Arbatow, ten stary z Daniłowskiego Bulwaru, tak mnie rozjątrzył. Nie chcę i nie mogę mordować, ale inni ze chcą i będą mogli. I obiektem ich działalności mogę stać się właśnie ja — ja, Anatol Karcew! I znowu, jak w dniu mojej ostatniej schadzki z Zoją, przeliczałem w myśli swoich wrogów. Ten nie potrafi tego zrobić. Tamten chciałby, ale stchórzy. Ten inny potrafi — kamieniem, cegłą, zacząjony za rogiem. A tamten? Nie, nie jest moim wrogiem. Nie jest? Skądże ja mogę wiedzieć? A może właśnie wróg! A wreszcie, czy tylko wrogowie są w stanie odebrać mi życie? Pierwszy lepszy przechodzeń, pierwszy lepszy pijak, zwariowany dureń może wystrzelić prosto w twarz, żeby patrzeć z lubością, jak podryguję nogami. Jak moje życie spływa na asfalt. Jak zaostrza się nos, zapadają się policzki, jak zwisa dolna szczęka. Jak przez otwór w czaszce znikają moje oczy, moje ręce, moje słowa, moje milczenie, moje morze, mój piasek, moje kobiety, moje niezdarne wiersze...

Poszli precz! Do diabła! Nie pozwolę, aby mnie zamordowano. Muszę, powinienem żyć. Schowam się, zabarykaduję, przesiadę u siebie w pokoju. Nie chcę umierać. N i e c h c ę ! Życie za wszelką cenę nie hańbi. Lepszy żywy pies...

Stop! Trzeba się wziąć w ręce. Trzeba się opanować. Lepszy żywy pies. Poprzedniego dnia kupię żywność i w niedzielę w ogóle z mieszkania nie wyjdę. Położę się do łóżka i będę czytać Anatola France'a. Bardzo lubię Anatola France'a. „Wyspę pingwinów”, „Bunt aniołów”. Także „Anatol France w szlafroku”. Gdy zdarzało się, że zostawałem na noc u Zoji, nakładała na mnie szlafrok Pawełka i szalała z radości. Przedtem nie rozumiałem, skąd ta radość, a teraz rozumiem. Wyobrażała sobie, że została wdową i wyszła za mnie. Ciekawe, w jaki sposób zamierzała zamordować Pawełka? Przesiedzę w pokoju całą niedzielę. Sąsiedzi też pewnie zamkną się. Tak, ale mordercy mogą siłą wdrzeć się do mieszkania. Trzeba będzie wzmocnić wejściowe drzwi. Ukradnę na pobliskiej budowie łom i podeprę drzwi. Łomem po głowie. Jeśli się wedrą, będę ich bił łomem po głowach, jak psy. Lepszy żywy pies. Niedawno byłem na wystawie rasowych psów. Bardzo podobały mi się charty — łby mają wąskie

i długie, jak pojedynkowe pistolety. Czy potrafiłbym stanąć do pojedynku? Kula Puszkina trafiła w guzik D'Anthesa. Jeżeli w niedzielę wyjdę na miasto, trzeba będzie włożyć papierośnicę do wewnętrznej kieszeni marynarki, po lewej stronie, tam gdzie serce. „Z lewej strony serce” — to tytuł powieści Leonharda Franka, bardzo nudne. Bruno Frank to zupełnie co innego — napisał książkę o Cervantesie. A jakby się zachował 10 sierpnia Don Kichot? Jeździłby po całej Moskwie na swoim Rosyncie i ujmował się za wszystkimi. Cudak z miedzianą miednicą na głowie wjechałby na Czerwony Plac, gotów łamać kopię w imieniu Przepięknej Damy, w imieniu Rosji. Ten nieszczęśliwy rycerz szukałby na moskiewskich brukach 1960 roku swego przyjaciela i wyznawcy tych samych idei, — młodego ukraińskiego chłopca, który niegdyś wyśpiewał pieśń o Grenadzie. Ale już założono kamienną kostką ślady po bojowych rumakach, ale zalano asfaltem otwory w ziemi, w których zatykano pułkowe sztandary. Nie znajdzie nikogo, biedny fantasta z La Manczy, n i - k o - g o ! Wiem na pewno. Gdzież są ci, którzy by poszli za Don Kichotem? Czuprow? Margulis? Igor? Nie, nie, nawet jeśli będą walczyć, to tylko we własnej obronie. Zaraz, zaraz, kto to całkiem niedawno powiedział: „Powinniśmy decydować każdy za siebie samego”? A-a, to ja sam mówiłem, to ja sam na to wpadłem. Dlaczegoż więc zabieram się do sądenia innych? Dlaczego mają być gorsi ode mnie? Dlaczego mam być lepszy od nich?

Zeskoczyłem z łóżka i z odrazą wpatrzyłem się w poduszkę, na której pozostało wgłębienie, wyciśnięte moją głową. A więc to ja leżałem? To ja magazynowałem żarcie i zastawiałem drzwi łomem? To ja trząsałem się, jak ostatnie bydło, nad swoją drogową skórą? To ja o mało co nie nawaliłem w portki ze strachu? Więc cóż ja jestem wart, z tym całym wspaniałym patosem pogardy i oskarżeń, z tym śmierdzącym stanowiskiem na boczku? Poncjusz Piłat, zdradzający codziennie swoją własną duszę — cóż ja jestem wart?!

Tak, każdy odpowiada wyłącznie za siebie. Ale za siebie, a nie za tego, w kogo pragną go zamienić. Odpowiadam za siebie, a nie za potencjonalnego samoluba, donosiciela, czarnosecińca, tchórza. Nie mogę pozwolić aby mnie zamordowali, zachowując własne życie.

Dobrze, dobrze, ale cóż mam czynić? Pojutrze wyjdę na miasto i będę krzyzcę: „Obywatele, nie zabijajcie jeden drugiego! Miłujcie swoich bliźnich!”. Tak? A co z tego wyniknie? Komu to pomoże? Kogo tym uratuję? Nie wiem, nic w ogóle nie wiem... Być może, uda mi się uratować samego siebie. Jeżeli jeszcze nie jest za późno.



## VII

*Zostańcie tu! I nigdzie nie odchodźcie,  
w szaleństwie, w gniewie, w trwodze nierozumnej,  
Już aniołowie w swym kłoszącym locie,  
mijając, pędzą nad wyjącem tłumem;  
i już, o ziemskich prawach zapomniawszy,  
tysiące gadów wypelzają z błota,  
syk z rozdziawionych wyrzucają paszczy —  
i małki plód swój zaczynają miolać.  
Zostańcie! Tak wam rozkazało życie:  
być z nimi, spędzonymi z wszystkich łądów.  
Więc się upijcie, dusze swe natchnijcie  
Ostatecznego bezmyślnością Sądu!*

Georgij Bołotin „Do was, poeci!”

Dziesiątego sierpnia wstałem o ósmej rano. Ogołiłem się, zjadłem śniadanie, poświęciłem kilka chwil lekturze. Ale co bym nie robił, nie mogłem pozbyć się natrączywej myśli, że powinienem wyjść na miasto. Przypominały mi o tym głośniki za oknem rżące brawurowe marsze, koty spacerujące zygzakami po jezdni, wyraźnie zachwycone tym niezwykłym brakiem ludzi, a także i to, że sąsiedzi nie wchodzili ani do kuchni, ani do ustępu, wszystkie czynności załatwiając w swoim pokoju.

Koło jedenastej ubrałem się, włożyłem papierośnicę do lewej kieszeni, zgodnie z postanowieniem, i wyszedłem na schody.

Zstępowałem po stopniach, nie spiesząc się i bez hałasu, więc gdy na zakręcie natknąłem się na sąsiadkę z trzeciego piętra, była to niespodzianka dla obojga. Ale to, co stało się w następstwie... Sąsiadka krzyknęła, rzuciła się na bok, butelki, które niosła w siatce, trzasnęły o poręcz. Zadzźwięczało szkło, kefir trysnął przez oka siatki na podłogę. Kobieta pośliznęła się w gęstej kałuży kefiru i z jękiem ciężko siadła na stopniach. Skoczyłem, żeby ją podnieść. Krzyknęła po raz drugi, zamknęła oczy i zaczęła mnie bezsilnie odpychać trzęsącymi się rękami.

— Tolek, Tolek — mamrotała niewyraźnie — przecież ja was od małego... na rękach... i waszą mamusię... Tolek!

— Anno Filipowna, ale cóż znowu! Tu rozbite szkło, może cię skaleczyć się...

Otworzyła oczy, podniosła ku mnie zmartwiałą twarz.

— Tolek — powiedziała — przecież ja... przecież ja... myślałam, że... Wysłałam, żeby kefiru dla Anusi, dla wnuczki... Ach, Tolek!

Rozplakała się. Jej ciężkie, opłknięte tłuszczem ciało sześćdziesięcioletniej kobiety trzęsło się jak w dreszczu. Podniosłem ją, wręczyłem torebkę.

— Zinoczka źle się czuje, a Borys wyjechał służbowo, więc dlatego, że by kefiru...

Z góry, z trzeciego piętra biegła już w rozpiętym szlafroku jej córka, Zina, kiedyś moja koleżanka szkolna.

— Mamo! Co się stało? Kto ciebie? Co się dzieje?

— Nic takiego, Zinoczka. Po prostu przewróciłam się...

— A mówiłam... — zaczęła Zina.

— Zina, odprowadź matkę do mieszkania, a ja pójdę po kefir.

Wyjąłem z siatki zalane kefirem bułki i wręczyłem je Zinie.

— Tolek, przecież pieniądze...!

...Kiedy wreszcie załatwiłem z tym kefirem i znowu znalazłem się na ulicy, upał znacznie wzmógł się. Było parno, jak przed burzą. Przerzuciłem marynarkę przez ramię, zapominając o ratowniczej papierośnicy. Czułem się paskudnie: przed oczami widniała zmartwiała twarz sąsiadki, słyszałem jej niewyraźny, rozpaczliwy bełkot: „Tolek, Tolek...”

Szedłem wzdłuż Nikitskiego Bulwaru. Był taki sam, jak zawsze — wesoły, wystrojony, cały pstry od cieniściego listowia, jak jabłkowity koń. Tyle że w tym dniu brakowało na nim dzieci. Wyrostki, rozwaleni na ławkach, w koszulach z podwiniętymi rękawami, spluwali przez ramię na trawniki, zaś środkiem alei szedł starszy mężczyzna z arogancko zadartym podbródkiem, prowadząc na smwchy olbrzymiego doga bez kagańca.

Na Arbatskim placu zobaczyłem biegnących ludzi. Spieszyli się gdzieś w kierunku starego metra, dokąd, nie mogłem dojrzeć — przeszkadzał gmach kina. Pobiegłem wpoprzek i przepchałem się przez tłum.

Na ziemi leżał człowiek, głową do muru. Leżał właśnie w takiej pozycji, w jakiej był przedstawiony trup na plakacie Saszki Czuprowa: rozrzucone ręce, odsunięta na bok noga, zgięta w kolanie. Na koszuli rozszerzała się czerwona plama; koszula była biała, wietnamska — mam taką samą, wiosną kuniła mi siostra. Człowiek leżał zupełnie nieruchomo, słonce odbijało się w wąskich czubkach jego modnych półbutów. Jakoś nawet nie od razu zrozumiałem, że nie żyje; kiedy zrozumiałem, przeszedł po mnie zimny dreszcz. Najbardziej wstrząsnęło mną nie morderstwo, nie śmierć, ale właśnie to, niemal mistyczne urzeczywistnienie graficznych przywidzeń Czuprowa: dlaczego zwłoki leżą dokładnie w takiej samej pozycji? Odrzucona do tyłu głowa prawie opierała się o ramę afisza, na którym dziarski, czarno-biały tancerz zapowiadał dekadę osetyńskiej sztuki i literatury. Obok wisiała zdarta do połowy zapowiedź Politechnicznego Muzeum: „Kandydat ekonomii, G.S. Hornfeld, wygłosi odczyt na temat



„Zagadnienia planowania i organizacji pracy w zakładach...”. Reszta została zerwana.

W zgromadzonym tłumie toczyła się niegłośna rozmowa.

— Młody.

— A może jeszcze żyje?

— Ale skąd! Umarł — lusterko podsunęłam, mam w torebce.

— Kto go załatwił?

— Kwaciarka mówiła: „Podszedł wysoki taki, opalony, i wystrzelił. Zawołał na niego, tamten się odwrócił i wtedy wystrzelił”.

— Kto się odwrócił?

— O, Boże, wiadomo kto — nieboszczyk!

— A milicji jak na złość — nie ma!

— Milicja zawsze jest tam, gdzie jej nie potrzeba.

— Zaraz, ojczulku, a co tu milicja ma do gadania?

— Jakto co? Człowieka zamordowali!

— No, to co?

— A niech cię diabli, dureń jakiś! Człowieka, powiadam, zabili!

— Ty, ojczulku, nie naskakuj. Nie wiadomo, kto głupszy. Gazety czytujesz? Dziś — wolno!

— Nie drzyj mordy, młodzieńcze: nieboszczyk obok. Gazety gazetami, a o sumieniu też trzeba pamiętać.

— Coś tu szanowna osoba w niewłaściwy ton uderza. To znaczy, że sumienie i rządowy dekret nie zgadzają się ze sobą, tak? Jahym na miejscu szanownej osoby takiej propagandy nie uprawiał!

— Odwalaj stąd, kochanie, odwalaj, żebym cię kijkiem między okulary nie ukrzywdził!

— Bojowy jakiś staruszek!

— Żeby chociaż muchy odpędzić. Nieładnie.

— Jakże to tak, moi mili, to znaczy, że pierwszy lepszy chuligan człowieka kropnie i nic mu za to nie grozi?

— Gazety, mamusi, należy czytywać. Powiedziano: „Swoboda w zabijaniu”. Nie przejmuj się: krópną kogo należy — i po wszystkim.

— A kogo kropnąć należy?

— Tam u góry wiedzą. Po próznicy dekretu ci nie napiszą.

— Żeby chociaż nieboszczyka nie rozebrali. Półbuty ma...

— Rabować nie wolno. To przecież sprawa państwowa.

Wyostałem się z tłumy i poszedłem jak najdalej.

Nie pamiętam już teraz, gdzie się wałęsałem, ile ulic i placów przemierzyłem i w jaki sposób założyłem na Czerwony Plac.

Podszedłem aż do samego Mauzoleum.

Wypukłe, prostokątne pudło placu, aż do przesyty, aż po same dachy i kopuły naładowane wieloletnim, pokornym pietyzmem, tak zagęszczonym, że aż dotykającym. Równoległe linie trybun z nagiego betonu, trzypiętrowe sześciany grobowca, niski parapet, załamujący się pod kątem prostym, naiwnie ząbkowane blanki murów — cały ten obraz, znany mi i ulubiony od samego dzieciństwa, od niemowlęcego gaworzenia, niezmienny i bezkompromisowy, jak wykres matematycznego twierdzenia, nagle uderzył mnie wprost w mózg, w duszę, w serce. Założenie — idea; należy udowodnić — wcielenie. Więc skostniałi od nadmiaru gorliwości geometrycy kreślą bez przerwy, wciąż kreślą, rozkładają arkusze na pochylonych przed nimi plecach, kreślą i nie dostrzegają, nie chcą dostrzec, że papier porwał się, że złamał się rysik, że ołówek zamienił się w szpicrutę i bronuje skórę, tnie żywe mięso. Zatrzymajcie się! Przecież nie wolno, nie wolno za taką cenę! Przecież to są ludzie! Przecież on tego nie chciał. Ten, co pierwszy położył się wśród tych marmurowych ścian!

Ktoś zwałił mnie z nóg. Upadłem, a zanim zdążyłem podnieść się, zwałił się na mnie jakiś osobnik. Ścisnął mnie za gardło, ale szarpnąłem się ostro i uwolniłem szyję. Potoczyliśmy się, bijąc głowami o ciosane kamienie bruku, gniotąc jeden drugiego i na próżno usiłując znaleźć nogami punkt oparcia na śliskiej, niedawno polanej wodą jezdni. Przed wzrokiem migąło błękitne niebo, pstre kopuły Wasyla Błogostawionego, czerwony marmur sześcianu i dwa nieruchome posągi z karabinami, strzegące umarłych. Dotoczyliśmy się aż do samych nóg wartowników. Dopiero tu udało mi się wreszcie wyróżnić tamtego kolanem w brzuch. Zwolnił uścisk rąk, poderwałem się, zachwiałem, przydeptałem nogę jednego z wartowników. Mój przeciwnik również podniósł się, trzasnął go w szczękę i jeszcze raz i jeszcze, upadł ponownie, pełznął po ziemi, chciał wstać, ręce mu się załamały, usiadł, wsparty plecami o mur Mauzoleum, splunął czerwoną śliną i zachrypiął:

— Jestem gotów. Bij!

Podniosłem leżącą pod parapetem marynarkę i powiedziałem, ciężko chwyając oddech:

— Ścierwo!

Odpowiedział:

— Na rozkaz Ojczyzny...

Obejrzałem się na wartowników. Stali tak samo nieruchomo jak przed trzema minutami, a tylko jeden z nich, zezując oczami,



patrzył na plamę kurzu, którą mój obcas zostawił na jego wyglansowanym bucie...

Poszedłem do domu.

### VIII

*Więc wybrał muszlę Bóg i cierpienie  
dłoń Stwórcy jej zadala:  
ziarenko piasku na siłę wtłoczył  
do bezbronno go ciała.*

*Jeśli Nieznane wejdzie w twój dom,  
jak się od zła wyzwolisz?  
Białą kuleczką, ziarnkiem przejrzytym  
perla dojrzewa powoli.*

Richard O'Hara „Laguna”

Październikową rocznicę obchodziliśmy w tym samym towarzystwie. Po długich naradach postanowiono zebrać się u Zoji i Pawełka: mają osobne, dwupokojowe mieszkanie, magnetofon z nagraniami Wertyńskiego i Leszczenki, mnóstwo naczyń — słowem, kobiety zdecydowały, że tam będzie najlepiej.

Gdy mnie poinformowano o miejscu zebrania, najpierw postanowiłem, że nie pójdę, ale później... Później pomyślałem: „W gruncie rzeczy, po kiego diabła mam się krępować? Wszyscy swoi, jedzenie doskonałe, a to że wiem tamto o Zoji... Założmy, że w ogóle nic nie wiem”. Co prawda, nie bardzo byłem pewny, co o tym sądzi Zoja i czy zależy jej na mojej obecności, więc powiedziałem Lili, że jeszcze nie wiem, czy w ogóle gdziekolwiek pójdę, że jestem w kiepskim nastroju i żeby Zoja zatelefonowała w przeddzień — wtedy powiem coś konkretnego. A sam zdecydowałem, że w czasie rozmowy zorientuję się, jak postąpić.

Zoja zadzwoniła.

Przywitała się, jak gdyby nigdy nic, zapytała o zdrowie, w jakim jestem nastroju i czy przyjdę. Mówiła do mnie, odpowiadałem jej i słyszałem jej oddech przez telefon.

— Bardzo cię proszę, Tolek, przyjdź — powiedziała Zoja. — Bardzo mi na tym zależy. Będę czekała. Jeżeli nie przyjdiesz, popsujesz mi całe święto.

— Wiesz, Zoja, jeżeli przyjdę, to nie sam.

— A z kim?

— Ty jej nie znasz — odpowiedziałem.

Zoja zamilkła na jedną chwilę i odpowiedziała:

— Naturalnie, możesz przyjść, z kim zechcesz. Wiesz przecież, że radzi przyjmujemy twoich przyjaciół.

I na tym pożegnaliśmy się.

Powiedziałem: „Ty jej nie znasz”. To była święta prawda: sam nie wiedziałem, kogo miałem na myśli.

Wywołałem w myśli wszystkie swoje koleżanki, oczywiście, niezamężne. Było ich sporo, ale całe nieszczęście, że każda z nich mogłaby zrozumieć zaproszenie dwuznacznie, a ja nie miałem najmniejszej chęci wdawać się w nowe romanse. Może lepiej, żebym poszedł sam? Ale tu napadł mnie szatan szczeniackiej mściwości: za wszelką cenę muszę udowodnić Zoji, że mam ją gdzieś. Postanowiłem zatelefonować do Swietłany. Swietłana jest ilustratorką w naszym wydawnictwie, ma dwadzieścia trzy lata. Jest bardzo miła, wiem, że się jej podobam, a poza tym jest dostatecznie skromna, żeby sobie nie wyobrażała bóg wie co. Kiedy ją zaprosiłem, bardzo ucieszyła się, zmieszała i zaczęła szczebiotać, że to krępujące, że ona nikogo tam nie zna, że doprawdy, nie wie...

— To głupstwo, Swietoczka — powiedziałem. — To są wszystko bardzo mili ludzie i jeżeli was nie zawstydza, że mogą poupijać się i zacząć śpiewać złodziejskie pieśni, a może nawet kłać, to... Nie ma dyskusji, czekam jutro o pół do dziesiątej na rogu Stolesznikowa, tam, gdzie księgarnia.

...Kiedyśmy przyszli, wszyscy już od dawna siedzieli za stołem. Butelki wypróżniły się o jedną trzecią, mężczyźni pozdejmowali marynarki, ten i ów próbował śpiewać. Ale wspaniałość świętecznego stołu nie uległa jeszcze zniszczeniu: nikt jeszcze nie gasił niedopałków na talerzach i nie mylił kieliszków.

Na nasz widok wszyscy podnieśli radosny hałas. Hałasowali i oglądali Swietlanę.

— To jest Swietłana — powiedziałem — potraktujcie ją tak, żeby się czuła, jak u siebie. Przysuwajcie butelki, zapraszajcie nas i częstujcie.

— Swietłanoczka, kochanie — zaśpiewała po swojemu Lila — proszę bliżej. Te chlopy zupełnie się rozwydrzyły, sami jedzą, piją i nie zwracają na nas żadnej uwagi. Ale obejdzimy się bez nich, prawda?

— Nie obejdzicie się bez nas! — Pawełek zanosił się śmiechem. — My...

— Niech piją kolejkę za karę, że się spóźnili! — darł się Włodek.

— Swietłana, proszę kieliszek — Igor nalał jej wytrawnego wina.

— A może lepiej koniaku? Wódki nie odważam się proponować.



— Ach, nie, cóż znowu, dziękuję — uśmiech Swietłany był nieco wymuszony.

— Tolek, gdzie się podziewacie, dlaczego się nie pokazujecie? Miszeńka ciągle zapytuje: „A gdzie jest wujek Tolko? A kiedy przyjdzie?” — Emma, żona Włodka, położyła biust na stole i, udając swego synka, zaokrągliła usta i oczy. Ubrana była, jak zawsze, jaskrawo i bez smaku.

— A więc? — Zoja podała mi kieliszek wódki.

— A więc? — odpowiedziałem.

— Wszystkiego najlepszego w dniu święta! Wszystkiego najlepszego, spóźnialscy! — Pawełek pochylił się nad stołem, żeby uderzyć się ze mną kieliszkiem. — Już się obawiałem, że nie przyjdziecie. Bo ja i Zoja...

— Pawełek, wylewasz wódkę.

— Przepraszam, kochanie... Ja i Zoja...

— Pawełek, podaj mi, proszę, sałatę.

— Ja i Zoja... A cóż ty mi słowa powiedzieć nie pozwalasz?!

— Po prostu chciałam cię prosić, żebyś nalał również wina i mnie.

Hałas ciągle wzrastał. Już nie było wspólnej rozmowy. Już Igor na całego przystawiał się do Swietłany, już Lila wyskoczyła zza stołu i zawisła na szyi jakiegoś tykowatego młodzieńca, którego nazywano „geologiem Jurą”, już Włodek głośno recytował wiersze wziętego, młodego poety, kiepskie wiersze z niedbałymi, jak niezawiązane sznurki, rymami. Na Włodka szarżowało dziewczę z ostrym nosem, krzycząc, że poeta jest trywialny, a jego wiersze — to beztalencie.

— Trywialny — darł się Włodek — a cywilna odwaga, to co?! Beztalencie, a dlaczego „Komsomolskaja Prawda” go zjeżdża?!

Panowała powszechna wesołość. Pawełek przygotowywał magnetofon. Emma jadła sałatę. Geolog Jura ciągle powtarzał: „Myśmy tam odzwyczaili się od majonezu”. Wypiłem trzy kieliszki i, nie wiadomo czemu, wpadłem w złość.

— Słuchajcie przyjaciele — powiedziałem, zagłuszając zmieszany hałas popijawy — czy wy wiecie, że ja was wszystkich cholernie kocham?!

— Toleczku!

— To — la!

— Tola, mój śliczny!

— Przecież to nie ma sensu — kontynuowałem — że tak rzadko się spotykamy. Kiedy to ostatnio byliśmy wszyscy razem?

— Ostatnio?

— Istotnie, kiedy to było?

— A ja wiem! — zawołała Lila. — Ostatni raz to było w willi na wsi! Wtedy, gdy został ogłoszony Dzień jawnych morderstw!

Wszyscy naraz umilkli. Nawet puszczonego w ruch magnetofon zaciął się na jakimś hamulcu, zaskrzypiał i zatrzymał się. Tylko Emma jeszcze mówiła z rozpędu:

— ...a w szkole u nich organizują gorące śniadania...

Ale i ona zamilkła, spostrzegłszy powszechną ciszę. Przerwa w rozmowie trwała, przeciągała się, zaczynała stawać się nieprzyzwyczajoną.

— I rzeczywiście — odezwał się Igor — tyle czasu upłynęło, tyle wydarzeń. Dziesiąty sierpnia...

— Ja i Zoja — wykrzyknął Pawełek — jak i Zoja przesiedzieliśmy spokojniutko... Telewizor, magnetofonik... A następnego dnia w biurze mnie zapytują...

I wtedy wszystkich jakby poderwało.

— ...a ja mu na to mówię: „Ja cię pierwszy zaciukam! Ty — powiadam — padlino...”. I zagiąłem go, sam wiesz, jak to ja potrafię...!

— W Odessie kryminaliści złapali komendanta milicji. Naturalnie, był w mundurze. Wiecie, co zrobili? Przebrali go w jakieś łachmany i puścili. Rozumiecie, puścili wolno? A potem dogonili i... wykończyli! Była rozprawa sądowa.

— Na-aprawdę?

— I skazali... za napad rabunkowy!

— A teraz posłuchajcie, co się działo w Pieriedielkinie! Koczetow wynajął sobie straż przyboczną z podmoskiewskich bandytów. Karmił ich, poił naturalnie. A inni pisarze znowu wynajęli swoich bandziorów. Po to, żeby Koczetowa trzasnęli!

— I co się stało?

— Co się stało! Draka była na całego! Bandyci między sobą się tłukli!

— Chłopcy, a kto z was wie: dużo było ofiar?

— W RSFSR niewiele: wszystkiego jakieś osiemset, czy dziewięćset, coś koło tysiąca. Jeden gość z GSU opowiadał.

— Tak mało? Nie może być!

— Zgadza się. Te same liczby przez radio nadawali. Zagraniczne audycje, naturalnie.

— Ale tam to dopiero była rzeź! Gruzini Ormian, Ormianie azerbajdzjańskich Turków...

— Ormianie Turków?



— No, tak, w Górnym Karabachu. To przecież ormiańska prowincja.

— A w Środkowej Azji jak było? Tam chyba także się tłukli?

— Nie, tam wewnętrznych walk nie było. Tam wyłącznie Rosjan wyrzynali...

— Czytaliście oświadczenie Centralnego Komitetu?

— Czytaliśmy!

— Nie czytaliśmy! Opowiadaj!

— Więc najpierw o Ukrainie. Tam Dekret uznano za dyrektywę. No, i narozrabiali. Młodzieżowe zespoły, złożone z aktywistów, listy wybranych osób... O tych listach stało się od razu wiadome — jakże taką rzecz w sekrecie utrzymać? No, i wypadło tym specjalnym zespołom obejść się smakiem: wszyscy, którzy byli na listach, puciekali. Tak że cała sprawa zwichrowała się. I teraz jeszcze CK im dołożył — za wulgaryzowanie idei, za wypaczenie. Czternastu sekretarzy rejonowych komitetów i dwóch sekretarzy komitetów obwodowych — na zieloną trawkę!

— Naprawdę?

— Najzupełniej ściśle. A w krajach bałtyckich nie zabili nikogo.

— Jakto nikogo nie zabili?!

— A ot tak! Nie zabili — i tyle!

— Ale przecież to demonstracja!

— I jeszcze jaka! Zignorowali dekret i po wszystkim. W piśmie CK wskazuje się na niezadawalający poziom pracy polityczno-wychowawczej w krajach bałtyckich. Także kogoś zdjęli ze stanowiska.

— ...biegnie zaułkiem, krzyczy i strzela i strzela! Seriami po oknach! I skąd on automat wytrzasnął? W lotniczo-technologicznym Instytucie o oporze materiałów wykłada...

— A my drzwi na klucz, rolety spuściliśmy — i w szachy...

— Powiadam mu: „Ani mi się waż, pomyśl o dzieciach!”.

A on swoje: „Idę na miasto!” — nawet zębami zazgrzytał. Masza płacze... Ledwim go przekonała...

— ... W „Izwestjach” artykuł tej, jakże się nazywa?... Heleny Kononienko. O wychowawczym znaczeniu dla młodzieży. Nawet jakoś to z politechnizacją i z ugornymi ziemiami powiązała...

— A znowu w „Krokodylu”! Taki rysunek zamieścili: leży i...

— Ja i Zoja tylko jednego żałowaliśmy, że nie ma nikogo z naszych: weselej by było...

Minęło, minęło, minęło! To słówko, przez nikogo nie wypowiedziane, wyskakiwało wciąż poprzez anegdotyczne opowiadania, przez nerwowy śmiech, przez nieprawomyślne repliki pod adresem rządu. Po raz pierwszy od Dnia jawnych morderstw dowiedziałem się, co ludzie mówią o tamtych wydarzeniach. Dotychczas, jeśli kogoś na ten temat zagadywałem, patrzyli na mnie jakoś dziwnie i zmieniali temat rozmowy. Niekiedy łapałem siebie na niesamowitych myślach: „A może to wszystko mi się tylko przyśniło?!”. A teraz — minęło! A teraz obchodzimy 43-cią rocznicę Wielkiej Październikowej Socjalistycznej Rewolucji!

Tylko czworo nas milczało — Swietłana, Zoja, Włodek i ja. Wzburzony nurt wrażeń, opowiadań, pogłosek i wiadomości wirował, zawisał w powietrzu barwną tęczę, bryzgał pianą na beżowe tapety.

— W naszej ekspedycji wszystko odbyło się cicho i spokojnie. Tam nie można — dokoła tajga. Dzisiaj — ciebie, a jutro — mnie...

— Nasz sąsiad popełnił samobójstwo o świcie... Spokojny taki starszek, kelnerem był w restauracji „Praga”...

— Nie mogłam zasnąć przez całą noc, ciągle wydawało mi się, że ktoś się dobija...

Przypomniałem sobie noc na jedenastego sierpnia. Wyszedłem na ulicę Sadową — właśnie szerokim frontem szły miejskie polewaczki z rozstawionymi szczotkami i zmywały, zmywały, zmywały jezdnię i chodniki...

Wyczekałem, aż Swietłana obróci się do mnie, i ukradkiem pokazałem jej wzrokiem na drzwi. Wyszła, a za chwilę wyszedłem także. W kuchni było przytulnie i spokojnie.

— No, jak, Swietłana? Podobało się?

— Wiesz, Tolek, nie bardzo rozumiem. Wszyscy oni bvli naprawdę bardzo mili, a potem, jak zaczęła się rozmowa o tej sprawie... Dlaczego oni tak bardzo się cieszą?

— Cieszą się, że ocaleli.

— Przecież wszyscy oni pochowali się! Przecież ich — Swietłana zacięła się, szukając właściwego słowa — przecież ich... zastraszyli!

— Zastraszyli? — chwyciłem dziewczynę za ramiona. — Swieta, ty zdałaś sobie sprawę?

Nie, nie zdawała sobie sprawy. Nie mogła zdać sobie sprawy, że tym jednym słowem odpowiedziała we właściwy sposób na pytanie, jakie zadawały nadaremnie miliony zmieszanych, zagubionych ludzi. Ta mała nie orientowała się, że znalazła się na poziomie wielkich statystów, dalekowzrocznych przywódców na-



rodów, na równi z przemądrzałym szelestem papierów w zaciemnionych gabinetach, z niezbyt głośnym, nabrzmiałym szacunkiem mamrotaniem referentów, na równi z tym, co nazywają Państwem przez duże P. Wydawało się jej, że powiedziała to słowo tylko do mnie, a w rzeczywistości rzuciła je prosto w twarz, niechcący, nic o tym nie wiedząc, ogromnym rządowym gmachom, czarnobiałym hektarom dzienników, codziennie walącym się na kraj, zgodnym rykom publicznych zgromadzeń, szatańskiemu jazgotowi gąsiennic, ciągnących rozwarłe paszcze armat na święteczne defilady.

Objąłem dziewczynę i powiedziałem:

— Dość już o tym, Swieta. Mam chęć ciebie pocałować, mam chęć już od dawna, czy tego nie widzisz...?

...I oto, po odprowadzeniu Swietłany, wracam do siebie. Idę przez znajome ulice, przez zaułki, po których mógłbym spacerować z zamkniętymi oczami. Przez tiulowe firanki przeświecają różowo wspaniałe krynoliny abażurów. Przed bramami roztają się i w żaden sposób nie mogą rozstać się żegnające się pary. Kamienny Timiriaziew zastygł w zadumie, niby kamienny palec, przystawiony do czoła. Gdzieś huczy radio, gdzieś tam zazgrzytały hamulce samochodu, hałasują rozweselone gromadki, podobnie jak ja, powracające z jakiegoś przyjęcia. W jakichś pokojach, na jakichś piętrach siedzą ludzie i wymrukują przekleństwa, wiersze, wyznania miłosne.

To mówi Moskwa.

Idę ulicą, przez spokojny, przytulny bulwar, sprawdzam czy zeszyt jest w kieszeni i myślę o tym, co napisałem. Dochodzę do wniosku, że to samo mógłby napisać ktokolwiek inny z mojego pokolenia, dzielący takie same losy, podobnie, jak ja, zakochany w tym przeklętym, tym cudownym kraju. Osądzałem ten kraj i jego ludzi, a także siebie samego lepiej i gorzej, niż należało osądzać. Ale kto ma prawo potępić mnie za to?

Idę i mówię sam do siebie: „To jest twój świat, twoje życie, jesteś jego komórką, jego cząstką. Nie powinieneś pozwolić, aby cię zastraszone. Powinieneś zdobyć się na odpowiedzialność za samego siebie i na tym polega twoja odpowiedzialność wobec innych”. A wtedy cichym szumem nieświadomie zgody i zdziwionej aprobaty odpowiadają mi niekończące się ulice i place, nadbrzeża i drzewa, uśpione okręty domów, płynące gigantycznym karawanem w nieznane.

To mówi Moskwa.

1961

Mikołaj ARŻAK

Z rosyjskiego przełożył Józef ŁOBODOWSKI  
(Copyright by Institut Littéraire, 1962).

## Powrót taty

„Jeśli bym miał cię zapomnieć, o Jeruzalem!” Pociąg do Ziemi Obiecanej, bez przesiadki we wschodnim Berlinie, odchodzi przed północą. Dwa miejsca w wagonie sypialnym. Zimorodka przywiozą na stację w ostatniej chwili. Żeby się nie denerwował na dworcu. I tak źle sypia od tygodnia. Ubiegłej nocy krzyczał przez sen. Nic dziwnego: taka wyprawa! — „Dokąd?” — zdziwił się kasjer w okienku. Przyłożył rękę do ucha. Na znak że się przesłyszał. Jeszcze godzina do odejścia pociągu. „Godzina myśli”. „Braliśmy” to kiedyś w szkole. Nikt nie rozumiał o co chodzi. Sam polonista ziewał od ucha do ucha. A tutaj — czarnowłosi. Wiodą wytlenione na miłosną utarczkę. Południowcy. „Dopust boży, szarańcza — szemrzą tubylcy przy piwie. — „Czarna okupacja” — napisał jeden z czytelników w liście do redakcji. W lewej ręce niosą kuferkowe radio z którym nie rozstają się ani na moment. Przygrywa im. W podróży. Na spacerze. Podczas jedzenia. Przy wciąganiu płowych branek w zarośla. Nawet w trakcie przechodzenia przez jezdnię. Gdy łoskot motorów i kwik hamulców zagłusza muzykę, przykładają grające pudełko do ucha. Prawą rękę trzymają na dziewczęcej szyi. Tuż u podstawy czaszki. Uchwyt zbyt sportowy, by mógł się kojarzyć z romantyczną czułością. Dumni kłusownicy. Chcą się pochwalić przed całym światem: pochwycona za kark, to nasza własność! I tak żadna z nich nie myśli o wyrwaniu się z potrzasku. Pójdą po dobroci. Przydworcowy hotelik, nie rzeźnia. Nylonowa sarnina na wysokich obcasach. Ani jej ogłuszać ani wiązać za pęciny nie potrzeba. Wszystko już z góry przygotowane. Film, telewizja, magazyn ilustrowany, prospekty turystyczne od dawna zrobiły swoje. Wystarczy wytlenioną unieść za łokcie, położyć koło siebie i sparzyć spojrzaniem. A już jej pod powiekami wirują kolorowe pocztów-



ki z Wenecji czy z Capri. A już jej w uszach dzwonią słowa piosenek z ostatniego festiwalu: *amore, dolore, ardore, melancolia, gelosia, sole, luna*. — „Dokąd” — powtórzył kasjer, karp w akwarium. Ze zdziwienia oczka mu urosły za szkłem. — *Nach Warschau?*” Może to i lepiej, że napięcie nerwów przed podróżą wystrza wzrok i słuch. Choćby na te śmieszności dworcowego erotyzmu. Najfatalniejszy w tej chwili byłby kiepski patos „powrotu na ojczyzny łono”. *Spod Saragossy wojak stękniony jedzie powitać rodzinne strony. Do ciebie idziem, święta ziemię nasza. Amen!* Lancita i Zimorodek. Cóż ma wspólnego Lancita z moim Zimorodkiem? Na dworcu głównym w Monachium, w ciepły wrześniowy wieczór, ja, Jan Jankowski, kupiłem *Corriere della Sera*. Tak się zaczęło. Jeszcze w dzieciństwie posłyszałem historyjkę, która na długie lata utkwiała mi w pamięci i nawet dzisiaj chodzi mi po głowie: podobno na Syberii, gdy złapią tęgie mrozy, zamarzają słowa w powietrzu. Wystarczy pod gołym niebem powiedzieć kilka zdań, a głos ludzki z miejsca na lód ścięty, wmarza w srogą syberyjską zimę jak paproć mrozu w szybę. Ale z nadejściem odwilży odtajane dźwięki rozbrzmiewają na nowo. Któż opisze zdumienie wędrowca, kiedy nad pustym przeddworcowym placem, gdzie niegdyś stały rzędy sań, ale teraz nie widać żywego ducha, nagle posłyszysz soczyste przekleństwa woźniców lub rzenie niewidzialnych koni. (— „Literaturka!” — powiedziałyby Kalinka). W dziesięć lat po wyjeździe z Anglii do Niemiec, pośrodku hali dworcowej wypełnionej wielojęzycznym tłumem, przypominałem sobie podobny głos odmarznięty: szyderczą radę „Zygmunta Augusta” czyli Kalinki: — „Przejdźmy na drugą stronę! Zbliża się Reytan z Emilią Plater, patentowani nudziarze i cierpiętnicy. Wierząc w siłę zakaźną nieszczęścia, unikam nieszczęśliwych jak ognia. Mówią że Fryderyk Wielki doradzał dworzanom, by schodzili z drogi hałaśliwym żakom i podchmielonym grenadierom. A ja bym jeszcze dodał: patriotom schodźmy z drogi, patriotom ze stygmatem męczeństwa na czole. Chryzmo, polska woda kolońska”. Szyderca Kalinka, miejscowy Diogenes z „beczki śmiechu”, wraz ze swoją wiecznie przeziębioną, w pled owiniętą Włoszką z Bari (stąd nazywano ją „Królową Boną”) dawno już przepadł bez śladu i wieści. Podobno wyemigrował do Argentyny. Co się w końcu stało z kobieciną przyrównaną do „dziewicy-bohater”, Bóg raczy wiedzieć. Dalsze losy nieszczęsnego Reytana? Lepiej o tym nie myśleć. Czarny Piotruś, czaruś, pędziwiatr i postrzeleńiec, zapędził się, jak mówią, do Wenezueli. A może do Legii Cudzoziemskiej, skoro odezwał się z Indochin? „Orzeł Biały” w Londynie doniósł kiedyś, że poluje na wieloryby. — „Z pana to też lepszy Rudolf Valentino!” — mówiła do niego Emilia Plater na pół z podziwem na pół z przyganą. Mistrz Gniotek jeśli się nie zapił

na śmierć, co wysoce prawdopodobne, pewnie na koszt angielskiego podatnika awanturuje się w ponurym przytułku *Ministry of Health?* A może pokornutki jak duszyczka u drzwi do rajy roznosi piegowatym siostrzyczkom herbatę z mlekiem w kantynie Armii Zbawienia w Aberdeen czy innym Dundee? — „Widzę swoją starość-nie radość, *unhappy-end* jak na dłoni — wzdrygał się nieraz nad szklanką dżinu. I wpatrywał się w pustą butelkę po *Gordon's Dry Gin* jak wróżka w szklaną kulę. — Nie ma się co łudzić, ale buntuj się, polskie serce, póki w piersiach bijesz! Ja, Gniotek, przed którym sam generał-dyktator Jorgo Ubico, człowiek-wulkan, ukląkł kiedyś w Alta Verapaz i prosił jak tylko ojciec prosić potrafi gdy walczy o szczęście jedyne dziecko: 'Ożeń się z moją córką Marią Eleną a oddam ci rządy nad całym krajem; co tylko zechcesz, będzie twoje; jeno ulituj się nad piętnastoletnim sercem które kocha po raz pierwszy!' Ja, Gniotek, któremu francuskie hrabiny dziękowały na piśmie; ja, *the great Polish hero*, jak wołali na mnie w *Casa de Mujeres*, miałbym skończyć w jakiejś nędznej angielskiej kostnicy na łaskawym talerzu płatków owsianych z mlekiem? *Porridge* i *hot-water-bottle!* Aach — łamał mu się bas po pijacku, kropla dżinu drżała w kąciku oka — toż tam nawet pielęgniarki nie podszczypiesz w żyłasty, staropanieński pośladek!” — „Bez złudzeń, Zagłobo dla ubogich — wpadał mu w ton Kalinka — To purytanki! Bez polotu i wyobraźni!”. Krzaczaste brwi, wzrok z rodowego portretu was przyczesany: Imć Rokita. Jeszcze jeden rzewny ekspонат z wygnańczego gabinetu Madame Tussaud. Następny do capstrzyku! Pułkownik-windziarz Rokita, *Virtuti* pod Krzywymi Płatami, chyba nadal używa wejścia „tylko dla służby”? A może w „srebrnej brygadzie” (tak nazywa *Daily Mirror* polskich oficerów czyszczących srebro po hotelach) przed dorocznym bankietem nowobogackich jarzyniarzy czy innych sklepikarzy z Golders Green czyści półmiski w Savoy'u czy Cumberland'zie? — „Nic mi tak nie dokucza jak tablica z napisem *Tradesmen's entrance* — zwierzał się towarzyszom broni. — Dopiero po śmierci wolno mi będzie wjechać na cmentarz przez główną bramę, od frontu, niczym szacownemu *greengrocer*'owi z Shepherd's Bush do naszego hotelu, ale i na ten przywilej nie ma co liczyć: gotowi jeszcze jak na złość — perfidny Albion! — zajechać karawanem od tyłu lub bocznym wejściem”. Jeden artykuł w *Corriere della Sera* i od razu karuzela wspomnień, ważnych i niedorzecznych, podrywa się z monachijskiego dworca pod tamto, zamglone i wilgotne niebo. Podobno skazańcowi w obliczu śmierci w jednym ułamku sekundy całe życie staje przed oczami. Bez przesady! Powrót Odysa do Itaki nie jest wyprawą na tamten świat. Lancita i Zimorodek. Cóż ma wspólnego Lancita z moim Zimorodkiem? Broń-



my się przed monomanią! Wracając do pułkownika-windziarza, który nie wierzył w pośmiertną równość: właściwie trzeba było go spytać czy za swego pułkownikowania w Baranowiczach również był zwolennikiem jednej bramy dla wszystkich? — „Jakaż tam, pułkowniku, równość na świecie! — machał ręką Kalinka. — Pan wojewoda zawsze będzie miał genitalia, burmistrz jądra, a sołtys jajca!” — „Kiedy po raz pierwszy przywdziałem hotelową liberię — mówił Rokita — i oko moje padło na złote guziki, nie tyle przypomniał mi się mój dawny mundur oficerski, co znakomity strój mego przodka, husarza spod Chocimia: skóra lamparcia, karmazynowym adamaszkiem podbita, pod szyją złotymi szponami spięta. *'Stawam na placu z Boga ordynansu, rangę porzucam dla nieba wakansu. Dla wolności ginę, wiary swej nie minę. Ten jest mój azard!'* Niemęska to sprawa, skarżyć się na swój los, ale — wierzajcie mi! — smutne to były obłóczyny. W rzeczy samej ceremonia ta niewiele miała w sobie ze świetności promocji czy z blasku prymicji. Czułem się jak świeżo ostrzyżony aresztant, gdy spogląda na własne pukle zmiotane z więziennej posadzki. Szczęściem od Boga jakaś mała, nikczemna kurewka siedzi w każdym z nas i ona pierwsza podaje ci rękę w życiowej awarii i mizerii. Dam wam drobny przykład: mój pierwszy napitek. Z początku straciłem głowę. Instynktownie chciałem spoliczkować łotra-dobrodzieja. Taki afront! Monetę mi wcisnął w rękę. Jak żebrakowi. Znieważył mnie, hycel, jałmużną. W tejsze chwili uświadomiłem sobie, że to nie jego wina: on przecież nie wie kim ja jestem, to tylko ja wiem kim jestem, a raczej: kim byłem. Czas przeszły. I wtedy ogarnął mnie wstręt do samego siebie. Uciekać! — przeszło mi przez skronie. — Zwymiotować połkniętą żabę! Szyling parzył mi palce. Liberia zaczęła mnie palić na grzbiecie. *'Płonąca szata Dejaniry'*, jak nas uczono w szkole. Złote guziki dziurawiły mi pierś. Wolałbym już nadzienie z odłamków granatu! Pół przytomny ze wstydu i obrzydzenia wybiegłem, historyk, do klozetu. Ściągnąłem rodowy syngnet z palca i — tylko się nie śmiejcie! — z bekim wrzuciłem go do muszli. Zaślubiny pułkownika Rokity z nowym zawodem. Scena godna pędzla Kossaka. Tyle tylko, że zamiast zwycięskiego Hallera na rumaku pozuje zmurszały, pokonany fagas w liberii. A zamiast zatoki Puckiej powinniście wypędzlować Cumberland Hotel przy Marble Arch w Londynie. Ale czas, dobrotliwy ojciec tylu różnych kompromisów, robi swoje i do nowej sytuacji życiowej potrafi nagiąć stare pojęcia. *Prywykniosz*, jak mówią nad Jenisejem. Nikt cię nie chce obrazić, głuptasie, ani upokorzyć — powiedziałem sobie — zniewaga bez intencji znieważenia nie jest zniewagą; napitek nie jest jałmużną, lecz dodatkowym wynagrodzeniem za pracę, *nota bene* podlegającym opodatkowaniu na

równi z tygodniówką. I jeśli dzisiaj mam ochotę kogoś spoliczkować, to już nie za obrazę, proszę państwa, ale za skąpstwo. Gdy mi zamiast *half-crown* wetknie w łapę szylinga lub sixa. Do stu diabłów z pańskimi fochami, fumami! Furda liberia! Taki sam mundur jak każdy! Poczekaście tylko co będzie dalej. Od rzemyczka do koniczka. Dajcie mi funta napiwku, a wytnę wam trepaka na Trafalgar Square! Z orderem na szyi! Na nagusa! Dzwoniąc czym trzeba! Zabawne, co?” — „Otóż to, zmieniają się czasy, zmieniają się ludzie!” — wzdychał sentencjonalnie Diogenes-Kalinka. I dodawał złośliwie: — „Nad profanacją odznaczeń bojowych łez wylewać nie radzę: po stłumieniu powstania listopadowego car Mikołaj sto tysięcy *Virtuti* rozdzielił między swoje bohaterki. Gdy Monsieur Sebastian w Izbie Deputowanych wołał: „Porządek panuje w Warszawie!”, niejeden czerkies z twoim, Rokito, krzyżem na burce cwałował po stepie”. I jeszcze jeden okaz z tamtego rezerwatu: Owczarek. Po szyję zapadający się w grzęsawisku wojennych wspomnień Owczarek! Kopalnia smutnej anegdoty. To on zarzekał się publicznie, że raz na zawsze nabawił się nieufności do ludzi zbyt chętnie manifestujących swoje oburzenie moralne. Precz z moralistami! A sprawcą tej przemiany stał się niejaki Piwosz vel *Bieronkel*, komendant krematorium, z zamiłowania etnograf. W niespełna kwadrans po spaleniu transportu cyganiątek zaczął się na głos oburzać, że nie ma okrutniejszego pomiotu piekieł na ziemi jak... Cyganie. *Schlimmer als die Juden!* Jedno z tych wydarzeń, które obce są Lancicie. I o którym nie powinien się dowiedzieć głodny świata Zimorodek. Lancita i Zimorodek. Znowu ten obsesyjny sprzęg obcego nazwiska z jakże bliskim imieniem. Zimorodka przywiozą na stację w ostatniej chwili. Owczarek — a więc i jego pergaminową twarz wydobyl mediolański dziennik ze studni niepamięci! — przytoczył kiedyś jeden z „argumentów”, jakim Piwosz vel *Bieronkel* usprawiedliwiał słuszność swoich „poglądów” na cygańską naturę. Kto chce spalić Cygana, zawsze tam coś wzniosłego wymyśli. Jeszcze nie tak dawno, bo przed pierwszą wojną światową — oburzał się etnograf-amator w mundurze — Cyganie w Smorgoniach nieludzko znęcali się nad bezbronnymi niedźwiedziami. Sadyści! Wbijali im ciernie w przednie łapy. Kłuli widłami w podbrzusze. Pojmane zwierzęta zmuszali biciem do tańca na rozpalonych płytach lub kamieniach. Przebijali im nozdrza obwarzankami z żelaza. *Schöne Schweinerei!* — „Przy opisie cygańskich okrucieństw — przypominał sobie Owczarek — głos komendanta krematorium łamał się z oburzenia, twarz czerwieńiała mu z gniewu. *Bieronkel* nie udawał. Jego oburzenie było szczerze. On tak naprawdę czuł i myślał. Przez cały czas przemówienia patrzeliśmy tępo w jeden punkt



ponad czapką miłośnika zwierząt. Dymek w kształcie cygańskiego loku, ostatni ślad po spalonych, wił się nad kominem". Czy tonącego w trzęsawisku podobnych wspomnień Owczarka Lancita też by nazwał „nudziarzem z Messyny”? Znowu Lancita. Lancita i Zimorodek. Cóż ma wspólnego włoski Lancita z polskim Zimorodkiem? Chyba tyle: gdyby pójść za życzliwą radą czy też przestrogą współpracownika *Corriere*, należałoby świat Reytana, Emilii Plater, Czarnego Piotrusia, Kalinki, Rokity i tylu innych rozbitków wyrzuconych po burzy na obcy brzeg — jedynie Malinowscy, obrażeni na Jerzego Szóstego, wrócili do Polski! — odsunąć od chłopca na odległość wzniesionej do egzorcyzmów ręki. — „Brońmy go — prosiła Ewa — póki nie jest za późno!”. Jeszcze godzina do odjazdu pociągu. Tyle twarzy, nazwisk i głosów. Powrotna fala. Nalot wspomnień. Jak w tej powiastce o syberyjskim mrozie: placyk już dawno opustoszał; sani, koni i woźniców ani śladu, a jednak całe korowody zdań odmarzają nagle w powietrzu, i słychać pijacki kaszel Gniotka, szyderczy śmiech Kalinki lub „Tango Milonga” nucone przez panią Emilię. Westchnienia we mgle, szepty spod darni, światło z martwej planety. A tutaj? Tutaj, jak wokół wielu niemieckich dworców, w sobotnie wieczory zbierają się rzesze cudzoziemskich robotników. Przeważają Włosi i Hiszpanie. Osobną, gorzej ubraną grupę stanowią Grecy. Biedota z Macedonii. Odbicie wymizeryowanych twarzy w szybie księgarni. Monogram smutku. Ostrzami profilów wcinają się w pstrokaciznę wyglansowanych okładek. Zestaw książek jak w amerykańskim *drug-store*. Rewolwer. Dziewczyna z rozerwaną bluzką. I poradniki ujawniające najważniejsze zmartwienia powojennego świata. Jak schudnąć. Dokąd jechać na urlop. Jak nowoczesnie urządzić dom i ogródek. Co do zbiegowisk na dworcu, istnieją w mieście dwie „szkoły myślenia”. Jedna, sentymentalna, uważa że tęsknota do ston rodziennych każe cudzoziemcom niczym nocnym owadom dookoła lampy krążyć w pobliżu peronu z którego najbliższej do domu; podobno niektórzy przychodzą dotknąć palcem tabliczek na dalekobieżnych ekspresach z napisem „Rzym” lub „Ateny”. Druga zaś, sceptyczna, stwierdza po prostu, że w sąsiedztwie dworca nie brak pewnej kategorii dziewcząt i hotelików wynajmujących pokoje na godziny. Natomiast ja, Jan Jankowski, nałogowy gazetojad — różne bywają namiętności! — przyjeżdżam tutaj dwa-trzy razy na tydzień z drugiego końca miasta, by zaopatrzyć się w obrok dla oka. Pulchna blondynka w okularach, ilekroć wręcza mi gazetę z Warszawy, nie może wyjść ze zdumienia, że Polacy, naród żyjący między jeziorem Ładoga a Onega, nie posługują się cyrylicą. — „Czytałam, już nie pamiętam w jakim magazynie — powiada ze współzuciem — że komuniści znieśli łaćniński alfabet!” —

„Jedynie system dziesiętny!” — uchylam grzecznie kapelusza. Potem zasiadam na sąsiedniej, kamiennej ławce z wyrzeźbionym mniszkiem, herbem miasta, i zaciągam się zapachem farby drukarskiej jak najprzedniejszym papierosem. — „Nie wiem czy jest drugi człowiek na świecie — żartował kiedyś Kalinka — któremu Gutenberg swoim niefortunnym wynalazkiem sprawił tyle radości co Jankowskiemu. Kornik zjada dziennie ćwierć grama drzewa, nie więcej. Liszka kapuściana zadawała się kilku centymetrami kwadratowymi liścia. Natomiast nasz narkoman druku do samego śniadania pochłania pół kilograma gazetowego papieru”. Pulchna blondynka nawet nie zdaje sobie sprawy z zalet posiadania własnego kiosku. Nieźle by było po wszystkich wzlotach i upadkach osiąść pod wieczór życia w budce z gazetami. — „Chyba tylko angielskie turystki, po raz pierwszy w życiu przybywające z wycieczką z Birmingham do Paryża i na głos, chórem, odczytujące nazwy perfum za witrynami sklepowych sezamów, zdolne są do odczucia równie szczerzej i niezsutej radości jak ta której — za każdym razem na nowo! — doświadcza Jankowski na widok soczyście wytłoczonej czcionki, zgrabnego nagłówka czy znajomego tytułu dziennika!” — Kalinka miał rację. *The Guardian*, *Le Monde*, *Die Welt*, *Corriere della Sera*... Tak, tej właśnie gazecie przypadła rola odegrania przysłowiowego kija, wetkniętego w mrowisko wspomnień. Ale literackie ozdoby w rodzaju „nieostrożnie obsunięty kamyczek wyzwała lawinę”, „kropla daje początek rzecze”, „jedno słowo może czasem odemknąć wieko zapomnienia” zostawmy na uboczu. Sprawa jest jasna: gdyby nie ostatni numer *Corriere* i niesprawiedliwy artykuł Lancity... Bez Lancity nie przypomniałbym sobie biwaku-widma wśród angielskich wrzosowisk: są sprawy do których wraca się niechętnie. Nadstawiam teraz ucha i ze wszystkich zakątków monachijskiego dworca dochodzą mnie odtajane głosy: — „Powiem całą prawdę. Przed Sądem Obywatelskim!” (Reytan) — „Któraż Polka nie uczyniłaby tego samego?” (Emilia Plater) — „Ja bym ich kazał z l i k - w i d o w a ć ! ” (Czarny Piotruś) — „Jego Korpulencja raczył tyle serca poświęcić Bogu, że już go nie starczyło dla ludzi”. (Kalinka o Owczarku) — „Ależ panowie! Z R z y m u nie wypada innowiercom posyłać pocztówek z pozdrowieniami! To nietakt!” (Pani Malinowska) Nie tylko pojedyncze zdania, ale i dłuższe fragmenty tamtych konwersacji przypominają się po latach. „Długie, nocne rodaków rozmowy”. I znowu wracamy na wyspę. I znowu ci sami ludzie. — „Gdybyś się, ptasiu, wybierał do Hondurasu, polecam ci w Tegucigalpa przybytek dla marynarzy i wprowadzonych przez nich gości. *Flores de Navidad*, kwiaty Bożego Narodzenia, tak się to to nazywa. Poznasz po lampionach nad furtką. Najtrudniej się dopchać do 'profesorowej'. W okula-



rach, ptasiu! Uczy chłopców sztuczek. Niektórzy, nie oblatani, na tydzień z góry na nią się zapisują. Pięć lempiras za seans, dla Amerykanów piętnaście, ale wystarczy, że powiesz: *Buenas noches, La Professore!* Pozdrowienia od Gniotka! *Best regards from Gniotek!* — a grosza od ciebie nie weźmie!” (Mistrz Gniotek do Czarnego Piotrusia) To znów namydlony baryton Owczarka: — „Razem ze mną złapali młodego ogrodnika spod Włocławka, który, możecie wierzyć albo nie, nazywał się Stanisław... Hitler! Zanim go zaczęli przesłuchiwać na *Dienststelle*, zmienili mu w papierach nazwisko na „Hiller”. To było tak: najpierw ten barczysty Bałtyz w czarnym mundurze długo wysuszał poprawione nazwisko bibularzem, potem zdjął marynarkę i starannie powiesił ją na wieszaku. Dopiero gdy powoli otworzył szafę z takimi różnymi instrumentami, zaczął się śmiać na całe biuro: Ja nie taki głupi, jak wy myślicie. Na Hitlera ręki nie podniosę, ale z H i l l e r e m chętnie sobie potańczę!” — Z kolei śpiewny kresowy akcent pułkownika-windziarza: — „Czytaliście, państwo, w gazecie? Zjazd neurologów w Genewie doszedł do wniosku, że praca w nieswoim zawodzie, pozbawiając człowieka wewnętrznego zadowolenia, może stać się źródłem poważnych zakłóceń psychicznych. To oni, panie dziejaszku, po takie odkrycie aż do Genewy musieli pojechać? Nie mogli się mnie zapytać?” — „Po pierwsze: wtedy była wojna. A po drugie: szło o ratowanie Delegata Centrali i kilku innych wartościowych jednostek. Nie bawmy się, świętoszkowie, w prokuratorów. To nasza narodowa choroba. Sprawa jest jasna jak słońce. Cel w zasadzie nie uświęca środków, ale życie ludzkie, co tu wiele mówić, jest sumą najrozmaitszych kompromisów. A już ze strony matki — było to prawdziwe wyrzeczenie się i bohaterstwo; tak jest: bohaterstwo!” (Opinia państwa Malinowskich o Reytanie i Emilii Plater, wyrażona p r z e d trzecio-majową wycieczką do Arundel). Co się też z nimi dzieje? Myślę o nich, więc są. Być — to przecież „zostać” pomyslanym. Obdarzyć kogoś pamięcią, to tyle co go wydobyć z ciemności i wsaczyć weń nowe życie; istnienie to pamięć. Lancita i Zimorodek. Co ma wspólnego Lancita z moim Zimorodkiem? Daleki, nieznaną Włoch, mucha brzęcząca nad uchem. Arturo Lancita. Rozsiadł się, bubek, na sędziowskim fotelu, dwa piętra powyżej ludzkiej doli, i rozdaje cenzurki. *Mając na względzie kryteria czysto artystyczne...* Znamy takich. Nie trudno go sobie wyobrazić: okulary słoneczne do połowy twarzy. Brwi uniesione w niemiłym zdziwieniu. „Czy nie za wiele tych ścieków, kanałów, drutów, gruzów, wapna, chlorku na dnie dołu? Pięte: nie zabijaj! Ale jedenaste: nie zanudzaj!”. Taras weneckiego hotelu. Kolorowy parasol. Kana-pa-huśtawka, ostatni krzyk mody. Maszyna do pisania na owłosionych udach. Spoczone brzuszysko, cmentarz tysięcy *polli arosti*.

Czarny wałek omal nie wkręca zwojów tłuszczu wraz z papierem. Popijając oranżadę z lodem, Zeus w pstrych majtkach wystukuje efektowne porównanie, *confetti* do niedzielnego dodatku. Może być pewien uznania czytelników i redaktora w Mediolanie. „Celne pióro!”. Nasz Diogenes-Kalinka, za co go tak bardzo nie lubiano, też się natrząsał z „nudziarzy” i „cierpiętników”, ale jego drwina była serdecznym smutkiem zakapturzonego moralisty; a poza tym, przyznajmy się do zakłamania, n a m wolno pokpiwać z własnej niedoli, obcym zaś — wara. Gdy zaczynał się mądrzyć nad kuflem *Guinness*’u: — Nie pozwólmy się bujać, że ludzka męka to jakiś tam wóz Historyi czy inne drożdże dla potomnych; więcej pożytku z ptasiego guana na peruwiańskich wysepkach niż z naszego cudotwórczego cierpienia”, Owczarek z razu groził mu palcem: — „Nietoperz! Nietoperz z ciebie, bracie, a nam orła potrzeba!”, lecz po namyśle wzdychał: — „Biedny ten nasz Kalinka! Zły ptak z pokaleczonym skrzydłem szamoce mu się w głębi piersi!”. Ale zostawmy patriotyczną ornitologię w spokoju. Pociąg odchodzi przed północą. Zimorodka przywiozą na stację w ostatniej chwili. Na szóstej stronie *Corriere* krytyk filmowy Arturo Lancita po obejrzeniu polskiego filmu o getcie posłużył się w recenzji przypowieścią o „nudziarzu z Messyny”. Jeden z mieszkańców Messyny — pisze Lancita Polakom ku przestrodze — mając lat dwadzieścia przeżył trzęsienie ziemi. Wydobyto go spod gruzów. Z katastrofy wyszedł cało, ale niestety nabawił się urazu na całe życie: przez następnych lat pięćdziesiąt opowiadał ludziom o swej fatalnej przygodzie. Uraz urazem, ale nikt nie ma ochoty ani obowiązku wysłuchiwać ciągle tej samej opowieści. Gdy otwierał usta, sąsiedzi przechodzili na drugą stronę ulicy, zatykając sobie uszy. Jakkolwiek błyskotliwy Włoch nie powinien jednym tchem przyrównywać getta w Warszawie (dzieło rąk ludzkich) do trzęsienia ziemi w Messynie (kataklizm ślepych sił przyrody), wiadomo o co mu chodzi: doradza nam życzliwie, by nie zanudzać świata opowieściami z tamtych czasów. Bóg zapłać za dobrą radę, na naukę i poprawę nigdy nie jest za późno, ale jakże z niej skorzystać, skoro osiedle South Park, położone niedaleko malowniczego jak plakat turystyczny zamczyska Arundel, niemal w połowie składało się z takich właśnie niepoprawnych „nudziarzy z Messyny”. Z tą jednak różnicą, że ich Messyny leżą w innej części Europy, jeśli nie wręcz na innej planecie, a to co przeżyli, gorsze było od trzęsienia ziemi. — „Spotkało nas wyróżnienie: rozbijemy namioty na terenach należących do k a t o l i c k i e g o Duka of Norfolk!”. (Pani Malinowska) Tymczasem tutaj, w hali dworcowej, słodkawy zapach brylantyny i wody brzozonej do włosów gęstnieje z każdą minutą. Godzina fryzjerów wybiła. Nowa fala rodaków pięknoducha Lancity pod-



płynęła pod barierki peronu. Młode zwierzątka stają się niespokojne. Błyszczącymi białkami wypatrują zdobyczy. Aż żenujące, jakby powiedział Kalinka, ile biologicznej jedności świata objawia się w takim przyczajeniu: kot aksamitnie podchodzący wróbla; pijawka rzeczna zaalarmowana poruszeniem wody dopada bydłeczej nogi; drapieźnicy czyhają u wodopaju na sarny. Nie tylko na sarny: kilku wyrostków głodnym spojrzeniem przywarło do starszej otyłej blondynki, wychodzącej z toalety. Emilia Plater, bożyszczce South Parku, też już była niemłoda. Rudawe, gładko do czaszki przyczesane włosy zaokrąglają jej twarz. Mimo to Czarny Piotruś powiedział jej na plaży: — „Gdy widzę jak fala morska ściera z piasku ślad pani stopy, ogarnia mnie smutek”. Zgrywus. Kto zna kamienistą plażę pod Hastings, wie że morze nie zmywa tam śladów z p i a s k u ; w ogóle był to romans z kategorii całkowicie zbytecznych. Ale ci tutaj, wyperfumowani, niech sobie nie żalują. Niech się rzucą, czarni i gibcy, na nieprzebrane zapasy tutejszej kobiecości, na potężne zwały mlecznego, pulchnego, jasnym włoskiem pokrytego mięsa. Niech wbiegną, zadyszani, na schody pobliskich hotelików. Jeszcze chwila i na potężnej, bawarskiej poduszce odcisną kształty swych kędzierzawych głów: zaciek wonnych tłustości, brylantynowy stempel pośpiesznej miłości. A może Lancita ma rację? Ino patrzeć jak ludzie zaczną na nasz widok przechodzić na drugą stronę ulicy. Naprzód, naprzód, nigdy w tył. Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. *Jedenaste: nie zanudzaj!* Tak a nie inaczej należałoby więc wychować Zimorodka. Inni chłopcy w tym wieku, zmęczeni gonitwą i zabawą, zasypiają od razu, ledwie przyłożą ucho do poduszki. Zimorodek zaś, co zawsze napawało Ewę niepokojem, zakłada przed zaśnięciem ręce pod głowę, marszczy czoło i zmrużonymi oczami wpatruje się w jeden punkt na suficie. O czym on tak myśli? Co się też roi w chłopięcej głowie? Jakiś zamek w obłokach. Złota flaga na wieży. Może to Wawel? Twierdza Kudak? Lub inne Monte Cassino na podniebnej skale? Aniołowie, ptaki nad strzechą kołujące. Krak z mieczem ognistym. Wianki na srebrnej Wiśle. Grota w Ojcowie. A w niej, jak pestka w jabłku ukryty, karzełek: Lokietek! Pan Twardowski na księżycu. Popiel ścigany przez myszy. Smok siarką ziejący. Niemcy w hełmach z rogami. Kościuszek z kosą. Tatuś na wojnie. Akowcy. Indianie. Kowboje. Szeryf w polskim mundurze. Hitler-Herod z jasełek. Stalin z kozłim kopytem. *Lulaj-że, Jezuniu...* Zaczarowany biegacz Zimny ze skrzydełkami u stóp. „Kukułeczka” na płycie. Górale z obrazka Stryjeńskiej. Matka Boska w łowickiej spódnicy. Z orłami w koronie. Coś się tam już kłębi w młodej łepetynie i zbija w jedną wirującą mgławicę. Zygzak wielobarwny. Jak przy szybkim kartkowaniu albumu z obrazkami. Słodka wata

sprzedawana dzieciom na jarmarku. Ale — kto wie — może Zimorodek zajada się czym innym? Nie byłoby w tym nic dziwnego. Na karminowej wiatrówce, którą Mistrz Gniotek kupił kiedyś w Nowym Orleanie, widniały słowa: *Life is just one damned thing after another*. Nieco rachunków i geografii: jeśli trzydzieści dziewięć lat mojej życiowej wędrówki podzielić na kraje stałego i tymczasowego pobytu, najwięcej bo aż dwadzieścia dwa przypadają na Polskę, siedem na Anglię, sześć na Niemcy, dwa na Amerykę, po roku na Włochy i Francję. Zimorodek zaś, urodzony pod Liverpoolem, taszczony po świecie jak żywa walizka, (dziw prawdziwy że nie ma pieczętka celnej na czole!) nigdy w Kraju nie był, „kaczek” na Wiśle nie puszczał. Zna Polskę jedynie z opowiadań, które pod obcym niebem, zwłaszcza gdy zgasić lampę i wcisnąć się w róg kanapy, prawie zawsze zamieniają się w kolorową baśń o Szklanej Górze. Niewiele tego, niewiele: plecionka snu i jawy, kilimek przywidzeń, dmuchawiec, bańka mydlana, oddech na szybie. Jakże kruchy jest ten dziecięcy most westchnień o przęślach ze zwiewnych marzeń! Na szczęście pociąg do Ziemi Obiecanej — dwa miejsca w wagonie sypialnym — odchodzi przed północą. Już jutro będziemy w Warszawie. *Tak nas powrócisz cudem na ojczyzny łono*. Czeka, tatka, latka. *Do kraju tego gdzie kruszynę chleba*. W chwilach wolnych od obsługi windy i jarzyniarzy Rokita redagował „Orlątko”. Pisemko dla dziatwy urodzonej poza Krajem. Co miesiąc przysyła nam z Londynu nowy egzemplarz. Witamina P. — „Lokata moich oszczędności” — żartował windziarz. Na pierwszej stronie „Orlątka” można przeczytać „Gawędę starego ułana” pod tytułem „Nie wypadliśmy sroce spod ogona!” w którym pułkownik zauważa że nasz wkład do rozwoju światowej kultury, nauki i sztuki jest „potężny”. Kopernik. Mickiewicz. Chopin. Curie-Skłodowska. Dwóch laureatów Nobla w literaturze. Na drugiej stronie znajdujemy notatkę „Z ojca na syna”: „Mały synek autora Pana Tadeusza, gdy go zapytywano: 'Kim jesteś?', odpowiadał płynnie: 'Józio Mickiewicz, emigrant polski!' — 'Zna swoje tytuły' — śmiał się z tego szczerze uradowany ojciec”. Natomiast artykułik pod tytułem: „Odpowiedź Marysi” zawiera opis wydarzenia w szkole angielskiej pod Yorkiem: „Miss Russell, wychowawczyni drugiej klasy, opowiadała dziewczynkom na lekcji o Królowej Anglii, Elżbiecie Drugiej. Na to wstaje z ławki mała Marysia S. i rzecze: — „My, Polacy, też mamy Królową”. — „To niemożliwe, moje dziecko — odpowiada nauczycielka — Polska nie jest monarchią”. — „My mamy Królową Korony Polskiej!” — wyjaśnia Marysia z godnością. Miss Russell uściskała małą Polkę”. Takie są nasze dzieci. A co na to prześmiewca Kalinka? Pewnie zaleciłby Zimorodkowi lekturę francuskiego



pisma dla najmłodszych: *Tout l'Univers*. Były tam zresztą jakieś dawne, ciągle jeszcze nie zablźnione sprawy między dwoma tuzami South Parku. — „Wszelkie złośliwości pod adresem zawodowych oficerów, *nota bene* przejechanych przez wehikuł historii, nie leżą w moim stylu: zbyt to łatwe i ograne — powiedział kiedyś Kalinka — ale nie mogę Rokicie wybaczyć pewnego kawalerskiego „żartu” z lat wojny, gdy organizował tajną sieć kurierów między Brukselą a Pirenejami. Któregoś dnia, wystawcie sobie, w „ramach suchej zaprawy”, dla „przetarcia trasy” (ci panowie lubują się w takich określeniach) puścił w ruch sztafetę z rzekomo ważnym dokumentem od którego miały zażyć dalsze losy wojny. Ot, taki „próbny alarm” młodych zapaleńców. Koperta nie może wpaść w ręce wroga! — przykazał Rokita. No i nie wpadła. Podawali sobie ten papierek z ręki do ręki. Natomiast dwóch biedaków wpadło w ręce policji. Ostatni zaś z nieszczęsnych gońców-ochotników, ciężko ranny, z nadludzkim wysiłkiem dowlókl się do podpirenejskiej meliny, na punkt X, i po doręczeniu meldunku zmarł. Gdy otworzono zalakowaną kopertę, którą chłopcy nieśli przez pół Europy jak monstrancję, wypadła z niej karteczka z figlarnym napisem: „Gówno!” — „Bolesne! — westchnął Reytan. — I takie niedociągnięcie zdarzają się na wojnie. Gdzie rąbią, tam drwa lecą. Nie można zrobić jajecznicy bez rozbicia jajek. Nie wyciągajmy fałszywych wniosków z odosobnionych wypadków. Pańskie obiekcje przypominają mi...”. Nie, już nie pamiętam, co Reytanowi przypominały obiekcje Kalinki; nie znosiłem tego frazesowicza; w Polsce miał wytwórnę skórzanym teczek, tutaj zaś dla jednej z sekt religijnych roznosił po domach broszurki pt. „Jest później niż sądzisz”; wieczorami celebrował funkcję „męża zaufania” Osiedła; natomiast przypominam sobie, że ile razy Owczarek mówił o powrocie do Jeruzalem, cały South Park wpadał w zachwycenie. Reytanowi, Emilii Plater, Gniotkowi i państwu Malinowskiemu oczy zachodziły łzami, Rokita miał ochotę podrzeć na sobie błękitną liberię z napisem Cumberland Hotel i przywdziać mundur wojskowy. — „Wróćmy! — wołał Owczarek; rysy mu wyraźnie ptasiały — z czterdziestu krajów świata zacznie się masowy, radosny, szczęściem zadyszany powrót do kraju. Na wody Bałtyku wpłyną okręty oblepione ludzkim mrowiem. To nieprawda że kogoś przywiąże do obcej ziemi własny dom lub oszczędności w banku. Ruszy rzesza nieprzebrana. Chorzy wstaną z łoża cierpienia. Odszczepieńcy wrócą do gromady. A ślepcy przewidzą. Z głębi obcych i przybranych krajów bieć będzie bez tchu wielotysięczna sztafeta, by jak najprędzej dopaść miast portowych. Niecierpliwi będą przepływać rzeki wpływ. Starcy odłożą chwilę umierania. A kiedy staniemy na granicy — wołał Owczarek w uniesieniu — padniemy na ko-

łana, by ucałować ziemię ponad wszystko umiłowaną. Jeśli to będzie latem, całować będziemy trawy i kłosa pszeniczne. Jeśli to będzie zimą, przypadniemy twarzą do śniegu. Chcemy tamtego powietrza, tamtego nieba, tamtego lasu, tamtych pól złotem malowanych. Chcemy chodzić tamtymi drogami, mieszać się z tamtym ulicznym tłumem, zaśpiewać kolędę w drewnianym, wioskowym kościółku. Chcemy ciężko pracować na własnej ziemi, a po pracy usiąść przed progami i spojrzeć na własne niebo. Wróćmy do domu! Ta chwila jeszcze nie nadeszła, ale nadejdzie! Ojczyzno nasza, Jeruzalem złociste, nie opuszczaj nas! *Wszak myśmy z Twego zrobili nazwiska pacierz co płacze i piorun co błyska!*”. Dawniej Owczarek wzywał tułaczy, by „na kolanach pielgrzymowali do Ziemi Ukochanej”, ale odkąd Kalinka pozwolił sobie na uwagę: — „Samochodem wygodniej!”, opuszcza to zdanie. A tymczasem tutaj, na monachijskim dworcu, nowa fala Włochów i Hiszpanów wlała się do środka. Dopiero co wyszli z kina. Z ostatniego seansu. A więc już jest w pół do dwunastej. Mrużą zaczerwienione oczy przed światłem. Jeszcze mają mózgi i serca poowijane serpentyną filmowej taśmy. Z jaką niechęcią rozstają się ze światem z celuloidu. Już jutro wieczorem mógłbym pójść z Zimorodkiem do kina w Warszawie! A wracając na piechotę Tamką lub Nowym Światem, dokonać odkrycia, że wszyscy dookoła, setki, setki przechodniów, gdzie tylko nadstawić ucha, mówią po polsku. Przeżycie od lat nie zaznane. Któregoś dnia zaprowadzę chłopca za Wisłę, do ogrodu przyjaciela, i pokażę mu jabłoń. *Koło mego ogródeczka zakwitła jabłoneczka...* — „To jest jabłoń — powiem mu — polska jabłoń. Powtórz: „jabłoń. Z wyraźnym „ł”. A nie „drzewo jabłkowe”, jak je nazywasz, tłumacząc sobie, biedaczku, z angielskiego *apple-tree*. Do diabła z angielskim *apple-tree* i Zimorodkowym „drzewem jabłkowym”! Niech zniknie nam z oczu *der Apfelbaum* i *le pommier!* Niech żyje polska „jabłoń”. Obejmij ją ramieniem. To nasze drzewo”. Język ojczysty! „Wiadomo: pępowina łącząca nas z niebem! — chichotał Kalinka — lubię te nasze emigracyjne egzaltacje; nareszcie wiemy dlaczego pan Jankowski nie został drugim Conradem!”. Ale i on przeraził się któregoś dnia nie na żarty: nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć jak się nazywa po polsku „złe wypieczone ciasto”. Przez pół dnia biegał po izbie nachmurzony, ale zbyt dumny i uparty, by zasięgnąć języka u innych. Dopiero o północy obudził Królową Bonę triumfalnym krzykiem: — „Zakalec! Zakalec!”. I pomyśleć, że Kalinka mógł się znakomicie obejść bez tego „zakalca”. Nie był poetą dla któregoś mowa ojczysta jest tlenem, sprawą życia i śmierci. Był ornitologiem. Mawiano o nim z przekąsem, że „ptaszki mu się lęgną w głowie”. Jakże chętnie bym się z nim



zamienił. Niech siada za moim biurkiem, a ja zajmę się ptaszkami. Od dziecka urzeka mnie jego barwny, skrzydlaty świat; jeszcze dzisiaj, gdy przeglądam atlas przyrodniczy Zimorodka i pod kolorowymi obrazkami spostrzegam piękne słowa: „trznadel”, „gżegzółka”, „kszyk” czy „piegża”, chwytam żal za czymś bezpowrotnie utraconym. Emilia Plater, wbrew przydomkowi, była rodowitą warszawianką. Ściślej mówiąc: zaciekle patriotką swego miasta. Zbierała skrzętnie zeszyty „Stolicy”. Pod koniec roku oddawała je introligatorowi do oprawy w skórę, domagając się wyciśnięcia złotej Syreny z mieczem na okładce. Nad jej łóżkiem wisiał widoczek z Kolumną Zygmunta. Na półce widniał komplet książek Wiecha. — „Podobno szczywany mistrz Gniotek, dobroczyńca ludzkości, handluje po cichu woreczkami z ziemią rodzinną. Wrzuc garść polskiego piachu do mogiły na obcej ziemi. Ziemia prosto z kraju! Póki zapas starczy! — natrzasał się Kalinka. — Cóż za wspaniałe wycucie potrzeb emigracyjnego rynku! Miejmy nadzieję, że nie pobiera tej ziemi z angielskiego ogrodu!” — „Niesmaczne!” — wzdrygnął się Reytan. — „A ja poproszę o butelkę wody z Wisły!” — wołała pani Emilia. — „Wody? — dokuczał im Kalinka. — A może jednak wódy?”. Ciekawe czy się zachowała kamienica na Powiślu o której tyle mówiono w South Parku? Zwłaszcza w długie, zimowe wieczory. — „I nagle, proszę pana, rozległy się kroki: podkute buty na schodach. Bo oni zawsze, czy w mundurze czy w cywilu, buty mieli podkute. Oszczędny naród: żeby im się podeszwy za szybko nie pozdzierały. Jeszcze dzisiaj słyszę te kroki. Z hałasem schodzili w dół. Prosto do naszej piwnicy. Jakby z góry wiedzieli gdzie nas szukać. A trzeba panu wiedzieć — mówiła pani Emilia do Czarnego Piotrusia; z początku byli ze sobą na „pan” i „pani”; a może nie chcieli się „tykać” w obecności zazdrosnego Reytana? — że nasza kryjówka mieściła się pod podłogą piwnicy...” — „Nie wracaj do tej smutnej sprawy — przerywał jej mąż, Reytan (prawdziwe nazwisko: Wróblewski) — wiesz sama ile cię to kosztuje. Nie rozrywajmy ledwie co zabliźnionej rany!” — „Burczymucha i dwaj chłopcy z osłony mieli nas ubezpieczyć jak się należy, — ciągnęła pani Emilia z płynnością nasuwającą podejrzenie że opowiada tę historię nie po raz pierwszy, — ale widocznie musiało się stać coś nieprzewidzianego. Dość że nie zdążyli nas uprzedzić na czas. Zbiegliśmy więc z drugiego piętra dosłownie w ostatniej chwili. Na łeb na szyję. Zbinia wyjęłam z łóżeczka. Owinęłam go w pulower męża. A tamci już bili kolbami w bramę. Było nas wtedy sześcioro. Z biednym Zbinem — siedmioro. Radiowcy w zasadzie mieli uciekać ze sprzętem przez strych. Taka była instrukcja. Ale kto tam myśli o instrukcji, gdy ma nóż na gardle. To tylko w kinie idzie wszystko jak z płat-

ka. Zresztą tego dnia był z nami pan Cyprian, delegat Centrali, ważna figura. Zbiegamy więc wszyscy co tchu na dół, do podziemnej kryjówki...” — „Pozwólcie, że się przejdę — podnosił się Kalinka z krzesła. — Wiem dobrze co się stało później. To bardzo smutna historia”. Już nie pamiętam czy wychodząc od Wróblewskich, Kalinka nie zatkał sobie uszu. „Nudziarka z Warszawy” — powiedziałby Włoch Lancita. *Jedenaste: nie zanudzaj!* Lata płyną jak rzeka. Zbliżniają się domy, ludzie i drzewa. *Jeśli bym miał cię zapomnieć, o Jeruzalem!* Ile różnych kręgów polskości czyha na Zimorodka? Póki Ewa żyła, zajęty swymi troskami (życie na emigracji nie jest karnawałem) nie poświęcałem malcowi należytej uwagi. Moja wina. Moja wielka wina. Dopiero od niedawna każdą wolną chwilę spędzamy razem. Chłopiec wyrósł. Już nie wypada nosić go w parku na barana. Wyrwijąc niedawno pierwszy siwy włos ze skroni (dość kiczowaty moment: zachęca do ckliwej zadumy i niepotrzebnego rozkliwiania się nad sobą), westchnąłem. Trudno: skoro starszemu panu czas już schodzić z górki w dolinę a mikrusowi pora piąć się pod górę, nie pozostaje nam nic innego jak czym prędzej zmierzyć Zimorodka. Marsz pod futrynę! Czuprynę pod ołówek! Kto by pomyślał: metr dziewiętnaście i pół! Właściwie jest już młodzieniaszkiem. I chyba tylko niewielu jego rówieśników nad Wisłą czy Wartą z taką biegłością włada trzema językami. Po polsku jakby z lekka zaciągał po wileńsku. To po Ewie. Po angielsku a raczej po amerykańsku mówi, o zgrozo, z wyraźnym akcentem teksańskim: nauczycielkę mają spod San Antonio. A po niemiecku, oto skutki zabaw z dziećmi sąsiadów, gardłuje groteskowym basem, o wstydzie nad wstydami, jak rodowity góral z Berchtesgaden. Owczarek z Reytanem zaniemówiliby z oburzenia. Czasem trze w zamyśleniu czuprynę i zapytuje: — „Urodziłem się w Anglii, mieszkam w Niemczech, chodzę do amerykańskiej szkoły, w domu mówię po polsku. Kim ja właściwie jestem? Dlaczego my nie mieszkamy w Polsce?”. Wtedy czują lekkie ukłucie w okolicy serca i przypominają mi się słowa Kalinki: — „Emigranci nie powinni mieć dzieci. Zwłaszcza ci, co z uporem godniejszym lepszej sprawy, opierają się wynarodowieniu. Celibat przystoi pielgrzymowi. Heroizm? Proszę bardzo. Ale nie cudzym kosztem. Wiecie co z polskiego ziarna wyrasta w obcej glebie? Duchowy metys, rozdarta sosna, kandydat na schizofrenika”. — „Przesada, Kalinkowe gadanie! — protestowano ze wszystkich stron; pani Malinowska teatralnym gestem chwytając się za głowę. — Nasze dzieci zdobywają złote medale w obcych szkołach!” — „Ale za jaką cenę?” — upierał się Kalinka. — Od najmłodszych lat żyją w stałej mobilizacji. Pod ciśnieniem obcego środowiska. Z niewidoczną ostrogą w boku”.



Gdy Zimorodek skończył rok, Ewa łatwo pesząca się każdym drobiazgiem, choćby takim że nie umiał sam zdmuchnąć świeczki na torcie („zły omen”), mówiła: — „Trzeba mu stworzyć nowy, lepszy świat. Nie otwierajmy mu drzwi do naszych dawnych smutków i nieszczęść. Chrońmy go przed bólem, złem, strachem i ciemnością. Jego życie powinno być jaśniejsze”. Słusznie. Niech rośnie w słońcu i radości. Jak najdalej od wilka i diabła. Aby idąc drogą, o ostry kamyk nie ugodził nogą. Oby nigdy w życiu nie widział na niebie dymu po spalonych Cyganach. I nie znał kary słupka. *Wcześniej mu ręce skręcaj łańcuchem, do taczkowego kaź zaprzęgać woza...* I nie musiał wysłuchiwać zwierzeń ponurych nudziarzy z Messyny. — „A kiedy Niemcy zeszli do piwnicy i zaczęli nasłuchiwać czy nie ukrywa się tam poszukiwany przez nich Delegat Centrali — tłumaczył Reytan Anglikom w pubie, a w głosie jego dźwięczała z trudem ukrywana дума — *well, can you imagine what happened: Mrs. Wróblewska zdobyła się na czyn o którym wiele u nas później mówiono i pisano; tę scenę pokazywano również na filmie. Otóż bojąc się, że płacz niemowlęcia zaalarmuje gestapowców, którzy w ten sposób, you see, odnajdą kryjówkę i pozabijają nas wszystkich...*”. Jeszcze pół godziny do odjazdu pociągu. Podróż na wschód. *Jeśli bym miał cię zapomnieć, o Jeruzalem!*”. A może czas już o tobie zapomnieć? Tyś radość nasza i męka. Dług dożywotni. Wyrok zaoczny. I śmiertelna rana. Gdy pani Emilia bezbarwnym, jakby wyuczonym głosem mówiła w South Parku: — „Cóż miałam robić, proszę pana, nie było innego wyjścia: Zbinio już poczerwieniał na twarzy i otwierał usta, widać było że za ułamek sekundy zanieś się od głośnego płaczu, a Niemcy byli tuż-tuż; więc owinęłam mu twarz pulowerem i...”, pułkownik Rokita ukradkiem ocierał oczy. A Czarny Piotruś, z lekka podchmielony, uparcie wpatrywał się opowiadającej w biust; wieczór był z resztą parny; w blasku lampy można było dostrzec kroplę potu w rozwidleniu piersi. — „Ile łez musiały wylać te piękne oczy” — ubolewał fałszywym tenorem. Czarus z ogródkowego teatryku. Seans smutnych wspomnień zamienił w wodewil. Z arią dzieciobójczyni. A Diogenes-Kalinka, jakby jeszcze za mało było przykrych zgrzytów, z zajądłością nie godną swego przydomka przedrzeźniał Mickiewicza: *Jakie piękne, dziewicze ma lica! Jaką pierś! Ach, to była dziewczyna, to Litwinka, dziewica-bohater, wódz powstańców — Emilja Plater!*”. A jeśli ta Ziemia Obiecana, biedny Zimorodku, to taki sam biwak-widmo jak ten pod Arundel? Zwykły South Park, pomnożony przez ileś tam milionów podobnych „nudziarzy z Messyny”? Wszędzie dobrze gdzie nas nie ma. Nie układajmy senników. Dość już emigracyjnej ckliwości. Zawracanie głowy z greckim herosem, co to ledwie dotknął się ziemi, od razu nowa wstępo-

wała w niego moc ciała i ducha. *Obmyjesz się w świętej rzece i już żadna nie zrani cię strzała.* Bez mitologii i egzaltacji. Bez głąskania tabliczki na ekspresie z napisem „Warszawa”. Nie jedziemy z pielgrzymką do Lourdes ani do Mekki. To tylko mistrz Gniotek (były mistrz floty w wadze pół ciężkiej) mawiał do pułkownika-windziarza: — „Widziałem już w życiu niejedno. Na przykład: ulewny deszcz żywych ryb w honduraskim Yore, ryb z czworgiem oczu! Słyszałem pianie koguta w Salvadorze, który — wiercie mi! — nie piał jak inne koguty, ale ludzkim wybuchał szlochem. I Hindusa znałem nad Gangesem, który przez trzy dni i trzy noce bez przerwy potrafił stać na jednej nodze. W moich oczach kapitanowi MacCullough'owi rekin odgryzł głowę! Czego ja już w życiu nie widziałem i czego nie przeżyłem! Tajfuny, wybuchy wulkanów, fale morskie wyższe niż kościelne wieże, zorze polarne, fata-morgany i piaskowe burze. Co kto woli. Do wyboru i koloru. Gniotek był wszędzie i zna tę matkę-ziemię jak własną kieszeń. I co z tego, panie pułkowniku? Jestem może teraz o drobinę szczęśliwszy, lepszy, bogatszy czy mądrzejszy od tych, co nie wysunęli nosa poza swój kurnik i kojec? A dzisiaj co? W sarkofagu angielskim gniję. Jak robak w słoiku. Przez tę mgłę trującą astma mnie dławi i ślepią bielmem zachodzą. Ale to jedno wiem z całą pewnością: jak bym się tak, panie pułkowniczku złoty, puścił jutro rano dwie lub trzy wiorsty piechotę nad brzegiem mojej Zgłowiączki, tam, gdzie dzieckiem krowy pasalem, to i oddech by się zaraz przeczyścił i wzrok poprawił!”. *Denkste, Puppe!* — mówią w takich wypadkach Niemcy. Sentymentalna taniocha. Wróćmy czym prędzej do Zimorodka, bo on najważniejszy. Dla niego ten wyjazd, nie dla mnie. *Miłostkując z grzechem ugody, z diabłem się w końcu znośić będziecie.* Lelewel. *Kto idzie za wolnością, niech opuści ojczyznę i odważy życie swoje.* Mickiewicz. *Że syn twój na sztandarach jak pies się położył.* Słowacki. Poezja, historia, krajobraz, pamięć, ten sam język, więc biologiczna. Ile tego szantażu! I tylko jedno życie! A żyje się tutaj nienajgorzej; Włosi przed dworcem świadkiem i setki szklanych domów dokoła. Po sąsiednich sklepikach i winiarniach tytułują mnie nawet „profesorem”. Może dlatego że nie pozwalałam sobie włosów podstrzygać po prusku i książki noszę pod pachą. Jak Francuz bagietkę chleba. Dwa razy w tygodniu lektorat literatury polskiej na tutejszym uniwersytecie. I tyleż razy wyjazd — służbowym samochodem! — za miasto do koszar, by ostrzyżonych na jeża dryblasów z Teksasu lub Oklahomy wta jemniczać w uroki języka Moliera, Flauberta czy Baudelaire'a. Co prawda: bez większego powodzenia. Ale i tak się jakoś dogadają na Place Pigalle. Dzięki tym lekcjom Zimorodek chodzi do amerykańskiej szkoły. — „Musisz mi przyrzec — prosila



Ewa przed śmiercią — że nie pošlesz go do niemieckiej!”. Przyrzekłem. Chociaż poziom tej garnizonowej szkółki tylko nieznacznie góruje nad podobnymi placówkami O.O. Misjonarzy w Nigerii. Zawożąc chłopca przed gmach ozdobiony gwiazdzistym sztandarem, odczułem zadowolenie płynące ze spełnienia danej Ewie obietnicy, to prawda; ale jednocześnie ogarnął mnie lekki niepokój czy przypadkiem za bardzo nie dogadzam Emiliom Plater, Reytanom-Wróblewskim i innym Owczarkom. — „Po tym, co Niemcy wyprawiali z nami w Warszawie, — zastrzegając się pani Malinowska — nie chodzimy z mężem na opery Wagnera ani na sztuki Haptmanna. Nawet piwa monachijskiego nie pija się w naszym domu”. — „Brawo! — chichotał Kalinka. — Niechaj Polska zna, jakie córki ma!”. Jeszcze dwadzieścia cztery minuty do odejścia pociągu. — „Chłoptasiu-głuptasiu!” — targająca pani Emilia czuprynę Czarnemu Piotrusiowi. Spotykali się dość często. Zwłaszcza gdy Reytan poszedł do szpitala na nerki. Raz czy drugi wyjeżdżali nad morze, do angielskiej Juraty. W Hastings, gdzie przed dziewięcioma stuleciami wylądował Wilhelm Zdobywca, Czarny Piotruś bez większego wysiłku zdobył sobie sympatię pani Emilii. Z dala dochodziły dźwięki dętej orkiestry pułkowej. *Royal Sussex Regiment*. Ze złożonych trąb sączyły się podzwiewki wiktoriańskich dni. Cały świat stawał się oleodrukiem. Na skałki z najeżonym grzebieniem ruin — *first Norman fortress built in Britain!* — pieli się reumatycy, wsparci na laskach i parasolach. A na plaży, pełnej żwiru, psów biegających ze spuszczoneymi łbami i starców śpiących w leżakach, Czarny Piotruś wpuszczał pani Emilii muszelki za kostium kąpielowy. — „Chłoptasiu-głuptasiu!” — zaglądała mu zalotnie w oczy. — „Nikt ich tam nie ma zamiaru podglądać ani, broń Boże, krytykować — mówiła pani Malinowska. — Dorosli są, wiedzą co robią. Ale te obłąpanki w miejscu publicznym! Nie jestem pewna czy tak się powinni zachowywać Polacy na obczyźnie. Bądź co bądź: obcy na nas patrzą!” — „Mój wewnętrzny radar mi szeptce, — dorzucał Gniotek — że to się źle skończy. Wspomnicie moje słowa!”. No, i wspominamy! Nawet tutaj, na drugim końcu Europy, pod dworcowym zegarem. Zimorodka przywiozła na stację w ostatniej chwili. Już niedługo. Ewa, niepoprawna idealistka, nieraz wpadała w emfazę. Zwłaszcza gdy rozmowa schodziła na temat Zimorodka. — „Zabierzmy się do budowy jego duchowego życia jak do wzniesienia pięknej, podniebnej wieży. Trzeba zacząć zawczasu. Póki jego przyszłość jeszcze jest pustynią, zaludnioną przez nasze marzenia. Po pierwsze: niech nie zabija!”. Słusznie. I niech wierzy. Niech wierzy, że idzie ku lepszemu, chociaż to nieprawda. Niech na przykład wierzy, że dzięki elektryczności i szybszej od dźwięku komunikacji już nie żyjemy w dżungli, gdzie duże zwie-

rzęta zjadają małe zwierzęta. Owczarek, gorący zwolennik zwiekszania przyrostu naturalnego wśród Polaków, któregoś niedzieli poczuł skrzydła u ramion: — „Kto zabija człowieka, niszczy nie tylko siebie, — powiedział — ale i świat cały. Kto zaś daje życie drugiemu człowiekowi, sam się odradza i stwarza świat na nowo. Pierwsza istota na ziemi, biblijny Adam, nasz *socius doloris* rodzi się każdej chwili. My, ludzkość, jakie to porywające, nieustannie tę samą podejmujemy próbę. *Fiat lux! Fiat vita aeterna!*” — „O jej, o jej, — krzywił się na to Kalinka. — Ksiądz Skarga! Skarga to straszny, jęk to ostatni. A więc ile razy dwoje głuptasów oplata się ramieniem, wyłania się przed nami nowa szansa ocalenia tej nikczemnej, planety przed jakże zasłużoną zagładą. Dobrze o tym wiedzieć. Czekajmy więc na Mesjasza!” South Parkowe dysputy na „tematy zasadnicze”. I ten sopran pani Malinowskiej: — „Panie Kalinka, nie dość że się pan ożenił z Włoszką, to jeszcze pan upraszcza. Sprawa jest poważna. Rozmawiajmy na poziomie”. W każdym razie kiedy Zimorodek, nowy mieszkaniowiec tej ziemi, z wolna zaczynał odkrywać świat, ludzi i samego siebie, ożywiła nas z Ewą jedna myśl: on powinien być inny. I dlatego trzeba mu wyjąć każdy nóż z ręki i każdą złą myśl zawczasu zetrzeć z czoła. *Dzieckiem w kolebce kto teb urwał Hydrze*. Ach, niech nie wydziera piekłu ofiary. Niech nie sięga do nieba po laury. To tylko poezja, słowa na szczudłach. Marihuana. Wystarczy jeśli będzie porządnym człowiekiem. Czujni i zatroskani, niemal na każdym kroku wietrząc niebezpieczeństwo, unieśliśmy go kiedyś na czas za ramiona, zręcznie podrywając sandałki znad ziemi. A już podnosił nogę w ślepej i trudnej do zgłębienia chęci zdeptania ślimaka na ogrodowej ścieżce. Strach złapał mnie za gardło. Pomyślałem sobie: od tej chwili zależy wszystko! Jeśli nie poderwiesz go na czas znad ziemi, rozdepcze ślimaka. Na razie tylko ślimaka. Ale po latach rozdepcze człowieka. Przez ułamek sekundy zobaczyłem przed sobą ludzi w mundurach z których każdy też był kiedyś małym chłopcem chodzącym z rodzicami na niedzielny spacer do parku. Leżącym na majdanie więźniom kładli żelazne pręty na gardła. I nie przerywając rozmowy między sobą; mówili o zbliżających się urlopach świątecznych, powoli przydeptywali pręty podkutymi butami. Zimorodek ślimaka nie rozdepchał. Małe, pozorne zwycięstwo nad złem i żądzą zniszczenia. „Odwieczną” — zwykło się mówić. Ile podobnych zasadzek czyha na mroczne i zagadkowe w swej istocie ludzkie żyjątko? Może naiwna to była próba, ta chęć usypania wału ochronnego między bezbronnym a resztą świata, skoro życie i tak wyciągnie po niego czarną rękę; można jedynie odwlec moment klęski, ale czy można jej zapobiec? A jednak nie chcieliśmy ulec przemocy bez stoczenia bitew opóźniających ruchy przeciwnika. Gdy któregoś dnia



Zimorodek przyniósł z sąsiedniego podwórza blaszany czołg, po kryjomu zakopałem zatrutą zabawkę w ogrodzie. Szybko zmieniłem długość fali w odbiorniku, gdy po serii wystrzałów i dzikiej galopadzie mustangów w eterze podniesiony głos speakera zapowiadał brutalne słuchowisko. Ewa chowała przed dzieckiem kolorowe gazetki w których jeden człowiek w drugiego człowieka rzucał tomahawkiem. Na niedzielnym spacerze przyspieszaliśmy kroku, żeby nie dostrzegł za szybą ołowianych żołnierzy biegnących do ataku na bagnety lub nie przystanął przed kinową gablotką, skąd rozkraczony zabójca z rewolwerem w dłoni uśmiecha się do przechodniów. — Obejrzyj lepiej „Najpiękniejsze motyle świata” — wyjmowałem mu łagodnie z ręki album sztychów z okresu Rewolucji francuskiej, bojąc się by nie zatrzymał wzroku na rycinie z podpisem *Dimanche*. Gilotyna. Kat z nagim bicipsem. Ścięta głowa spada do kosza. Beztroska gawiedź rozsiadła się wokół. Koszyki z serem i winem. Piastunki z dziećmi na ręku. Kumoszki robią na drutach. Niedziela. Na dzisiejszym Placu Zgody. Ale jak długo może dwoje słabych ludzi utrzymać drzwi na które wali się ciężar całego świata? Jak nierówna była to walka, przekonał nas błahy na pozór incydent, wywołany niezbyt fortunym podarkiem zacnych sąsiadów. Gdy z głośnym „pah-pah-pah!” jakby ostrzeliwując się niewidzialnym przeciwnikiem na wszystkie strony, Zimorodek w tanecznych podskokach wbiegł, uszczęśliwiony, na schody, a na progu mieszkania z nadmiaru uciechy podrzucił pistolet maszynowy w powietrze, Ewie zebrało się na płacz: — „Gdzie on się tego nauczył? Nie dajmy go! Brońmy go, póki nie jest za późno!” — „Wyrzuc to!” — powiedziałem, ale Zimorodek nie usłuchał. Po raz pierwszy w swoim niedługim życiu stanął dęba. Jakby samo dotknięcie narzędzia śmierci odmieniło go wewnętrznie. Nie pozwolił sobie wyjąć prezentu z ręki. Kurczowo zaciskając piąstki na kolbie, aż zbrzydł i poczerwieniał ze złości: — „Nie dam! — mówić ze łzami. — To moje!”. Może trzeba go było rozbroić siłą? Czyżby nas przeraził zły błysk w dziecięcym oku, błysk dotychczas nieznanym? *Gdy u syna twego w źrenicach błyszczą genjuszu światłość*. Nie, w tym spojrzeniu nie było „genjuszu”. Zimorodek mrużył oczy w zimnym, zajadłym uporze. Jak rozgniewany żołdak. Jak nieprzyjaciel. Zaskoczony nieprzeczuwanym oporem, dałem za wygraną. Ze spuszczoną głową, świadom swej pierwszej porażki, pozwoliłem dziecku, które miało wyrosnąć na „innego, lepszego człowieka”, z pistoletem zasiąść do stołu. Dopiero pod wieczór, widząc że Ewa snuje się po mieszkaniu z nachmurzoną miną, Zimorodek odpiął broń: „*Okay*, wyrzucmy to!” — powiedział pojednawczo, przy czym ciężkim westchnieniem podkreślił że ofiara bynajmniej nie przychodzi mu

łatwo. — „Dobrze już, dobrze — ucałowaliśmy go serdecznie. — Zatrzymaj sobie tę pukawkę!” Tak nas ujął szlachetnym gestem, że nawet nie dostrzegliśmy własnej kapitulacji. W jakiś czas później odezwał się groteskowy kum-windziarz, bohater spod Krzywych Płotów. Zaniepokojony wiadomością, że jego chrześniaka wychowuje się na „młdego pacyfistę”, Rokita z najcięższego wypalił działa: — „Nie bądźcie naiwni! Pamiętajcie, że przed hiszpańską inwazją Meksyku dobroduszni Aztekowie walczyli przy pomocy drewnianych mieczów, by uniknąć wzajemnego zabijania się, i — nienajlepiej na tym wyszli. Historia nas poucza, że narody które nie chciały nosić broni własnej, musiały nosić broń najeźdźcy. Już nie miecz i nie karabin, ale sto głowic atomowych dajcie junakowi do zabawy. *Walka o wolność, gdy się raz zaczyna, w dziedzictwie z ojca przechodzi na syna*. Uszy do góry i — czuj duch!” Trala-la! Zimorodek spadkobiercą romantycznych wzlotów? Szczurołapie w konfederatce, odłóż swój muzealny flecik do lamusa. Nasz maluda za tobą do Elstery nie wejdzie. Owczarek: „Barczysty Bałtyz powoli otworzył szafę z takimi różnymi instrumentami”. Na czyje plecy te instrumenty? Na twoje! Emilia Plater: „Zbiegliśmy wszyscy co tchu na dół, do podziemnej kryjówki. Zbinia wyjęłam z łóżeczka”. Dla kogo ta kryjówka pod ziemią? Dla ciebie! Lancita: „Czy nie za wiele tych ścieków, kanałów, drutów i gruzów?”. Dla kogo te druty? Dla ciebie! Jankowski czyli ja, twój ojciec: „Leżącym na majdanie więźniom kładli żelazne pręty na gardłach. Przydeptywali je podkutymi butami”. Na czyje gardło ten pręt żelazny? Na twoje, syneczku! Znowu w tej samej matni. Znowu w wilczym dole. Ulitujcie się, kanibale w szyszakach. Pozwólcie Zimorodkowi być dobrodusznym Aztekiem. Drewniany pałasz nie hańbi. Wciśnijcie mu na kędziory pstrokatą dżokejkę z koniczynką lub błękitny berecik z różowym pomponem. To lepsze nakrycie głowy od cieniowej korony. Jeszcze dwadzieścia minut do odejścia pociągu. Już jutro odetchniemy powietrzem w którym zastygły ostatnie okrzyki rozstrzelanych. *Każdy ptak chłopcu jedno pióro zrzucił, on zrobił skrzydła i do swoich wrócił*. Tematów do wieczornych pogawędek z Zimorodkiem, tematów bez kamieni przez Boga rzuconych na szaniec, na szczęście nam nie brakuje. Z jakim zaciekawieniem maluda wysłuchuje wieści o pierwszym samochodzie w rodzie Jankowskich. — Gdy byłem w twoim wieku — uchylałem przed nim furtkę do jasnych dni — ojciec zabierał mnie z sobą w drogę. Samochodem, wyobraź sobie. Z Warszawy do Lublina. Samochód miał ceratową budę. Ale na wszelki wypadek brało się parasole. Wyglądał jak konna dorożka. Klakson składał się z gumowej gruszki do ściskania w garści i z długiej złotej trąbki przyklepionej zewnątrz wozu. (Śmiech Zimorodka) Jeż-



dziło się, syneczku, z zawrotną szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę. (Zimorodek: O rety, jakie to śmieszne!), plosząc konie, wrywając furmanów z drzemki i konając ze strachu, że w każdej chwili można się nadziać na dyszel. (Zimorodek: Co to jest dyszel?) *A shaft* albo *thill*, taki długi drąg u wozu do którego zaprzęga się konie. A cóż to była za radość, gdy na drodze pokazał się inny samochód! Zatrzymaliśmy się. Wsiadka z wozów. Wzajemne przedstawianie się. Ściskanie dłoni. Wymiana informacji o stanie dróg i sile wiatru. (Zimorodek: Wiatru?). Zyczenia „szczęśliwej podróży i długiego życia — ostry klakson! — i wsiadanego! Dwaj żeglarze po środku Oceanu tak się nie cieszyli w dawnych wiekach na swój widok, jak my, w latach dwudziestych, na trasie Warszawa-Lublin!”. — „Trąbka z zewnątrz! Trzydzieści kilometrów na godzinę — klaszcze Zimorodek w ręce — to musiało być *fun!*”. — „Powinien być innym człowiekiem od nas — powtarzała Ewa z uporem — chrońmy go przed polskim smutkiem!”. Po stokroć zgoda. Niech wyrasta na człowieka przyszłości. Niech będzie pierwszą literą nowego alfabetu. Zimorodek z pewnością nie powiększy grona „nudziarzy z Mesyny”. Unikam więc opowiadań o naszych i cudzych przejściach w czasie wojny. Nie chcę obciążać chłonnej, chłopięcej wyobraźni obrazami z naszej niezbyt pogodnej przeszłości. Naprzód, naprzód, nigdy w tył! Ale podskórna woda życia, niestety, wdziera się pod każdy wał ochronny. Przez okno wychodzące na ogród widzę któregoś dnia jak Zimorodek siecze pokrzywy pod płotem. — „Za Warszawę! — wywija kijem. — Za moją mamę!” — Cóż ty wyrabiasz?” — zbiegam na dół. — „To są Niemcy! — wskazuje na ścięte zielsko. — Tysiąc zabitych Niemców!” — „Zostaw!” — łapię go za rękę. — „Dlaczego? — podnosi zdumione oczy. — Niemcy spalili Warszawę. A mama była kurierką”. — „Kto ci o tym powiedział?”. — „Pan Mikulski. Pan Mikulski mówi, że gdyby Niemcy nie zamknęli mamy w obozie, to by na pewno dzisiaj żyła!”. Rozdygotany dzwonię do tego błazna Mikulskiego: „Nie po to posyłam syna co sobotę na gry i zabawy, aby mu pan takie rzeczy opowiadał”. — „Nie ma się czego wstydzic — odzywa się obrażony głos w słuchawce. — Niech się dziecko dowie kim była jego matka!”. Niech się dowie... Jeśli się dowie kim jesteśmy, już nie będzie i n n y m człowiekiem. Będzie taki sam jak my wszyscy. I już nie przekroczy zaklętego kręgu. Owczarek z dumą: — „Za młodu każdy z nas chciał 'uciekać do Ameryki'. To taki pęd, to taki wiek. A dzisiaj? Miło mi państwu donieść, że nasze dzieci na emigracji chcą z kolei 'uciekać do Polski'”. Czy to prawda? Zajrzałem niedawno przez okno do wnętrza klasy. Portrety na ścianach. Wielcy mężowie. Washington, Lincoln i jakiś trzeci, zasłonięty sztuczną pal-

mą. Chyba nie Roosevelt? Flaga gwiazdzista. Trzy rzędy ławek. Dzieci stały na baczność. Z ręką na sercu. Jakiś Murzynek śpiewał solo pierwszą zwrotkę *God bless America*. Niech Bóg błogosławi Ameryce, niech błogosławi wszystkim narodom na świecie, ale widok Zimorodka śpiewającego z dziećmi drugą zwrotkę i znówu ta ręka na sercu — coś mnie ukłuło w piersiach. Wymujesz rybę z jednej, polskiej, wody i nie wiadomo po co wkładasz ją do drugiej, amerykańskiej. Ale akwarium to samo. Czy nie przebieram Zimorodka („człowieka przyszłości!”) w używany mundurek? I ta jego niezbyt rozgarnięta nauczycielka, piegowata Teksanka z zadartym noskiem, nieustannie opowiadająca dzieciom o bohaterskiej obronie fortu Alamo. — „Zginęli co do jednego” — mówi przejęty Zimorodek; oczy mu błyszczą podziwem. — „Bronili się jak lwy. Do ostatniego naboju”. Oj, wyliczyłbym ci ja w naszej historii takich fortów Alamo, syneczku, wyliczyłbym na kopy! A więc po to nie opowiadam ci o obronie Zbaraża czy Westerplatte, by ci oczy błyszczały na dźwięk słowa „Alamo”? Na *Independence Day* wybrali Zimorodka do honorowej warty przed biurem Lincolna. — „Spotkał cię duży zaszczyt — powiedziała mu Teksanka. — Powinieneś się cieszyć. Cała klasa zazdrości ci tego wyróżnienia”. We Francji stałby pewnie przed Jeanne d'Arc, w Anglii przed Wellingtonem; chwala Bogu nie każe mu tutaj nikt ministrantować przed Bismarckiem; dlaczego nie miałby się prężyć przed biurem Kościuszki? Z krakuską na łepetynie? Wcisnęli głuptaskowi żołnierski garniec na kędziory. A więc po to zamartwialiśmy się kiedyś z Ewą z powodu plastikowego pistoletu, aby mu teraz hełm spadał na oczy? — „Dzieci emigrantów wyrastają na duchowych metysów” — mówi Kalinka. Nieprawda! Po południu pojechali całą szkołą za miasto. Na wielki międzynarodowy pokaz lotniczy. Pokazywano tam prawdziwe cuda-cudeńka. Jeden samolot wspanialszy od drugiego. Ale Zimorodek — niepojęte, niepojęte! — spoglądał w niebo z ironicznym uśmiechem. A gdy przez błękit, pocięty srebrnymi kreskami jak lód ostrzem łyżwy, przeleciała jakaś fantastyczna eskadra raketowych nietoperzy, bodajże były to samoloty marki „Delta” (nie znam się na tym), Zimorodek nachylił mi się do ucha i szepnął: — „Nic też nie mają. Prawda, że polskie lepsze”? To właśnie ta druga, nieprzeczuwana przez nas, połowa Zimorodkowej duszy. A w tej dziwnej szkole, gdzie Teksanka z mgłą w oku opowiada dzieciom o Alamo i Okinawie — nie chciałeś witaminy „P”, masz witaminę „A”! — spotykają się raz na miesiąc wychowawcy, rodzice i uczniowie. Ojcowie zjawiają się w mundurach z odznaczeniami. Za każdy rok pobytu w Europie kreska na rękawie. Matki, przeważnie w ciąży: za każde nowonarodzone Amerykianátko pięćdziesiąt dolarów żołdu więcej, siadają



razem. Kapelusze ze sztucznymi wisienkami. Dzieci baraszkują w tylnych rzędach. Teksanka czyta z kartki. Wypracowanie o wspólnych zadaniach. Że piętrzą się przed nami. I dlatego: razem! Potem wstaje siwiutki, przystojny generał — na Boże Narodzenie przebiera się za św. Mikołaja — i dziękuje wychowawczyni za ofiarną pracę. Na zakończenie — Bingo, ruletka dla limfatyków. Trochę rozmowy towarzyskiej. Pułkownikowa w okularach z jakiejś tajemniczej zielonej masy (ebonit?), ściskając szklaneczkę soku pomidorowego, powiada: — *Have you read Doktor Zhiwago? I love it!* A dlaczego tak bardzo kocha tego „Doktora Ziwago”? — *You know, there is so-o-o much snow in it!* Bo kocha śnieg. — „Pomyśleć tylko — wzdycha — ta Rosja: ile śniegu, futer i samowarów!” Ale na wakacje jadą do Sudanu. — „Oooo?! Do Sudanu?” — dziwi się grzecznie Teksanka. — „Polacy, to dzielny, waleczny naród! Zasłużyli na wolność!” — mówi generał. — „Niezwykle udany wieczór!” — mówią wszyscy na pożegnanie. — „Koniecznie trzeba go powtórzyć!” I chociaż mieszkają od lat w tych samych blokach i widują się po kilka razy dziennie, cieszą się że znowu mogli się zobaczyć. *It couldn't be nicer!* Oni zawsze są *happy i delighted*. Wszystko jest *nice i lovely*. Obcy, garnizonowy świat. Nic tu po nas, syneczku. — „Na następny *meeting*” — prosi Zimorodek — „ubierz się, tatuśiu, w swój generalski mundur”. — „Bardzo mi przykro: nie jestem generałem!” — „Nie jesteś?” — mówi z wyrzutem. — „Szkoda”. — „Wiesz dobrze, że nie jestem”. — „Wiem, ale ja już powiedziałem Billowi, że mój tatuś jest polskim generałem! On się chwali, że jego ojciec jest pułkownikiem, to ja sobie myślałem, że...” Bill, kaprawy huncwot, to jego sąsiad w ławce. — „Po co opowiadasz takie historie?”. Zimorodek nie daje za wygraną: — „Czy nie można by gdzie wypożyczyć tego munduru?”. — „Nie, nie można! I bujać też nie wolno!” — „Co ja teraz zrobić?” — lamentuje — „Bill mnie wyśmiej!” — Ale na następnym zebraniu, chociaż zjawiam się bez generalskiego munduru, mały Bill wlepi we mnie schorowane ślepką z wielkim szacunkiem — „Wszystko w porządku, — szepce mi do ucha Zimorodek. — „Wyjaśniłem mu, że polski generał ma prawo nosić mundur tylko w czasie wojny!”. Wyłgał się, mądraliński; adwokatem powinien zostać. Jeszcze piętnaście minut do odejścia pociągu. Już wkrótce, syneczku, rozstrzygnie się niejedno: Jeruzalem złociste i Łżawiec, South Park i Alamo. Dworzec, o dziwo, jeszcze nie pustoszeje. Z pobliskich hotelików wracają Włosi do gromady, by przyjaciołom zdać sprawę ze swoich sukcesów. Musieli się gracko uwinąć. Nie przynieśli ojczyźnie wstydu. Jeszcze im uszy płoną i oczy błyszczą radością. Odsłaniają zęby w triumfalnym śmiechu. Ten i ów zapaleniec jakby w pośpiechu nie zdążył włosów ułożyć w kun-

sztowne fale lub krawata nie zawiązał w nienaganny supeł. Jest i taki wśród gestykulujących efebów, co nie stał z szminki z policzka. Nosi ją dumnie. Jak order zdobyty w zwycięskiej bitwie. Czy Reytan-Wróblewski, będąc w wieku Zimorodka, zasiadał z rodzicami do stołu z pistoletem? Śmieszne pytanie. Dzisiaj, po latach, niejedno wydaje się śmieszne. Nawet ten flirt pani Emilii z Czarnym Piotrusiem, jedno z posępniejszych wydarzeń zanotowanych w kronikach South Parku. I ta makabryczna wycieczka trzeciomałowa — pomysł, oczywiście, Owczarka! — do pobliskiego Arundel. — „Impreza raczej nieudana — podkpiwał później Kalinka, siłąc się na *understatement* — chociaż niezwykle pouczająca i w skutkach swych nie pozbawiona momentu *katharsis*, zbawczego oczyszczenia”. — Wciąż te prześmiewki. Nazywano go więc „cynikiem”. Prawdziwych, a więc nie załganych, moralistów najczęściej obdarza się u nas mianem „cyników”. Cynizm zaś w mniemaniu ogółu jest czymś wstrętniejszym od nekrofilii. „Prowadzi do nihilizmu”. — „Zgubi go przekora intelektualna, która tyle zła wyrządza człowiekowi — wzdychał Owczarek. — Wydrąży go chęć „obiektywnego” patrzenia na sprawy tego świata. Czymże jest w gruncie rzeczy obiektywizm jak nie wymówką ludzi słabych i niezdecydowanych?”. Już to Kalinka nie miał łatwego życia w South Parku. Ale sam sobie był winien. Niepotrzebnie wszystkich drażnił. — „Czego wy się tak do tego nadwiślańskiego kojca wydzieracie?” — prowokował państwa Malinowskich, którzy po przeczytaniu pamiętników Churchilla postanowili wrócić do kraju. — „Chciałaby dusza do raj, panie Kalinka” — odpowiadali uprzejmie. — „Zapewniam was, ludzie myślący, — pouczał ich niesympatycznym tonem — że znacznie większą przygodą duchową jest *iść* do Polski, niż do niej *dojść*. Szczęście, moiściewy, leży w szukaniu, a nie w znalezieniu. Błogosławieni, którzy łakną. Mędrzec lęka się spełnienia swoich marzeń. Wieczne niezaspokojenie racz dać nam, Panie!” — „Anty-Midas! — prychnął Rokita. — Nadkwasota serca! Co się złota dotknie, w odróżnieniu od tego króla z greckiej mitologii, w łajno je przemienia. Nie rozumie, duchowy pigmej, że można głodem przymierać, w lokalskiej libeții warchlakom do stołu podawać, pod obcym płotem jak pies bezpieczeństwa zdechnąć, ale nie można żyć bez złotego ryngrafu legendy. Pióropusza brudnymi paluchami proszę nie dotykać!”. Uroczyste słowa: „ryngraf”, „pióropusz!” Jaka szkoda, że tak niewiele znaczą! A może „duchowy pigmej” ma rację? Iść do Ziemi Obiecanej, iść do niej przez całe życie, ale nigdy nie dojść — czy tak nie będzie lepiej? Gdy dziadek Zimorodka, pełen energii, inicjatywy i dobrej woli przyjechał przed pierwszą wojną z Ameryki do Polski, żałował swego powrotu do śmierci. Woda mu w domowej rzece płynęła za wolno, przechodnie człapali na ulicach



zbyt sennie; a co rozwijał skrzydła do lotu, zjawiali się mali ludzie z nożycami i obcinali mu pióro po piórze. Nieraz przypominał nam scenę powrotu Raduskiego do Łzawca z „Promienia” Zeromskiego. *Masz, panie, jakie pieniądze, to dej z dobrawoli... Postyszał koto swej głowy świst pałki i uczył w karku ból okropny... Także mię to przywitata?* W każdym razie wycieczka trzeciomajowa do Arundel naprawdę się nie udała. Arundel. Istna bajka. Dekoracja do historycznego filmu. Wysokie mury, podmyte paprocią. Baszta z zegarem. Flaga z herbem. Sztyldwach w szamerowanej kurcie. Słońce szkli się w rozecie sąsiedniego kościoła. Przyjazny pomruk organów. Gałęzie drzew oplatają gotyckie ostrołuki. Zimorodek tego nie widział. Tym lepiej. Uliczki zbiegają prosto w puszystą zielen. Miasteczko, wieniec domków wokół zamku, leży na uboczu płynącego czasu, jakby za rzeczywistością. Nad starą gospodą kotysze się sztyld ze złotą podkową. Siwy oberżysta siedzi w oknie i drzemie. Nawet autobus wygląda jak dylizans. Szofer ostrożnie wymija dwie w zamyśleniu kroczące kury. W powietrzu unosi się zagna i pocziwa radość. — „Stare gniazdo katolickiego Duke’a of Norfolk!” — powtarzała z zadowoleniem pani Malinowska. Od strony morza łopotał lekki, wiosenny wiatr. Nad basztą szybowała zabłąkana mewa, w kościele ktoś ćwiczył na organach, zegar sennie wybijał południe, gdy nagle rozległy się strzały z rewolweru. Jeden-drugi-trzeci! Reytan-Wróblewski, o którym myślano że z powodu choroby został w South Parku, wybiegł zza drzewa i trzykrotnie strzelił do Czarnego Piotrusia, idącego pod rękę z panią Emilią. Pierwszym strzałem zranił go w ramię. Drugi — chybił o kilka centymetrów. Trzeci poszedł wysoko w powietrze — Gniotek podbił mu rękę. A to co się później wydarzyło, gorsze było od strzelaniny i kompromitacji przed Anglikami. Czarny Piotruś ze spuszczoną głową, włosy sypały mu się na twarz, oparł się o klon. Krew dużymi kroplami kapiała mu z rękawa w trawę. Pani Emilia zanosła się od płaczu. Rozmazane czernidło od rzęs. Reytan wyrzucił rewolwer w zarośla. Rozwiane kosmyki siwizny. Oczy krwią nabiegłe, do dwóch ran podobne. W niczym nie przypominał wczorajszego „męża zaufania” Osiedla. Szamocąc się z Gniotkiem, krzychał na całe gardło: — „Zdzira! Zwykła zdzira, a nie Emilia Plater! Scierwo ostatnie, a nie bohaterka! Z tą epopeją w piwnicy, to gówno prawda! Może się zdarzył taki wypadek gdzie indziej, ale nie w naszej kamienicy. Ona kłamie! Ona zawsze kłamała. Ale ja wam, ludzie, powiem prawdę, całą prawdę jak na spowiedzi! Z Wenzlem tego bachora miała, nie ze mną! *Herr Gefreiter* Wenzel! Wiedziała, że szwabskiego bękarta w domu nie ścierpię!” — „Ciicho! Cóż pan wygaduje! — przerażony Owczarek próbował mu zasłonić usta. — Ludzie słyszą!” — „Milczeć,

Wróblewski!” — rozkazywał Rokita. Na próżno. Zanim przybył ambulans po rannego i policjanci po Reytana, niski otyły mężczyzna ze łzami w oczach wykrzykiwał bez związku: — „Nad morze sobie z malowanym miglancem pojechała! Ja się w szpitalu z bólu zwiżam, a ona się z tamtym w hotelu! Ile mnie ta suka krzywdy zadała w życiu, Jezusie, Jezusie! Prawdę powiem, całą prawdę. Przed Sądem Obywatelskim. Do piwnicy nas wtedy, kanciaro, ściągnęła! Nie dla Polski, nie dla Delegata! Na umyślnie to było zagrane! Bo ona sprytna!” — „Kłamiesz, zbroju! — rzuciła się na niego rozwścieczona. — Nie wiercie mu, on zwariował z zazdrości! To wszystko nieprawda! Tyś dzieciaka udusił, hyclu, nie ja! Tyś to wszystkie wymyślił! Tyś z Wenzlem handlował! Tyś Żydów w ręce gestapo wydawał! Tyś brał brylanty od starej Ursteinowej! Zdrajca! Łobuz! Szmalcownik!” Zwarli się. Siłą ich trzeba było rozdzielać. Już go policjanci wciągali zakutego w kajdanki do samochodu, a jeszcze wykrzykiwał z bekciem: — „Wenzlowego bękarta chciałaś się pozbyć, zdiro! Każdemuś dawała! Niech mnie powiesz, niech mnie zatłuką, sam się zabiję, ale ty też dostaniesz za swoje! Niech cię Pan Bóg skarże za to wszystko, ty... ty... zły człowieku!” Gniotek ze współczuciem pokiwał mu ręką. — *Good luck*, Wróbelek! Cóż ta wojna zrobiła z ludzi!” — Policjant zgrabnie zatrzasnął drzwiczki. Jednym ruchem przekreślił kluczyk od zewnątrz. Odjechali. W chwilę później ruszył ambulans. Gdy zapłakana pani Emilia chciała wsiąść do środka, by towarzyszyć Czarnemu Piotrusiowi, „chłoptaś-głuptaś” odemknął powiekę i syknął ze złością: „Pooeszła do swego męża! I to już! Ja bym was oboje kazał z l i k w i d o w a ć ! ” — A potem już ani majowe słońce — dzień był wyjątkowo piękny! — ani uroki krajobrazu nie mogły nikogo rozchmurzyć. Nastąpiła długa, dokuczliwa cisza. Przerwał ją Rokita, nerwowo trąc podbródek. Zaciął się tego rana brzytwą przy gołeniu. Puder kleił mu się do wyschniętych palców, w połączeniu z krwią zamienił się w brunatną mączkę. — „Reytan, to jest Wróblewski — powiedział z trudem łapiąc powietrze — niewątpliwie przeholował. Strzelać, choćby w afekcie, nie wolno. Ale tych tam... innych spraw na światło dzienne wywlekać się nie powinno. Bo i po co? Mało to mamy wrogów na świecie? Henryk Sienkiewicz (przy wymienianiu nazwisk sławnych ludzi głos mu niepotrzebnie wibrował; szkoda, bo scena nie miała w sobie nic z groteski) powiedział, że natura ludzka, twór boski...” — „Pułkowniku, przestańcie — przerwał mu Owczarek — lepiej już nic nie mówić!” — „...że natura ludzka, twór boski — ciągnął Rokita; nie lubił gdy mu przerywano — tak jest już urządzona, że w niej dość się znajdzie miejsca na najszczytniejsze świętości i na najstraszniejszy upadek moralny. To właśnie chciałem powiedzieć. Na miejscu Wróblew-



skiej (już nie powiedział „pani”) wyemigrowałbym do Australii. Reytanem zajmie się sąd angielski. Przykra sprawa. Im prędzej o niej zapomnimy, tym lepiej. Wsiadajmy do autobusu!” Słusznie. Dość już tej wycieczki w przeszłość. Wsiadajmy do pociągu. Godzina myśli dobiega końca. Jeszcze pięć minut. Zaraz przywiozą chłopca na dworzec, wsiądziemy i — odjazd! „Po przyjeździe do kraju spotka cię przykry zawód: nikt nie zauważy twojego przyjazdu. Czy jesteś nad Wisłą czy na księżycu, nikogo to tutaj nie obchodzi. Nie obraż się, ale wy tam niektóre role gracie w teatrze urojeń; rzeczywistość jest inna”. (List z Warszawy). Jutro rano pociąg przejedzie granice, a my, syneczku, do okien. I w płacz. I w krzyk. — „Zimorodku, czapkę z głowy! To ojczyzna!” — *Jeruzalem złociste, miłości wiekuiste*. A na stacji Łzawiec podejda do nas jacyś panowie. Jeden z nich może być Czarnym Piotrusiem w mundurze, drugi może mieć twarz Reytana a jeszcze inny zniekany uśmiech Owczarka. Wszyscy rodacy w jakiś sposób podobni są do siebie. „Łzawiec! Wysiąść!”. Za oknem kancelarii przeleci wrona. Przekreśli niedomytą szybę. Spadnie w głąb ścierniska. A może w zmokłe żytko. Jeszcze kilka minut. Włosi już się zwolna rozchodzą. Zaraz go przywiozą. Dwa miejsca w wagonie sypialnym. Jeszcze można się rozmyśleć. Jeszcze nie jest za późno. *Jest później niż sądzisz*. Wystarczy przejść na drugi peron, wsiąść do innego pociągu i jeszcze raz uciec. Na każdym peronie inny czeka pociąg. A więc za oknem kancelarii przeleci wrona i po każdym pytaniu przekreśli brudną szybę. „Pan pozwoli z nami!” — Występował przeciw? Tak czy nie? Władzy boskiej? Nie. Papieskiej? Nie. Ludowej? Tak. Aha! Podważał, działał na? Na co? Na pożytek Zimorodka? Tak. Na chwałę jabłoni za rzeką? Tak. Na szkodę kraju? Nie. Wyrażał się ujemnie o? O Lancicie? Tak. O piegowatej Teksance? Tak. O Włochach na dworcu? Tak. O *Corriere della Sera*? Tak. O ustroju? Tak. Aha! O Łzawcu? Tak! Bruździł przeciw ojczyźnie? Nie. Przeciw cegle Barbakanu, Kazaniom Świętokrzyskim, dzieciom płoszącym gołębie na Starym Mieście? Nie. Przeciw grabinie pod Koronowem, leszczynie za Zawichostem, wiatrowi nad Dunajcem, zmarszczkom na Wiśle, sasance muskanej sanna? Nie. Przeciw glinianemu wróblowi w łowickiej chacie i żywej gżegżółce w Międzyzlesiu? Nie. Ojczyzna to także żywi ludzie. Przeciw garncarzowi Wilkowi z Białej Podlaskiej? Nie. Przeciw Kowalskim którzy jadą w tej chwili stłoczeni autobusem do pracy? Nie. A może — przypomnij sobie! — przeciw tym, co z honorowej trybuny pozdrawiają naród przyciśniętym do piersi kapeluszem? Tak czy nie? Tak! No widzisz... Za oknem przeleci wrona, przekreśli brudną szybę i wpadnie w dół. Zapieje lokomotywa, zagłuszy krzyk i ból. To *dej z do-brawoli*. *Takżeś mię to przywitała...* Ale oto i nadbiega z głębi

peronu Zimorodek z walizczką. Przepycha się przez Włochów i — już jest tu! W samą porę, w samą porę! Bo już megafon chrypi: *Der Eilzug nach Genf fährt gleich ab!* Spieszmy się! Pociąg do Genewy na torze ósmym! To nasz ekspres, Zimorodku! Odwożę syna do szkół szwajcarskich. Do internatu nad Lemanem. Do Szwajcarii, a nie do Warszawy. Czas rozrzucić klocki i zdmuchnąć domek z kart. Po co się okłamywać? Powrotu nie ma, nie było i nie będzie. Jest tylko kłębowisko myśli, człowiek przebity włócznią tęsknoty, żelazny pręt na gardle, i jedna brudna, sobacza ła.

Tadeusz NOWAKOWSKI

## WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- WSZYSTKIE LEKARSTWA
- MATERIAŁY DENTYSTYCZNE
- OKULARY
- POŃCZOCHY na ŻYLAKI
- WYKONYWANIE RECEPT KRAJOWYCH

WYSŁE SPRAWNIE I BEZ ZWŁOKI

Największy Dom Wysyłkowy

## TAZAB & Co. Ltd.

Taxab House

LONDON, S.W.7.  
22, Roland Gdns.,  
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd

36, Third Avenue,  
NEW YORK, 3  
ALgenquin 4-4161



## Wiersze

### KATEDRY ROMAŃSKIE

Wysadzą nas w powietrze  
Czy nie?  
Taką krzyżówkę rozwiązuję w Paris-Presse  
I rozwiązać nie mogę.  
A ty chcesz jechać do Vezelay,  
Kto by cię tam zawiózł?  
Koleją źle.  
Samochodem?

A ty chcesz jechać do Autun,  
Tam leżą trzej królowie i śpią,  
Anioł zbudził jednego,  
Pótsenne otwiera oko:  
Trzeba wstać, iść:  
Dokąd?

Tyle już razy się budzi,  
Tyle gorzkich wieków się trudzi  
A teraz jeszcze jeden maleńki wiek,  
Z nożem w pysku, zbójceki,  
Cholerny wiek  
Pseudo-krzyżowców,  
Krzyżówkowych ludzi.

Jeden maleńki, krwawy ściek,  
Który strugą katedry wysokie obiega,  
Maleńka, wszechwładna, zabójcza  
Alfa i Omega.

A ty chcesz jechać do Vezelay,  
A ty chcesz jechać do Autun,  
Myślisz: może tamten anioł wie,  
Kamienny budziciel,  
Czy nas wysadzą w powietrze  
Czy nie,  
A może nawet coś więcej?

Wszystko jedno:  
Jedź tam, jedź tam  
Czym prędzej.

### OPIUM

Pont Marie, Pont Marie,  
Co na moście tym nocą się dzieje!  
Teraz nadpływa statek spacerowy,  
Reflektor szpera w gąszczach ciemności,  
Jestem pasażerem za 500 starych franków,  
Na ścianie nadbrzeżnej czytam reguły czarnoksiężskie  
I każda latarnia w niebieskich gałęziach  
Rośnie jak naturalny owoc nocy,  
Osrebrzone mury —  
Dekoracje z teatru:  
Wszystko jest inne,  
Nawet wiatr niepodobny do wiatru.

Ale za wiele tego, za wiele,  
Stańcie przed Hôtel Lauzun,  
Otwórzcie drzwi.  
Niech podadzą mi fajkę  
Palacze opium.

Na tej białej wyspie się położę,  
Po tej rzece popłynę,  
Senne mnie wody zatopią,  
Popłynię ze mną Baudelaire,  
Srebrne owoce  
I cały ten wielki, tłumny most  
Idący nad życiem  
Z nocy do nocy.



## ZDZBŁO

Stała przed bramą,  
Dzwoniła — kto?  
Wykruszyna roślinna,  
Słoma zielona,  
Zdzębło?

Dzwoniła żeby jej otworzyli,  
Dzwoniła żeby ją tam przyjęli,  
Może jeszcze nie wyjechali,  
Nie spakowali się, nie pożegnali,  
Może podejść do okna,  
Ktoś ręką skinie, ktoś się ukloni,  
Więc stoi przed bramą samotna  
I  
Ciągłe dzwoni.

Ale brama zamknięta,  
Nie odezwał się nikt,  
Jakiś cień za firanką się przesunął  
I znikł.

A więc kto do mnie dzwonił i pytał kto  
Czyśmy się już pożegnali,  
Przeszłość nieodwołalna,  
Młodość nie do zapomnienia,  
Wykruszyna nostalgii,  
Zdzębło?

I nagle lęk mnie ogarnął  
Że nikt nie mieszkał w tym domu  
Zamkniętym i samotniczym,  
Że sam do siebie dzwoniłem,  
Że sam się wygnałem,  
Z przeszłości, młodości, miłości  
Odszedłem z niczym.

## RENDEZ-VOUS

Nie bój się, wróć,  
Może za godzinę, za dwie:

Zabłąkałem się w mojej młodości,  
Na bulwarze studenckim,  
Między księgarniami,  
W kawiarni,  
Pod oknem,  
Nie wiem gdzie.

Stolik z butelką,  
Naprzeciw dama młoda, samotna:  
Pani tu czeka na kogoś?  
Na przyjaciela, kolegę-studenta?  
Mogę się przysiąść?  
Czy pani mnie pamięta?

Niech pani nie mówi, że nie  
Ani że tak,  
Dla mnie jednaka mitręga:  
Pani to młodość,  
Bulwar studencki, okno, szkło  
Przezroczyste,  
Nie wiem co,  
Ja rozwłóczony po świecie przybędę.

Chodziłem długo za panią,  
Czy pani uwierzy — całe życie  
Za ukochaną moją.  
Teraz już późno,  
W domu czekają na mnie,  
Pewnie się niepokoją.

Muszę zegnać się z panią,  
Zegnać możliwie bez wzruszenia.  
Do kiedy?  
Do jutra?  
Do nigdy?  
Do widzenia?

Piszę to, miła, na gryzku gazety,  
Zabłąkany pod oknem,  
Naprawdę nie wiem gdzie.  
Piszę to, piję,  
Tonę w nonsensach,  
Ale nie bój się, wróć,  
Za godzinę, za dwie  
Na rzęsach.



## POCIĄGI

Lecą pociągi,  
Dokądś mnie wiozą,  
Stoję na dworcu,  
Rozdarty podróżą,  
Jadę daleko,  
Nie ruszam się z miejsca,  
Róża nade mną coraz czerwiejsza.

Oparci na łokciach z okien mnie widzą  
I ja patrzę przez okno,  
Bo lecą  
Pociągi pośpieszne,  
Dalekobieżne,  
I tak przez cały dzień  
Aż do nocy,  
Gdy różą okrągłą świecą,  
Światłem czerwonym  
Za ostatnim wagonem  
W pustkę ciemną,  
Nad samotnością,  
Nad zatraceniem,  
Niedoczekaniem,  
Nade mną.

## RZECZ WSTYDLIWA

Łzy, wiadomo, rzecz wstydliva,  
Nie męska.  
Tak.  
Ale do czasu,  
Gdy nie ma już nic  
Tylko płacz.

I co wtedy robić?  
Zacząć od początku,  
Zapisać się do szkoły  
I uczyć się, uczyć  
Przez długie, zawile życie  
Pierwszej,

Dorostej,  
Męskiej  
Łzy?

## PUSZCZA

Biły się dwa jelenie,  
Splątały się rogami,  
Rozszczepić się nie mogły,  
Szarpały się, bodły,  
Aż zwały się z nóg  
I upadły bez sił.

Mrówki włożyły im w nozdrza i w oczy,  
Jadły je powoli,  
Oczyściły do białej kości.  
Teraz leżą cztery splątane rogi  
I dwa spłaszczone łby  
W zaroślach.

Ale jaka to musiała być miłość!

## ZEGARY

Zegary zeskoczyły z wież,  
Uciekały do innego miasta,  
W rękach miotły z czarnych wskazówek,  
Na plecach worki z miłkim czasem,  
Mówiły że to kasza gryczana,  
Spieszno nam, puśćcie nas,  
Bójcie się Boga.

A ludzie do nich: hej, wolnego,  
Kto nam pokaże kiedy dzieci mają iść do szkół,  
Kiedy zamykać banki,  
Kiedy ostatni autobus,  
Co to za życie,  
Bójcie się Boga.

Ale zegary pogłuchły,  
Nie odezwały się ani słowem,



Tylko ptaki biegły rzędem za nimi  
I dziobały rozsypując się kaszę  
I tyle pożywnego zostało na ziemi  
Po Naszych Czasach.  
Bójdzie się Boga.

### BALLADA NASZYCH CZASÓW

Cementem usta mu zalali,  
Ryskałem pocięli mu twarz,  
Butami kopali go w jądra,  
A gdy turlał się obłąkany po ziemi  
Krzyczeli:  
Krzycz teraz ty,  
Wzywaj pomocy od świata.

Głośno wołaj, niech cię usłyszą,  
Masz długi rejestr rekursów:  
Godność człowieka,  
Prawo człowieka,  
10 przykazań boskich,  
100 konstytucji państwowych,  
Liberté, Egalité, Fraternité  
Itd.

Ale on już nie słyszy,  
Nie woła, nie czeka.  
Oczy mu zasłyły białkami  
I przestał się turlać po ziemi.

### PRZEPIS SANITARNY

Scierajcie mokrą krew  
Na świeżo,  
Zimną wodą,  
Jak po goleniu.

Scierajcie z rąk zachlapanych,  
Z fartuchów pod brodą,

Z kartotek bezpieczeństwa,  
Z historii udoskonalonej do kłamstwa,  
Z pamięci stosowanej,  
Z ciała śmiertelnego,  
Ze wszystkiego  
Do czego potrzebna jest krew.

Scierajcie juchę lepką,  
Niech nie wycieka,  
Nie plami,  
Nie śmierdzi,  
Nie zdradza:  
Krew potęga,  
Nadziemska władza.

Zmywajcie ją zaraz,  
W tej samej chwili,  
W tym samym pokoleniu,  
Zeby nie przyschła,  
Nie zachodziła pod paznokcie,  
Nie wykruszała się przez wieki,  
Nie brudziła pralni chemicznych,  
Zeby zniknęła jak pod atunem,  
Jak po goleniu.

### STRACHY

Strachy mają swoją historię naturalną:  
W dzieciństwie ciemny pokój, kominiarze, czarownice,  
Potem zły belfer, matura, pierwszy wyrwany ząb.  
Kilka lat — i strachy już znormalizowane: -  
Choroby, wypadki samochodowe, podła miłość,  
Każdy może tu wpisać co chce.

Ale są rzeczy straszne, które nie budzą lęku:  
Popołudniowe uschnięcia, odptywy sumienia,  
Heroizm i anty-heroizm narodów szalonych,  
Nawracanie na szczęście, nawracanie na umór  
I biedny człowiek w tym zgubiony,  
Homo-ledwie-Sapiens,  
Jak mówią w Polsce.



## SIEMIONY

*Siemiony z piasku, z pszenicy,  
Z Lublina —  
Jeśli Polska ma skórę to waszą,  
Jeśli włosy to wasze,  
Jeśli oczy to wasze,  
Jeśli wasze to moje.*

*Siemiony  
Lubelskie, kujawskie  
I nadwiślańskie,  
Jeśli Polska jest młoda to dla was,  
Jeśli czeka to na was,  
Jeśli cierpi to za was,  
Jeśli wy to i ja.*

*Jeśli rankiem to obłok,  
Jeśli nocą to usta,  
Jeśli pachnie to siano,  
Jeśli szczęście to szczęście,  
Jeśli rozpacz to coś o tym wiem.*

*Siemiony siemienne,  
Siemiony nasienne,  
Ziemie nieziemskie  
I nie anielskie,  
Pszenice i włosy,  
Oczy i słowa,  
Usta na piasku  
Polskie, lubelskie,  
To ja.*

Kazimierz WIERZYŃSKI

Archiwum polityczne

## Zaduma noworoczna

W roku 1921 w czasie trzeciego kongresu Komunistycznej Międzynarodówki Trocki w jednym ze swych przemówień wyznał: „Sądziliśmy, że atak będzie rósł, potężniał i posuwał się naprzód rosnącą falą... sądziliśmy, że klasa robotnicza na przestrzeni roku lub dwóch sięgnie po władzę. Istniała po temu historyczna możliwość ale się nie ziszczyła... Rewolucja nie jest ani tak posłuszna ani tak obłąskawiona by ją można było prowadzić na smyczy”.

I tak oto narodziła się koncepcja koegzystencji. Z chwilą gdy stało się jasne, że rewolucja — już nie w skali światowej, ale nawet w mniejszej skali europejskiej — jest muzyką nieokreślonej przyszłości, trzeba było zabiegać o uznanie i podjęcie normalnych stosunków dyplomatycznych.

W sensie ideologiczno-rewolucyjnym koegzystencja jest dzieckiem kłeski. Mogło być inaczej. Płomień rewolucji mógł objąć Niemcy a poprzez Niemcy cały europejski kontynent.

Zawiodły Niemcy — przede wszystkim Niemcy. By sobie uzmysłować wymiar „kompleksu niemieckiego” w polityce Rosji Sowieckiej, wystarczy wydobyc z pamięci dwie historyczne sceny,

Ubiegłej jesieni, w okresie przedwyborczym, pewnego dnia socjalista niemiecki Willy Brandt przemawiał w zachodnim Berlinie a we wschodnim Berlinie przemawiał komunista niemiecki Ulbricht.

Gdy słuchałem przez radio przemówienia Brandta nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że Historia popełnia plagiat.

Jesień 1918. Kryzys wywołany abdykacją cesarza. W tym samym dniu socjalista Scheidemann z balkonu gmachu parlamentu w Berlinie proklamuje republikę niemiecką a komunista Liebknecht z balkonu pałacu cesarskiego proklamuje sowieckie Niemcy.

Powyższe sceny: Brandt — Ulbricht, Scheidemann — Liebknecht dzielą 43 lata, niemal pół stulecia. I trzeba powiedzieć,



że Liebknecht owej jesieni przed 43 laty bliższy był sowieckich Niemiec niż Ulbricht w roku 1961.

Pomiędzy tymi dwoma berlińskimi epizodami zawarta jest cała historia stosunków sowiecko-niemieckich. Historia jeżeli się powtarza nie powtarza się daremnie. Sekwens owych scen berlińskich dowodzi, że z jednej strony rewolucji nie da się prowadzić na smyczy a z drugiej strony owa repetycja wskazuje, że tak dziś jak i wówczas Niemcy zajmują wyjątkową pozycję w polityce Moskwy. Na Kremlu nie wygasła jeszcze wiara pierwszych „ojców-założycieli”, że z wszystkich narodów świata przede wszystkim Niemcy winni się stać komunistami. Wówczas każda z rogatek Berlina prowadziłaby do jednej z czerwonych stolic Europy a problem Chin zmalałby proporcjonalnie.

Amerykanie patrzą inaczej na ten zespół zagadnień, bo nie rozumieją mechanizmu europejskiego *balance of power*. A ci z nich, którzy ten mechanizm rozumieją, uważają go za anachronizm. Pomiędzy sfederowanymi stanami Ameryki Północnej a Związkiem Sowieckich Republik — Europa, „ojczyzna ojczyzn”, niewątpliwie jest anachronizmem. Ale bywają anachronizmy o niebywalej żywotności.

Europę można zjednoczyć dwojako: albo poprzez odbudowę „równowagi sił” albo poprzez poddanie jej hegemonii jednego mocarstwa. Smutnej pamięci konferencja monachijska była ostatnią konferencją europejską bez udziału Sowietów i Stanów Zjednoczonych. Hitler wyciągnął wówczas logiczny wniosek, że jeżeli Europą mają rządzić Europejczycy — to tymi Europejczykami muszą być Niemcy.

Równowaga europejska została zwichnięta, bo bez pomocy poza-europejskiej nie było możliwe zbudowanie koalicji, która mogłaby przeciwstawić się zwycięsko Trzeciej Rzeszy.

Na krótki okres czasu Hitler zjednoczył Europę zastępując zbankrutowany po-wersalski system równowagi sił — hegemonią niemiecką.

Pod koniec drugiej wojny światowej większość polityków państw sprzymierzonych zdawała sobie sprawę, że na Niemcy wymiaru Trzeciej Rzeszy — tak w sensie przestrzeni jak i potencjału gospodarczo-militarnego — w Europie po prostu nie ma miejsca.

Pojawiły się różne plany, z których na wyróżnienie zasługuje plan jednego z senatorów amerykańskich, proponujący całkowite odprzemysłowienie Niemiec i przemienienie ich w kraj pastwisk i... mlecznych krów.

Nikommu nie przyszło jednak na myśl, że najprostszą rzeczą byłoby Niemcy podzielić na dwa lub więcej państw.

George F. Kennan, w swojej książce pt. „Russia & The West under Lenin and Stalin”, jeszcze raz obala legendę, że „ziemie odzyskane” odzyskaliśmy dzięki Stalinowi. Inicjatywa w tej sprawie wyszła od Churchilla i Roosevelta, którzy „nalegali na Stalina”, by zaakceptował ten projekt.

Tragiczny błąd polegał na tym, że Sowiety do końca traktowano za alianta, nawet wówczas kiedy Moskwa przestała być sprzymierzeńcem Zachodu i podjęła własną zaborczą politykę, sprzeczną z celami głoszonymi przez Sprzymierzonych.

Można dokładnie ustalić kiedy Rosja Sowiecka zdradziła sprawę Sprzymierzonych, przestała być aliantem i podjęła akcję na terenie Europy wyłącznie we własnym imieniu i wyłącznie we własnym interesie. Tym momentem było Powstanie Warszawskie. Odmowa udzielenia pomocy, odmowa zezwolenia na użycie baz amerykańskich na terenie Rosji w celu zorganizowania zrzutów dla walczącej Warszawy — stanowiła *de facto* wystąpienie Sowietów z sojuszu, ale nikt tego wówczas nie dostrzegł. Kennan wylicza pomoc jaką w ramach *lend-lease*, zwłaszcza w postaci maszyn i ciężkiego ekwipunku przemysłowego, płynęła do Sowietów po tej znamiennej dacie.

Ale celem Stalina była nie tylko Warszawa. Celem Stalina był przede wszystkim Berlin.

Choć może się to wydać paradoksem, twierdzę niemniej, że ustabilizowana gospodarczo, kwitnąca, współczesna Europa zachodnia — w znacznej mierze jest dziełem Stalina.

W Europie zachodniej odbudowana została zdrowa, wewnętrzna równowaga sił, która umożliwiła współpracę i przyjaźń francusko-niemiecką.

Hitler w swym testamencie określił Żydów i Francuzów jako śmiertelnych wrogów Niemiec. Nie Rosjan, nie Anglików czy Amerykanów, tylko Francuzów.

Dziś, gen. De Gaulle — ten sam generał De Gaulle, który tak nieubłagane walczył przeciw Hitlerowi, wydaje się czasem bardziej „pro-niemiecki” niż kancl. Adenauer.

Wyrównanie stosunków francusko-niemieckich jest czymś bez przykładu w historii europejskiej. Powyższa metamorfoza została uwarunkowana różnymi przyczynami — przede wszystkim podziałem Niemiec. Podział Niemiec wyraził się dwiema konsekwencjami. Odbudową równowagi w ramach Europy zachodniej i re-orientacją społeczeństwa niemieckiego.

Niemcy zjednoczone w ramach zachodniej Europy budziłyby uzasadnioną nieufność. Praktycznie nie byłoby możliwe uniknięcie hegemonii na kontynencie, zarówno w płaszczyźnie gospodarczej jak i militarnej. Światli Niemcy, jak prof. Golo Mann (syn Tomasza Manna), zdają sobie z tego doskonale sprawę.

Odbudowa wewnętrzno-europejskiej równowagi sił była możliwa albo poprzez sankcje i ograniczenia — na wzór traktatu wersalskiego — albo poprzez podział Niemiec.

Odwrot od polityki wersalskiej, olbrzymia pomoc finansowa, podniesienie Niemiec z ruin narodowej klęski do statusu suwerennego, pełnoprawnego sojusznika — wszystko to wywarło głęboki wpływ na społeczeństwo niemieckie. Niemcy szczerze i autentycznie wrócili do klasycznej koncepcji „jednego frontu”.



Wróg grozi tylko od Wschodu — Zachód to sojusznicy i przyjaciele.

Ale gdyby Sowiety — na co się nie zanosi — wycofały się któregoś dnia z Niemiec wschodnich zabierając z sobą Ulbrichta i jego towarzyszy — sielanka dobiegłaby kresu. Niemcy zjednoczone rozsadałyby „wspólny rynek”, NATO, i wszystkie inne zachodnioeuropejskie organizacje. Wewnętrzna równowaga europejska leżałaby w gruzach i rywalizacja, a w przyszłości otwarty antagonizm francusko-niemiecki, stałyby się nieuchronne.

W powojennej „resztówce” Europy, którą określamy dziś Europą zachodnią nie ma miejsca na mocarstwo obszaru, potencjału i możliwości zjednoczonych Niemiec. Państwo tych wymiarów mogłaby pomieścić i zaakomodować tylko Europa sięgająca nie po Odrę ale przynajmniej po Bug.

Jeżeli patrzeć na Europę w perspektywie amerykańskiego ideału *integration* to wewnętrzna, kontynentalna równowaga sił traci na znaczeniu. W Stanach Zjednoczonych Europy Zachodniej, rządzonej przez federalny parlament i prezydenta na wzór amerykański — problemy tego typu znikną ze sceny. Ale w Europie „ojczyźnie ojczyzn” równowaga wewnętrzna jest fundamentem harmonijnej współpracy i sukcesu.

Nasze rozważania możemy streścić w jednym zdaniu. Przepołowione Niemcy w przepołowionej Europie — zjednoczone Niemcy w zjednoczonej Europie. Zjednoczone Niemcy w przepołowionej Europie oznaczałyby koniec obecnego okresu pomysłowości i stabilizacji.

Z punktu widzenia zachodniego Europejczyka problem niemiecki, który w przeszłości zdetonował dwie wojny światowe, rozwiązany jest niemal idealnie. Niemcy zostały „przykrojone” do bezpiecznych wymiarów. Nacjonalizm i rewizjonizm niemiecki — choć dają znać o sobie — zostały w całości skanalizowane w kierunku wschodnim. Ta radykalna przemiana umożliwiła pełne włączenie Federalnej Republiki w system zachodnio-europejski przy obustronnych korzyściach.

Problem niemiecki rozpatrywany w perspektywie rosyjskiej nie przedstawia się tak korzystnie.

Czerwona armia doszła do Berlina, ale Niemcy zdobyli Amerykanie a nie Rosjanie. Amerykanie nie wycofali się tym razem z Europy, jak po pierwszej wojnie światowej, nie powtórzono Wersalu, a wczorajszego wroga w przeciagu kilku lat przedzierzgnięto w najwierniejszego z aliantów. Republika Federalna ze swym dobrobytem i dynamiczną gospodarką jest nie tylko stoiskiem wystawowym amerykańskiego systemu ekonomii ale jest również głównym chorążym amerykańskiej idei *integration* w ramach Europy zachodniej i wspólnoty atlantyckiej.

Pół wieku zabiegów, intryg, planów i marzeń, zmierzających do skomunizowania Niemiec, przyniosło w rezultacie dwumetrowy mur Ulbrichta, który jest budowlą nie tylko ponurą ale i kompromitującą.

W prasie amerykańskiej spotyka się coraz częściej karykatury przedstawiające Chruszczowa jako nowe wcielenie Hitlera. W prasie wschodnio-europejskiej, a zwłaszcza sowieckiej, żołnierzy NATO prezentuje się zawsze z hitlerowską swastyką.

Co to oznacza? Oznacza to, że obie strony „zimną wojnę” i ewentualną trzecią wojnę światową widzą jako kontynuację drugiej wojny światowej tylko w zmienionych rolach. Oznacza to również, że obie strony walczą o swój model i oblicze Niemiec.

Sowiety wojnę przeciwko Niemcom przy wydatnej pomocy Anglosasów wygrały. Wojnę o Niemcy *przegrały*.

Ziemie zachodnie otrzymaliśmy jako rekompensatę za przyjęcie linii Curzona w wersji sowieckiej. Churchill prawdopodobnie nie wysunąłby nigdy koncepcji „siedziby państwa i narodu polskiego w granicach pomiędzy linią Curzona a Odrą”, gdyby Stalin nie domagał się ziem Rzeczypospolitej przyobiecanych mu przez Hitlera. Churchill — o czym wyraźnie pisze w V tomie swych wspomnień — żądał przyjęcia tej koncepcji, by móc powiedzieć Polakom, że „dobrze dba o polskie interesy”. (W nawiasie warto dodać, że sprawa powyższa jest doskonale przedstawiona i wyczerpująco udokumentowana w trzecim tomie „Najnowszej Historii Politycznej Polski” — Władysława Pobóg-Malinowskiego).

Rozpatrzmy powyższy problem nie z polskiego punktu widzenia, lecz w perspektywie realistycznych sowieckich interesów.

W moim przekonaniu Stalin był chciwym imperialistą a nie wytrawnym politykiem. Gdyby był politykiem byłby nalegał na przywrócenie Polsce granic z 1939 roku. Ani Polacy ani Anglosasi nie wysunęliby wówczas koncepcji rekompensaty. Niemiecka Republika Demokratyczna obejmowałaby dziś polskie ziemie zachodnie a w Federalnej Republice nie byłoby rewizjonistów. Komunizm w Niemczech nie startowałby obciążony grzechem pierworodnym narodowej zdrady.

Postępując w ten sposób Stalin nie miał niczego do stracenia a wiele do zyskania. Bo przecież i wówczas zarówno Lwów jak i Wrocław leżałyby w granicach bloku wschodniego.

Sowiety zamiast ogałacać Niemcy ze wszystkiego, powinny były nieuszczuplone terytorialnie Niemcy wschodnie nakładem maksymalnych kosztów przemienić w model państwa socjalistycznego i w stoisko wystawowe komunizmu. Dziś postawa Niemców — wszystkich Niemców — w stosunku do Związku Sowieckiego byłaby zupełnie inna.

Bilans polityki sowieckiej w stosunku do Niemiec jest katastrofalny. Ulbricht za swoim murem spełnia dokładnie odwrotną funkcję od zamierzonej. Kompromituje komunizm w oczach narodu niemieckiego tak jak nie potrafiłaby tego dokonać żadna amerykańska instytucja propagandowa. Niemcy zachodnie są nie tylko kwitującym mocarstwem, ale posiadają sojuszników jakich nigdy w swej historii nie mieli.

Stalin zagarnął łapczywie państwa Bałtyckie, Prusy Wscho-



dnie i włączył do bloku komunistycznego pół Europy, ale Niemcy stracił.

Latwo się domyśleć, że w chwili podpisywania paktu Ribbentrop-Mołotow Stalin inaczej sobie wyobrażał bieg wydarzeń. Liczył, że z chwilą gdy obie strony wykrwawią się i wyczerpią, gdy na kontynencie zapanuje głód i chaos powojenny — wówczas sowieckie czołgi podwożą rewolucję do Berlina, Brukseli i Paryża.

Byliśmy zbyt słabi, by spełnić marzenia Stalina. Hitler zbyt szybko uporał się z kontynentem i ani się nie wyczerpał ani nie skrwawił. Kto wie czy Europa zachodnia nie zawdzięcza swojej obecnej *prosperity* marszałkowi Pétain.

Walcząc z hitlerowskimi Niemcami Sowiety miały W. Brytanię i Amerykę po swojej stronie. Gdyby dziś przyszło Rosji walczyć przeciwko Niemcom, miałyby swoich dawnych sojuszników przeciwko sobie.

Rosja Sowiecka, zdawać by się mogło, ma wszystkie niemieckie atuty w ręce — ale nie ma dobrego wyjścia z impasu.

Kapitulacja w sprawie Berlina byłaby katastrofą na linii frontu Wschód-Zachód. Ale byłaby to klęska raczej moralna niż faktyczna.

Stolicami Polski były Kraków i Warszawa. Stolicą Niemiec może być równie dobrze Bonn jak Berlin. Ulbricht wygrywając batalię o Berlin zyskałby punkt prestiżowy, ale zasadnicza sytuacja NRD nie uległaby zmianie.

Kapitulacja w sprawie Berlina byłaby autentyczną klęską Zachodu ale nie stanowiłaby zwycięstwa Sowietów proporcjonalnego do klęski. Zwycięstwo byłoby niepomierne mniejsze niż klęska. Potencjał gospodarczy i wojskowy Federalnej Republiki pozostałby nietknięty a koszt ewakuacji tych, którzy by chcieli opuścić miasto, byłby na dalszą metę mniejszy niż finansowanie Berlina w jego obecnej postaci.

Gdyby dziś nad zachodnim Berlinem pojawiła się czerwona flaga, nie oznaczałoby to zmartwychwstania „Spartakusbund”, Róży Luksemburg, Liebknechta ani Karola Radka, który z niemieckiego więzienia wywierał tysiącokrotnie większy wpływ na socjalistów niemieckich niż Ulbricht z za stołu prezydialnego KC.

W Niemczech i w Europie rewolucja jest martwa. Nie można jej prowadzić na smyczy nie dla tego, że jest nieokiełznana — ale dlatego, że trudno na smyczy prowadzić trupa. Trupa można tylko podwieźć na czołgu.

Mur Ulbrichta oddziela dwa światy i to nie tylko w sensie politycznym i ideologicznym, ale przede wszystkim w sensie społeczno-gospodarczym. Robotnicy zachodnio-niemieccy minęli dawno linię demarkacyjną oddzielającą rewolucję komunistyczną od rewolucji kapitalistycznej. Podobnie jak robotnicy brytyjscy, chcą większego udziału w zyskach i w zarządzie przedsiębiorstw — rozumiejąc przez socjalizm inną metodę zarządu i podziału zysków w ramach gospodarki kapitalistycznej.

„The Guardian” zamieścił niedawno fotografię przedstawiającą niekończące się sznury samochodów wokół jednego z publicznych gmachów na przedmieściach Londynu. To nie był kongres milionerów. To były tylko obrady strajkujących robotników przemysłu stalowego.

Jak się zarabia 20 (lub więcej) funtów tygodniowo, jak się ma samochód, własny dom, i wszystkie inne parafernalia nowoczesnego komfortu — wówczas fakt, że pewna płynna mniejszość społeczna zarabia 200 (lub więcej) funtów tygodniowo nie budzi rewolucyjnego wrzenia. Bo to nie jest przepaść pomiędzy nędzą a bogactwem a tylko różne stopnie powszechnej zamożności. Nie wszyscy robotnicy na Zachodzie mają domy, telewizory i samochody. Ale ton klasie robotniczej nadają ci co je mają.

Warunkiem wstępnym sukcesu rewolucji jest zespół warunków społeczno-gospodarczych, które Engels określał mianem „sytuacji rewolucyjnej”. Sytuacja rewolucyjna istniała w Niemczech w 1918 roku, ale dziś nie istnieje. Sytuacja rewolucyjna mogłaby powstać albo w konsekwencji powszechnego załamania się i kryzysu gospodarczego — na co zupełnie się nie zanosz — albo w konsekwencji wojny. Jeżeli nie będzie wojny, to pod koniec bieżącego stulecia zjednoczona Europa Zachodnia będzie trzecią (a może drugą?) potęgą przemysłową świata.

Obserwujemy charakterystyczną dwutorowość polityki sowieckiej. Z jednej strony Rosja Sowiecka jest normalnym mocarstwem, uprawiającym konwencjonalną mocarstwową politykę, z drugiej strony Moskwa pretenduje do roli stolicy „światowej rewolucji”.

Polityka „stolicy rewolucji” określona jest teorią marksizmu, zawartą w pismach Marksa, Engelsa i Lenina. Polityka mocarstwowa Związku Sowieckiego jest wypadkową dwóch czynników: stopnia rozwoju przemysłowego ZSSR oraz każdorazowej oceny sytuacji międzynarodowej.

Był czas że Związek Sowiecki był rewolucyjnym żołnierskim obozem. Nie było mocarstwa — była tylko rewolucja. Ale dziś Związek Sowiecki jest wysoko uprzemysłowanym mocarstwem i ma nie tylko wiele do zyskania, lecz również niezmiernie wiele do stracenia. Logika interesów mocarstwowych zaczyna dominować w polityce sowieckiej. Interesy mocarstwowe a nie różnice ideologiczne stanowią treść sporu pomiędzy Pekinem a Moskwą.

W ramach dwutorowej polityki — tzn. mocarstwowej i ideologicznej — pewne kardynalne postulaty Rosji jako mocarstwa są nie do rozwiązania. Nie do rozwiązania jest przede wszystkim problem Niemiec.

Osobiście jestem przekonany, że wielu marksistów rosyjskich i polskich zdaje sobie sprawę, że Europie zachodniej komunizm można by narzucić tylko siłą. Jeżeli rezygnuje się z siły, rezygnuje się z rewolucji. Marksziści nie docenili zdolności ewo-



lucyjnych kapitalizmu, z tym że owe cechy charakteryzują nie kapitalizm w ogólności ale kapitalizm zachodnio-europejski i amerykański.

Kapitalizm polski jest pustym dźwiękiem, natomiast kapitalizm anglosaski jest systemem gospodarczo-socjalnym, wypracowanym przez pokolenia, w którym ujęta jest suma doświadczeń dwóch największych w dziejach rewolucji przemysłowych to jest: angielskiej i amerykańskiej.

Większość robotników na Zachodzie godzi się z systemem anglosaskim pod trzema warunkami: wysokie płace, wysoka stopa życiowa, niekwestionowane prawo do strajku. Ten system zapewnił klasie robotniczej krajów anglosaskich dobrobyt i potęgę z jakich nie korzysta żadna inna klasa robotnicza w świecie. Tylko ignorant może ludzi się, że robotnicy krajów anglosaskich podejmą dobrowolnie program rewolucji komunistycznej. Robotnicy nie chcą zmiany systemu — chcą mieć tylko większy udział w zyskach i w zarządzie systemu. I mają po temu daleko większe możliwości niż robotnicy w krajach „demokracji ludowej”, pozbawieni prawa do strajku. Prawa do strajku nie można wymienić na żaden miraż, nawet na „dyktaturę proletariatu”. Tam gdzie kończy się prawo do strajku — kończą się wszystkie prawa robotnicze. Robotnik jest bezbronny wobec super-monopolisty, państwa zarządzanego przez klasę biurokratów.

Marksieści, którzy rezygnują z użycia siły a równocześnie głoszą, że rewolucja komunistyczna w krajach Zachodu jest nieuchronna — przypominają do złudzenia kancl. Adenauera, który nie rezygnując z ziem nad Odrą i Nysą zapewnia równocześnie, że nie użyje nigdy siły aby je odzyskać.

Co stanowi źródło „zimnej wojny”? Źródłem zimnej wojny jest teoretyczno-ideologiczny postulat rewolucji światowej, który jest dziś patetycznym frazesem, oderwanym od rzeczywistości. Moskwa nie jest już dziś stolicą rewolucji. Związek Sowiecki nie poświęci swych mocarstwowych interesów na ołtarzu ideologii. W interesie rewolucji należałoby podjąć wojnę, lecz wojna nie leży w interesie Rosji jako mocarstwa.

Podtrzymywanie niewykonalnego postulatu rewolucji światowej, zapewnianie przy każdej okazji dygnitarzy amerykańskich, że ich wnuki będą komunistami — stwarza po drugiej stronie barykady poczucie zagrożenia ze strony „światowego spisku komunistycznego”.

Im bardziej Związek Sowiecki przekształca się w nowoczesne, wysoko uprzemysłowane mocarstwo, tym mniej „zimna wojna” leży w jego interesie. W płaszczyźnie „zimno-wojennej” problem Niemiec jest nie do rozwiązania. Z punktu widzenia Moskwy „traktat pokojowy” z Ulbrichtem nie jest żadnym rozwiązaniem. To jest rozwiązanie, które niczego nie rozwiązuje.

Problem Niemiec oceniany w kontekście mocarstwowej polityki Związku Sowieckiego sprowadza się do sojuszu niemiecko-amerykańskiego. To jest Rapallo *à rebours*. Z wszystkich moż-

liwych układów politycznych — układ, z punktu widzenia Moskwy, najfatalniejszy. Naczelnym postulatem mocarstwowej polityki sowieckiej musi być rozluźnienie tego sojuszu. Sądzę, że gdy w roku 1952 Stalin sugerował Niemcom zjednoczenie za cenę neutralności — chciał uniknąć Rapallo *à rebours*.

Konserwatywne i dogmatyczne podtrzymywanie mitu rewolucji światowej, mitu, którego Związek Sowiecki nie jest już gotów realizować siłą — w praktyce umożliwi Niemcom maksymalną rozbudowę Bundeswehry, co w konsekwencji przemieni Federalną Republikę w dominujące mocarstwo w koncercie zachodnio-europejskim. Rozwój po tej linii doprowadzi z czasem do jeszcze większego zbliżenia pomiędzy Bonn a Waszyngtonem. Sojusz niemiecko-amerykański, rozbudowany do maksimum swoich możliwości, stanowi niewątpliwie najgroźniejszą koalicję jaką można zmontować w drugiej połowie dwudziestego wieku.

Rosja Sowiecka swą mitologią rewolucji światowej wydołała Niemcy z dna klęski i izolacji — niszcząc w znacznej mierze owoce własnego zwycięstwa. Sowiety czują się zagrożone i słusznie, bo bitwa pod Stalingradem miałyby inny przebieg gdyby Amerykanie byli sojusznikami Niemiec.

Ale to nie jest jeszcze cała *story*. Doświadczenia, jakie zdobyła Europa i Ameryka w walce z Hitlerem, obracają się bezpośrednio przeciwko Rosji. Owa *integration* zachodniej Europy w sferze gospodarczej, wojskowej i politycznej dokonuje się pod ciśnieniem groźby Sowietów. To Sowiety wywiodły Anglię ze *splendid isolation* i wprowadziły ją do „wspólnego rynku”.

W perspektywie sowieckiej groźba sojuszu niemiecko-amerykańskiego polega na tym, że im Niemcy będą potężniejsze tym Amerykanie będą skłonni pójść dalej, by ich zatrzymać w ramach zachodniego świata. Jeżeli do tego będą zmuszeni rozwojem sytuacji, Amerykanie uczynią wiele, by ewentualność „odwróceniu sojuszków” była dla Niemców jak najmniej ponętną.

W mojej opinii zbliża się chwila, kiedy Związek Sowiecki będzie musiał wybrać: — albo odcięcie się od mitu rewolucji światowej, albo realne ryzyko wojny przeciw najpotężniejszej koalicji mocarstw jaka kiedykolwiek istniała w dziejach.

Wojna z całą pewnością nie leży w interesie Rosji jako mocarstwa. Być może natomiast, że wojna leży w interesie rewolucji. Ale przywódcami tej „poatomowej” rewolucji byłiby Chińczycy, którzy stracić mogą bezkarnie trzysta milionów ludzi — a nie Rosjanie.

Dopóki Rosja Sowiecka podtrzymywał będzie postulat rewolucji światowej — dopóty trwać będzie „zimna wojna”. Z kolei dopóki trwa „zimna wojna” — koalicja niemiecko-amerykańska jest nie do rozbicia.

Rosja Sowiecka ma wszystkie niemieckie atuty w ręce ale nie ma możliwości by je rozegrać. Nie jest wykluczone, że można by powoli wykupić Niemcy z NATO oferując im zjednoczenie



na warunkach Bonn i polskie ziemie zachodnie. Ale taki krok równałby się nie tylko rezygnacji z mitu rewolucji światowej, ale zagroziłby komunizmowi wewnątrz bloku wschodniego.

Byłoby szaleństwem gdyby Rosjanie poświęcili swoje mocarstwo, które dźwignęli do rangi potęgi światowej, dla fantastycznego mitu i związanej z nim „globomanii” (opanowanie globu). Jeżeli obiorą ten kurs to okaże się, że rysownicy amerykańscy przedstawiający Chruszczowa jako dotkniętego obłędem Hitlera — mieli rację.

Osobiście w to nie wierzę. Sądę natomiast, że Rosjanie — wcześniej lub później dojdą do przekonania, że problem niemiecki jest nie do rozwiązania w ramach „zimnej wojny” i że dlatego „zimną wojnę” należy zlikwidować.

Likwidacja „zimnej wojny” wymagałaby dalszego oddogmatyzowania teorii marksistowskiej. Trzeba by teorię przyciąć do faktów. Marksści musieliby przyjąć pogląd, że komunizm nie jest ani historycznie „nieuchronny”, ani nie stanowi recepty rozwojowej dla wszystkich społeczeństw. W konsekwencji, marksści musieliby przyjąć pluralistyczny pogląd i porzucić dogmat o antagonistycznych sprzecznościach pomiędzy społeczeństwami kapitalistycznymi a komunistycznymi.

W gruncie rzeczy nie ma żadnych sprzeczności antagonistycznych pomiędzy Ameryką a Rosją Sowiecką. Problem sprowadza się tylko do jednego punktu: mianowicie Sowiety dążą do skomunizowania całego globu, a Stany Zjednoczone są dostatecznie potężne, by się temu przeciwstawić. Pomiedzy obu systemami istniałaby sprzeczność antagonistyczna wówczas gdyby Amerykanie dążyli do narzucenia systemu kapitalistycznego całemu światu. Ale Amerykanie są jak najdalsi od kapitalistycznego uniwersalizmu. Są zwolennikami pluralistycznej międzynarodowej społeczności i gotowi są współżyć zarówno z komunistycznymi jak i nie komunistycznymi państwami.

Z powyższego wynika jasno, że likwidacja „zimnej wojny” zależy wyłącznie od Związku Sowieckiego. Likwidacja „zimnej wojny” to nie jest ani odprężenie, ani złagodzenie propagandy, ani nawet zmiana polityki. Likwidacja „zimnej wojny” musiałaby oznaczać *rewizję doktryny*. Zmiana polityki bez rewizji doktryny byłaby tylko manewrem taktycznym.

Nie jestem marksistą i nie mogę stwierdzić autorytatywnie czy likwidacja „zimnej wojny” jest propozycją realną. Nie ulega natomiast dla mnie wątpliwości, że jeżeli „zimna wojna” nie zostanie zlikwidowana, zakończy się katastrofą.

Motyw przewodni rozwoju sytuacji jest coraz bardziej widoczny. Obie strony mówią o pokoju i rozbrojeniu, przygotowując się gorączkowo do wojny. Budżety zbrojeniowe rosną z każdym rokiem. Ograniczenia w zbrojeniu Niemiec topnieją z każdym miesiącem. Różnice między Moskwą a Pekinem pogłębiają się — natomiast różnice pomiędzy Waszyngtonem a Europą zachodnią, a w szczególności Niemcami, maleją. Gigantyczne zbro-

jenia i program „przestrzeni kosmicznej” zapewniają Ameryce na czas nieograniczony niski procent bezrobotnych i koniunkturę gospodarczą.

W Ameryce i w Niemczech w psychice szerokich mas społecznych wokół słowa „komunizm” narasta otoczka irracjonalnej nienawiści, jak niegdyś wokół słowa „hitleryzm”. To jest efekt nie tylko obiektywnego poczucia zagrożenia ale i wieloletniego uwarunkowania. W pewnym momencie może być za późno na stłumienie tego procesu.

Związek Sowiecki nie jest w dobrych stosunkach z Chinami i ma złe stosunki z Ameryką, z Federalną Republiką Niemiec, z Wielką Brytanią i z Francją. Amerykańsko-niemieckiej koalicji Rosja nie zdzierzy. Tej kombinacji nikt nie zdzierzy.

Gdyby Sowiety poddały rewizji swą ideologię i dopasowały ją do wymogów prawdziwej polityki koegzystencji — wówczas byłby możliwy ideologiczny „pakt nieagresji” pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem. Dopasowanie doktryny marksistowskiej do realnych faktów wzmocniłoby Związek Sowiecki, gdyż skończyłby się okres dwutorowości polityki sowieckiej co stanowi główne i zasadnicze źródło nieufności do Moskwy.

Oś Waszyngton-Bonn można rozluźnić tylko od strony Waszyngtonu. Gdyby doszło do rzetelnego odprężenia pomiędzy Sowietami a Ameryką, Niemcy zmalowałyby tego samego dnia. Amerykanie nie są zainteresowani ani Królewcem ani Wrocławiem. Amerykanie potrzebują tylko w tej chwili antykomunistycznego żołnierza. Gdyby ta potrzeba odpadła, Amerykanie byliby pierwsi za nałożeniem tłumika na rewizjonizm niemiecki.

Niemcy bez aktywnego poparcia Ameryki przestałyby być problemem. Niemcy wojskowy sojusznik Ameryki są problemem Nr 1.

Jeżeli wybuchnie kiedyś trzecia wojna światowa kędzie to oznaczało, że ów najdziwniejszy naród świata, Rosjanie, poświęcili nowoczesne mocarstwo dla staroświeckiej, dziewiętnastowiecznej fikcji.

Juliusz MIEROSZEWSKI

## Europa

Mimo niedostatecznego dystansu czasu i mimo skróconej optyki, gdyż żyjemy wszyscy w środku wydarzeń, można zaryzykować tezę, że rok 1961 przejdzie do historii, jako przełomowy. W ciągu tego roku Rosja Sowiecka odniosła olbrzymi sukces psychologiczny, o niedocenionych jeszcze następstwach, odcinając hermetycznie Berlin Wschodni od Zachodniego, bez żadnej reak-



cji ze strony wolnego świata. W tym samym roku dyplomacji sowieckiej udało się doprowadzić do bezpośredniego dialogu z dyplomacją amerykańską, a nawet z prezydentem Stanów Zjednoczonych. W ten sposób uwieńczony został powodzeniem długoletni, bo jeszcze za życia Stalina przedsięwzięty, wysiłek wejścia na drogę mającą w założeniach Kremla doprowadzić do bezpośredniego układu sowiecko-amerykańskiego. Powodzenie jest tym większe, że rozmowy Gromyko-Kennedy w lipcu i w sierpniu tego roku zaangażowały osobiście prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nie było równoległych spotkań Chruszczowa z amerykańskim sekretarzem stanu, lub choćby tylko z ambasadorem w Moskwie. Szef polityki sowieckiej zachował całkowitą swobodę ruchów, zmuszając przeciwnika do ujawnienia niektórych warunków przyszłego kompromisu, zanim doszło do jakiegokolwiek negocjacji oficjalnej. Jednocześnie, w tym samym, kryzysowym, roku, zarysowały się granice presji, których Rosja Sowiecka nie zamierza i nie może przekroczyć. I wreszcie, odbył się w tym roku XXII kongres sowieckiej partii komunistycznej.

Mimo niekwestionowanych przez nikogo sukcesów polityki sowieckiej daleko jest jeszcze do rozstrzygnięcia wielkiej gry.

Punktem wyjściowym każdego rozumowania, mającego doprowadzić do koncepcji politycznej Zachodu, powinno być uwolnienie się spod szantażu nuklearnego, a raczej spod nuklearnej obsesji. Fenomenalny talent manewrowania, jaki cechuje dyplomację sowiecką, wykorzystującą każdy słaby punkt i każde potknięcie się Zachodu, ale, jednocześnie, nie wahającą się przed odskokiem w tył, gdy zachodzi niebezpieczeństwo starcia na odcinku zbyt ważnym dla Zachodu, na tyle ważnym, że mogącym spowodować przyjęcie wyzwania, dowodzi że Sowiety, ciągle do wojny się przygotowując, wcale nie są zdecydowane jej wywołać. I to nie tylko dlatego, że uważają dotychczasowe metody wojny zimnej za skuteczniejsze i mniej kosztowne, ale i chyba przede wszystkim dlatego, że wcale nie są pewne ostatecznego zwycięstwa. W okresie napięcia sierpniowego i wrześniowego wyspecjalizowane periodyki, jak np. „U.S. News and World Report”, a w ślad za nią prasa codzienna, zajmowały się porównaniem arsenałów wojennych dwóch stron, wykazując, że Stany Zjednoczone kompensują niewielką przewagę sowiecką w zakresie pocisków międzyłądowych pod każdym względem, a przede wszystkim w zakresie ilości bomb nuklearnych i mających im służyć środków transportowych, na lądach, w powietrzu i na morzach. Nie jest naszym zamiarem odświeżanie pamięci czytelnika powtarzaniem tego apokaliptycznego rejestru. Wystarczy stwierdzić, że, zdaniem ekspertów, Stany Zjednoczone byłyby zdolne, w razie wojny nuklearnej, użyć w ciągu pierwszych 24 godzin równowartość 16 miliardów TNT (nieco poniżej połowy posiadanego przez nie stoku) czyli siłę niszczącą, przewyższającą 4.000 razy siłę wszystkich bomb, zrzuconych w czasie ostatniej wojny. Gdyby przyjąć, że w tym obliczeniu jest domieszka propagandy

i że możliwości amerykańskie są o połowę mniejsze, oraz że tylko 10% tej siły niszczącej potrafiłoby przebić się poprzez obronę sowiecką i spełnić zadanie, to jeszcze siła niszcząca, którą Stany Zjednoczone potrafiłyby rzucić na wyznaczone cele, przewyższałaby 200-400 razy siłę wszystkich bomb, użytych w ciągu przeszło 4 lat drugiej wojny światowej. — W tych warunkach takie słowo, jak „zwycięstwo” traci wszelki sens. Sowiety nie zapłacą za zawładnięcie Berlinem wystawieniem na zniszczenie trzydziestu wielkich miast i wielkich ośrodków przemysłowych swego kraju. Nie zapłaciłby tej ceny nawet za opanowanie Niemiec. Zwycięstwo, odniesione kosztem zamiany własnego kraju na kupę zradioaktywizowanych gruzów, po to, aby zdobyć inną kupę zradioaktywizowanych gruzów, przestaje być interesujące. Chruszczow, a chyba i jego następcy, jak tego dowodzi ostrożność polityki sowieckiej w przeszłości, nawet w despotycznej przeszłości okresu stalinowskiego, mogą posunąć bluff aż do progu wojny, ale jest wątpliwe aby go posunęli dalej. Mowa, oczywiście, o tych obszarach, na których znajdują się pozycje, o zasadniczym znaczeniu dla systemu obronnego świata zachodniego, to znaczy o obszarach, objętych sojuszem atlantyckim, a w szczególności o froncie środkowo-europejskim. Mogą jeszcze wybuchnąć wojny peryferyjne na obszarach odległych od żywotnych ośrodków Zachodu, dokąd obie strony będą rzucały odtwarzane obecnie we wszystkich głównych krajach siły manewrowe o klasycznym uzbrojeniu, gdyż na tych obszarach, w razie osiągnięcia impasu, można się zawsze dogadać na podstawie „zachowania czoła”, to znaczy przez podział spornego terenu wzdłuż jakiegoś równoleżnika, lub biegu jakiejś rzeki. Na froncie europejskim, zwłaszcza w jego środkowej części, może dojść, w najgorszym wypadku, do zbrojnego starcia o zadaniach rozpoznawczych przy użyciu broni klasycznych. Z chwilą, gdy napastnik przekona się, że napadnięty gotów jest przyjąć wyzwanie, znajdzie się sposób na przerwanie rozpoznania i powrót na pozycje wyjściowe. Depesza emska odegrała rolę prowokacji tylko dlatego, że strona, posiadająca inicjatywę, zdecydowała się w pewnej chwili dziejowej na wojnę, jako na najlepszy środek zrealizowania określonego zamiaru politycznego. W naszej epoce, gdy Chruszczow zaczyna zdejmować buty i bić w stół konferencyjny, każdy zdaje sobie sprawę, że chodzi o komedię irytacji, po której z łatwością może odegrać komedię dobrego humoru. W Europie, a zwłaszcza w jej środkowym obszarze, żaden bluff wojenny, realizowany środkami klasycznymi, nie może być doprowadzony do narażenia przeciwnika na klęskę wojskową. Z braku możliwości odwrotu, a więc manewrowania, zagrożony musiałby sięgnąć do broni rozstrzygającej. O tym Sowiety wiedzą, toteż przekonanie, że działają w pełnej świadomości, powinno być punktem wyjścia politycznej koncepcji Zachodu.

Zdaje się, że spośród odpowiedzialnych przywódców trzech głównych państw zachodnich tylko de Gaulle wyprowadza swą



politykę z proponowanego wyżej punktu wyjścia. Jego zdaniem, gdyby Sowiety pragnęły wojny i były na nią zdecydowane, to już by ją rozpoczęły, zamiast tracić czas na rokowania i pozwalać przeciwnikowi, zmobilizowanemu pogrózkami, na odrobienie zaniedbań i wzmocnienie potencjału wojennego. Negocjacji nie należy rozpoczynać pod wpływem pogrózek, gdyż może ona doprowadzić, od ustępstwa do ustępstwa, do takiej sytuacji, w której już nie będzie innego wyboru, jak wojna obronna, przyjęta w najgorszych warunkach, albo kapitulacja. Ponieważ to Sowiety zamierzają poddać rewizji *status quo* w Berlinie i uzyskać zgodę trzech państw, okupujących Berlin Zachodni, na podpisanie traktatu pokojowego z dwoma państwami niemieckimi i na uznanie w ten sposób Niemiec Wschodnich, do nich należy wystąpienie z inicjatywą. De Gaulle nie odrzuca ewentualności negocjacji, ale dopuszcza ją dopiero w chwili, gdy Sowiety wyrzekną się pogrózek i wystąpią z konkretnymi propozycjami. Jest zdecydowanym przeciwnikiem wszelkich sondaży i rozmów, w których Sowiety uzyskują cenne wskazówki na temat warunków kompromisu przed rozpoczęciem rokowań.

Jakby zaczynając sobie zdawać sprawę z tego, o co chodzi i jakby z lęku, aby za jednym posunięciem nie potłuc całej porcelany, dyplomacja anglosaska zdaje się zmierzać do ograniczenia przyszłej negocjacji ściśle do sprawy rewizji statutu Berlina i zabezpieczenia prowadzących do miasta dróg dla użytku transportów sojuszniczych. Jest to propozycja, nie przedstawiająca dla Sowietów żadnego interesu, gdyż osiągnęły one w tym punkcie geograficznym swoje istotne cele. Od dnia 13 sierpnia Berlin przestał być tym, czym był, to znaczy zagadnieniem a stał się jednym z narzędzi, prowadzących, jeżeli nie do natychmiastowego wyłuskania Republiki Federalnej z paktu atlantyckiego, to do popchnięcia jej na tę drogę w przyszłości przez podpisanie traktatu pokojowego Moskwy z Niemcami Wschodnimi i zmuszenie Anglosasów do pogodzenia się z tym stanem rzeczy i zmanifestowania w ten sposób ich bezsilności i niezdolności do przeprowadzenia zjednoczenia Niemiec.

De Gaulle przeciwstawia się także projektowi negocjacji, ograniczonej do sprawy Berlina. Ponieważ każda negocjacja, rozpoczęta z pozycji sowieckich, musi się zakończyć kompromisem, a więc ustępstwami partnerów zachodnich, musi ona, zdaniem szefa państwa francuskiego, prowadzić do rozczarowania Niemców i mogących stąd wyniknąć groźnych dla Zachodu następstw. Dopuszcza on możliwość negocjacji, ale dopiero wtedy, gdy Sowiety zaniechają pogrózek, jako metody skłonienia Zachodu do rozmów i do ustępstw. Tematem przyszłej negocjacji, odbytej na chłodno, powinna być całość spraw spornych, jeżeli nie od razu w skali światowej, to przynajmniej w skali europejskiej. Tylko w takim kontekście można znaleźć, jego zdaniem, pomyślne rozwiązanie problemu niemieckiego, a zatem i europejskiego. Odrzucenie tego kontekstu przez Rosję

przesunie na nią dalszą odpowiedzialność za utrzymanie podziału Niemiec i uzasadni potrzebę solidarności politycznej Republiki Federalnej z Zachodem, przyczyniając się w ten sposób do stworzenia Europy politycznej.

Do takiej negocjacji Anglosasi nie są gotowi, a polityka brytyjska odnosi się do niej bez entuzjazmu, oddziaływać więc będzie raczej jako hamulec na ewentualne inicjatywy Waszyngtonu. Empiryzm i pragmatyzm angielski zakładają rozwiązywanie trudności w miarę jak one się zarysowują i tylko w ramach trudności, jako takiej, bez zastanawiania się nad jej reperkusjami i jej miejscem w ramach całości polityki państwa. Umysł angielski skłonny jest do traktowania szerokich koncepcji, jako czegoś w rodzaju szarlatanizmu intelektualnego. Nie mało z tego sposobu myślenia odziedziczyła staroangielska elita Bostonu, nadająca ton amerykańskiemu intelektualizmowi. Jest faktem, że dyplomacja amerykańska nie tylko nie zdobyła się w okresie powojennym na wyprzedzenie inicjatyw sowieckich, ale nawet nie zdobyła się na przeciwstawienie im inicjatyw własnych, zmierzających do rozwiązania bądź całości spraw spornych z Sowietami w ramach światowych, bądź ich najważniejszego, europejskiego odcinka. Przeciętny Europejczyk, z emigrantem polskim włącznie, posiada zupełne zaufanie do dyplomacji amerykańskiej gdy ta zapewnia, że dąży do utrzymania pokoju. Nie znajduje jednak odpowiedzi na pytanie: „za jaką cenę?”. „Czy nawet za cenę kapitulacji?”. Antykolonialistyczna Ameryka pozwoliła Sowietom zdystansować się o wiele długości na polu antykolonializmu, nie zdobywszy się nigdy, poza odruchami propagandowymi, na postawienia na porządku dziennym zagadnienia kolonializmu sowieckiego, jako sprawy politycznej domagającej się rozwiązania. Wiadomo, że w dążeniu do zachowania pacyfistycznej reputacji polityka amerykańska unika w stosunkach z Rosją naruszenia istniejącego stanu legalnego, zwłaszcza w tym zakresie, w jakim go współtworzyła, kładąc swoje podpisy na zasadniczych dokumentach. Ale w niektórych sprawach europejskich, jak na przykład w sprawie państw bałtyckich, Ameryka nie powzięła żadnych zobowiązań prawnych, choćby dlatego, że Sowietom nie przyszło do głowy albo nie uważały za potrzebne o takie zobowiązanie się ubiegać. Gdzie się podziały trzy państwa bałtyckie, których zniknięcie z karty Europy nie zostało usankcjonowane żadną normą prawa międzynarodowego i których przedstawiciele na Zachodzie korzystają ciągle z przywilejów dyplomatycznych, jako właściwi reprezentanci istniejących legalnie państw? Pod traktatem jałtańskim, traktowanym przez nas jako nielegalny, gdyż był zawarty bez naszego udziału i bez potwierdzenia przez naród polski, widnieje wprawdzie podpis amerykański, ale Rosja nie dotrzymała, między innymi, jednego z zasadniczych postanowień tego traktatu, a mianowicie — postanowienia o wolnych wyborach. Kiedyż to upomni się dyplomacja amerykańska o



uszczepienie jej podpisu na jednym z najważniejszych dokumentów międzynarodowych? Pomimo straszliwej i nieludzkiej wojny, jaka ich zamieniła w śmiertelnych wrogów, Niemcy i Rosja dochowały sobie wiernie lojalności w zakresie zobowiązań, które wzięły na siebie na podstawie paktu Ribbentrop-Mołotow w sprawie polskiej: bez względu na to, jak w ciągu wojny kształtowały się ich stosunki jedni i drudzy prowadzili jednocześnie śmiertelną walkę z narodem polskim. Chwilami odnosi się wrażenie, że w sprawie polskiej Ameryka bardziej dąży do dochowania lojalności wobec Sowietów, niż do poszanowania własnych zobowiązań. W każdym razie, poza wystąpieniami propagandowymi w okresach wyborczych, polityka amerykańska nie zdobyła się do tej pory na zaproponowanie sprawy narodów ujarzmionych przez Rosję, jako jednego z tematów przyszłej negocjacji. Na podstawie lekkiej aluzji w przemówieniu prezydenta Kennedy, po jego spotkaniu z Chruszczowem w Wiedniu, wolno się domyślać, że problem ten został nieśmiało poruszony i natychmiast zarzucony wobec reakcji sowieckiego rozmówcy. Co innego jednak aluzja, choćby podyktowana najlepszymi chęćmi, a co innego oficjalne postawienie problemu i wprowadzenie go do programu przyszłej negocjacji. Oczywiście, postawienie zagadnienia kolonializmu sowieckiego na porządku dziennym polityki amerykańskiej nie obudziłoby w Polsce, ani gdzie indziej nadmiernych złudzeń, ale śmiało podtrzymywanie tego zagadnienia nadałoby polityce amerykańskiej jakąś treść, zmuszając najprawdopodobniej Sowiety do wstrzemięźliwości w zakresie Berlina i problemu Niemiec. Ameryka odrzuciła projekt Rapackiego neutralizacji atomowej obydwóch państw niemieckich, Polski i Czechosłowacji, ale nie skorzystała z okazji, aby zaproponować rozszerzenie tego projektu całkowitą neutralizację polityczną i wojskową tego obszaru Europy Środkowo-Wschodniej, zaokrąglonego przynajmniej o Węgry. Obecnie Ameryka odrzuca wszelkie pomysły neutralistyczne, głównie z lęku o utratę Niemiec Zachodnich, ale jednocześnie deklaruje, zanim doszło do negocjacji, gotowość nieuzbrajania Niemiec Zachodnich w broń atomową, jakby ta obietnica, złożona Sowietom za darmo, nie była równoznaczna z częściową neutralizacją.

Nic dziwnego, że prezydent Republiki Francuskiej, z właściwą Francuzom skłonnością do butady, już kilka razy wspominał w rozmowach prywatnych, że nie zamierza przyłożyć ręki do nowej Jałty. Jeżeli de Gaulle wytrwa na swoim kategorycznym stanowisku, a nie ma powodu, aby je zmienił o ile utrzyma się jeszcze czas dłuższy u władzy, dyplomacja angielska stanie wobec alternatywy: negocjować z Sowietami bez Francji, a więc bez udziału i zobowiązań Europy, czy też pójść za de Gaulle'm. Paradoksalnie, ale i realnie, o wyborze drogi zadecyduje Chruszczow. Jeżeli zastosuje taktykę uśmiechów i pojednawczości w drobiazgach, rozdziewki w obozie zachodnim ulegną dalszemu pogłębieniu. Jeżeli potrząśnie znów groźbą

nowego wybuchu doświadczalnego, tym razem o sile, na przykład, 100 megatonów, postawa dyplomacji amerykańskiej zbliży się do stanowiska Francji. Ale i w tej perspektywie polityka sowiecka będzie miała niejedną drogę przed sobą. Może znakomicie przewlekać decyzje jeszcze przez dłuższy czas, jak do tej pory. Może zawiesić pogroźki i wystąpić z konkretnym projektem negocjacji, zmuszając w ten sposób swych przeciwników do wypracowania wspólnej postawy na łapu capu, jak to przeważnie bywało w przeszłości. Może wreszcie stworzyć fakt dokonany i podpisać traktat pokojowy z Niemcami, zapraszając trzy państwa zachodnie do negocjacji po fakcie. W tym ostatnim wypadku natężenie kryzysu w stosunkach między Wschodem i Zachodem osiągnęłoby punkt kulminacyjny, ale rozładowanie napięcia byłoby jeszcze możliwe. Dyplomacja sowiecka zaproponowałaby prawdopodobnie Zachodowi ciche pogodzenie się z nowym stanem rzeczy, nie żądając, chwilowo przynajmniej, uznania formalnego. Mina pod sojusz atlantycki byłaby jednak założona, choć w razie bez zapalnika, konsolidacja Europy stanęłaby pod znakiem zapytania. W każdym wypadku, przed, czy po zawarciu pokoju pomiędzy Rosją a państwem Ulbrichta, jakaś negocjacja dojdzie do skutku. Narzuca się pytanie, czy trzej Partnerzy zachodni przyjdą na salę konferencyjną po to, aby się ustosunkowywać do propozycji sowieckich i uzgadniać swe stanowisko w pośpiechu, niemal na oczach przeciwnika, czy też potrafią przeciwstawić swemu wschodniemu partnerowi koncepcję wspólną, obejmującą całość zagadnień spornych, przynajmniej na obszarze europejskim. Na razie wiadomo tylko, że Zachód i Sowiety zgodnie, choć z różnych powodów, odrzucają ideę pasa neutralnego w Europie Środkowo-Wschodniej. Koncepcji pozytywnej nie widać i nie ma pewności, że ktoś nad nią pracuje. Nawet stanowisko de Gaulle'a, najlepiej orientującego się w grze sowieckiej, nie jest wyraźnie, gdy chodzi o wizję przyszłości w stosunkach z komunistycznym wschodem. Kilka razy, mówiąc o Europie, posuwał jej granice aż do Uralu. Trudno dociec, ile jest w tym ujęciu wrodzonej prawie każdemu Francuzowi nostalgii za sojuszem z Rosją, oczywiście z „dobrą” Rosją, a ile romantycznych złudzeń. Twarda rzeczywistość mówi, że nie ma miejsca na Europę od Gibraltaru do Uralu ze stolicą w Paryżu, Londynie, lub Brukseli. Jest natomiast miejsce na Europę od Uralu do Gibraltaru ze stolicą w Moskwie. Można przypuszczać, że dążeniem dyplomacji francuskiej w przyszłej negocjacji będzie obrona Europy w celu zdobycia czasu, niezbędnego dla jej konsolidacji. W tym dążeniu Francja może się spodziewać poparcia ze strony Ameryki. Nie ulega bowiem wątpliwości, że jeżeli problem niemiecki osiągnął obecne napięcie, to dlatego, że od sposobu, w jaki zostanie rozwiązany, zależą losy Europy, a, w dalszej przyszłości, także Ameryki.

Od kilku lat slogan o gospodarczym cudzie niemieckim ustąpił miejsca sloganowi o gospodarczym cudzie europejskim.



Proces zjednoczenia Europy zaczął się bowiem od strony najrealniejszej, bo od strony wspólnych interesów gospodarczych. Pokrewieństwa filozoficzne, kulturalne, ideologiczne i językowe, przeszłość historyczna, coraz widoczniejsza wspólnota interesów politycznych, nie pozwoliły ani hrabiemu Coudenhove-Calergi, ani Briandowi, nie mówiąc o innych prekursorach, wpoić w umyśle idei europejskiej i wprowadzić jej na drogę realizacji. Doszło do tego dopiero w wyniku zagrożenia sowieckiego w latach pięćdziesiątych i pod wpływem niszczących perspektyw bezlitosnej walki konkurencyjnej, otwartych przez odrodzenie gospodarcze Niemiec. Nie obyło się bez ciężkich bólów porodowych, a i dziś jeszcze wiele energii poświęcać trzeba na pokonywanie trudności, których rozmiary idą w parze z ogromem zamierzonego dzieła. Najpierw obalony został przez parlament francuski projekt Europejskiej Wspólnoty Obronnej, przewidujący zbyt daleko posuniętą integrację wojskową, prowadzącą do zaniku armii narodowych. Na tak śmiały krok okazało się za wcześnie, gdyż nie istnieje jeszcze w umysłach ludzkich, poza wyjątkami, pojęcie ojczyzny europejskiej. Projekt ten został zastąpiony przez utworzenie Europejskiej Unii Politycznej o zadaniach raczej doradczo badawczych, pozbawionej organów wykonawczych, a zagadnienia wojenne w zakresie interesów wspólnych przeniesiono do sztabu i sekretariatu sojuszu atlantyckiego.

Krokiem przełomowym stało się podpisanie w roku 1954 traktatu rzymskiego, przewidującego otwarcie z dniem 1 stycznia 1959 roku Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, oraz utworzenie Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali (C.E.C.A.) mającej za sobą w tej chwili 7 lat istnienia i egzamin zdany na celująco. Sceptycy porównywali początkowo zarówno Wspólnotę Węgla i Stali, jak i Wspólnotę Gospodarczą z kartelem, przypominającym porozumienia grup kapitałowych w okresie rozkwitu gospodarki kapitalistycznej. Jeszcze niedawno przeciwnicy Wspólnoty Europejskiej zwięźdali tendencyjnie jej charakter do pojęcia, szerszego wprawdzie od kartelu, ale nie wykraczającego poza ramy unii celnej, mającej odgrodzić rynek zachodnio-europejski od konkurencji światowej systemem ceł zewnętrznych. Puszczanie w ruch olbrzymiej maszyny administracyjnej Wspólnoty, rozpoczęcie przez nią prac nad wprowadzeniem w życie postanowień traktatu rzymskiego o charakterze społecznym (stopniowe ujednoczenie ustawodawstwa społecznego, wyrównanie poziomu zarobków, swoboda osiedlania się i poruszania na całym obszarze Wspólnoty bez względu na granice państw, wchodzących w jej skład, stopniowa obniżka ceł wewnętrznych, prowadząca do zaniku granic gospodarczych, dążenie do zrównania zarobków kobiet z płacami mężczyzn itd., itd.) zorientowało świat, że nie chodzi o kartel ani nawet o unię celną, lecz o integrację, choćby powolną ale stałą i o jedyną w dziejach próbę przekształcenia wielonarodowego i wielojęzycznego obszaru,

podzielonego w ciągu wielu wieków różnicami politycznymi, w jedną, potężną całość, w zawiązek Europy.

Bodziec unifikacyjny, zawarty w C.E.C.A., oraz we Wspólnym Rynku, spowodował spotęgowanie rytmu rozwojowego gospodarki europejskiej w skali dotychczas na Zachodzie nieznaną i wytrzymującą porównanie chyba tylko z rewolucją przemysłową drugiej połowy XIX wieku. W okresie, kiedy bezpieczeństwo cywilizacji zachodniej zależy jeszcze od potęgi amerykańskiego puklerza nuklearnego, naprzeciw sowieckiego zagrożenia, powstała w ciągu kilku lat, potęga gospodarcza, której brak tylko uzbrojenia na miarę naszej epoki, aby zatrzymać imperializm komunistyczny na zachodnim kierunku jego ekspansji. Co więcej, Europa weszła na drogę, prowadzącą do odzyskania atrakcji, którą wywierała na świat przez długie wieki. Jeżeli będzie miała czas, aby dokonać swej misji, to ona właśnie zrealizuje ideał dobrobytu w wolności i w poszanowaniu godności jednostki. Jeszcze w początkach, a już stała się ośrodkiem przyciągania dla sąsiadów, bliższych i dalszych. Posiada wszystkie warunki, aby stać się ośrodkiem atrakcji także dla ludów, wyrosłych w zasięgu jej cywilizacyjnego promieniowania, a dziś odciętych od niej żelazną kurtyną. Stała się istotnym celem akcji ofensywnej Związku Sowieckiego.

Oczywiście, początki procesu unifikacyjnego, dokonywane na obszarze niesłychanie zróżnicowanym historycznie i politycznie, do niedawna podzielonym antagonizmami, które znalazły swój wyraz w dwóch wojnach światowych, złożonym z krajów, gospodarczo raczej konkurujących, nie może się odbywać bez zgrzytów i oporów, tym bardziej, że chodzi o koordynację sprzecznych nieraz interesów. W tym zespole, złożonym z Francji, Niemiec, Włoch, Belgii, Holandii i Luksemburga, o powodzeniu przedsięwzięcia decyduje porozumienie Francji i Niemiec. O ile w zakresie politycznym jest ono niemal całkowite, o tyle w zakresie gospodarczym docieranie może potrwać czas dłuższy. Niemcy, bardzo zadowolone z udostępnienia im, na skutek niższej ceł wewnętrznych, rynku francuskiego dla ich wyrobów przemysłowych, zwłaszcza samochodów, niebardzo się kwapią z otwarciem rynku własnego dla francuskich produktów rolnych, dążąc raczej do wykorzystania swoich olbrzymich możliwości nabywczych w tym zakresie dla ułatwienia zbytu własnych wyrobów przemysłowych na rynkach, nie należących do Wspólnoty. Konflikt na tym tle wszedł obecnie w stadium rokowań, mających wszystkie widoki pomyślnego wyniku wobec zagrożenia przez Francję odmową przejścia do następnego etapu Wspólnoty, mającego polegać na ponownej obniżce ceł wewnętrznych z dniem 1 stycznia 1962. Dążenie de Gaulle'a do oparcia na Wspólnocie Gospodarczej Europy Politycznej jako konfederacji sześciu państw, posiadających wspólny sekretariat polityczny, ale pozbawionych organu władzy nadrzędnej, spotykało się długo z oporem Holandii, lękającej się że Europa polityczna może



nastroić nieufnie Anglię i opóźnić jej przystąpienie. Na opóźnienie procesu scaleniowego wpływają w niemałym stopniu różnice doktrynalne. Wspólnota Węgla i Stali, pomyślana na zasadach integracji i stworzona przed dojściem de Gaulle'a do władzy, posiada organ kierowniczy ponadpaństwowy, którego znaczenie poważnie jednak osłabło od roku 1958/59. Rynek Wspólny podlega Komisji złożonej z ministrów reprezentowanych w nim państw, ale bez uprawnień ponadpaństwowych. Obecny układ odpowiada raczej koncepcji gaullistowskiej „Europy Ojczyzn”, w przeciwstawieniu do tendencji integralistycznej, zmierzającej do stworzenia „Ojczyzny europejskiej”. Idea Wspólnoty Węgla i Stali, oraz Wspólnoty Gospodarczej zwłaszcza tej ostatniej, spotkała się przed kilku laty z wrogim stosunkiem Anglii, która przeciwstawiła jej stworzony przez siebie, głównie z udziałem państw skandynawskich, luźny związek pod nazwą „Strefy Wolnej Wymiany”. Ta zaporą, sztucznie wzniesioną, nie wytrzymała dynamicznego naporu Wspólnoty i w końcu Anglia zdecydowała się zamknąć imperialną epokę swej historii i przystąpić do Europy. Koncepcja Europy Ojczyzn, nie wymagająca częściowego nawet wyrzeczenia się suwerenności, ułatwiła rządowi Zjednoczonego Królestwa tę doniosłą decyzję. W tej chwili odbywają się rokowania nad warunkami przyjęcia W. Brytanii do Wspólnoty. Nie będą one łatwe, ani szybkie. Przystąpienie W. Brytanii może mieć tylko wtedy jakiś sens, o ile będzie ono połączone z jej bezwarunkowym podporządkowaniem się postanowieniom traktatu rzymskiego w zakresie stopniowego zdążania do integracji systemów gospodarczych i społecznych i z jej rezygnacją z żądania dla państw Wspólnoty Brytyjskiej szerszych przywilejów, niż te z których korzystają francuskie państwa afrykańskie. Ciężar gatunkowy W. Brytanii, jej potęga przemysłowa i handlowa, oraz jej przeszłość polityczna, nie wywołują dla jej akcesu objawów entuzjazmu, zwłaszcza we Francji, choć także i w Niemczech. Nie wygasła jeszcze pamięć o tym, że polityka brytyjska miała w ciągu całego XIX i pierwszej połowy XX wieku bżiką równowagi na kontynencie europejskim, polegającej na wykorzystywaniu, często na podsyćaniu sprzeczności francusko-niemieckich po to, aby usprawiedliwić swą rolę „uczciwego maklera”. Istnieje lęk, czy polityka brytyjska, nie mogąc zapobiec od zewnątrz Wspólnemu Rynekowi, nie nosi się z zamiarem rozsadzenia go od wewnątrz. Pod warunkiem wyliczonych tutaj zastrzeżeń przystąpienie W. Brytanii do Wspólnego Rynku oceniane jest przez zachodnio-europejską opinię publiczną, jako wydarzenie obiektywnie pomyślne i korzystne dla obydwóch stron. Za rok, czy półtora, gdy przedstawiciele Zjednoczonego Królestwa zasiądą w organach kierowniczych Wspólnoty, rozpocznie się okres krytyczny. Od jego przebiegu będzie zależała konsolidacja i dalszy rozwój Europy, albo upadek wielkiej iluzji.

Decyzja W. Brytanii pociągnie za sobą innych członków

Strefy Wolnej Wymiany, oraz niektóre państwa, pozostające do ostatnich czasów poza zasięgiem obydwóch ugrupowań. Już jednak zaczyna się mówić i pisać o konieczności stworzenia Gospodarczej Wspólnoty Atlantyckiej, która miałaby objąć Europę, Stany Zjednoczone i Kanadę. Żadne teoretyczne rozważania nie podkreśliły w tym stopniu prawdy o współzależności gospodarczej świata, co powodzenie Wspólnego Rynku Europejskiego. Niebezpieczną stroną tego powodzenia pozostaje ewentualność rozwodnienia zdrowej idei na falach porozumień, zakrojonych na zbyt rozległą skalę. Raczej trudno wyobrazić sobie, aby Stany Zjednoczone i Kanada podpisały się kiedyś pod postanowieniami traktatu rzymskiego. Geniusz Europy potwierdzi się, jeżeli potrafi ona przekształcić się w jednolity organizm polityczno-gospodarczy i cywilizacyjny, może nawet obronny, spełniając jednocześnie swą rolę w szerokich ramach układu atlantyckiego.

W tych ramach będzie ona mogła, dzięki unifikacji wysiłków, wywrzeć większy, niż dotychczas wpływ na przyspieszenie rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego krajów młodych, rozpoczynających dopiero swą nowoczesną historię, jak np. zdekolonizowana Afryka, oraz przyłączyć się do wysiłku Ameryki Północnej, mającego na celu przyspieszenie rozwoju gospodarczego Ameryki Łacińskiej. W obydwóch tych dziedzinach świadczenia samej tylko Europy są już obecnie większe, niż Związku Sowieckiego i na ogół bardziej bezinteresowne. Francja wydaje na pomoc dla krajów afrykańskich proporcjonalnie do liczby mieszkańców tyle co Stany Zjednoczone, a w liczbach absolutnych zajmuje drugie po nich miejsce, choć w zrozumiłym dystansie. Koordynacja możliwości sześciu państw Wspólnego Rynku i W. Brytanii może doprowadzić do przekształcenia kontynentu afrykańskiego i południowo-amerykańskiego w organizmy zagospodarowane i uzdolnione do wymiany międzynarodowej. Minęła koncepcja polityki gospodarczej okresu kolonialnego polegająca na imporcie surowców z krajów niedorozwiniętych wzamian za eksport wyrobów przemysłowych. Przykład dynamiki wymiennej pomiędzy wysoko zagospodarowanymi krajami dwóch ugrupowań europejskich, oraz pomiędzy Europą, Stanami Zjednoczonymi i Kanadą dowodzi, że wymiana handlowa wybiera największe rozmiary pomiędzy krajami bogatymi i to nawet wtedy, gdy zainteresowane wymianą organizmy gospodarcze nie uzupełniają się wzajemnie, a nawet gdy należą, stosownie do klasycznych kryteriów, do systemów konkurencyjnych. Wiadomo, że największą ilość samochodów i maszyn kupują kraje, produkujące samochody i maszyny, bo tylko w tych krajach może istnieć zapotrzebowanie masowe, oraz towarowe środki płatnicze.

Nie doprowadzilibyśmy naszych rozważań do końca, gdybyśmy nie spojrzeli na rzeczywistość europejską poprzez pryzmat kilku zasadniczych cyfr, które pozwolą nam dojść do wnio-



sku, że stoimy nie wobec chimery, lecz potęgi w pełnym pocho-  
dzie rozwojowym.

Zacznijmy od studium przemysłu stalowego, jako posiadają-  
jącego kluczowe znaczenie dla wszystkich innych.

### PRODUKCJA STALI

	W milionach ton		Wzrost w %
	1954	1960	
Europa sześciu (Wspólnota Węg. i Stali)	43,8	72,8	66
Europa sześciu plus W. Brytania	62,6	97,5	55,7
Europa czternastu (C.E.C.A.)	67	105	56,7
Stany Zjednoczone	80	90	12,5
Związek Sowiecki	41,5	65,3	57,3
Satelici Zw. Sowieckiego*	12,7	20,5	61
Blok Sowiecki (Rosja plus satelici)	54,2	85,8	58

Jak z naszej tabelki wynika, produkcja stali surowej Wspól-  
noty Węgla i Stali, czyli Europy Sześciu, wkrótce może Konfe-  
deracji Europejskiej, przewyższyła produkcję sowiecką w roku  
1960 o 7,5 milionów ton, a wspólnie z W. Brytanią uzyskała  
przewagę nad całym blokiem sowieckim 11,7 milionów ton. W  
szerszych granicach rozwiązanej niedawno Organizacji Europej-  
skiej Współpracy Gospodarczej (O.E.C.E., Europa 14) przewaga  
ta wyniosła 20 milionów ton\*\*).

Nie chodzi jednak o cyfry absolutne, choć mają one swoją  
zrozumiałą wymowę. Gdy się słyszy sowiecki slogan propa-  
gandy: „dogonimy i przegonimy”, mimowoli uwagę przy-  
ciąga wzrost procentowy produkcji, wyrażający rytm ekspansji.  
Okazuje się wówczas, że w okresie lat: 1954-1960 produkcja stali  
surowej w Europie Sześciu wzrosła o 66%, gdy w Związku  
Sowieckim tylko o 57,3%, czyli że rytm ekspansji okazał się  
szybszy na Zachodzie. W roku 1961 obserwujemy pewne zaha-  
mowanie wzrostu produkcji stali we Wspólnocie Europejskiej,  
a dalszy jej wzrost, średnio o około 6%, w Związku Sowieckim.  
Pochodzi to stąd, że wzrost produkcji stali odbywa się cyklicz-  
nie, w wyniku zakończenia poszczególnych etapów inwestycyj-  
nych. Po każdym, kilka lat trwającym etapie inwestycyjnym  
następuje przerwa, konieczna dla zbudowania i uruchomienia  
nowych zakładów wytwórczych.

W trosce o obiektywizm nie trzeba przemilczać, że Sowiety

\*) Polska, Czechosłowacja, NRD, Węgry, Rumunia.

\*\*\*) Udział w produkcji światowej w 1950: CECA — 21,3%; CECA  
i W. Brytania — 28,5%; OECE — Europa 14 — 31%; Stany Zj. —  
26,3%; Zw. Sowiecki — 19%; Blok Sowiecki (bez Chin) — 25%.  
Europa Zachodnia 14 jest w tej chwili najpotężniejszym producentem stali  
na świecie.

dokonały gigantycznego skoku naprzód, podnosząc produkcję  
stali surowej z około 3 milionów ton w okresie przedrewolucyj-  
nym (1913) i z 4,9 milionów ton w roku 1929 na 41,5 milionów  
ton w roku 1954, czyli przeszło ośmiokrotnie. Ale na tym właś-  
nie przykładzie znajduje potwierdzenie znana, choć przez komu-  
nistów zwalczana teza, że po osiągnięciu pewnego stopnia nasy-  
cenia tempo rozwoju produkcji zaczyna słabnąć. Sowiety nie  
mają zresztą monopolu na fenomenalność tempa wzrostu pro-  
dukcji stali. W porównaniu z rokiem 1929 powiększyły swoją  
produkcję stali: Japonia dziesięciokrotnie, Australia dziewięcio-  
krotnie, Unia Południowo-Afrykańska 50 razy, Włochy i Kanada  
czterokrotnie, a mała Holandia, zaczawszy po drugiej wojnie  
światowej od zera, produkuje już dzisiaj 2 miliony ton. Okazuje  
się więc, że od chwili uruchomienia Wspólnoty Węgla i Stali  
produkcja sowiecka wzrastała wolniej zarówno w liczbach abso-  
lutnych, jak w procentach, a w zakresie wyników w porówna-  
niu z rokiem 1929 jest daleka od rekordu szybkości, należącego  
ciągle do gospodarki wolnej.

O tym, jak daleko jest jeszcze Związek Sowiecki od dopę-  
dzenia Europy Zachodniej, przekona nas statystyka produkcji  
na głowę mieszkańca. W roku 1960 wyniosła ona 436 kg,  
we Wspólnocie Węgla i Stali, 382 kg. w Europie czternastu,  
435 kg. w Europie Sześciu plus W. Brytania, a tylko 303 kg. w  
Sowietach i 273 kg. w całym Bloku Sowieckim. Co innego oznacza  
jednak kg. stali na głowę mieszkańca w Europie Sześciu, zajmu-  
jącej obszar 1.162.000 km<sup>2</sup>, a łącznie z W. Brytanią 1.406.000  
km<sup>2</sup>, a co innego w Sowietach, rozciągających się na obszarze  
przeszło 22 milionów kilometrów kwadratowych. Jeżeliby przy-  
jął, że obszar zamieszkały państwa sowieckiego wynosi połowę  
posiadanego terytorium, to aby zapewnić budowę i stałą kon-  
serwację sieci transportowej oraz zbliżenie do poziomu europej-  
skiego nasycenia tej przestrzeni stałą, produkcja na głowę  
mieszkańca w Sowietach powinna wynosić co najmniej pięć  
razy tyle co w roku 1960 w Europie Zachodniej. Jest to po  
prostu nie do zrealizowania.

Przyjrzyjmy się teraz komfortowi. W roku 1959 Związek  
Sowiecki wyprodukował 3,9 milionów odbiorników radiowych,  
gdy trzy tylko państwa Europy Zachodniej: Francja, Niemcy  
i W. Brytania osiągnęły cyfrę 6,4 milionów. W roku 1960 pro-  
dukcja samochodów 4 głównych państw zachodnio-europejskich,  
W. Brytanii, Francji, Niemiec i Włoch wyniosła 5,9 milionów  
wozów, nie licząc traktorów, gdy produkcja sowiecka zbliżyła  
się zaledwie do 150 tysięcy, a park samochodowy Europejskiej  
Wspólnoty Gospodarczej łącznie z W. Brytanią przekroczył  
18 milionów wozów wobec niespełna 700 tysięcy w Sowietach.  
W Europie Sześciu, łącznie z W. Brytanią wypada nieco poniżej  
13 mieszkańców na 1 samochód, w Sowietach 306.

Gdy w pewnych krajach Europy Zachodniej, jak np. we  
Francji, mamy do czynienia z nadprodukcją w rolnictwie, pro-



dukcja sowiecka w tej dziedzinie, zgodnie z wynurzeniami samego Chruszczowa, osiąga zaledwie poziom z 1931 roku, czyli niewiele wyższy od stanu z roku 1913, kiedy Rosja carska liczyła niewiele ponad 130 milionów ludności.

W zakresie produkcji energii elektrycznej Europa Sześciu ze swoimi 242 miliardami kWh w roku 1959 pozostawała nieco w tyle za Związkiem Sowieckim, który wytworzył 264 miliardy kWh, ale wspólnie z W. Brytanią posiadała nad nim przewagę blisko 100 miliardów kWh, której nie równoważył wkład satelitów.

Europa Sześciu liczy 172 miliony ludności, a łącznie z Anglią 224 miliony, czyli o 10 milionów więcej niż Sowiety. Ludność aktywna liczy 74 plus 24, czyli 98 milionów, a więc mniej więcej tyle, co w Sowietach, ale wydajność pracownika na Zachodzie, jego przygotowanie zawodowe i wyposażenie w narzędzia pracy stoją na o wiele wyższym poziomie.

Jak widzimy, Związek Sowiecki pozostaje daleko w tyle na wszystkich prawie polach wytwórczości w porównaniu z Europejską Wspólnotą Gospodarczą, uzupełnioną przez W. Brytanię. Jeżeli wyłączyć ropę naftową i zbrojenia, zwłaszcza broń nuklearną, jest gospodarczo organizmem słabszym, o niewielkich możliwościach dopędzenia konsolidującej się Europy. A przecież całość dochodu narodowego Europy Sześciu wraz z W. Brytanią zbliża się zaledwie do połowy dochodu narodowego Stanów Zjednoczonych (230 milionów dolarów wobec 482 w roku 1960). Produkcja energii elektrycznej siedmiu państw Europy Zachodniej ze swoimi 398 miliardami kWh w roku 1960 nie osiąga połowy wyników amerykańskich z ich 842 miliardami kWh. Park samochodowy w Stanach Zjednoczonych jest przeszło trzykrotnie liczniejszy od zachodnio-europejskiego, a roczna produkcja prawie podwójna. W tych warunkach komunistyczny slogan: „dagonimy i przegonimy” zakrawa na nieszkodliwą megalomanię. Uprawiać ją można tylko w społeczeństwie całkowicie odciętym od świata i od rzeczowych informacji.

Stosunkowo pomyślna sytuacja Europy w chwili startu unifikacyjnego nie upoważnia jednak do bezkrytycznego optymizmu. Wprawdzie sama idea zdobyła sobie, jak rzadko która, przychylność szerokich kół społecznych sześciu krajów zainteresowanych, ale realizacja nie nadąża za stanem opinii publicznej. Żywa jest ciągła dyskusja na temat: za, czy przeciw integracji, a brak kierowniczych organów ponad-państwowych powoduje powolność decyzji. Na porządku dziennym znajduje się sprawa wspólnej polityki rolnej i dopiero po doświadczeniu pozytywnego wyniku na tym odcinku będzie można orzec, że Wspólnota usunęła jedną z najważniejszych przeszkód na drodze do konsolidacji. Jakkolwiek zrozumienie korzyści, wynikających z unifikacji, panuje powszechnie wśród jej partnerów, nie wiadomo, czy Wspólnota potrafiłaby wytrzymać próbę kryzysu gospodarczego i czy nie załamałaby się w takim wypadku jej solidarność.

Warunkiem szybkości procesu scaleniwego jest, oczywiście, utrzymanie możliwie silnego rytmu ekspansji. W tej dziedzinie nastąpiło w roku 1961 pewne zwolnienie, spowodowane, zwłaszcza we Francji i w Niemieckiej Republice Federalnej, brakiem rąk do pracy i powstałą stąd tendencją do zwyczajki zarobków, która wywołuje wprawdzie wzrost zapotrzebowania na rynku wewnętrznym i zwiększa jego pojemność, ale, poprzez podrożenie kosztów produkcji i cen wpływa ujemnie na eksport i w dalszych konsekwencjach może grozić skurczeniem się importu, a więc — ograniczeniem produkcji. Oczywiście, daleko jest jeszcze do objawów niepokojących i w sferach interesów panuje raczej umiarkowany optymizm. Brak sił roboczych należy dzisiaj do objawów powszechnych i Blok Sowiecki odczuwa w tej dziedzinie nie mniejsze trudności, niż Zachód. Wynika z tego wzrost pomysłowości w doskonaleniu narzędzi technicznych i metod pracy, rozpowszechnia się automacja. W sferach gospodarczych, zwłaszcza tam, gdzie są organy planowania, jak we Francji, ocenia się, że utrzymanie rytmu ekspansji przemysłowej na poziomie 5% rocznie jest zupełnie możliwe. Wynikałoby z tego, że Wspólnota powiększy swoją produkcję do roku 1970 globalnie o 45 do 50% i że w podobnym stosunku wzrośnie siła nabywczą ludności. Inwestycje w toku realizacji lub planowane na okres 1962-1965 powinny podnieść zdolność produkcji CECA do 95 milion ton stali surowej. W ciągu najbliższych kilku lat powinny ujawnić się możliwości krajów, wstępujących na drogę rozwoju gospodarczego, jakkolwiek przedłużanie się wojny algierskiej wpływa hamująco na inwestycje prywatne w Afryce, a lęk przed przechylem się Brazylii w kierunku castryzmu nie usposabia do inwestycji w krajach Ameryki Łacińskiej. Sytuacja wewnętrzna w poszczególnych krajach Wspólnoty budzi również pewne obawy, zwłaszcza we Francji, na skutek chaosu wynikającego z różnic na temat rozstrzygnięcia sprawy algierskiej i w Niemczech, gdzie ostatnie wybory osłabiły dotychczasową, chrześcijańsko-demokratyczną większość parlamentarną, a deklaracja Adenauera o wycofaniu się z polityki za dwa lata — autorytet rządu. Ten ostatni fakt jest o tyle zmienny, że parlament niemiecki nie składa się z samych tylko „Europejczyków”, w przeciwieństwie do Francji, gdzie opozycję na tym odcinku tworzą tylko komuniści, a cała reszta sił politycznych należy do wyznania europejskiego, dzieląc się tylko na obrządki: integracyjny i konfederalny. Nad całością wymienionych tutaj zagadnień dominuje aspekt polityczny. Mimo, że Niemcy tworzą najpotężniejszy członek gospodarczy Wspólnoty, nie mają możliwości, w dającym się przewidzieć czasie, sięgnąć po rolę kierowniczą, a to z uwagi na swoją niedawną przeszłość historyczną i niepełne jeszcze własnowolnienie prawne. Czołową rolę odgrywa i odgrywać przez jakiś czas będzie Francja, głównie dzięki indywidualności swego prezydenta. Koncepcja gen. de Gaulle'a polega na uwieńczeniu wspólnoty gospodarczej nadbudówką polityczną



w formie konfederacji Europejskiej, silnie związanej sojuszem ze Stanami Zjednoczonymi, ale wyposażonej we własne środki obrony. Celem tej koncepcji jest zapewnienie Europie, a przez nią — Francji wpływu na przebieg polityki światowej oraz zapobieżenie sytuacji, w której o losach Europy mogłoby zdecydować bilateralne porozumienie sowiecko-amerykańskie. Przeciwno tej koncepcji uformowała się silna opozycja we wszystkich krajach Wspólnoty, łącznie z częścią francuskiego frontu politycznego. Cementem, spajającym tę opozycję jest lęk przed ewentualnością opuszczenia Europy przez siły zbrojne amerykańskie i brak wiary w zdolność Europy do obrony na zasadach samego tylko związku sojuszniczego z Ameryką. Konfederalna koncepcja de Gaulle'a odpowiada W. Brytanii, umożliwiając jej przystąpienie do Europy z zachowaniem pełnej suwerenności państwowej. Skomplikuje jednak na pewno proces krystalizowania się politycznego Europy, gdyż z chwilą przystąpienia W. Brytanii, na porządku dziennym staną od razu dwa zagadnienia: przywództwa ewent. konfederacji i jej orientacji politycznej w stosunku do organizacji paktu atlantyckiego.

Mimo nieuniknionych przy realizacji tak olbrzymiego zamierzenia trudności i kryzysów, wolno orzec, że Europa gospodarcza się udała. Jest to najlepszym dowodem jak bardzo była potrzebna. Europa polityczna jest jeszcze w stanie płynnym, wszystko jednak w dziedzinie politycznej jest w pełnym ruchu i w wirze sprzeczności. Nawet komunistyczne metody walki o panowanie nad światem. Temat to jednak osobny.

Aleksander KAWAŁKOWSKI

## Ameryka Południowa

*Co Polacy wiedzą o tym kontynencie?*

Stosunki międzywojennej Polski z Ameryką Łacińską były bardzo luźne. Trudno zaprzeczyć, że działalność ruchliwych placówek Polskiej Republiki Ludowej przyczyniła się do pokaznej rozbudowy wymiany gospodarczej. Polska nie tylko dostarcza wielu krajom Ameryki Łacińskiej maszyn, szyn, statków itp., ale nawet montuje na ich terenie potężne koncerny przemysłowe. Z drugiej strony próby politycznego zwaloryzowania tych osiągnięć, podjęte przez Adama Rapackiego w październiku 1961 r. nie dały, jak się zdaje, żadnych wyników.

Wszystko zdawało się wskazywać na to, że nareszcie dowiemy się więcej o Ameryce Łacińskiej od ludzi wojennej i powojennej naszej imigracji, tym bardziej, że na ogół nie dzieje się im tu źle. Polacy nie żyją w Ameryce Łacińskiej na marginesie społeczeństw miejscowych, jak w wielu innych krajach obecnej diaspory. A przecież obraz dzisiejszej rzeczywistości, nieco zawilej i mało przejrzystej, jaki sobie stwarzają polscy intelektualiści, zadomowieni w Ameryce Łacińskiej, odbiega częstokroć od prawdziwego jej profilu. Czy próżnię tę wypełnił artykuł „Ameryka Łacińska”\*) min. Władysława Mazurkiewicza? Autor wykazuje niewątpliwie gruntowną znajomość podstawowych zagadnień tego kontynentu. Nagromadził pokaźną dokumentację, niestety przeważnie już przestarzałą, nie pozbawioną poza tym pewnych nieścisłości (których nie opłacałoby się tu prostować). Z drugiej strony należy żałować, że mało uwagi poświęca kryzysowi, bardzo w ostatnich latach pogłębianemu, całej Ameryki Łacińskiej — z wyjątkiem jedynej jej oazy: Meksyku — i na ogół nie wyciąga z przesłanek dobrze ujętych wniosków, które zdają się narzucać. Nie wdając się w ocenę krytyczną jego spostrzeżeń, spróbuję więc przedstawić poniżej związany obraz tej części Półkuli Zachodniej, jak ją widzę w świetle doświadczeń uzyskanych w mojej wieloletniej pracy administracyjnej w Brazylii i w Organizacji Państw Amerykańskich.

*Rzut oka na Amerykę Łacińską w początkach 1962 r.*

Nie mam oczywiście ambicji ponownego „odkrywania” dla czytelników *Kultury* tego wielkiego kontynentu. Nie cofając się jednak niepotrzebnie w przeszłość, należałoby raczej określić, co dziś rozumiemy przez Amerykę Łacińską. Składa się na nią 20 republik Ameryki południowej, środkowej (5 państw położonych w „przesmyku” i zorganizowanych „podregionalnie” w ODECE) i wyspiarskiej (Antyle), łącznie z Meksykiem przynależnym geograficznie do części północnej tej Półkuli. Dzisiejszą jej ludność ocenia się na 210 milionów. Współczesna eksplozja demograficzna, która osiąga punkt kulminacyjny właśnie na tym terenie, sprawia, że według najbardziej umiarkowanych obliczeń ogół mieszkańców tych trzech Ameryk przekroczy w r. 1975 liczbę 350 milionów, a w r. 2.000 co najmniej 600 milionów. „Latinos” mnożą się jak króliki, choć jeszcze wciąż ogromny odsetek nowonarodzonych dzieci wymiera w pierwszym roku życia. Uniemożliwia to, albo co najmniej niezmiernie utrudnia wysiłki w kierunku podwyższenia na ogół bardzo niskiego (poza Argentyną, Wenezuelą i Kubą) dochodu narodowego *per capita*. Wzrost wartości rocznej produkcji brutto zmalał od 4.5% w r. 1957 do 1% w r. 1958 i do 0.3% w

\*) *Kultura* nr 10/168 i 11/169 z 1961 r.



r. 1959, zatrzymując się na tej stopie mniej więcej w 2 ostatnich latach. Językiem 18 państw jest hiszpański, przy czym jednak znaczna część ludności w grupie amerykańsko-indiańskiej (np. Gwatemala, Ekwador, Peru, Paragwaj), nawiasem mówiąc zupełnie zacofana i żyjąca na marginesie miejscowych społeczeństw, posługuje się narzeczami tubylczymi. Portugalski jest, jak wiadomo, językiem Brazylii (71 milionów mieszkańców). Francuski dominuje oficjalnie w republice Haiti. Rasowo Amerykanie łacińscy stanowią wynik ciekawego i postępującego nieprzerwanie naprzód amalgamatu trzech „ras”: europejskiej (która przeważa w najbardziej na południe wysuniętych państwach Południowej Ameryki), afro-murzyńskiej (zwłaszcza Brazylii, Haiti i Kuba) i autochtonicznej, indiańskiej. Choć ludność o ciemnym naskórku góruje liczebnie wśród proletariatu, biała w „klasach wyższych” a rasowo mieszana w klasie średniej, brak tu jakichkolwiek barier rasowych. „Demokracja rasowa”, dogmatyczna zasada współżycia społecznego tego regionu, jest niewątpliwie wielką zdobyczą Ameryki Łacińskiej. Trudno nawet nie zauważyć czegoś, co byłbym skłonny określić jako daltonizm rasowy. Kiedyś, nie pamiętając nazwiska jakiegoś działacza robotniczego, spróbowałem go zidentyfikować, zapytując się jego kolegi, pracującego przy sąsiednim biurku czy nie jest ciemnym mulatem. Kolega jego, mocno zafrasowany, zaczął się drapać w głowę; po prostu nie mógł sobie przypomnieć koloru skóry swego przyjaciela, na którego patrzył od wielu lat...

#### *Kalejdoskopiczne przemiany zachodzące tu w ostatnich latach*

Po długim okresie stagnacji pokolonialnej Ameryka Południowa wykazuje po ostatniej wojnie coraz bardziej gorączkowe i nieco chaotyczne przemiany. Próbuje się wyemancypować z dotychczasowego systemu gospodarczego, opartego na monokulturze rolnej o charakterze eksportowym (kawa, bawełna, kakao, cukier, banany itp.) i monoekstrakcji mineralnej (miedź, cynk, żelazo; poza tym, zwłaszcza w Wenezueli, nafta). Tendencje zniżkowe wszystkich tych produktów na rynku światowym spowodowały w ostatnich latach ostry kryzys, który pogłębia się coraz bardziej\*). Dążąc do przyspieszenia za wszelką cenę rozwoju gospodarczego poprzez najdalej idące uprzemysłowienie tych tradycyjnie rolniczych krajów (nie brak potrzebnych w tym celu surowców, jak żelaza, nafty itp. z wyjątkiem węgla) stworzono już tu potężne ośrodki przemysłu (największy w głównej metropolii Brazylii: Sao Paulo). Dzieje się to

\*) Udział Ameryki łacińskiej w handlu światowym zmniejszył się, jak wynika z danych ostatniej konferencji GATT'u, z 11% w r. 1950 do 7% w r. 1960.

jednak kosztem rolnictwa. Z dużym opóźnieniem, zdając sobie nareszcie sprawę z niebezpieczeństw, jakie zagrażają im handlowo ze strony wielkich bloków ekonomicznych (Rynek Europejski), główne kraje tego kontynentu stworzyły w konwencji, podpisanej w Montevideo w dniu 18 lutego 1960 r., podwaliny pod wspólny rynek łacińsko-amerykański.

Wszystkie te zmiany gospodarcze nie mogły nie pociągnąć za sobą dramatycznych ruchów społecznej natury. Sproletaryzowane do ostateczności, zbiedzone i niedokarmione warstwy ludowe, jak gdyby zbudziły się nagle z długotrwałego letargu. Walczą dziś wszędzie o zdobycie sobie warunków znośniejszego życia. Walka ta wyraża się pokojowo w masowych wędrowniach ze wsi do miast, gdzie jednak na ogół nie odnajduje się spodziewanego Eldorado. W tych warunkach w wielkich miastach powstają dzielnice o charakterze typowo wiejskim i o nieopisanie niskim poziomie (*favelas, mocambos, tugurios, vilas-miseria* etc.). Ucieczkę ze wsi przyspieszają w Brazylii katastrofalne cykle suszy w ogromnej i gospodarczo zacofanej północno-wschodniej połaci tego kraju (9 stanów, około 1/3 ludności, 1.600.000 km<sup>2</sup>). Ale zarówno tu jak i gdzie indziej działa w tym kierunku głównie, zgodnie z słynnym „prawem Goltza”, monopol własności rolnej, który przypada — poza pewnymi terenami na Południu Ameryki Południowej o stosunkowo większym udziale własności chłopskiej — wielkim latyfundiom. Toteż główna reforma socjalna, którą próbuje się przeprowadzić wszędzie, to reforma rolna, mająca zapewnić łatwy dostęp do własności ziemskiej proletariatu wiejskiemu, burzącemu się dziś coraz gwałtowniej i nawet nierzadko z użyciem siły, przeciw *status quo*. Przeważa więc dziś przekonanie, że jeżeli nie zdoła się wprowadzić w życie tej, niezmiernie zresztą trudnej i zawiłej reformy, trudno będzie uniknąć groźnego przewrotu społecznego, który tu widocznie narasta.

Olbrzymi exodus bezrolnej ludności wiejskiej do miast, sprawia, że najniespodziewaniej, jak wynika ze Spisu Ludności z r. 1960, ta część Ameryki staje się z biegiem czasu najbardziej zurbanizowanym kontynentem obecnego świata. Patologiczny wzrost ludności miejskiej i podmiejskiej zaostrza kryzys.

Punkt ciężkości niezmiernie zaognionych konfliktów międzyklasowych spoczywa więc niewątpliwie na wsi. Ale i w miastach klasa robotnicza domaga się coraz energiczniej większego udziału w podziale dochodu narodowego. Skąpe jej zarobki tracą wciąż siłę nabywczą pod wpływem katastrofalnej inflacji (biorąc jako podstawę rachunku kosztów utrzymania: 1953=100, w grudniu 1960 indeks wykazuje w Brazylii 3350, w Chile — 1160 itp.). Robotnicy nie zadawalają się już ustępstwami klas posiadających w formie świadczeń społecznych, które teoretycznie zapewnia szeroko rozbudowane, ale nieumiejętnie administrowane ustawodawstwo pracy, ubezpieczeniowe i opiekuńcze. Natrafia



jednak na opory ze strony grup kapitalistycznych, nastawionych w wielu krajach ultrareakcyjnie i broniących swego stanu posiadania. Unikajmy jednak nadmiernej przesady. Bezspornie postępują tu naprzód procesy stratyfikacji społecznej. W wielu krajach mamy już daleko poza sobą dawny typ dwuklasowego społeczeństwa: *hacendieros* czy *fazendieros* (obszarnicy) u góry i bezrolny lub małorolny proletariats wiejski u dołu, a nic pośrodku. Powstaje klasa średnia i wzrastają grupy wyższe świata pracy, co łagodzi krytyczną polaryzację, przeciwstawiającą bardzo biednych — bardzo bogatym. Tutaj też warstwy ludowe, dzięki łatwiejszemu dostępowi do szkół, zdobywają sobie potężny oręż postępu społecznego, jaki stanowi wykształcenie, ogólne i zawodowe.

#### Postępy demokracji Ameryki Łacińskiej

Trudno zaprzeczyć, że w tych niezmiernie krytycznych warunkach zasługują na podkreślenie postępy osiągnięte w ostatnich latach na drodze ku ustrojowej demokracji: poza Paragwajem, Haiti i Nikaraguą znikły już z politycznej jej mapy zacofane dyktatury jednostkowe czy rodzinne i systemy *caudilhismo* — „wynalazek” regionalny: rządy sprawowane przez dyktatorów zakamuflowanych pod pozorami reformizmu socjalnego, oktrojowanego z góry (Peron w Argentynie, Vargas w Brazylii, Odría w Peru, Jimenes w Wenezueli, Rojas Pinilla w Kolumbii i in.). Jak to jednak wynika z gwałtownych wstrząsów przeżytych w sierpniu 1961 r. przez Brazylię a w październiku przez Ekwador, daleko jeszcze bardzo Ameryce Łacińskiej do pełnego ugruntowania ludowładztwa. Spoza pięknych formułek tekstów konstytucyjnych wyziera często przewaga ambitnych grup wojskowych. Świetny amerykański znawca tej części Półkuli Zachodniej, Edwin Lieuwen, podzielił ostatnio Amerykę Łacińską na trzy grupy: państwa pełnego militaryzmu (S. Domingo, Nikaragua, Paragwaj, El Salvador, Haiti i Honduras), państwa, odsuwające klasę wojskową od wpływów na politykę (Urugwaj, Chile, Costa Rica, Boliwia, Meksyk i Kolumbia) i wreszcie grupa państw w okresie przejściowym (Wenezuela, Brazylia, Argentyna, Gwatemala, Peru i Ekwador). Nic jednak nie zahamowało tak bardzo pożądanej stabilizacji demokracji łaćianko-amerykańskich jak społeczna rewolucja kubańska, pierwsza o takim zasięgu i radykalizmie rewolucja dokonana na Zachodniej Półkuli. Wszystko, co się dzieje w Ameryce Łacińskiej na przestrzeni trzech ostatnich lat, dobre czy złe, to albo bezpośredni refleks fidelcastryzmu albo reakcji na jego programy i osiągnięcia. Biorąc pod uwagę najściślejsze powiązania reżymu kubańskiego z blokiem sowieckim, nie można jednak przystąpić do oceny jego roli bez rozważenia ogólnej sytuacji międzynarodowej Ameryki Łacińskiej.

#### Amerykanie „północni” i „południowi”

Nie ma między nimi uczuć wzajemnej miłości. Szeroka fala anty-amerykanizmu, która rozlała się dziś po całym świecie — i której głębsze zrozumienie nie jest rzeczą prostą i łatwą — uderza dziś silnie we wszystkie kraje Zachodniej Półkuli. Trudno się temu zresztą dziwić. Ameryka jest jedynym na świecie kontynentem, w którym sąsiadują z sobą tak blisko kraje opóźnione w rozwoju gospodarczym i politycznie słabe, jak większość Ameryki Łacińskiej i największa potęga światowa: USA o poziomie życia przekraczającym wielokrotnie, i w skali wciąż wzrastającej, warunki egzystencji Amerykanów łaćiankich. W tych warunkach kolejne okresy historii politycznej tej hemisfery zależały w pierwszym rzędzie od zmiennych dyrektyw polityki międzyamerykańskiej Waszyngtonu: izolacjonizm, „big stick”, „dobre sąsiedztwo” F.D. Roosevelta — i dopiero w ostatnim roku zasada czynnej współpracy Stanów wokół podniesienia gospodarczych i społecznych warunków życia, proklamowana przez Kennedy’ego. A z drugiej strony — od reakcji na to ze strony 20 republik tego Kontynentu. Uświadamiając sobie swą coraz bardziej kruchą pozycję międzynarodową (nawet w Narodach Zjednoczonych tracą swe niepokażne zresztą wpływy, zmajoryzowane przez grupę afro-azjatycką) coraz częściej myślą o wyswobodzeniu się spod jednostronnej przewagi Stanów Zjednoczonych, co zresztą nie oznacza chęci przystąpienia do „trzęciego” bloku neutralistycznego.

Jeszcze do niedawna Stany Zjednoczone mogły uważać środkową i południową Amerykę za swoją wyłączną sferę interesów. Stanowisko to próbowały nawet zabezpieczyć przed wpływami pozakontynentalnymi, ogłaszając Doktrynę Monroe’go (złożoną już dziś *ad acta*) i patronując z kolei pierwszej w dziejach świata organizacji regionalnej: Organizacji Państw Amerykańskich. Opiera się ona jednak na tak słabych podstawach, że trudno by ją było uważać, zgodnie z opinią ministra Mazurkiewicza, za „sojusz międzyamerykański”.

Kierownicze stanowisko na tym terenie USA opierały zresztą nie tylko na przewadze politycznej, ale i więzach zależności gospodarczej. Na ogół 45% eksportu Ameryki Łacińskiej kieruje się do Stanów i około 50% jej importu przychodzi z tego kraju. Inwestycje kapitału prywatnego amerykańskiego ocenia się tu dziś na około 9 miliardów dolarów (w r. 1943 tylko 2,7!). Ale wartość ich pod kątem widzenia rozwoju Ameryki Łacińskiej nie nadaje się do oceny nazbyt uproszczonej. Zawiera blaski i cienie. Na anemicznym regionalnym balansie płatniczym odbijają się coraz boleśniej wzrastające przekazy do USA sum transferowanych tytułem zysków, procentów i amortyzacji. Zresztą w ostatnich 3 latach zaznacza się ostry spadek „prywatnych” dolarów inwestycyjnych, kierowanych do Ameryki Łacińskiej — natu-



ralny refleks wywłaszczeń kubańskich i gospodarczego nacjonalizmu gdzie indziej. Prywatne kapitały unikają ponadto z natury rzeczy inwestycji w działach mniej lukratywnych, których rozbudowa musi zależeć od dopływu kapitałów publicznych. Otóż bilans inwestycji publicznych amerykańskich nie przedstawiał się dotąd nazbyt różowo. Z końcem 1960 r. wykazywał 4.180 milionów dolarów (pożyczki, subsydia itp. brutto), nie przekraczając około 4% pomocy finansowej udzielonej zagranicy przez Stany.

Pozycja Stanów na Kontynencie Zachodnim została zakwestionowana przez dynamiczną ofensywę podjętą w ostatnich latach na tym terenie przez światowy komunizm. Ofiarowując swą pomoc miejscowym nacjonalizmom w walce z „imperializmem jankesowskim” i wygrywając po mistrzowsku poczucie rzekomego czy rzeczywistego pokrzywdzenia tych krajów przez północnego sąsiada, komunizm rozwinął tu ostatnio akcję propagandową w skali nieznaną gdzie indziej. Prowadzona oddzielnie i w odmiennym stylu przez trzy centra: moskiewski (łącznie z praskim), pekiński i ostatnio hawański, stara się, nie bez powodzenia, urabiać opinię publiczną. Zwłaszcza w grupach inteligencji, studenterii, wolnych zawodów, administracji, ale też w klasie robotniczej miejskiej a ostatnio przede wszystkim wiejskiej. Jak najhojniej finansowana, infiltracja ta nie znajduje skutecznego oporu ani ze strony Kościoła katolickiego, którego wpływy są na ogół słabsze niżby się to mogło wydawać na odległość, ani ze strony warstw posiadających, oddanych obłudnemu *enrichissez-vous*. Byłoby to zresztą niezrozumiałe, gdyby komunizm nie próbował wysadzić w powietrze materiału eksplozywnego, nagromadzonego w Ameryce Łacińskiej w najpodatniejszym po temu okresie najdalej idących przemian, jakim dziś podlega. Gdyby się to udało, następstwa tego wybuchu byłyby nieporównanie większe od skutków detonacji największej nawet bomby atomowej czy wodorowej. Jeżeli po nieudanych próbach opanowania Gwatemali i Boliwii, brakowało jeszcze tylko blokowi sowieckiemu przyczółka po tej stronie Atlantyku, to lukę tę sowicie wypełnił przewrót na Kubie.

Tylko kilka państw utrzymuje obecnie stosunki dyplomatyczne z Z.S.S.R. (Argentyna, Urugwaj i Meksyk, do których doszłusowała z końcem listopada 1961 r. Brazylia, w oczekiwaniu, może przesadnie optymistycznym, że w ten sposób uzyska nowe rynki zbytu dla swego eksportu za Żelazną Kurtyną).

Z charakterystycznym dla tego kraju opóźnieniem Stany Zjednoczone, które na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia mało uwagi zwracały na kryzys narastający na Południu, uzmysłowiły sobie nareszcie w ostatnim roku, że, zachowując dotychczasową bierną postawę „polityki strusia”, mogłyby się znaleźć na Zachodniej Półkuli w całkowitym odosobnieniu. Dzisiaj biją się w piersi i odgradzają od grzechów przeszłości. Idą tak daleko, że nie cofają się od udzielenia pomocy nawet Boliwii i Gujanie

angielskiej, pomimo ich socjalistycznego nastawienia. Wstrzymują się od uzależniania swego hojnego sukursu finansowego od jakichkolwiek warunków politycznej natury, wykazując całkowitą tolerancję dla polityki zagranicznej, samodzielnej i niezależnej od Waszyngtonu, poszczególnych państw lątyńskich. Na konferencji w Punta del Este (Urugwaj), zakończonej w dniu 16 sierpnia 1961 r., wysunęły po raz pierwszy program szerokiej pomocy rozwojowej, zobowiązując się do tego, że jej zasoby osiągną sumę 20 miliardów dolarów w najbliższych 10 latach. Zdając sobie równocześnie w pełni sprawę z grozy nadciągającej tu zawieruchy społecznej, programem tym („Przymierze dla Postępu”) objęły nie tylko wzrost potencjału gospodarczego — brany przez „Operację Panamerykańską” ex-prezydenta Brazylii Juscelina Kubitschka — ale również daleko idące cele postępu społecznego. Ma to być odpowiedzią na próby eksportu na Kontynent rewolucji kubańskiej. Trudno nie przyznać melancholijnie pewnej racji brodatemu dyktatorowi z Hawany, kiedy podkreśla, że bez „jego” rewolucji, Stany nie byłyby się zdecydowały na tego rodzaju wysiłki i ofiary...

Trudno jednak jeszcze dziś przewidzieć, czy ta całkowita rewizja polityki międzyamerykańskiej USA, połączona z odnowieniem raczej dotąd fikcyjnych instytucji współpracy regionalnej, nie przysła za późno. Czy ta ostatnio zaimprovizowana grobla wytrzyma napór zbliżającej się tu nawałnicy?

#### *Kubańska kwadratura koła*

Trudno po prostu w to uwierzyć, ale to co się dzieje na tej małej wysepce antylskiej (6 milionów mieszkańców i 44.217 mil.<sup>2</sup>!) urosło do rzędu centralnego zagadnienia Zachodniej Półkuli.

Oceniając przesłanki rewolucji dokonanej tam z końcem 1958 r. — jeden z najradszych dziś *casus*’ów przewrotu wewnętrznego, dokonanego bez współdziałania sił zewnętrznych! — nie należy o tym zapominać, że Kuba, nie należała w tym czasie do najbardziej zacofanych krajów tej części Ameryki. Obiektywne warunki rewolucji społecznej są obecnie nieporównanie bardziej dramatyczne w wielu innych krajach kontynentalnej czy wyspiarskiej Ameryki. A nawet zdecydowanie antypatyczne rządy sierżanta Batisty, podtrzymywanego zresztą przez związki zawodowe i ruch komunistyczny, nie były na pewno bardziej reakcyjne od wielu reżymów, jakie pozostały nadal w Ameryce południowej i środkowej.

Nie na wiele by się przydała ocena retrospektywna kolejnego rozwoju wypadków rewolucji kubańskiej. Nieco niespodziewane oświadczenie Fidel Castro, że był zawsze markistą, ukry-



wając tylko to swoje oblicze ze względów taktycznych, zdawałoby się zadawać kłam opinii przeciwnej, wyrażonej przez ministra Mazurkiewicza. Czy rozwój ustroju kubańskiego od zasad liberalnych i demokratycznych tej początkowo typowej rewolty klasy średniej ku systemowi już dziś bezsprzecznie komunistycznemu był w tych warunkach nieuniknioną koniecznością? Czy też, jak nadal sądzą niektórzy, wynikał z potwornie niezgrabnej strategii *State Department*'u, która wpędziła Fidel Castro w ramiona sowieckie? Co nie może w każdym razie ulegać żadnej wątpliwości, to fakt, że rzadko w historii politycznej tego wielkiego mocarstwa możemy zauważyć tyle skumulowanych błędów, które zresztą trwają bez przerwy do dziś dnia: początkowa życzliwa neutralność, później całkowicie bezskuteczne, bo grubo spóźnione sankcje gospodarcze, z początkiem 1961 r. tragiczny desant w Zatoce Świńskiej, a ostatnio nacisk na zwołanie konferencji ministrów spraw zagranicznych Ameryk, której idea doprowadziła do zupełnego rozbicia solidarności międzyamerykańskiej. Praktyczne wyniki tej konferencji wydają się zresztą z góry bardzo znikome. Tak się złożyło, że autor niniejszego artykułu w czasie swej niedawnej misji oficjalnej w Waszyngtonie, odnalazł w gigantycznym gmachu tamtejszego MSZ dobrych swoich znajomych na kierowniczych stanowiskach w sprawach kubańskich i mógł z wzrastającym przerażeniem obserwować z bliska karkołomne łamańce w tym kluczowym dla Stanów zagadnieniu. Bezsprzecznie nie dzieje się dziś na Kubie dobrze. Pogarsza się tam sytuacja aprowizacyjna i narasta bezrobocie, a równocześnie potęguje się zależność od bloku sowieckiego, którego pomoc przedstawia się coraz bardziej iluzorycznie. Fidel Castro może liczyć na poparcie ludności wiejskiej, której sytuację poprawił bezsprzecznie, ale inflacja, trudności życia w miastach, niezależnie nawet od terroru i systemu monopartyjnego, zalegalizowanego formalnie w ostatnich tygodniach, wywołują wzrastający opór nie tylko klas wyższych i średniej ale również proletariatu miejskiego. Pomimo tej sytuacji, wydają się jednak najzupełniej bezpodstawne nadzieje, że nowy zamach stanu zdoła wysadzić z siodła dyktaturę kubańską.

Co w tych warunkach zasługuje na najbaczniejszą uwagę, to raczej możliwości inwazji fidelkastryzmu do pozostałych części Ameryki ibero-łacińskiej. Szanse jej przedstawiają się niewątpliwie korzystniej w newralgicznej strefie antylskiej i w Ameryce centralnej niż w Ameryce Południowej, której rządy są niemal jednomyślnie przeciwne kastyzmowi. Ale dogmat nieinterwencji, najszerszej sformułowany w konstytucji Organizacji Państw Amerykańskich nie pozwala im na jakiegokolwiek kroki w kierunku ingerencji, nawet pośredniej, umiarkowanej i zbiorowej w stosunku do tej wysypki. Nie mogą się na to, co ważniejsze, zdobyć w obawie przed własną opinią publiczną, w dużej mierze zafascynowaną eksperymentami reformistycznymi Fidel Castro, czy może raczej Che Guebara.

Toteż trudno się oprzeć wrażeniu, że sytuacja kubańska pozostanie jeszcze na długo niezmieniona, co najwyżej przy większym odosobnieniu tego kraju od reszty Kontynentu.

### *Dwie Ameryki Łacińskie*

Mówiąc dziś o Ameryce Łacińskiej, powinniśmy sobie zdawać sprawę, że składają się na nią, w istocie rzeczy dwie Ameryki Łacińskie.

— Jedna to dawna, zacofana, Ameryka biedy, analfabetyzmu, zabobonu, biernej apatii ludu oraz bezwstydного jego wyzysku przez nieudolne klasy rządzące, pozbawione jakiegokolwiek poczucia odpowiedzialności, Ameryka niczym nieograniczonej korupcji, w której tak wysublimowano ordynarną łapówkę, że po prostu nie wypada o niej mówić, by nie „szargać narodowych świętości”. Ameryka podatków pośrednich, bez dochodowego.

— I druga, nowa, próbująca odrobić w kilka lat opóźnienie wielowiekowe, praca ku pełnemu wyzyskaniu swych sił życiowych, Ameryka postępu gospodarczego i społecznego, która, przeskakując etapy kolejnej ewolucji, przechodzi z dnia na dzień od plantacji artykułów „gospodarstwa podwieczorkowego” (kawa, kakao, mate itp.) ku najnowocześniejszej technologii przemysłu zmechanizowanego, a nawet zautomatyzowanego.

— Może nie łatwo wytyczyć granice między jedną a drugą. Ale mówiąc o jednej nie wolno zapominać o istnieniu drugiej.

Mówimy o przyszłości. Zjadliwi krytycy pokpiwają sobie niekiedy, że Ameryka Łacińska jest i pozostanie zawsze „kontynentem przyszłości”. Opinia ta wydaje mi się wysoce niesprawiedliwa. Pomija wkład Ameryki Łacińskiej do skarbcza kultury światowej: jej literaturę, zdobycze naukowe, wartościowe malarstwo meksykańskie i architekturę brazylijską, która oszołomiła wszystkich budową w dżungli Gojazu nowej stolicy tego kraju według najpostępowszych wzorców. Czy można poza tym lekceważyć poważne osiągnięcia gospodarcze: Np. olbrzymi przemysł samochodowy zmontowany w tempie rekordowym w Argentynie i Brazylii i ciekawe zdobycze planowania rozwoju gospodarczo-społecznego (*Sudene*, mająca na celu podniesienie Brazylii północno-wschodniej, największy co do zasięgu terytorialnego wyczyn tego rodzaju, znany w dzisiejszym świecie)?

To już nie przyszłość lecz teraźniejszość.

Rio de Janeiro w grudniu 1961.

*Stanisław FISCHLOWITZ*



## Kronika angielska

### SALATKA DZIENNIKARSKO-LITERACKA

Na pierwszy ogień sprawa bardzo osobista nie pozbawiona jednak ogólniejszego morału.

Są ludzie na emigracji, a nawet dosłownie na drugim końcu świata — o czym wspominał Chciuk w jednej ze swych korespondencji z Australii — którzy mają mi „za złe”, że ćwierć wieku temu pisywałem powieści i nowele sensacyjne. Tematem ich było szpiegostwo a bohaterem wszystkich nowel i powieści tego cyklu był polski „spy-catcher” Tadeusz Szkarwa. Pisanie tych rzeczy było świetną zabawą, dobrą szkołą logicznego myślenia i miłą a popłatną metodą zarobkowania. Pewnego dnia IKC zaproponował mi stały kontrakt — posadzili mnie za biurkiem i zabawa się skończyła.

Ale nie tylko w Australii są ludzie, którzy uważają, że jak ktoś raz zhańbił się powieścią szpiegowską — nawet po dwudziestupięciu latach nie może napisać poważnego artykułu politycznego.

Kilka lat temu pewien publicysta emigracyjny, którego cechuje zarówno brak talentu jak i brak poczucia humoru — w jednym z polskich tygodników wychodzących w Londynie wysmażył artykuł pt. „Pomyślmy o naszej publicystyce”. Gdyby ów pan szczerze pomyślał o emigracyjnej publicystyce sam przestałby pisać, podnosząc w ten sposób poziom naszego piśmiennictwa politycznego o jedno oczko wyżej. Ale nie wymagajmy zbyt wiele.

W cytowanym artykule odnośnie mojej osoby zauważono, że do publicystyki zabierają się ludzie, którym brakło talentu do kontynuowania kariery literackiej.

W przeciwieństwie do wielu moich kolegów z IKC — nigdy nie uważałem się za literata, ale zawsze za dziennikarza. Pisywanie powieści i nowel dla koncernu IKC traktowałem za dział dziennikarstwa, który można uprawiać z wolnej stopy. Z chwilą kiedy zostałem stałym członkiem redakcji nie miałem już czasu na pisywanie powieści. Nowele pisywałem do końca to jest do września 1939 roku.

Już po tygodniu praktyki w redakcji zdałem sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, że najwyższą formą sztuki dziennikarskiej jest publicystyka polityczna i po drugie, że dla kandydata na publicystę „talencik” literacki jest niezmiernie cennym atutem. Wiedzę, oczytanie, doświadczenie — rutynę — można zdobyć. Ale talencik choćby najmniejszy trzeba mieć.

Znałem publicystów niezmiernie wykształconych i inteligentnych, którzy fascynująco dyskutowali o problemach politycznych. Z chwilą jednak kiedy założyli papier na maszynę do pisania, wszystko wypadało płasko i nudno. Nie mieli tej szczypty talenciku literackiego tak pogardzanej przez tych, którzy sądzą, że do dziennikarstwa potrzebna jest profesura w PUNO, ale nie talent.

Mój start w literaturze szpiegowskiej ułatwił mi również przyswojenie sobie fundamentalnej zasady dziennikarstwa: „co jest nudne nigdy nie jest

dobre”. Poziom, „głębia”, erudycja — jeżeli w sumie dają nudę, nie są sztuką dziennikarską.

U nas pokutuje z dawien dawna kompleks profesorskiej publicystyki. Przed wojną każde szanujące się pismo miało komplecik profesorów uniwersytetu, którzy (przeważnie) pisywali nudne, ostrożne, bezbarwne „wstępniaki” ku zbudowaniu publiczności. Były wyjątki. Profesorowie parający się publicystyką nie zawsze byli ludźmi bez talentu. Natomiast zawsze byli więźniami akademickiej konwencji.

Bertrand Russell — matematyk, logik i filozof o międzynarodowej pozycji — przed kilku laty wydał tom nowel. A w ubiegłym roku przesiedział się tydzień w więzieniu za demonstracje antyatomowe.

Prof. Fred Hoyle — światowej sławy astronom, twórca teorii „continuous creation” — pisuje doskonale „science-fiction”, fantastyczne opowieści o astronautach — do czego ma znakomite fachowe przygotowanie.

Co by się działo w moim ukochanym cesarsko-królewskim Krakowie gdyby przed wojną na czele demonstracyjnego pochodu pomaszerowali profesorowie Mycielski i Chrzanowski i usiedli na skrzyżowanych nogach wprost na chodniku przed województwem? Albo gdyby matematyk prof. Wilkosz wydał pod swoim imieniem i nazwiskiem powieść fantastyczną o wyprawie na Wenus. Albo gdyby prof. Tatarkiewicz zadebiutował którejś wiosny tomem pikantnych nowel.

Kraków by tego nie przeżył — Kraków by się zawałił.

Prof. Chrzanowski (wspaniała męczeńska postać z jagiellońskiego, przedwojennego grona profesorskiego) — do końca życia nie mógł pojąć, że można być znakomitym znawcą literatury francuskiej i równocześnie bawić się „Słówkami”. Ze można wygłaszać prelekcje na Sorbonie i równocześnie pisywać o „Dziewicach konsystorskich”. Dla niego Boy był „błaznem”. Boy na pewno był błaznem, ale w sensie jaki temu słowu nadaje Leszek Kołakowski („Kapłan i Błazen”). Boy był pisarzem i uczonym niepomierne bardziej utalentowanym niż prof. Chrzanowski.

Kult „akademickości” i uwielbienie dla tytułów naukowych (co drugi inteligent w Krakowie był doktorem) — przejęliśmy z Austrii i z Niemiec. Dziennikarstwo nie ma nic wspólnego z akademickością. Dziennikarstwo — obojętne czy to będzie reportaż czy publicystyka — jest sztuką, sztuką stosowaną, ale nie mniej sztuką. Braku dziennikarskiego talentu nie przysłoni ani toga profesorska ani tytuł naukowy. Najgorszą bo najnudniejszą publicystykę produkują ci, którym brakło uzdolnień do kontynuowania kariery naukowej i zdobycia laurów w obranej dyscyplinie akademickiej. Zawiedzeni w swych ambicjach naukowych profesorowie i docenci byli plagą polskiego dziennikarstwa.

W listopadzie ubiegłego roku złożył mi kurtuazyjną wizytę pewien młody krajowy poeta i dramaturg. Przyszedł, jak się wyraził — złożyć wyrazy uznania dla „Kultury”.

W pewnej chwili, gdy już omówiliśmy najnowsze książki emigracyjne — mój gość uśmiechnął się z zażenowaniem i powiedział: „przecież pan mógłby być krytykiem, mógłby pan pisać o książkach, o poezji, o teatrze — po co się pan babrze w tej publicystyce?”

Nie zamierzam streszczać naszej dość ożywionej dyskusji i ograniczę się do wniosków i refleksji.



Młody pisarz, o którym mówimy, liczy sobie 30 wiosen. Kiedy nauczył się czytać, publicystyka w Polsce już nie istniała. I nie ma jej do tej pory.

Tam gdzie w sprawach politycznych nie można powiedzieć „nie” — publicystyka jest zarówno zbędna jak niemożliwa. Wystarczy państwowo-twórczy komentarz i propaganda.

Jedyną formą sztuki dziennikarskiej w Polsce, którą uprawiając można być nie-konformistą, bić pięścią w stół, szargać świętości i krzyczyć „nie” — jest krytyka literacka. Właściwie tylko w płaszczyźnie krytyki literackiej odbywa się w kraju jakaś dyskusja. I dlatego krytykę literacką uprawiają wszyscy pisarze, którzy mają coś do powiedzenia. W tej grupie istnieje największa rozpiętość poglądów i największe różnice wieku. Krytyk Słonimski mógłby być ojcem (a może dziadkiem) krytyka Błońskiego, który ogłosił niedawno w PIW książkę pod charakterystycznym tytułem „Zmiana warty”. Krytyką literacką zajmują się Kott, Żółkiewski, Matuszewski, Wyka, Sandauer, Kijowski, Flaszyn, — grupa katolicka i paxowa oraz „legion młodych” ze „Współczesności”.

Przytoczone dane czerpię z niezmiernie interesującego artykułu Andrzeja Kijowskiego (o książce Błońskiego) pt. „Skazani na krytykę”.

Kijowski oczywiście tego nie napisze, ale oni wszyscy skazani są na krytykę. W kraju w którym nie ma i nie może być publicystyki — krytyka literacka staje się jedyną areną dyskusji i często jedyną formą protestu. W krytyce literackiej można mnóstwo rzeczy napisać między wierszami, można operować systemem niedomówień, półcieni, określeń — zrozumiałych dla wtajemniczonych — jednym słowem, można budować „świat obok świata” co jest freudowskim, klasycznym fenomenem represji.

Młody pisarz krajowy, o którym wyżej wspomniałem — podobnie jak Błoński (rocznik 1931) wychował się i uformował w kraju, w którym publicystyka jest rzeczą nieznaną. Spazm emocji z jakim otwierałem w redakcji IKC każdy numer wileńskiego „Słowa” szukając artykułu sygnowanego „Cat” — tym młodym panom jest zupełnie obcy. Pisarzom tego pokolenia nie byłoby rzeczą możliwą nawet w przybliżeniu wyjaśnić czym była publicystyka Strońskiego. W wymiarze Polski Ludowej brak jest analogii dla tego typu zjawisk.

Wracając do powieści szpiegowskich z rozkoszą pisałbym je i dziś gdybym miał czas. Choć zabrzmi to zarozumiale myślę, że robiłbym to lepiej niż Val Gielgud, którego „Fall of the Sparow” choć częściowo dzieje się w Warszawie jest beznadziejną słabizną. Gielgud stanowi doskonały przykład, że nie wystarczy być utalentowanym pisarzem i reżyserem, by napisać dobrą powieść szpiegowską. Trzeba jeszcze mieć instynkt polityczny — bo szpiegostwo podobnie jak publicystyka jest formą politycznego działania.

W tej samej mierze co dziennikarstwo również i historiografia jest sztuką. W tym wspaniałym fachu za ideał należy uważać połączenie solidnego akademickiego przygotowania z talentem pisarskim. Ale konwencja akademicka odgrywa tu olbrzymią rolę. Szanujący się profesor czy docent nie napisze słowa na temat, który nie mieści się, w „jego epoce”. Dzięki temu nie było ani w kraju ani na emigracji Historii Stanów Zjednoczonych — dopóki wyczerpującego dzieła poświęconego temu arcy-tema-

towi nie napisał nie-akademicki historyk (z wykształcenia prawnik, z zawodu dziennikarz) Paweł Zaremba.

„The Listener” zwrócił kiedyś uwagę, że dzieła historyczne, które wywarły największy wpływ wyszły spod pióra nie-akademickich historyków. Gibbon, Macaulay, Carlyle, Grotte — nie byli uniwersyteckimi historykami. Młodego Gibbona po czternastu miesiącach studiów wyrzucili z trzaskiem z Oxfordu co mu nie przeszkodziło nieco później napisać „The Decline and Fall of the Roman Empire”.



Czy istnieje jakiś związek pomiędzy parafianšczyzną a egzotyką? „Mazowsze” jest egzotyczne, egzotyczne — dla widza Zachodu — są filmy Wajdy „Popiół i Diament” czy „Lotna”. Można by więc zaryzykować uogólniające twierdzenie, że parafianšczyzna wizualnie bywa egzotyczna i w postaci filmu czy baletu nadaje się do eksportu na rynki zagraniczne. W takim wypadku nie mówimy oczywiście o parafianšczyźnie tylko o folklorze. Różnica pomiędzy parafianšczyzną a folklorem polega na tym, że parafianšczyzna jest surowcem, a folklor gotowym fabrykatem. I w tym sensie mówienie o fałszywym folklorze „Mazowsza” czy „Cepelii” jest nonsensem. Folklor przeznaczony do eksportu jest zawsze poddawany artystycznej obróbce — inaczej nie zarobiłby grosza.

Sprawa się komplikuje gdy egzotyczny parafianin nie tylko tańczy i czaruje z ekranu kinowego, ale zaczyna mówić ze stronicy książki.

Andrzej Kijowski, którego czytam zawsze z niesłabnącym zainteresowaniem — wystąpił z tezą, że polski film zdradza polską literaturę. Nasza literatura „od pół wieku szuka wyjścia na świat”. Choć nie jestem krytykiem filmowym sądzę, że nie popełnię błędu stwierdzając, że film polski w pewnej mierze znalazł już owo „wyjście na świat”. Ale Kijowski bije na alarm, sądzi bowiem, że to wszystko co polska literatura dumnie odrzuca, Andrzej Wajda skrzętnie zbiera i montuje swoje filmy.

A oto fragment aktu oskarżenia:

„Nasi twórcy złapali wiatr bezbłędnie: zrozumieli, że „polski temat” stać się może jeszcze jedną podniecającą egzotyką, która znajduje uznanie na festiwalach — obok meksykańskiej, japońskiej, południowo-amerykańskiej doskonale zagrała egzotyka rogatywki, martyrologii, konspiracji, cwaniactwa. Wywleczono z lamusa całą naszą romantyczną rekwizytornię, skonstruowano na wpół żartem — na wpół serio legendę narodu nieznanego, z lekką obłąkanego, przedstawiono Europie jej chyziowatego, zakompleksionego krewniaka. Uczyniono więc coś wręcz odwrotnego w stosunku do dążeń literatury i myśli publicystycznej: z owych zwalczanych archaizmów i „osobliwości polskich” uszyto Polsce błazeński stroik, aby go wyeksportować”.

Wydaje mi się, że Kijowski popełnia błąd porównując rzeczy nieporównywalne. Rogatywka jako element wizualny jest czymś autentycznie egzotycznym. Natomiast mentalność rogatywki bywa przeważnie archaiczna i parafianška. Innymi słowy rogatywka może być doskonałym motywem filmowym natomiast bardzo wątpliwym motywem literackim. Ale pozostawmy filmy specjalistom.



Literatura polska szuka „wyjścia na świat”. Na jaki świat? Dla Kijowskiego jak i dla 99 % intelektualistów polskich tzw. wielki świat oznacza wiernie i nieodmiennie Paryż i Londyn — nigdy Moskwę, Leningrad czy Pekin.

Kijowski pisze:

„Tworzy się nowa filozofia polskiego życia, której motywem przewodnim jest zerwanie z mitem polskiej „osobliwości”, „niezrozumiałości”, „obcości” wobec świata. Jest to proces psychologicznej i kulturalnej rehabilitacji. Do tego zmierza literatura polska szukając już od pół wieku owego „wyjścia na świat”. Dokonuje się ten proces na różnych płaszczyznach. Celowi temu służy w równej mierze twórczość satyryczno parodystyczna typu Gombrowicza, Dygata, Zielińskiego, Mrożka, co moralistyka Andrejewskiego i Rudnickiego, celowi temu służyły brutalne utwory Borowskiego i Różewicza, działalność krytyczna Kazimierza Wyki i Artura Sandauera”.

To wszystko jest seria nieporozumień. Czytam teraz wydany przez „Kulturę” tom esejów Pawła Hostowca. Trudno o bardziej europejskiego pisarza w klasycznym tego słowa znaczeniu. Humanista, erudyta, sceptyk — o wszystko można go posądzić tylko nie o polską „osobliwość”, „niezrozumiałość” i „obcość” wobec świata.

Jednym z najlepszych esejów w książce jest szkic pt. „Pan Jowialski i jego spadkobiercy”. W moim przekonaniu Hostowiec byłby wielkim pisarzem nawet wówczas, gdyby niczego więcej nie napisał poza tym szkicem. To jest w swoim rodzaju „masterpiece”. Jeżeli chodzi o krytyczną a przy tym niezmiernie zrównoważoną analizę pewnych fenomenów polskości — szkic Hostowca stoi o całe niebo wyżej od literackich przykładów przytoczonych przez Kijowskiego.

Dlaczego wybrałem ten przykład? Bo to jest esej na świetnym europejskim poziomie, napisany przez jednego z najbardziej europejskich polskich pisarzy a dla „wielkiego świata” do którego tęskni Kijowski — stracony. Anglik czy Amerykanin z tego eseju niczego by nie zrozumiał. Przeciętnie wykształcony anglosas nie wie kim był Fredro, nie wie nic o Panu Jowialskim i prawie nic o Piłsudskim. Problematyka spadkobierców Jowialskiego jest mu bardziej obca i nieznaną niż dzieje samurajów japońskich.

Literatura polska w pewnych swych bardzo istotnych aspektach skazana jest na „niezrozumiałość” i „obcość”, które nie zawsze wypływają z jej egzotyczności lecz zwyczajnie z ignorancji Zachodu. I gdybyśmy mieli nie jednego ale stu Hostowców sytuacja nie uległaby zmianie.

Naród nie składa się z pisarzy i ze zjadaczy chleba — tylko składa się ze zjadaczy chleba i z pisarzy. Najpierw naród polski musi „wyjść na świat”, a dopiero wówczas obcy zainteresują się i naszą literaturą.

Londyńczyk jest klasycznym przykładem powszechnie znanego faktu, że marksizm wywarł największy wpływ na tych, którzy go zwalczają. (Podobnie jest z katolicyzmem. Leszek Kołakowski jest urzeczony katolicyzmem i gdy kiedyś wstąpi do dominikanów — nie jezuitów — wszystkich ogarnie zdumienie, ale nie mnie).

Otóż jako „urzeczony” marksizmem stwierdzam, że literatura nie istnieje w oderwaniu od tła narodowo-społeczno-politycznego. By Zachód dojrzał

naszą literaturę musimy być kimś jako naród i jako państwo. To nie literatura polska potrzebuje „nowej filozofii” — to naród polski potrzebuje „nowej filozofii”. Nie można mieć trzeciorzędnej polityki i równocześnie pierwszorzędnej literatury.

Szczytem naiwnej romantyczności jest pogląd, że naród składa się z ciała i z literatury. Ciało może być mdłe i grzęznące w klęsce dnia powszedniego, ale dusza-literatura na wyżynach.

Co tu obwijać w bawełnę, na emigracji (przeważnie) uprawiamy literaturę wspomnienia — w Kraju (przeważnie) literaturę wymijania. Zachód patrzy z wielkim zainteresowaniem na Polskę. Ci, którzy ani nie wspominają ani nie wymijają tylko mówią wprost jak Miłosz („Zniewolony Umysł”) czy Stawar („Ostatnie Pisma”) są na Zachodzie rozchwytywani.

Literatura wspomnienia i literatura wymijania mają swoją rację bytu pod warunkiem, że przynajmniej 50 % pisarzy dorasta do Miłosza i Stawara — to znaczy nie cofa się przed problemem dnia dzisiejszego.

## ODSŁONIĘCIE KART

Jak wiadomo przy zapraszaniu znajomych czy krewnych z Polski trzeba wysłać specjalny list odpowiadający przepisom. We Francji podpis osoby zapraszającej musi być poświadczony przez policję a list notyfikowany w konsulacie PRL.

Jeden z naszych znajomych stale zamieszkały w Paryżu (imię i nazwisko znane Redakcji) — pragnąc sprowadzić swych krewnych do Francji wyśtosował odpowiedni list zapraszający, zalegalizował swój podpis na policji i zgłosił się w konsulacie PRL celem dopełnienia wymaganych formalności. W Konsulacie oświadczono mu jednak, że według najnowszego zarządzenia rządu PRL — zaproszenia emigrantów nie będą honorowane. Ważne jest tylko zaproszenie naturalizowanego obywatela danego kraju ale nie emigranta. Na zapytanie — Konsulat potwierdził tę informację.

W ten sposób emigranci polityczni doczekali się formalnego uznania ze strony rządu PRL.

Najnowsze zarządzenie Warszawy stanowi znakomity i wymowny komentarz do tez p. Myślika pt. „Propozycje dla Emigracji” i dla całej polityki reprezentowanej przez „Tygodnik Powszechny” i „Znak”.

Dyskryminowanie Polaków, którzy trwają przy polskości i którzy w rozumieniu prawa obowiązującego w Polsce Ludowej są nadal polskimi obywatelami — jest charakterystyczne. Rząd PRL popiera *de facto* wynarodowienie i pełną naturalizację, ponieważ to jest najkrótsza droga wiodąca do likwidacji emigracji politycznej.

W świetle tych intencji całą akcją rządu PRL obliczoną na emigrację (Tow. Polonia, wszystkie „Hejnały Mariackie”, „7 Dni Tygodnia”, „Magazyn Polski” itd.) — uznać należy za dywersję. Celem rządu PRL nie jest bowiem podtrzymywanie i krzewienie polskości, lecz przeciwnie jak najszybsza naturalizacja emigracji i likwidacja ognisk opozycji.

Jest nas zagranicą wielokrotnie więcej niż członków partii i nie wy nas — ale my was — przeżyjemy, drodzy panowie.



## KORNACKI — RUDZIŃSKA

Według informacji nadchodzących z Kraju Kornacki został uznany przez lekarzy za człowieka odpowiedzialnego za swoje czyny i prokuratura przygotowuje przeciwko niemu akt oskarżenia. Lekarze mieli stwierdzić, że Kornacki jest poważnie chory nerwowo, ale nie w stopniu umniejszającym jego odpowiedzialność za „popelnione czyny”.

Nie podano do wiadomości ani orzeczenia lekarzy ani powodów aresztowania. Ale w krajach „demokracji ludowej” można obywatela pozbawić wolności każdej chwili na czas nieograniczony — bez rozprawy sądowej i bez prawomocnego wyroku. To stanowi jedną z postępowych cech tzw. „socjalistycznej praworządności”.

Jeszcze bardziej tajemniczo przedstawia się sprawa aresztowania Hanny Rudzińskiej, sekretarki klubu „Krzywego Koła”.

P. Wetz w korespondencji ogłoszonej w „Le Monde” podał, że Rudzińska została aresztowana za „nielegalną dystrybucję” „Kultury” oraz za „nielegalny przemyt” rękopisów przeznaczonych dla redakcji „Kultury” w Paryżu.

W „Le Monde” z 24.11. ub. roku ukazał się list Redaktora „Kultury” prostujący przeinaczenia p. Wetz.

Ponieważ władze PRL uważają posiadanie *jednego* egzemplarza „Kultury” za równoznaczne z aktem „nielegalnego rozpowszechniania” naszego miesięcznika — nie wysyłaliśmy nigdy do p. Rudzińskiej nawet jednego egzemplarza „Kultury”.

Odnosnie zarzutu „przemytu maszynopisów” — Redaktor Giedroyc podkreślił w swoim liście, że od października 1956 wielu polskich pisarzy, przebywających stale w kraju, ogłaszało na łamach „Kultury” swoje utwory literackie i artykuły. Powyższe prace podpisane były pełnym imieniem i nazwiskiem odnośnych autorów i żaden z nich nie był z tego tytułu ani prześladowany ani oskarżony.

W wypadku p. Rudzińskiej chodziło o przekład dla „Kultury” książki prof. Feliksa Grossa, która ukazała się w serii „Philosophical Library” w Nowym Jorku. Zamierzona współpraca p. Rudzińskiej miała więc charakter z jednej strony naukowy z drugiej strony czysto techniczny.

Pozbawione wszelkich podstaw są również informacje p. Wetz, który usiłował dowieść, że jedną z przyczyn aresztowania Rudzińskiej było wydanie przez „Kulturę” „Ostatnich Pism” Andrzeja Stawara. Te dwie sprawy nie mają z sobą absolutnie nic wspólnego.

Redaktor „Kultury” w cytowanym liście w „Le Monde” stwierdza, że Stawar był zdecydowany wydać tę książkę zagranicą: Część jej napisał we Francji i osobiście doręczył redaktorowi „Kultury”. Gdyby p. Wetz przeczytał list Stawara do Redaktora „Kultury” reprodukowany w odbitce fotograficznej w jego „Ostatnich Pismach” — musiałby uznać bezpodstawność swoich informacji.

Szereg pisarzy i uczonych francuskich, amerykańskich i włoskich wystosowało listy do ministra kultury PRL w sprawie Kornackiego — przeay-lając odpisy przewodniczącemu Stow. Pisarzy Polskich w Warszawie.

Niestety powyższy przykład jest raczej odosobniony. Międzynarodowe organizacje, jak Pen-Club, wykazują na razie zdumiewającą wstrzemięźliwość w tej oburzającej sprawie.

## „OKO” J. CZAPSKIEGO

W amerykańskim „Arts Magazine” (Listopad 1961) ukazał się obszerny trzystronicowy artykuł pióra I.A. Langnasa o książce Józefa Czapskiego pt. „Oko” wydanej przez Instytut Literacki w „Bibliotece Kultury”. Artykuł jest nie tylko pełen entuzjazmu, lecz również pełen informacji. Langnas starał się przytoczyć maksimum cytatów oraz zapoznać amerykańskiego czytelnika z charakterystycznymi epizodami jak np. pobyt Czapskiego w Rosji Sowieckiej.

Langnas kończy swój artykuł następująco:

„Dysponując niewielką ilością miejsca musiałem się ograniczyć do zaprezentowania jedynie próbek bogactwa jakie zawiera książka Czapskiego. Dochodzą nas powtarzające się wieści ze wschodniej Europy, że wielu intelektualistów podjęło naukę języka polskiego, by móc czytać polskie „buntownicze pisma”. Na Zachodzie jesteśmy bardziej uprzywilejowani i potrzebujemy tylko dobrych przekładów z polskiego”.

LONDYŃCZYK

---

**PONAWIAMY NASZ APEL DO CZYTELNIKÓW  
O POMOC W WYDANIU  
„PISM OSTATNICH”  
Andrzeja STAWARA  
W JĘZYKU ROSYJSKIM**

---



## Sąsiedzi

# Przegląd niemiecki

### NOWY TYP UCIEKINIERA

Ostatnio pojawiły się w prasie niemieckiej wzmianki o ucieczkach Niemców z „Demokratycznej Republiki” Ulbrichta do Polski. Rzekomo uciekinierom tym Warszawa dość łatwo udziela azylu, a nawet — jeśli petent pochodzi z terenów obecnie znajdujących się w Polsce i jeśli wyraża gotowość przyjęcia obywatelstwa polskiego — zezwala na osiedlanie się w miejscu pochodzenia w charakterze reemigranta.

Na razie brak jest danych dokładnie opisujących to nowe zjawisko i stwierdzających jego rozmiary. Nie mniej jednak od samego zjawiska, interesującą jest reakcja niektórych środowisk zachodnio-niemieckich. Wielka prasa nie wypowiada się w tej sprawie, natomiast jedno z pism, zajmujących się wyłącznie zagadnieniami wschodnimi, uzupełnia wiadomość następującym komentarzem:

„Jest strasznym zjawiskiem, że Niemcy z komunistycznie terroryzowanej części Niemiec uciekają do Polski, do kraju, który po zakończeniu wojny wypędził Niemców z ich ojcowizny. Takie rozmiary przybrał dziś obłęd w raju komunistycznym”.

Należałoby stąd wnioskować, że Niemiec wracający do swego „Heimatu”, decydujący się jednocześnie przyjąć obywatelstwo polskie, działa pod wpływem obłędu. Oczywiście można i tak sądzić, zamiast przyznać że ich ucieczki z reżymu Ulbrichta są raczej wynikiem chłopskiego rozsądku niż obłędu.

Dziś trudno jest przewidywać, czy ucieczki rozwiną się szerzej, czy ograniczą się do sporadycznych wypadków. Nie wiadomo również jak ustosunkuje się reżym wschodnio-niemiecki do tego zagadnienia, mającego niewątpliwie jakiś związek z bardzo odmienną polityką rolniczą Gomułki i Ulbrichta. Natomiast można już stwierdzić, że powstało nowe zagadnienie i że pojawił się nowy typ niemieckiego uchodźcy.

## MOCARSTWO ŚWIATOWE

Biegunowym przeciwieństwem dróg myślowych, prowadzących prowincjonalne pisemko do przytoczonej tu wypowiedzi, jest praca F. Fischera, profesora hamburskiego uniwersytetu, zatytułowana „Griff nach der Weltmacht” i omawiająca na blisko ośmiuset stronach cele polityki wojennej Niemiec Cesarskich w latach 1914-1918.

Paul Sethe, znany autor, krytyk i publicysta, omawiając to dzieło w tygodniku „Die Zeit” słusznie zauważył, że tytuł mógłby raczej brzmieć „Wszystko było inaczej”.

Studiując tę rewelacyjną w historiografii niemieckiej księgę, czytelnik niemiecki rzeczywiście nie może oprzeć się wrażeniu, że wszystko działo się inaczej, niż uczono w czasach Republiki Weimarskiej, Trzeciej Rzeszy, a nawet po 1945 roku.

Dokumentacja Fischera, oparta na źródłach dawniejszych, lecz głównie na udostępnionych dopiero w ostatnich latach, jest tak przekonująca, a argumentacja tak pozbawiona oskarżeń lub obrony kogoś albo czegoś, tak chłodno i beznamiętnie stwierdzająca fakty, — że chyba tylko przytoczenie dokumentów nieznanymi lub pominiętymi przez Fischera mogłoby podważyć jego konkluzje.

Fischer stwierdza, że program celów wojennych, ułożony we wrześniu 1914 roku przez ówczesnego Kanclerza (Theobald von Bethmann Hollweg), nie był dziełem jakiegoś fantasty i marzyciela, lecz wyrazem zbiorowej woli najwyższych urzędników i ministrów, pruskiej generalicji, Kanclerza i Cesarza, a także wielu naukowców i przedstawicieli gospodarki niemieckiej.

Program wrześniowy Bethmann Hollwega, wykonywany niemal bez zmian jeszcze latem 1918 roku, ustalał granice Rzeszy na zachód od Wogezów aż po Dunkierkę, Francję uzależniał gospodarczo od Niemiec, Belgię rozdzielał na satelicką Flandrię i Walonię, czyniąc z Antwerpii główny port Niemiec Zachodnich. Wschodnie plany przedstawiały się jeszcze fantastycznie. Dla nas wymowne jest stwierdzenie, że już wówczas obficie używano terminów „przesiedlenie” i „germanizacja”. Całość projektu uzupełniał zamiar stworzenia olbrzymiego imperium kolonialnego w Afryce Centralnej.

W świetle badań Fischera, hitlerowskie pomysły „Wielkich Niemiec”, kolonizacji Europy Wschodniej, nawodnienia Sahary, itp., stanowią ciągłość i rozwój dawniejszych projektów, a tylko w niektórych momentach produkt obłąkanych umysłów.

Potwierdzenie tej tezy znajdujemy także u profesora M. Freunda, który pisze, że część spiskowców organizujących w lipcu 1944 roku zamach na Hitlera, wierzyła wówczas w utrzymanie przy Rzeszy Alzacji i Lotaryngii, Austrii i Sudetów, a na wschodzie co najmniej granic z 1914 roku.

Ale ani państwo pruskie, ani naród niemiecki, nie byli wynalazcami „polityki siły” i zaborczego imperializmu. Te choroby szerzyły się od dawna i nie ominęły żadnego z wielkich narodów. Nie należy przeto zbyt ostro osądzać Niemców za wybuch epidemii, można zarzucać im raczej zbyt przewlekłą rekonwalescencję, skoro zarówno choroba, jak i jej terapia nie kryją w obecnych czasach specjalnych tajemnic.



Można mieć nadzieję, że praca profesora Fischera poważnie przyczyni się do skrócenia okresu rekonwalescencji, jak już przyczyniły się w tym kierunku w ostatnich latach prace i wypowiedzi kilku innych niemieckich profesorów.

### CZWARTY RZĄD ADENAUERA

Wyniki wyborów do czwartego powojennego Bundestagu spowodowały szereg doraźnych zmian politycznych, oraz uwydatniły kilka długofalowych zagadnień. Przede wszystkim szczegół, na który nie zwrócono na ogół większej uwagi: dotkliwa, i wydaje się ostateczna, porażka partii BHE, utworzonej przed dwunastu laty przez uchodźców, a tytułującej się ostatnio Partią Ogólno-Niemiecką (*Gesamtdutsche Partei* — GPD).

W początkach swego istnienia BHE zajmowała się raczej gospodarczą integracją uchodźców niż wielką polityką, zyskując na tej drodze szybki rozrost. W miarę pomyślnego przebiegu integracji uchodźców, partia szukała popularności, kierując się ku hasłom bardziej zbliżonym do minionego okresu „Wielkich Niemiec”, niż do nowych prądów zachodnio-europejskich. Rezultaty: w wyborach do Trzeciego Reichstagu (1957) zabrakło partii około czterech promille głosów koniecznych do przeskokowania obowiązującego pięcioprocentowego minimum. Gdy w ubiegłym czteroleciu jeszcze bardziej radykalizowano hasła — ostatnie wybory przyniosły druzgocącą klęskę. Ilość otrzymanych głosów spadła poniżej dwóch procent. Partia znika z areny politycznej.

Ale nie to nas interesuje. Ważniejsze jest to, że hasła wielkonemieckie przestają „chwycić” i że można to przypisać pomyślnej rekonwalescencji Niemiec po przebytej ciężkiej chorobie politycznej.

Sprawująca rządy od dwunastu lat chadecja utraciła większość absolutną, posiadaną w Trzecim Reichstagu. (Poprzednio 270 mandatów, obecnie 242, na ogólną ilość 499).

Liberalowie (*Freie Demokratische Partei* — FDP) przystępując do wyborów pod hasłem „współpraca z chadecją, ale precz z Adenauerem” — poprawili swój stan z 41 na 67 mandatów i mogliby utworzyć z socjalistami większość rządzącą. Jednak droga do porozumienia między tymi partiami obfituje w tak trudne przeszkody, że liberalowie zdecydowali się wstąpić do rządu Adenauera. Wyborcze hasła „bez Adenauera!” zasłonięto oświadczeniem Kanclerza, że sam ustąpi ze swego urzędu mniej więcej w połowie kadencji. Spisano wielopunktowy pakt aliansu i Adenauer po raz czwarty został Kanclerzem powojennych Niemiec. Czy wobec tego wszystko dzieć się będzie po dawnemu?

O „samodzielnych decyzjach”, o „autorytatywnych zapędach”, o „kanclerskiej demokracji” jako złośliwym wynalazku sędziwego męża stanu, zadrukowano w Niemczech i poza Niemcami olbrzymie ilości papieru, zapominając na ogół, że według konstytucji „Kanclerz wyznacza kierunki polityki i ponosi za to odpowiedzialność” (Art. 65). Wynika stąd, że samo-

dzielne decyzje Kanclerza są jego konstytucyjnym uprawnieniem i tylko większość parlamentu może się takim decyzjom przeciwstawić. W dalszej konsekwencji, przy absolutnej większości partii kanclerskiej w parlamencie, samodzielne decyzje mogą być powstrzymane jedynie przez większość we własnej frakcji. Taka właśnie sytuacja w ubiegłym czteroleciu osłabiała aktywność Reichstagu, przenosząc ośrodek decyzji do wewnętrznych obrad partii rządzącej i stwarzając z parlamentu automat, legalizujący uchwały powzięte bez udziału opozycji.

Ten stan rzeczy uległ zasadniczej zmianie i w swym czwartym rządzie — mimo tych samych artykułów konstytucji — Adenauer jest zmuszony stosować taktykę koalicyjnej, a nie własnopartyjnej demokracji, aby zachować przy sobie „wyznaczenie kierunków polityki”.

Opozycja socjalistyczna w kampanii wyborczej, jako główną przynętę dla niezdecydowanych wyborców, wysunęła kandydaturę dynamicznego i młodego nadburmistrza Berlina, Willy Brandta, na przyszłego Kanclerza, a poza tym zgłosiła dwa hasła wyborcze identyczne z hasłami chadeków i liberalów: wzmocnienie związków z Zachodem i pełne poparcie NATO. Niewątpliwie te dwa hasła więcej niż osoba Brandta przyczyniły się do zwiększenia liczby posłów SPD ze 169 na 190.

Zgłoszenie przez socjalistów hasel wyborczych, stanowiących podstawę polityki chadeków, spowodowało dalszy — może nie zamierzony, lecz niemniej ważny — skutek: wydatne złagodzenie klimatu w czwartym Bundestagu. Nic nie wskazuje, aby socjaliści zamierzali wycofać się z tych hasel, co wynika z wielokrotnie zgłaszanej gotowości do współpracy z chadecją pod kierownictwem Adenauera jako Kanclerza. Można przeto spodziewać się, że w polityce nowego rządu utrzymane zostaną następujące zasadnicze kierunki: dalsze zacieśnianie sojuszu z Francją, integracja europejska, udział w atlantyckim pakcie obronnym, udział w pomocy dla krajów zacofanych i — przeciwstawianie się teorii dwóch państw niemieckich.

Impas polityczny, zastosowany do państw „satelickich”, a przede wszystkim do Polski, potra prawdopodobnie jeszcze dość długo. Jednak czas i wydarzenia światowe coraz mocniej zmuszają Niemcy do zalegalizowania strat, poniesionych wskutek rozpętania wojny napastniczej i katastrofy światowej. Znamiennie jest, że w Niemczech wiele się pisze i mówi o „płaceniu rachunku za przegraną wojnę”, co stanowi — używając delikatnych określeń — uchybienie ścisłości historycznej. Niemcy już zapłaciły i jeszcze płacą straszliwy rachunek nie za przegraną wojnę, lecz za wywołanie katastrofy światowej.

Niemniej znamiennie jest, że wiele takich „rachunków” dawno znalazło pokrycie w faktach dokonanych. Ale przed formalnym uznaniem i zalegalizowaniem tych faktów Niemcy wzbraniają się zawzięcie.

Czy czwarty Bundestag zechce przezwyciężyć opory będące przejawem trwającej jeszcze rekonwalescencji — trudno przewidywać. Należy natomiast dostrzegać i wiedzieć, że nie tylko wybitni historycy i publicyści, lecz także wielu polityków zarówno z koalicji rządzącej, jak i z opozycji, dawno odeszło od szablonów obowiązujących wśród różnych „niezlomnych”.



## Najnowsza historia Polski

### Lato w Kościelnikach

W „Tygodniu Polskim” w Londynie z dnia 21.1.1960 r. (sobotni dodatek do „Dziennika Polskiego”) gen. Felicjan Sławoj Składkowski ogłosił fragment swoich wspomnień. Temat jest pasjonujący: „Tajemnica rodzinna lekarza przybocznego Marszałka — ostatni rozkaz Piłsudskiego”. Artykuł jest, jak zwykle, bardzo dobrze napisany, pozostawia jednak wrażenie niedosytu. Pewnych rzeczy generał Składkowski zapewne nie chciał napisać — o innych, być może, nie wie. Tak się złożyło, że w latach okupacji zetknąłem się z doktorem Marcinem Woyczyńskim oraz z paroma osobami zaprzyjaźnionymi z nim i z jego śp. żoną, i z ich ust znam relację o tych samych wydarzeniach — z kwietnia i maja 1935 roku — o których gen. Składkowski pisał w artykule pt. „Tajemnica rodzinna lekarza przybocznego Marszałka”. A jak to było — opowiem.

Część lata 1942 spędziłem w Kościelnikach pod Krakowem. Stary pałac wybudowany kiedyś przez Mniszków, przeszedł następnie w posiadanie rodziny Wodzickich, w których rękach znajdował się do ostatka. W latach Rzeczypospolitej Krakowskiej (1815 do 1846) był rezydencją prezesa jej Senatu, hr. Stanisława Wodzickiego (1), pradziada ostatniego właściciela. Położony w malowniczym parku i zaopatrzony w piękną bibliotekę, zajmującą dwie ogromne sale na pierwszym piętrze, był idealnym schronieniem dla ludzi, którzy przynajmniej na jakiś czas pragnęli „zniknąć” z Warszawy albo pobliskiego Krakowa. Gościnność gospodarzy — jak to w owych latach było niemal regułą — nie miała granic, toteż dom roił się od gości. Waham się, czy nie użyć tutaj innego słowa. Zamiast „goście” napiszmy zatem „rezydenci” — to staromodne wyrażenie odda lepiej atmosferę.

(1) Autora głośnych „Uwag nad Żydami polskimi”. (Rok wydania 1816).

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Zatem, dom roił się od rezydentów. A bywali wśród nich ludzie nie byle jacy. Tak np. czas jakiś mieszkał w Kościelnikach Zygmunt Zuławski, były długoletni poseł socjalistyczny i wice-marszałek Sejmu, oraz inny zasłużony działacz robotniczy, poseł jeszcze do Parlamentu wiedeńskiego z ramienia PPSD Galicji i Śląska, b. legionista, kawaler wirtuti militari, wybitny lekarz-społecznik (organizator Kas Chorych w dawnej Galicji i na Śląsku Cieszyńskim) dr Ryszard Kunicki, brat „Proletariacka” (2).

W starym pałacu — jak to u nas często bywa — zbiegały się więc z sobą rozmaite tradycje — nie tylko arystokratyczne. Podczas mojego pobytu mieszkały tam jeszcze dwie rodziny żydowskie z tzw. inteligencji — oczywiście z fałszywymi papierami.

My wszyscy byliśmy jednak jak przelotne ptaki. Zawadzaliśmy o Kościelniki tylko przejściowo. Za miedzą, w powiecie miechowskim i jędrzejowskim, było sporo domów niemniej gościnnych, przez które prowadził niezawodny szlak przyjaźni i gotowości do pomocy. (Np. Biurków, Marchocice, Nadzów, a nieco dalej na wschód — Działoszyce). Rezydentem Kościelnik w dosłownym znaczeniu tego wyrazu był natomiast płk dr Marcin Woyczyński, „przyboczny lekarz marszałka Piłsudskiego”.

Przez kilka tygodni codziennie rano spotykałem się z doktorem Woyczyńskim w kościelnickim parku. Ponieważ od lat młodzieńczych fascynowała mnie postać Piłsudskiego, więc przy każdej okazji, gdy stykałem się z kimś należącym do jego otoczenia, starałem się wykorzystać taką sposobność i sprowadzałem rozmowę na temat zmarłego Marszałka. Uczyniłem tak oczywiście także po zetknięciu się z dr Woyczyńskim. Stary ten jednak i wieloletni przyjaciel Józefa Piłsudskiego, a w latach niepodległości jego lekarz przyboczny, był milkliwy i tematu poruszanego przeze mnie zdecydowanie unikał. Któregoś dnia siedząc na ławeczce natarłem ponownie:

— A jak to było z chorobą Piłsudskiego — zapytałem. — Pan, jako jego lekarz przyboczny...

Woyczyński zachnął się: — Nie byłem lekarzem przybocznym Piłsudskiego...

— Jak to! — wykrzyknąłem. — Co mi pan opowiada, doktorze? Przecież sam co najmniej kilkanaście razy adiusto-

(2) Starszy brat dr Ryszarda Kunickiego, Stanisław (1861-1886) był od roku 1883 członkiem Centralnego Komitetu konspiracyjnej partii socjalistycznej noszącej nazwę „Proletariat” (tz. Wielki „Proletariat”), czynnej na terenie zaboru rosyjskiego. W r. 1884 założył w Paryżu zagraniczny organ „Proletariatu” pod nazwą „Walka klas”. W tym samym roku wrócił do Warszawy i brał udział w akcji terrorystycznej wymierzonej przeciwko caratowi. Aresztowany w kilka miesięcy po powrocie z Francji, został skazany na śmierć i w dniu 28 stycznia 1886 wraz z kilkoma innymi rewolucyjnymi działaczami robotniczymi zginął na szubienicy.

Dr Ryszard Kunicki (ur. 1873) przechowywał jak relikwię, i pokazywał mi przed laty, dywanik utkany własnoręcznie przez Stanisława — w okresie, gdy oczekiwał w Cytadeli na wykonanie wyroku śmierci.



wałem depesze PAT'a brzmiące mniej więcej tak: „Marszałek Piłsudski wyjechał na wypoczynek do Druskiennik. Towarzyszy mu lekarz przyboczny płk dr Marcin Woyczyński...”.

Stary doktor nachmurzył się. — A jednak — powiedział — nie byłem lekarzem przybocznym Marszałka. — I po chwili dodał: — Wiem to z ust najbardziej miarodajnych.

Tak zaczęła się nasza pierwsza rozmowa o Piłsudskim.

— Jakżesz to było? Dziś — mówiłem — gdy wszystko leży w gruzach, gdy my tu w tym parku, w tym pałacu jesteśmy jak gdyby grupką ludzi na krze, która każdej chwili może zatonać, gdy nic już swoim opowiadaniem nie może pan ani naprawić, ani zepsuć, niechże pan mówi!

Woyczyński spojrzął po parku, pomachał bosymi stopami, gdyż miał taki zwyczaj, że przed południem zarówno po pałacu jak po parku chodził w parczanych portkach i na bosaka, i mrużąc oczy powiedział:

— Wie pan, to było tak. Na parę miesięcy przed śmiercią, gdy marszałek chudł i wędnał w oczach, napierał na mnie generał dr Roupert i generał Długoszowski, jak pan wie również z wykształcenia lekarz, żeby przełamać niechęć Marszałka do zabiegów leczniczych, a przynajmniej, żeby go zbadać. Zdawałoby się, że należało to niejako do moich naturalnych obowiązków, jako „lekarza przybocznego”. Ale, widzi pan, to nie było takie proste. Funkcja moja w Belwederze, a potem, gdy Marszałek przeniósł się do Generalnego Inspektoratu, w jego nowej siedzibie, była równie skomplikowana jak nieokreślona. Marszałek zdaje się lubił po prostu gdy byłem koło niego, albo w jego pobliżu. Właściwie niczego konkretnego ode mnie nie potrzebował, ani też żadnych konkretnych zleceń mi nie dawał. Ale musiałem być przy nim zwłaszcza w długie godziny wieczorne i nocne, gdy pił herbatę, palił papierosy, stawiał pasjanse, albo przeglądał akta. Trwało to czasem do trzeciej nad ranem. Zdarzało się, że wyszedłem w ciągu dnia z Belwederu do miasta, a już wzywał mnie telefon z adiutantury. Poszedłem raz do Café Clubu. Zaledwie zdążyłem zamówić szklankę kawy podbiegł do mnie dyrektor sali i zawiadomił, że jest do mnie telefon z Belwederu. Nie zamieszawszy nawet kawy lyżeczką poszedłem do telefonu. Dzwonił dyżurny adiutant:

— Panie pułkowniku pan marszałek niezadowolony, że pan wyszedł i prosi żeby pan zaraz wrócił. Już posłałem samochód.

Istotnie, zanim skończyłem rozmowę wóz z Belwederu stał przed Café Clubem.

Gdy wróciłem i zapytałem marszałka, czy chce czegoś ode mnie, powiedział:

— Siedź tutaj.

Siedziałem więc do późnej nocy.

— No, i?

— Nic! Marszałek przeglądał akta.

— Hm — mruknąłem — dziwna to była służba.

— A, dziwna — odpowiedział Woyczyński. — Tyle lat...

W alei parku ukazał się mój przyjaciel, z którym przyjechaliśmy do Kościelnek. Także i jego, podobnie jak mnie, fascynowała (3) zawsze postać Piłsudskiego i także on nie jeden raz wyciągał doktora na słówka.

Dzień widocznie sprzyjał zwierzeniom, bo za chwilę, nawet przez nas nie przynaglany, Woyczyński sam wrócił do przerwanego wątku.

— Na kilka miesięcy przed śmiercią — rozpoczął patrząc w stronę pobliskiego stawu — gdy około godziny 3-ciej nad ranem Marszałek zaczął się rozbierać i zrzuciwszy kurtkę usiadł na łóżku w spodniach jedynie i w koszuli — a było to już w okresie jego śmiertelnej choroby — narzuciłem koszulę na kark i ramiona Marszałka i przyłożyłem szybko ucho do jego odsłoniętych pleców. Ale Marszałek szarpnął się, gniewnym ruchem obciągnął koszulę z powrotem i rzekł z pasją:

— A cóż ty, gówniarzu, wyobrażasz sobie, że jesteś moim lekarzem przybocznym?

Roześmiałem się:

— A wiesz — powiedziałem — rzeczywiście wyobrażałem sobie, że jestem twoim lekarzem przybocznym. Przynajmniej od lat kwituję swoje uposażenie na liście twojego gabinetu w rubryce „doktor Marcin Woyczyński lekarz przyboczny Marszałka”. Ale, skoro twierdzisz, że nie jestem...

Roześmialiśmy się obaj. Z badania oczywiście nic nie wyszło.

Tak zaczęły się zwierzenia Woyczyńskiego.

Lody, zdawało się, zostały przełamane.

Słońce zaczęło przygrzewać i zajrzało nawet na naszą zazwyczaj cieniistą ławeczkę. Opopadał lśniła tafla stawu. Choć brzegi miał błotniste, miło było w taki upalny dzień posiedzieć na trawiastej grobli.

— Pójdę trochę pobrodzić — powiedział doktor, i wstał z ławki.

W swoich kusych porciętach podtrzymywanych zrudziałym paskiem, w koszuli z grubego płótna, bosy, wydał mi się w tej

(3) Wpływ, jaki Piłsudski wywierał na naszą generację, ujął moim zdaniem najtrafniej, i jednocześnie bardzo pięknie, amb. Kajetan Morawski, więc człowiek pochodzący z zupełnie innego środowiska politycznego i innej szkoły myślenia. Oto odnośne zdanie o Piłsudskim i o naszym pokoleniu: „...Bardziej niż sobą, byliśmy jego współczesnymi...”.

Cytuję z pamięci z eseju Morawskiego ogłoszonego przed kilku laty w „Kulturze”.

Inny przykład: Płk Adam Zakrzewski, oficer kawalerii pochodzący z dawnej armii rosyjskiej, (w czasie kampanii wrześniowej dowódca Pomorskiej Brygady Kawalerii), pisze we wspomnieniach, ogłoszonych w Kraju: „...Legioniści byli dla mnie pod każdym względem wzorem, a Józef Piłsudski *alfą i omegą* wszystkiego, co się podówczas wokoło mnie działo...” (str. 26). Książka ukazała się w Warszawie w r. 1958, nakładem MON.



chwili jakimś jak gdyby reliktem czasów, które dawno minęły, ale które znałem z ustnej tradycji. Jakiś zapóźniony „Tolstojowiec”, „Boży człowiek”, a może po prostu postać z powieści G.B. Shawa „Socjalista na ustroniu”... Poprzednia generacja socjalistów — utopistów obfitowała w tego rodzaju szanowne, lecz dziwaczne indywidualności. Spotkałem raz, w latach wczesnej młodości, takiego jednego typka w dzielnicy Menilmontant, w Paryżu. Był Polakiem. Używał nazwiska Różycki. Nie posiadał, jak twierdził, żadnych dokumentów osobistych — nawet prawa pobytu we Francji — bo „nie uznawał” instytucji państwa. Żył więc, jak twierdził, „nielegalnie” — od roku 1907!

(Był wówczas rok 1925!) Nie przeszkadzało mu to jednak wydawać w Paryżu miesięcznik pod nazwą „Anarcho-Syndykalista” — organ polskich anarchistów — syndykalistów. (Istnieli widocznie i tacy). Byłem wtedy pod wrażeniem książek Kropotkina, którego i on uwielbiał, i to nas zbliżyło. Spotykaliśmy się „konspiracyjnie”, w wolnym i rozświetlonym Paryżu, w Café du Métro, przy placu Republiki. Namawiał mnie gwałtownie, by stać się anarcho-syndykalistą — co przy jego konspiracyjnej manii uznać muszę za dowód wielkiego zaufania. Miałem wówczas niewiele ponad dwadzieścia lat, i dosyć pstro w głowie, ale mój *common sense* zwyciężył. Wspomnienie jednakże o spotkaniach z „Różyckim” zachowałem w życzliwej pamięci. To był na pewno szlachetny człowiek.

Teraz, gdy patrzyłem na brodzącego na skraju stawu staro abnegata, przypomniał mi się niespodziewanie tamten szlachetny dziwak. „Polska” — pomyślałem z rozpaczą — „jest straszliwie spóźniona” — i wydało mi się, że zbliżyłem się jak gdyby do zrozumienia wielu dziwnych rzeczy. I Piłsudskiego — i Woyczyńskiego, i — być może — Składkowskiego...

Z folwarku, po nagrzaną łące, doleciał przygłuszony stuk motoru. Samochodem po kocmyrzowskiej szosie jeździł przed wojną chyba tylko pan starosta (albo pan wojewoda...) teraz mogli to być tylko Niemcy. Taka myśl w tamtych latach dławiła oddech. Sielankę kościelnicką przerywały co jakiś czas wieści ze świata. „Światem” był dla nas pobliski Kraków i — oczywiście — Warszawa. Nie były to dobre wieści. Wciąż na kogoś spadało nieszczęście. Uderzenia Gestapo szły, zdawać się mogło, kołem. W Kocmyrzowie była przed paru dniami oblawa. Opodal szosy za miasteczkiem rozstrzelano kilku młodych ludzi. (Pokazano mi następnej wiosny to miejsce. Wśród ładu młodej pszenicy kilka kępek wybujało niezwykle wysoko. „To tam” — pokazywano — „gdzie z nich krew uszła”).

W takiej atmosferze powróciłem kiedyś do mojej obsesji.

— Doktorze — powiedziałem — może jednak opowie mi pan coś jeszcze o Piłsudskim.

Krażyłem uparcie koło pewnej sprawy, której dramatyczne zakończenie znałem już z innych wiarogodnych ust. Otóż, tutaj trzeba powiedzieć, że żona doktora Woyczyńskiego bezpośrednio

po wypuszczeniu jej z więzienia na Pawiaku, dokąd — jak to pogodnie opowiada generał Śładkowski — skierowano ją na jego polecenie — umarła. Z więzienia wyszła w bardzo złym stanie zdrowia. Umarła w kilka dni później na Żoliborzu, w willi moich przyjaciół. Nazwijmy ich państwem X.

(Prywatnie, generałowi Składkowskiemu, mogę podać ich nazwisko).

Osaczony zbliżającymi się wciąż do tego tematu naszymi pytaniami, Woyczyński w pewnym momencie powiedział:

— O Piłsudskim źle mówić nie chcę, a dobrze — nie mogę! Nie wiem, nie rozumiem... Gdy zabrali moją żonę, już mnie do niego nie dopuścili.

Zastonił twarz drobnymi starczymi rękami.

Doktor poznał swoją późniejszą żonę chyba jeszcze przed pierwszą wojną, w burzliwych latach pierwszej konspiracji i rewolucji, w czasach z których datowała się jego przyjaźń z Piłsudskim. Tamten okres ma zapewne na myśli generał Składkowski, gdy nazywa Woyczyńskiego w którymś miejscu w swoim artykule „wieloletnim bojownikiem o wolność”.

Woyczyński byli małżeństwem bardzo zgranym i kochającym się; o ile wiem, mieli tylko jedną córkę, która wstąpiła do klasztoru franciszkanek i jest zakonnicą w Laskach pod Warszawą. Opiekuje się niewidomymi dziećmi. To jabłko padło zdumiewająco blisko od jabłoni.

Mieszkanie państwa Woyczyńskich w Generalnym Inspektoracie znajdowało się na parterze, pod pokojami Marszałka. Wiodły tam jakieś wewnętrzne schody, które były dostępne tylko dla domowników. Któregoś ranka, mniej więcej na rok przed śmiercią Marszałka, w dzień wiosenny, pogodny i słoneczny ktoś zapukał do drzwi pokoju (a może kuchni), gdzie państwo Woyczyńscy jedli pierwsze śniadanie. Był to marszałek. Doktor Woyczyński zerwał się, a marszałek uśmiechnięty, w bardzo pogodnym nastroju, zwrócił się z wyszukaną jak zawsze grzecznością do jego żony:

— Państwo przy śniadaniu, a może dobrodziejeczka da mi szklankę kawy.

Tego ranka panował radosny nastrój w domu doktorostwa Woyczyńskich. Marszałek żartował i wydawał się beztrzeski. Widocznie było mu dobrze ze starymi przyjaciółmi. Podziękowawszy za kawę, żartując zwrócił się znowu do pani Woyczyńskiej:

— A może ja zachodziłbym tu do was na śniadanie?

Propozycja przyjęta przez „dobrodziejczkę” z całą serdecznością została zrealizowana. Zdarzało się dość często, że pierwsze śniadania jadał Marszałek w mieszkaniu na parterze. Z czasem pani Woyczyńska objęła nieoficjalną pieczę nad domowym gospodarstwem i kuchnią Marszałka.

Niedługo po tym pierwszym niespodziewanym wspólnym śniadaniu, zjawił się marszałek w mieszkaniu państwa Woyczyń-



skich i zastając tylko żonę doktora, rozejrzał się i zapytał:

— Marcina nie ma?

Zafrasowana pani Woyczyńska odpowiedziała:

— Nie ma, wyjechał do miasta, ale zaraz wróci.

Marszałek na to:

— Może to i lepiej, że go nie ma, bo ja dziś mam interes do pani dobrodziejeczki.

I zmieniając ton z żartobliwego na poważny powiedział:

— Ja mam do pani jedną sprawę, ale o tym nikt nie może wiedzieć, nawet Marcin. Przynajmniej mi pani, że pani dochowa tajemnicy?

— Ależ tak, oczywiście panie Marszałku, ale o co chodzi.

Marszałek wydobyl z kieszeni kopertę i zanim wręczył ją pani Woyczyńskiej raz jeszcze ponowił pytanie tonem bardzo poważnym, a nawet jak gdyby uroczystym:

— Ale przrzeka mi pani, że nikt, *nikt* o tym nie będzie wiedział, nawet Marcin.

— Przrzekam.

Wtedy Marszałek podał pani Woyczyńskiej grubą kopertę ze słowami:

— To jest *moja* koperta. Odda ją pani *tylko* *mnie*, gdybym zażądał, albo otworzycie ją po mojej śmierci.

— Panie Marszałku!

Pani Woyczyńska była tak zaskoczona, zdumiona, przerażona, że nie zauważyła kiedy Marszałek wyszedł. W każdym razie w tej chwili była sama, a w ręce trzymała grubą, białą kopertę zaopatrzoną w dwie lakowe pieczęcie. „Jak by w niej były jakieś papiery, albo dużo pieniędzy” — powiedziała później mężowi. Ale nie uprzedzajmy wypadków. Długo zastanawiała się, gdzie kopertę ukryć. Mieszkanie Woyczyńskich nie było zbyt obszerne i nie wiele w nim było sprzętów. Nie było też oczywiście żadnej kasy pancernej. W swojej rozterce, obawie, dumie, że właśnie ją wybrał Piłsudski na swoją powiernicę, drząc żeby nie popełnić jakiegoś błędu, obeszła pokój stołowy, salonik i sypialnię wciąż nie wiedząc w jakiej skrytce umieścić tak ważny depozyt. Cóż miała zrobić? Tajemnicy postanowiła dochować, nie mogła się więc poradzić męża. A czas naglił. Doktor Woyczyński, jak już wiemy, opuszczał siedzibę Marszałka stosunkowo rzadko i tylko na krótko, mógł w każdej chwili wrócić. Jego żona postąpiła więc tak, jak postąpiłaby, jak sądzić, niemal każda kobieta z jej pokolenia i z jej środowiska w owych latach: otworzyła szafę, tzw. bielizniarkę i wsunęła kopertę między ułożone na półce prześcieradła. Mijały dni, tygodnie i miesiące. W trybie życia państwa Woyczyńskich nic się pozornie nie zmieniło, tylko żonę doktora targał niepokój. Zamykała troskliwie bielizniarkę na klucz i z tym kluczem nigdy się nie rozstawała, a co jakiś czas, gdy była w mieszkaniu sama, sięgała niespokojną ręką w stertę prześcieradeł, aby stwierdzić, że koperta znajduje się na swoim miejscu. Aż pewnego dnia...

Do mieszkania państwa Woyczyńskich wszedł Piłsudski. Doktora nie było w domu, podobnie jak wtedy, gdy marszałek przyniósł kopertę. Ale nie był tak pogodny, jak wtedy. Witając się z panią Woyczyńską nie nazywał jej już „dobrodziejczką”. Powiedział:

— Zostawiłem u pani moją kopertę. Chciałem tam coś poprawić. Niech mi ją pani da.

Pani Woyczyńska sięgnęła po klucz i usiłowała otworzyć bielizniarkę. Klucz zgrzytnął. Panią Woyczyńską ogarnął niepokój. Klucz obracał się w zamku zazwyczaj „jak po maśle” i otwierał szafę bez zgrzytu. Chwilę szamotała się z zamkiem i uczepliła się tej myśli: „może szafa spaczyła się”... Wreszcie jakiś ząbek zaskoczył i drzwi otwarły się lekko. Drżącą ręką sięgnęła w dobrze sobie znane miejsce. Było puste. Teraz szukała ratunku w myśli, że może pomyliła się i że koperta jest w stosie bielizny nieco wyżej, czy nieco niżej. Poczęła systematycznie przeszukiwać półki. Potem wyrzuciła wszystkie prześcieradła na podłogę. Ale koperty nie znalazła.

Zrozpaczona powiedziała: — Nie ma koperty.

— A, to tak... — Piłsudski zmarszczył brwi i bez słowa wyszedł.

W tym momencie wrócił do mieszkania doktor Woyczyński i zastał żonę płaczącą na stosie wyrzuconych z szafy prześcieradeł. Wtedy wyznała mu całą historię tajemniczej koperty.

Po chwili wszedł któryś z adiutantów i zawiadomił, że Marszałek prosi panią doktorową Woyczyńską.

— To przykra sprawa — powiedział doktor do żony. — Ja pójdę.

Marszałek przyjął Woyczyńskiego burkliwym zdaniem:

— Nie ciebie prosiłem, tylko twoją żonę.

Ale do rozmowy tej już nie doszło. Wtedy zapewne Marszałek wezwał generała Sławoja, generała Długoszowskiego i pułkownika Warthę, co relacjonuje — na pewno ściśle — artykuł generała Składkowskiego. Ale, czy wie on coś o kopercie? Nic o tym nie wspomina.

Nie wspomina również, że chociaż oskarżenie opierało się formalnie o tak zwaną ustawę szpiegowską (bodaj że z roku 1927 — „kontakt z obcym wywiadem”), to jednak śledztwo toczyło się około monstrualnego podejrzenia, że „ktos” (pani Woyczyńska?) systematycznie zatrzuwa (truje) marszałka Piłsudskiego. Przeprowadzono m.in. — jak należało — badanie laboratoryjne wszystkich leków, jakie znajdowały się w sypialni Marszałka; nie znaleziono wszakże w ich zawartości nic, prócz ingrediencji, jakie się tam zgodnie z recepturą znajdować powinny. Ale wersja o rzekomym „truciu” marszałka przeciekła mimo to do wiadomości publicznej. Nazwisko rodzinne pani Woyczyńskiej brzmiało: Julia Glass. Czyżbyśmy się więc znajdowali na tropie jakiejś montowanej po cichutku afery à la późniejszy o kilkanaście lat „spisek żydowskich trucicieli na Kremlu?” Czy sędzia śledczy nic o tym generałowi Składkow-



skiemu nie mówił? Innym — mówił. A były to przecież lata rosnącej fali antysemityzmu i zbliżającego się flirtu sanacji (później „Ozonu”) z najbardziej szowinistycznymi grupami młodych nacjonalistów.

Czy w mieszkaniu państwa Woyczyńskich bywali liczni cudzoziemcy, a także Stefania Sempołowska — tego oczywiście nie wiem. Skłonny jednak jestem dać wiarę relacji generała Składkowskiego. Ale cóż z tego? Stefania Sempołowska zajmowała się w latach niepodległości opieką nad więźniami politycznymi — tak jak to czyniła całe życie. W latach niepodległości więźniami politycznymi byli przeważnie komuniści. Opiekowała się więc uwięzionymi komunistami. Przez czas jakiś wolutaryjną sekretarką Sempołowskiej była moja żona, za moją wiedzą, a nawet z mojej inspiracji, i Bóg mi świadkiem, że do dziś nie widzę w tym nic zdrożnego. W czasie tzw. „sprawy łuckiej” (proces kilkudziesięciu chłopów białoruskich tzw. hurtków, oskarżonych o przynależność do K.P.Z.B., to jest do Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi) urzędzałem wraz ze Strugiem i Sempołowską protestacyjne zgromadzenia przeciwko warunkom w jakich tych chłopów trzymano w więzieniu i przeciwko traktowaniu ich przez policję bezpośrednio po uwięzieniu. I chociaż na Wołyniu przelano potem bezmiar krwi w bratobójczej walce — nadal nie widzę powodu, by się tamtej pracy wypierać lub wstydić.

We wcześniejszym okresie w podobnych sprawach identyczną akcją, której duszą i sercem była jak zawsze Sempołowska, prowadził Stanisław Thugutt, Leon Berenson i Tomasz Nocznicki; swoim żarliwym piórem wspierał ich Żeromski. Te nazwiska mają swoją wymowę. Nie było tak źle z humanitaryzmem w tej Polsce „przedwrześniowej”...

Pani Woyczyńska należała do Patronatu Opieki nad Więźniami i jej przyjaźń z panią Sempołowską nie wydaje mi się niczym dziwnym. Jeżeli pani Stefania bywała u niej w mieszkaniu, to na pewno nie po to, aby tam podłożyć bombę! (4).

Nie wszyscy wiedzą zapewne, że opieka nad więźniami-komunistami w Polsce opierała się m.i. na porozumieniu PCK z sowieckim Czerwonym Krzyżem. Pani Sempołowska była właśnie w ramach tej umowy (czy tylko porozumienia) jakiś czas delegatką sowieckiego Czerwonego Krzyża w Warszawie — podobnie jak pani Krupska (wdowa po Leninie) sprawowała jakiś czas funkcję delegatki PCK w Moskwie. Jak ta jej opieka nad

(4) Dziwne bywają drogi inspiracji. Sempołowska opowiadała mojej żonie, że we wczesnej młodości obrała opiekę nad więźniami jako zadanie swojego życia, chcąc w ten sposób spłacić dług wdzięczności wobec pamięci dawno zmarłej pisarki angielskiej Jane Porter (autorki głośnej kiedyś polonofilskiej powieści pt. „Thalldesus of Warsaw”), która zasłynęła jako pierwsza w Anglii, a zapewne i na świecie, *święteńka* opiekunka więźniów.

Nawiasem : powieść o „Tadeuszu z Warszawy” (pierwsze wydanie 1803) przyniosła autorce rozgłos — i list z gratulacjami od Kościuszki... To wzruszało Sempołowską najbardziej.

naszymi więźniami w Rosji wyglądała — nie wiem. Pani Sempołowska pracowała jak zawsze z bezgraniczną ofiarnością i, oczywiście, bezinteresownie. Dodać tutaj należy, że cieszyła się powszechnym szacunkiem i, z nielicznymi wyjątkami, władze sądowe i administracyjne (zwłaszcza wyższych szczebli) starały się jej dopomóc. Dotyczy to także śp. płk. dr. Naglera, szefa centrali służby śledczej i bodaj że zastępcy komendanta głównego PP.

Nie! wizyty Sempołowskiej w GISZu na pewno nie zagrażały bezpieczeństwu państwa!

Nie wspomina natomiast nic generał Składkowski, że prócz tych „podejranych” jego zdaniem, znajomości, posiadała Sempołowska jedną jeszcze bliską przyjaciółkę. Była nią zamieszkała od dawna w Warszawie nauczycielka języka angielskiego. Bywała ona u pani Woyczyńskiej często i zawsze sama. To wydaje mi się także dosyć interesujące.

A teraz jeszcze jeden wielki znak zapytania. Pisze gen. Składkowski, że doktorostwo Woyczyńscy udali się do Moskwy (kiedy?) na jakiś kongres psychologiczny — „za sowieckie pieniądze” — i że o tym nikt w Polsce nie wiedział. Jeżeli tak było rzeczywiście, to świadczy to bardzo źle o naszych władzach bezpieczeństwa (i wojskowych i cywilnych), i dla mnie, przyznam się, brzmi mało prawdopodobnie. Co robił w takim razie Oddział II, nasze osławione *deuxième bureau*, „ochrona” Belwederu itd... A konsulat RP w Rydze — czy także o niczym nie wiedział? Pytanie to jest tym bardziej uzasadnione, że zakończenie sprawy — tak, jak je przedstawia gen. Składkowski — stoi w rażącej sprzeczności z ciężkim zarzutem („za sowieckie pieniądze”) pod jakim oboje Woyczyńscy zostali postawieni w stan oskarżenia. Oto, co pisze gen. Składkowski: „Po kilku tygodniach śledztwa doktorowa Woyczyńska została wypuszczona z więzienia, jako niezamieszana w żadną akcję przeciwpaństwową”.

Śledztwo przeciwko doktorowej Woyczyńskiej prowadził (i umorzył!) apelacyjny sędzia śledczy do spraw wyjątkowego znaczenia, Teodor Wituński. Zmarł w Kanadzie 21 stycznia 1960, czyli że artykuł gen. Składkowskiego pojawił się w dziesięć dni po śmierci ostatniego najbardziej miarodajnego świadka wydarzeń. Szkoda. Wielka szkoda. Gen. Składkowski nazwał swoją relację o dramacie Woyczyńskich „tajemnicą rodzinną lekarza przybocznego Marszałka”. Mnie wydawałby się bardziej odpowiedni inny tytuł. Taki mianowicie: „Tajemnica kamaryli belwederskiej”.

A dr Woyczyński?

Gen. Składkowski ogranicza się do stwierdzenia: „Doktor Woyczyński po szczegółowej rewizji przez żandarmów, która nie dała nic obciążającego, udał się do wojskowego sędziego śledczego, który go zwolnił z powodu braku dowodów winy.

Ale Woyczyńska kilka dni po zwolnieniu umarła, a Woy-



czyński był do końca życia człowiekiem całkowicie złamanym.

A ich córka?

Już wiemy: — opiekuje się niewidomymi dziećmi...

Nikt nie jest w stanie przewidzieć dalekich skutków swoich czynów. Nawet zło może kiedyś przerodzić się w dobro.

Jeszcze jedno przypuszczenie — już całkiem moje osobiste — bo nie posiadam na ten temat żadnych informacji. Jeżeli państwo Woyczyńscy udali się rzeczywiście na ów kongres do Moskwy, i to w sposób *konspiracyjny* — określą drogą — z Rygi, a nie z Warszawy — to czy nie wiedział o tym przypadkiem sam Marszałek? Stary konspirator mógł się przecież posłużyć takim fortelem, a refleksje, jakie nasuwają się po przeczytaniu artykułu gen. Składkowskiego zdają się nawet uzasadniać słusność ewentualnego użycia w tym wypadku takiej niekonwencjonalnej metody.

Lepiej z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć — mówi stare przysłowie.

Wiesław WOHNOUT

## ZWIĄZKOWIEC

Jedynе pismo polskie w Kanadzie ukazujące się dwa razy na tydzień Służy Polonii Kanadyjskiej od roku 1933 przynosząc regularne korespondencje i informacje ze wszystkich ośrodków polonijnych w Kanadzie i innych krajach świata.

### Związkowiec

informuje obszernie o życiu w Polsce tak przez własnych wysłanników jak i poprzez korespondencje z kraju

### Związkowiec

zamieszcza informacje i artykuły o sytuacji międzynarodowej

### Związkowiec

drukuje w odcinkach dwie powieści współczesnych autorów polskich, oraz posiada działy: Kobiety i Dla Dzieci

### Związkowiec

dociera do wszystkich ośrodków polonijnych jest więc doskonałym instrumentem reklamy handlowej.

### Związkowiec

jest jedynym pismem polonijnym, które od roku 1957 do chwili obecnej miało w Polsce czterech specjalnych korespondentów.

Abonament roczny wynosi w Kanadzie — dol. 6,00, w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach — dol. 7,00.

Wpłaty należy kierować do administracji ZWIĄZKOWCA:

1475 Queen Street West, TORONTO 3, Ont., Canada

Administracja wysyła na żądanie egzemplarze okazowe.

## Książki

### Pamiętnik Makowskiego

*Pani Rozalii Hammer, wieloletniej towarzysze i opiekunce Tadeusza Makowskiego poświęcam.*

Pamiętnik Makowskiego, tak nazwany przez samego autora, jest właściwie dorywczo i z przerwami pisanym dziennikiem. Zagubiony, odnaleziony po wojnie przez Tadeusza Rudnickiego, nabyty przez Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk, ukazał się w Polsce nakładem Polskiego Instytutu Wydawniczego.

Całość opracowania, bogato ilustrowana — wstęp, liczne i wyczerpujące komentarze, listy i świadectwa przyjaciół, zawdzięczamy pani Władysławie Jaworskiej, ukazanie się tej książki, tak cennej, jest jej zasługą.

Pamiętnik ten zdaje mi się wydarzeniem na tle szczupłej literatury malarskiej w Polsce. To bezpretensjonalne notatki rasowego malarza, który prądy swego czasu przeżywa i przetrawia, przechodzi ciemne okresy zawodów, lub znów radość pracy, z której rezultatów nieśmiało się cieszy, opisuje trudności i zdobycze warsztatowe, z dnia na dzień notuje swoje uwagi o malarstwie, wyważone, czujne, nigdy agresywne, reakcje na kierunki jego epoki, ewolucje prądów w których tkwi; wypowiada się o swych współczesnych, o mistrzach, o sztuce w Polsce. Makowski, głęboko zakorzeniony w swoim czasie, nawet do pewnego stopnia typowy dla awangardy tamtych czasów, jest przy tym w nurcie, który łączy prawdziwych artystów wszystkich epok i wszystkich „rang”. Jego zapiski, jego problemy znajdują oddźwięk u każdego, który się uważnie sztuką interesuje, a przede wszystkim u tych, którzy próbują sami w sztuce się wypowiedzieć.

Ton tego pamiętnika, jego klimat jest aż dziwnie bliski dziennikowi Delacroix i Odilona Redona, jest bliski listom Pis-



sarra czy Van Gogha (listy to chyba forma wypowiedzi dziennikom najbliższa) aż po dziennik malarza Jean Colin, którego fragmenty dotyczące malarstwa ukazały się dopiero w tym roku\*).

W Polsce jesteśmy chyba wyjątkowo ubodzy właśnie w dzienniki, nie tylko malarskie ale dzienniki w ogóle. Myślę tu o dziennikach przeróżnych, które nie tylko czytałem, ale z którymi współżyłem, bo tylko tak można czytać dzienniki: Amiel, zaczytywałem się nim w młodości i nie wiem kto go dziś czyta, czerpał z niego Tolstoj, Conrad z niego wziął motto do „Szaleństwa Almayera”, Benjamin Constant, który dziennik swój pisał częściowo literami greckimi, żeby jego lokaj nie mógł ich czytać, Maine de Biran, Delacroix, z Rosjan Tolstoj, Rozanow (*Usjedinionnoje i Opawszije Listija* — to też forma dziennika) aż po Dubosa czy Colina. Te wszystkie dzienniki zdają mi się wprost przeciwieństwem dzienników Gide'a („Niedyskretny przyjaciel, któremu nic nie mam do powiedzenia od chwili gdy go zacząłem drukować”), czy nawet Julien Green'a, gdzie również nieustanna jakby obecność czytelnika przy pisaniu niszczy aurę intymności, która jest właśnie urokiem, więcej, bo sensem dziennika. A przecie właśnie Gide i Green stworzyli modę na dzienniki, wydawane za życia, dziś już formę literacką jakby zdegradowaną.

Znam tylko jeden polski strzęp wielkiego dziennika — to „Pamiętnik” Brzozowskiego, dziennik z ostatnich miesięcy jego życia — dokument jedyne.

Pamiętnik Makowskiego dlatego zdaje mi się wydarzeniem, że jest w polskiej literaturze *malarskiej*, pierwszym tej jakości i tego rodzaju tekstem.

Trzeba lubić dzienniki, by docenić pamiętnik Makowskiego. Dziennika nie można czytać jednym tchem, z natury rzeczy są w nim coraz to powtórki, ta sama myśl powraca z dnia na dzień czy z miesiąca na miesiąc. Maine de Biran opisuje co dzień z niezrównaną prostotą jak się marnie starzeje, Benjamin Constant jest nieustannie nieszczęśliwie zakochany, albo z nadto kochany, stary Tolstoj w błyskawicznych skrótach stawia sobie ciągle problemy sumienia, ale właśnie ta kropla drażniąca kamień, ta ciągłość kierunku, wysiłku, czy chociażby walka monotonna z losem przez ciąg wielu lat prowadzona, stwarza urok takich nieklamanych wyznań.

Kim był Makowski? Uczeń Stanisławskiego (wspomina go zawsze z czułą wdzięcznością), więc uczeń o jakie dwadzieścia lat spóźnionego polskiego impresjonizmu. Trafia on do Paryża w 1908 r. Pierwsze wrażenie: Puvis de Chavanne. Patrząc na mury zamalowane przez Puvis de Chavanne, czy niektóre jego

\*)Edition Marignan, Jean Colin d'Amiens.

plaskie i szare obrazy trzeba zdobyć się na duży wysiłek wyobraźni, by zrozumieć, że go cenili Degas, że miał wpływ w pewnej chwili nie tylko na Makowskiego, ale na Gauguin'a. Ale Makowski odkrywa kubizm i kubizm staje się jego paryską rewelacją. Pisać zaczyna dziennik dopiero w 1912, więc nie wiemy którego roku kierunkowi temu ulega. Cezary Popławski, u którego Makowski na Ukrainie spędza lato w 1912, pisze o nim w swoich wspomnieniach z cieniem serdecznej ironii, że pod wpływem kubizmu „łamał i przewycięzał wszystkie dawniejsze zasady i pojęcia wyniesione ze szkoły Stanisławskiego... wychodził do lasu, stawał pośród niebotycznych sosen — i wracał z szarym płótnem pokratkowanym w zielone i czarne kreski”. Obserwujemy w pamiętniku tę długoletnią pracę wewnętrzną artysty, z natury uczuciowca, któremu kubizm narzuca myślenie malarskie, przeciwne temu wszystkiemu co zdobył w Akademii i w ogóle w Polsce, myślenie, gdzie problem konstrukcji, architektury płótna, dominuje. Artysta, z nastrojowej, mało teoretyzującej aury polskiego impresjonizmu, poprzez lata paryskie zwraca się ku problemom malarstwa klasycznego, ku Holendrom, i robi się z ucznia Stanisławskiego najwybitniejszym chyba z naszych malarzy, którzy dojrzeli i doszli do swojej formy poprzez kubizm.

Parę lat temu zarzucił mi Andrzej Osęka w ciekawym artykule, że pisząc o tradycji malarstwa polskiego XIX i XX w. tworzę jakby sztuczną ciągłość, której nigdy nie było, bo tradycja ta z każdym pokoleniem gaśnie i znów się zapala na nowo, ale zawsze z zewnątrz, przez Paryż i z Paryża. Osęka miał tylko częściowo słuszność. Prawda, że ta linia tradycji od Michałowskiego aż po kapistów, o których wówczas pisałem, nie jest do pomyślenia bez Paryża. Ale cóż z tego? Każda tradycja w każdym kraju się odradza przez coraz to nowe szoki wywołane zetknięciem z nurtami sztuki obcej. Weźmy chociażby samych Francuzów: Poussin — Włochy, Delacroix — Rubens, Manet — Hiszpania, Monet — Japończycy, kubiści — sztuka murzyńska, przykładów takich można cytować bez liku. Są one prawie regułą. Ale jeżeli chodzi o wciąż zrywającą się *wątpliwość* naszej malarskiej tradycji, o której pisze Osęka, to znalazł on na pewno w pamiętniku Makowskiego nie jeden popierający jego tezę cytat. Ale Makowski, chociaż w Paryżu doszedł dopiero do swojej wizji malarskiej, jest przecie jednocześnie ogniwem *naszej* tradycji, i właśnie w naszej tradycji znaczą.

Dziennik ten jest smutny, nawet sentymentalny; słowo smutek powraca prawie na każdej stronie, głównie w pierwszym okresie francuskim, przedwojennym i wojennym. Chwilami zanoszi to prawie Asnykiem, który pełen sił, mając sam trzydzieści parę lat pisał: „Gdybym był młodszy dziewczyno, gdybym



był młodszy...". Makowski jest tak dyskretny (był taki i w życiu wobec najbliższych), że nie wiemy dlaczego jest smutny, czy z powodu rodziny, której nie widuje, czy kraju, za którym nieustannie tęskni nie odwiedzając go nigdy, nie wiemy dlaczego go nie odwiedza, czy z braku środków? „Dziwne jak można polubić swoją biedę i samotność” — pisze w pamiętniku. Czy to jakiś zawód uczuciowy w kraju, niektóre urwane zdania zdają się na to wskazywać, czy poczucie, że sztuka jaką on uprawia do której dąży, nie interesuje tam nikogo? Ten pierwszy okres paryski przypomina najciemniejszy okres Pankiewicza w latach 90-tych, kiedy żyjąc w Polsce miał uczucie, że żyje na wyspie samotnej. Ale Makowski nie żyje na wyspie samotnej, jest w Paryżu i ma garstkę przyjaciół: Francuzów, Holendrów, a wśród Polaków malarza Słewińskiego, Zygmunta Zaleskiego i innych.

„Myślę często o Polsce i jej stosunku do malarstwa europejskiego. Jest jakaś dziwna tajemnica, której określić dokładnie prawie nie można, która nie pozwala nam brać udziału pierwszorzędnego w orkiestrze światowej mimo niezaprzeczonego talentów. Oto brak nam tradycji” — pisze w 1913 roku. Do braku jej w Polsce wraca niejednokrotnie, braku akustyki w społeczeństwie, braku żywej krytyki. Makowski nie wraca do Polski choć nieustannie powraca do niej myślą, nie widzi tam swego miejsca. I zdaje się, że powrót do Polski wiązał z czasem gdy już w Paryżu zdobędzie swoje miejsce. W 1919 roku pisze jeszcze: „Aby sztukę podnieść do wyżyny, potrzeba współudziału całego narodu. A więc pracy zbiorowej, ożywionej miłością dla piękna, wysiłku materialnego, poparcia rządu, umiłowania swej ziemi, miast i domów, wychowania młodzieży, rozwoju rzemiosła artystycznych. Sztuki plastyczne nie mogą się rozwijać, bez waśni i sporów, szkół i kierunków, bez bankierów, handlu i amatorów sztuki bo tylko wtedy wyrabia się u jednostek potrzeba posiadania obrazu czy rzeźb i umiłowanie dla nich, jak również wszystkiego co spod ręki artysty wychodzi. Łatwiej o talenty niż o fachową wiedzę artystyczną, bez której sztuka rozwijać się nie może.

„...Gdzież są w Polsce ci pisarze co piszą o sztuce fachowo, czy istnieje choć jedna książka, z której by można czegoś dowiedzieć się o formach, światłocieniu, harmonii barw, uzupełnianiu się i wykluczaniu pewnych kolorów, wartościach linii, kompozycji, materii barwnej i wielu innych zagadnień? Za to liczne sprawozdania z wystaw, przepelnione zachwytemi natury literackiej, których stosunek do sztuk plastycznych jest nierealny i tylko im szkodę przynosi. Zapomniałem o St. Witkiewiczu, któremu należy się oddać uznanie, lecz może jedynie dlatego, że sam był malarzem”.

Makowski również cytuje parę gorzkich uwag swego staro przyjaciela Słewińskiego, wyznawcy Gauguin'a: „Nie będą Polacy mieli moich obrazków — mówi Słewiński Makowskiemu

w 1917 roku — chyba że zapłacą drogo. A po wojnie będzie dość biedy, zaś do sztuki nie mają tak wielkiego zamiłowania. Niech sobie mają Mehofferów i Lenców. A, tak!”.

Już pod koniec 1919 roku dodaje jeszcze: „Pytają mi się czemu nie wracam do kraju. Odpowiadam żartując: jak dla dobrego chrześcijanina celem ostatecznym jest niebo, tak dla malarza Louvre. Mieszkając tu, wydaje mi się w złudzeniu, że się do tego celu przybliżam. — *Est-ce que je fais des infidélités à ma patrie?* Zresztą za życia — kto tam się o malarza troszczy?”.

Coraz to wraca do zagadnienia tradycji. Przeciwstawia żywy stosunek do niej malarstwu powierzchownemu, „pozornym udaniem podobieństwa materii, pokrywającego braki i niedoleństwa, literacką stroną anegdotyczną”. Jak przystoi na tę epokę, anegdota, literacka strona obrazu jest jego *bête noire*.

Dziennik jest pełen ciekawych uwag warsztatowych. Przejmuje go klasyczna konstrukcja obrazu, w ogóle kompozycja, architektura płótna, obraz powinien być w pracowni przemyślny, długo kolorystycznie zgrywany, wszelka improwizacja, wszelkie monetowskie chwyty natury na gorąco, którego się uczył u Stanisławskiego, odrzuca kategorycznie. Nigdy jednak, jak nie jeden wówczas malarz, nie zaniedbuje barwy, działania wzajemnego tonów na siebie, ich wzbogacania, nawarstwianiem, podkładami, laserunkami, nigdy również nie wprowadza jej, jak Léger, do kilku barw elementarnych. I właśnie tu może jest wkład jego, jeżeli chodzi o rzemiosło, najbardziej oryginalny. Tu dochodzi do własnej muzyki, do *qualité*. Całe strony poświęca właśnie konstrukcji płótna, pisze o perskich miniaturach, gdzie płaszczyzny są przedzielone przekątną, studuje *mise-en-page* „Marata” Davida. Jakże dalekie to wszystko od czysto instynktowego komponowania obrazu, takiego chociażby jak Courbet'a, który twierdził, że byle gdzie stawia sztalugę i maluje.

Z malarzy francuskich przyjaźni się z Le Fauconnière'm i najwyżej go ceni, mówi z uznaniem o Picassie, długa przyjaźń go łączy z Grommaire'm, z Szarszunem, wspomina Mondriana, Kandinskiego, z którym się spotyka, zaliczając go do zbyt krzykliwej szkoły rosyjskiej. Na malarstwo czysto abstrakcyjne patrzy bez zbytej uwagi i w miarę lat coraz bardziej skłania się ku starym Holendrom, o których pisze zawsze z żywą, świeżą pasją i zachwytem. Już w ostatnim okresie spotykamy parę superlatywów (których Makowski używa rzadko) gdy mówi o Cézanne'ie i Corocie.

Lata wojny przeżywa między Paryżem a Bretanią, jako poddany austriacki jest pod pół-dozorem policji. Maluje stale, jest w ciężkich warunkach materialnych, żywi się przeważnie kartoflami i kwaśnym mlekiem mieszka u chłopów i odwiedza mieszkającego niedaleko Słewińskiego. Z przyjaciół Polaków, poza Słewińskim, pisze chyba najcieplej o Zygmuncie Za-



leskim, o ciąglej trosce serdecznej Zaleskiego o niego, o prawdziwym zainteresowaniu jego malarstwem. Widzimy tu ile znaczy dla samotnego artysty przyjaźń szczerą i naprawdę bezinteresowną.

Sądząc z notatek z lat 1919-20-tych artysta odchodzi od kubizmu. Krytykuje dalszy rozwój kubistów, zarzuca im zbytnią dekoracyjność. Parę lat spędzonych na wsł wpływa na jego malarstwo. Już w 1915 roku w Bretanii pisze: „Umiłowanie przyrody jest jedyną drogą przewodnią w pracy... Artysta musi *stwarzać życie*”, (moje podkreślenie) i w innym miejscu „w kubizmie rozdrabnianie kształtów podkreśla i uprzytamnia stronę konstrukcyjną, czy nie jest ono przejściową fazą do trzeźwej syntezy?”. Jego przyjaciele, Holender Kickert, Grommaire, Hyot, Mondrian (tu go jedyny raz wspomina) nasuwają mu myśl następującą: „Odbiegłem od nich i własną niezależną drogą idę. Wyzbyłem się piętna jakiegokolwiek szkoły i coraz więcej pozostaję sam z moimi ideami”. Jeszcze w 1918 pisze: „Chwilami unoszę się ponad wszystkim co dzisiejsze i żyję jedynie marzeniem jakiejś dalekiej przeszłości szlachetnej, prostej, kiedy się wielkie malarstwo trzymało na uboczu wszelkiej mody, zasklepienie w dociekaniu pracy i realizmu. W ubóstwie dzisiejszym widzę upadek sztuki, gdzie wszelki wielki wysiłek gubi się w pośpiechu i łatwości... Coraz mi bliżsi malarze holenderscy. Oni *tę stronę żywą życia* (moje podkreślenie) umieli najczulej i najsilniej odtworzyć”.

Ton dziennika w miarę lat się zmienia. Czuje się coraz bardziej pewny w świecie swojej wizji, ginie przygnębienie, jest nawet *radość*. W ostatnich latach obrazami jego interesują się Francuzi, *marchand* Cheron zaczyna systematycznie kupować jego płótna, wystawia z Grommaire'em. Pascinem, Per Krohgiem i po 20 latach pracy w Paryżu czuje, że dochodzi, jeżeli nie do sławy, to do uznania prawdziwej elity malarskiej Paryża. Patrzy trochę ubawiony, trochę ironiczny na młodych przyjeżdżających z Polski, zdecydowanych w jeden rok „Paryż zdobyć”. Jakże niechętnie patrzy na pośpiech dyktowany głodem szybkiego sukcesu. On już wie co to jest Paryż. Odwiedza Holadnię, idzie śladami Rembrandta. Pisze o Holandii jak o własnej wybranej ojczyźnie: „Iluż to wielkich mistrzów wyrosło w tym kraju. Czuje się szczęśliwy”. Słowo „szczęśliwy” jest w dzienniku wypisane ten jeden jedyny raz.

Czytając przez szereg dni tę piękną książkę, przyglądając się jednocześnie inteligentnie i bogato dobranym reprodukcjom jego obrazów, odczułem z nową siłą *względność* wszelkich w sztuce dogmatów, impresjonizmu, kubizmu i stu innychizmów. Nie wiem czy niektóre obrazy Makowskiego zupełnie wolne od kubistycznego akcentu, niektóre martwe, portrety dziewczynek, grupy dzieci nie należą do najlepszych jego płócien, a w każdym razie jego geometryzacja przez kubizm nawiana, zdaje się naprawdę tłumaczyć dopiero w płótnach lat ostatnich, gdzie wiąże

się z samą anegdotą obrazu (przecie tak tępił anegdotę) kiedy tworzy fantastyczną, własną dziecinną *commedia del'arte*. Przeszedł przez tygiel kubizmu i stworzył swój świat czutej fantazji. Tu dopiero dociera Makowski naprawdę do swego malarstwa, malarstwa wielkiej *qualité* plastycznej, niewinności, uśmiechu i rzadkiej poezji.

W 1932 w pełnił sił twórczych — ma zaledwie 50 lat — Makowski umiera.

Na rue Vercingetorix, gdzie go zaledwie parę lat wcześniej odwiedziłem w jego długiej wąskiej pracowni, obezwładnia go nagle atak paralizu.

Pani Rozalia Hammer zastaje go w fotelu gdy raz jeszcze próbuje bezsilnie uchwycić, utrzymać w ręku paletę — ostatni świadomy gest artysty.

Dziewięć dni półprzytomności, męki i śmierć w szpitalu Hôtel Dieu.

Józef CZAPSKI

## „Bęben” między Polska a Niemcami

Günter Grass, podobnie jak bohater „Bębna” (1) Oskar, jest Kaszubem. Babka Oskara, Anna Brońska mówi o Kaszubach:

„Trzeba by zostali na miejscu i pochylili głowy, pod ciosy innych. Dlatego że my ani dobre Polaki ani dobre Niemcy; kiedy się jest Kaszubem, to nie wystarcza ani dla Szwabów ani dla Polaków. Chcą zawsze na sto procent”.

Od dziecka szczepiony przeciw wszelkim nacjonalizmom, Günter Grass potrafi uchwycić poetycką istotę równin między Renem i Wisłą. Uderza jego sympatia do Polski i Polaków: widzi w nich przeciwieństwo Niemiec i Niemców. Wymowny jest tu sam rodowód Oskara: jego matka, Kaszubka, Agnes Koljaiczek, wychodzi za mąż za gdańskiego kupca kolonialnego Niemca, Alfreda Matzeratha. Ale Oskar daje nam do zrozumu-

(1) Günter Grass: *Le Tambour*, Seuil, 1961.



mienia że prawdziwym jego ojcem jest Jan Broński, kuzyn i kochanek matki, urzędnik Poczty Polskiej w Gdańsku. Roi się w „Bębnie” od groteskowych scen wojennych, aż do powojennego wysiedlenia Niemców, ale w żadnej z nich nie ma śladu niechęci do Polski.

#### Kampania wrześniowa:

„O szalona kawalerio! Z lancami o czerwonych proporczykach. Szwadrony neurastenii i tradycji. Szarże jak w książkach z obrazkami. Poprzez pola przed Łodzią i Kutnem. Modlin, w charakterze fortecy. Co za szyk w galopie! Zawsze w oczekiwaniu na czerwony zmierzch. Dopiero kiedy pierwszy plan i tło są równie wspaniałe, kawaleria atakuje, gdyż bitwa jest malarska. Śmierć służy za model malarzom, najpierw na stojąco, postawa spocznij, potem wszystko się załamuje, koziołkują i leżą. Nagle na nowo zbierają się i formują się na nowo od strony stert słomy — i znowu obraz — pod wodzą człowieka, który w Hiszpanii nazywa się Don Quijote; a przecież jest to czystej krwi Polak, Pan Kichot, o sylwetce smutnej i szlachetnej, całujący w rękę swych konnych ułanów, a oni znowu marzą o pocałowaniu w rękę śmierci, tak jakby była sędziwą damą, jak należy; ale najpierw muszą się przegrupować, za nimi zachodzące słońce, gdyż zmiany atmosferyczne to są ich rezerwy, przed nimi niemieckie czołgi. Ogiery ze stajen Krupp von Bohlena i Halbacha, nie równie szlachetnego pod siodło. Ale ten rycerz pół Hiszpan pół Polak, śmiertelnie zarozumiały — zdolny Pan Kichot, bardzo zdolny! — oto opuszcza swą lancę z proporczykiem, rzuca biało-czerwone wezwanie do pocałowania ręki i krzyczy do zachodzącego słońca, do bocianów klekocących białoczerwonymi dziobami, do wisien o białych pestkach: 'Panowie Bracia, to nie czołgi stalowe, to tylko wiatraki lub barany, wzywam was do całowania w rękę!' Wtedy rzucają się szwadrony w stalową masę *feldgrau* i dają zmierzchowi sposobność jeszcze bardziej purpurowego krwawienia”.

Jednym z głównych refrenów „Bębna” jest „Jeszcze Polska nie zginęła”. Jeszcze nie zginęła, pisze Grass, mimo knozań wschodnio-niemieckich uchodźców.

Epizod, w którym literatura wyprzedza rzeczywistość (parę miesięcy temu aresztowano przecież w Monachium Jugosłowianina pod zarzutem partyzantki w czasie wojny): Oskar wybawia z opałów polskiego partyzanta Wiktora Wielunia, którego w sześć lat po zakończeniu wojny ścigają hitlerowskie zbiry. Oto jak opowiada o tym na swym bębnie:

„Był to dziwny rytm, który wydawał mi się znany. Bez przerwy powtarzała się w nim litera O: Polska zginęła, jeszcze Polska nie zginęła...”

Polska białoczerwona, szalona, romantyczna, konna jest wcieleniem części marzeń Günтера Grassa. Ale istnieje również identyfikacja Polski z babką. Po oskarżeniu o zbrodnię, Oskar chce uciekać z Niemiec:

„Gdzie chcesz uciekać Oskarze? Czynniki polityczne, rzekoma żelazna kurtyna zabraniały mi ucieczki na Wschód. Musiałem więc przekreślić cztery spódnice mej babki Anny Koljaiczek, które po dziś dzień rozpościerają na kartofliskach kaszubskich swe opiekuńcze fałdy”...

Co najdziwniejsze, wreszcie, to że Günter Grass mógłby być polskim pisarzem: ten ton fantastycznej autobiografii, poezji i czarnego humoru znamy u Gombrowicza, u Schulza.

Akcja „Bębna” toczy się na kilku płaszczyznach.

W klinice psychiatrycznej w Düsseldorfie, leży trzydziestoletni człowiek, Oskar, oskarżony o zbrodnię, której zapewne nie popełnił. Garbaty. Wzrost: metr, dwadzieścia trzy centymetry. Oskar mówi, gra na bębnie, pisze. Pisze, grając na bębnie. Grając na bębnie odnajduje i odkupuje swój własny przeszły los, przeszły los swego kraju: „celem Oskara jest powrót do swych początków”.

Wrześniowa, słoneczna niedziela w Gdańsku, w r. 1928. W dzień swoich trzecich urodzin, mały chłopczyk, Oskar, wpada do piwnicy i przestaje rosnąć. Pozostanie małym chłopczykiem, karłem, aż do pewnego dnia r. 1945, kiedy zabije swego rzekomego ojca dając mu do polknięcia szpilkę ze swastyką, podczas gdy do Gdańska wkraczają wojska Marszałka Rokossowskiego. Przez całe dzieciństwo będzie grał na bębnie. Grając na bębnie, odrzuca swój własny los, odrzuca los swego kraju.

„Tu mówię, tu decyduję, tu postanawiam nie być nigdy politykiem jak Adolf, a tym bardziej kupcem kolonialnym, ale postawić kreskę, pozostać takim, trzymać się tego wzrostu, tego ekwipunku, na wiele lat”.

Oskar-dziecko gra na bębnie magicznym. Potrafi również wydać z siebie krzyk który rozbija szyby, nawet na odległość. Bęben dzieciństwa, to bęben odmowy, bęben protestu: „Moim dziełem było zniszczenie. Czego nie umiałem wykończyć bębniem, to zabiłem głosem”. Bęben dorosłego w klinice w Düsseldorfie, bęben pisarza, gra poemat oczyszczający: jest to bęben „przemieniający Zło w rytm”. A raczej, jak każdy poemat, „Bęben” Güntera Grassa mociuje się ze Złem, z życiem.

Ta piękna i dziwna książka posiada szereg płaszczyzn: los indywidualny człowieka, los kraju, i wreszcie (czarny humor Oskara nie przesłania nam jego „mesjanicznej wielkości”) los ludzi i świata. Na płaszczyźnie indywidualnej, karzeł Oskar jest podwojonym Edypem, z dodatkiem Hamleta. Podwojonym Edypem, gdyż zabija on swych dwóch domniemanych ojców: Jana Brońskiego, miękkiego, tchórzliwego, kobiecego Polaka i Alfreda Mazerathę, niemieckiego kupca kolonialnego, który przez oportunizm zostanie hitlerowcem. Hamletem, gdyż Jan Broński, kochanek matki Oskara, jego prawdziwy ojciec, jest również jego wujem. Los Oskara jest jakby okrutną karykaturą greckich tragedii, odtwarza skondensowany i przyspieszony schemat freudowski. Niechęć do opuszczenia brzucha matki, strach przed przecięciem pępowiny; pożądanie tej matki jasnowłosej, białej, zmysłowej; „pierwotna wizja” — Oskar zaczajony w szafie — miłosnego aktu między matką a jego ojcem-wujem; śmierć matki i chęć towarzyszenia jej do grobu; kolejne i pośrednie morderstwa obu ojców. Poczucie winy, tak wyrażone przy



końcu książki w „modlitwie” powtarzającej się wciąż i zawartej w jednym z aktów śledztwa:

„Adoracja słońcu: adoruję. Kto, ja? Oskar czy ja? Ja, nabożnie; Oskar z roztargnieniem. Ciągły upływ i nie obawiać się powtórzeń. Ja, bystro, gdyż bez wspomnień; Oskar, bystro, gdyż pełen wspomnień. Zimny, gorący, letni, to ja. Winny, jeśli nalegać. Niewinny jeśli nie pytać o nic. Winny ponieważ, potknięcie ponieważ, stałem się winny mimo, usprawiedliwiony że nie, wybuchalem śmiechem na widok, płakałem przed i bez, bluźniłem w mowie, milkiem w bluźnierstwie, nie mów, nie zamilczaj, adoruj”.

Czyż ta modlitwa, ta spowiedź, nie przypomina nam spowiedzi całego narodu? Oskar zaczyna rosnąć na nowo na groźbie swego niemieckiego ojca i hitlerowskich Niemiec; do grobu ojca wrzuca bęben odmowy i zniszczenia i upłynie kilka lat zanim otrzyma inny bęben, autoanalizy, oczyszczającego śpiewu, „przemienienia Zła w rytm”. Śmierć Alfreda Matzeratha, któremu na oczach rosyjskich żołnierzy, Oskar podaje szpilkę ze swastyką, której ojciec chciał się pozbyć: „Mój rzekomy ojciec połknął Partię i umarł”. Karzeł Bebra, jeden z mistrzów Oskara (poznamy wkrótce innych), uczy go anarchicznego oportunistu:

„Ludzie mali, jak my, znajdują małe miejsce nawet na najbardziej zatłoczonych trybunach. A jeśli nie na trybunie, to pod trybuną, ale nigdy przed trybuną”.

Oskar zacznie odtąd bębnić na trybunach wielkich zebrań partyjnych, na gdańskiej Majowej Łące. Wybija na swej blasze złożony, radosny rytm walca, wywołując coraz bardziej uparcie Wiedeń i Dunaj, zaszczepiając słuchaczom ten walc na siłę, aż do chwili gdy zaczną skakać z nogi na nogę, gdy zaczną wirować brunatne koszule. Albo rzuca rytm charlestonu i ludzie, przy dźwiękach „Jimmy the Tiger”, gubią się w Parku Steffensa. Pod koniec wojny, Oskar staje na czele bandy „Garbarzy”, pierwszych chuliganów czy „Habstarke”, którzy napadają na lokale Hitlerjugend, kradną broń, amunicję, benzynę, zbierają oznaczenia i naszywki żołnierzy na urlopie, przyłapywanych na miłosnych randkach w parku. Ale kiedy robotniczy ruch oporu czy polscy partyzanci zaproponują Garbarzom współpracę, propozycja zostanie odrzucona z oburzeniem:

„Nie mamy nic wspólnego z partiami; walczyliśmy przeciw naszym rodzicom i reszcie dorosłych, czy są za czy przeciw czemukolwiek”.

Wydaje się że takie było zawsze stanowisko Oskara:

„Bębniłem nie tylko przeciw zebraniom brunatnych. Oskar był pod trybuną czerwonych i czarnych, harcerzy, Świadców Jehowy i Ligi Barbarossy, jaroszy i młodych Polaków z Ozonu”.

„Zimny, gorący, letni, winny, niewinny”, anarchiczny oponent i ostrożny symulant, Oskar wyjaśnia nam sekret swej dwuznacznej natury, zarazem dionizyjskiej i apollińskiej, poprzez wybór swych dwóch „Mistrzów” — Rasputina i Goethego. Za ledwie umiejąc czytać, mały Oskar odkrył „książkę stanowiącą bilans kredytów i długów, „Wahlverwandschaften” Goethego i duży tom bogato ilustrowany „Rasputin i Kobiety”. Odtąd rosyjski czarodziej i książę poetów nie opuszczają już Oskara, który „prowadzi na raz rokowania ze swymi bogami Dionizjuszem i Apollem”. Na obu płaszczyznach książki: losu odkupionego i odkupującej twórczości, Rasputin i Goethe czyhają na siebie, obserwując się, uwarunkowują, starają się nadaremnie połączyć. Pielęgniarski chorego, Bruno, który towarzyszy opowiadaniu muzycznemu opowiadaniem plastycznym, fabrykując ze sznurków i węzełków zanurzonych w wapnie postacie i sceny z książki, odniesie jedną tylko porażkę: wobec zamówienia Oskara aby Rasputina i Goethego połączyć w jedną osobę.

W sennym koszmarze Oskara, jeden tylko „Pan Bóg, Ojciec Nasz, właściciel maneżu” potrafi dokonać tego wyczynu. W tym wirującym maneżu, za każdym razem gdy Oskar powracał, „przed Ojcem Naszym i przedsiębiorcą cyrkowym”, ten ostatni miał inną twarz:

„Oto Rasputin sprawdzający swymi zębami znachora srebrną monetę którą, śmiejąc się, zapłaci za następny obrót; oto Goethe, książę poetów, łuskający dukaty z delikatnie wyhaftowanej sakiewki; na każdym z nich, w negatywie, profil Pana Boga. Potem znów Rasputin, dionizyjski; i jeszcze Pan von Goethe, apolliński. Lut szaleństwa z Rasputinem, po czym, dla względów racjonalnych, Goethe. Ekstremiści wokół Rasputina, siły porządku z Goethem. Masa buntuje się z Rasputinem, ale żywi się cytatami z Goethego”.

Jeśli, w samej książce, ten sam głos przemawia raz w pierwszej, raz w trzeciej osobie, czyż to nie dlatego że „Oskarowi” rasputinowskiego buntu przeciwstawia się „Ja” narratora, bardziej goetheańskie? Dwuznaczność pozostaje jednak. Mały Oskar:

„Zapozyczałem u znachora jego elementarną energię, łagodziłem ją uniwersalnym poczuciem przyrody księcia poetów”.

Narrator, w swym szpitalnym łóżku:

„Dotychczas, gdy Oskar chciwy kultury sprowadza pomału do swego pokoju całą kliniczną bibliotekę — waham się, gardząc Schillerem i spółką, między Goethem i Rasputinem, między czarodziejem-znachorem i wszytkowiedzącym poetą, między złowrogim mężczyzną który fascynował kobiety i świetlanym księciem poetów który dawał się przez nie fascynować”.

Z tych ostatnich słów wynika jednak, że opozycja między Rasputinem i Goethem nie jest w podświadomości narratora tak istotna jak przypuszcza on świadomie. Obaj są w pewien spo-



sób związani z przedświtem ludzkości, gdy królestwo Matek opierało się na siłach instynktu, zanim Ojciec narzucił porządek społeczny i rozróżnienie między Dobrem a Złem. Oskar o Rasputinie: „Kobiety wierzyły w niego, zaś oficerowie musieli go sprzątnąć, aby móc na nowo uwierzyć w siebie”. W porządku społecznym opartym o moralność, Rasputin jest przedstawicielem świata dionizyjskiego i instynktywnego, jego orgie poświęcone są Cybeli, Pierwotnej Matce, Białej Bogini. Ale Goethe również nie należy do świata porządku, nawet jeśli go przyjmuje, umacnia, jeśli stara się ogarnąć jego sprzeczności. Nikt głębiej niż Goethe nie eksplorował tego „Królestwa Matek”, o którym mówi w „Drugim Fauście”: jest to królestwo podziemia i nocy, źródło wszelkiej świadomości która nie jest iluzją, wszelkiej poezji. Otóż jeśli Oskar identyfikuje się kolejno z Rasputinem i Goethem, to dlatego że „Bęben” jest w pierwszym rzędzie nową eksploracją tego Królestwa Matek, do którego należą oni obaj.

„Bęben” zaczyna się rozdziałem w którym babka Oskara Anna Brońska (to jej panięskie nazwisko), ukrywa pod swymi czterema spódnicami „koloru kartofla” podpalacza-patriotę Koljaicyzka, ściganego przez pruskich żandarmów. Kończy się inwokacją do strasznej „Czarnej Czarownicy”, od której Oskar chce nadaremnie uciec. W tej ucieczce „spódnice mej babki byłyby jedynym odpowiednim celem”. Anna Koljaiczek nazwana jest również „odtrutką na Czarną Czarownicę”. Wydaje mi się, że można by pójść jeszcze dalej: Anna Koljaiczek i Czarna Czarownica, to dwa odmienne wyrazy tego samego pierwotnego instynktu, jedna głęboko osadzona w ziemię i w spokój, wolna i szczodra, druga skrzywiona porządkiem społecznym, przemieniona w Zło. Między Anną Koljaiczek, ostatnim wcieleniem pierwotnej Matki, i Czarną Czarownicą, ileż, w „Bębnie” kobiecych mitów! Matka Boska dzieciństwa:

„Nazywałem ją laski pełną, wybraną, błogosławioną, Dziewicą Dziewic, Matką Miłosierdzia, Ty Błogosławiona, Ty godna wszelkiego nabożeństwa. Ty co urodziłaś Jego, słodka Matko, dziewicza Matko, Dziewico chwałebna, daj mi skosztować słodczy imienia Jezusa którego karmiłaś w Twym łonie, doprawdy godnym i sprawiedliwym jest, słusznym i zbawiennym, błogosławiona, błogosławiona”.

To słówko „błogosławiony” zatruwa Oskara do tego stopnia, że dziękuje Szatanowi za przetrwanie chrztu, za odtrutkę która pozwala mu „stąpać bluźnierczo, ale wyprostowany, po kamiennych płytach kościoła”. Obok Matki Boskiej, Polska — jej królestwo — inna postać kobieca, biała i czerwona, co „zginęła, nie zginęła”. Złowroga Niobe, drewniany posąg z dziobu starego okrętu w gdańskim muzeum:

„Dorodna kobieta z drzewa, zielona nagość pod wzniesionymi ramionami, ponad dumnymi piersiami celująca wzrokiem bursztynowym osadzoną w drzewie”:

Herbert Truczyński, kuzyn Oskara, zatapia w jej drewnianym brzuchu siekierę o podwójnym ostrzu, aby się zabić posiadając ją. Odnajdujemy te mity przy końcu książki w Czarnej Czarownicy:

„O czym myślał Herbert gdy chciał posiąść drewno? A za głównym ołtarzem czym byłby katolicyzm bez Czarownicy cieniem swym czerniącej konfesjonały?... I wszystkie słowa: błogosławiona, dolorosa, święta, Dziewico Dziewic...”.

Biała Bogini, Czarna Czarownica odzwierciadlają się także w twarzach kobiet kochanych przez Oskara. Łucja Renwand:

„Po dziś dzień nie mogę się odzwyczaić od szukania po ulicach i placach chudej dziewczyny, ani ładnej ani brzydkiej, która bez mrugnienia okiem wysyła mężczyzn na rzeź... Moja obawa, to że Łucja Renwand się zjawi i w roli Baby Jagi, Czarnej Czarownicy, zaprosi mnie do ostatecznego skoku”.

Bliższa Białej Bogini, karlica Roswitha, erotyczna wersja Anny Koljaiczek:

„Wziąłem młodą wiekową dłoń Raguny. Morze łacińskie uderzyło mnie w żebra, oliwkowe drzewa szumiały do ucha: Roswitha chce być twoją matką. Roswitha zrozumie. Ona, wielka uśpiona która czyta wszystkie myśli prócz swoich mamma, prócz swoich Dio”.

Myślę że kluczem do książki Grassa jest tęsknota do spontaniczności, do życia instynktywnego, do niewinności poza regułami moralności i porządku społecznego:

„Oskar, bęben, kilka już razy utracił niewinność, ale odnalazł ją, albo mu odrosła. Niewinność podobna jest do chwastu, którego nie sposób wypłenić. Pomyślcie o wszystkich niewinnych babciach, które były złowrogimi odeskami”.

Hipoteza ta wydaje mi się potwierdzona w historycznej płaszczyźnie książki. Cztery spódnice Anny Koljaiczek wrosnięte w kaszubską rolę, to jakby przednarodzeniowe wspomnienie złotego wieku matriarchalnego ciepła, spontaniczności, niewinności. Oskar wstrzymuje swój wzrost, aby zaprotestować przeciw porządkowi hitlerowskiemu, szczególnie ohydnej wersji ładu patriarchalnego i „męskiego”. W Niemczech Zachodnich po wojnie, dane „wolności” są wykrzywione wewnętrznymi sprzecznościami społeczeństwa przemysłowego, które świetnie reprezentuje w „Bębnie” agencja reklamowa „Zachód”. Zresztą, w ramach samego społeczeństwa przemysłowego Oskar jest w przymierzu z tymi elementami, które wyrażają tęsknotę do wolności i spontaniczności: z chuliganami, niemieckimi „beatnikami” i „egzystencjalistami”, z jazzem wreszcie który całą książkę wypełnia swym rytmem. Cóż dziwnego że dwa główne składniki „Bębna” to te które w samej istocie uchylają się od wszel-



kiego społecznego przymusu, które w każdym społeczeństwie są ostatnią twierdzą spontaniczności i autentyczności: erotyzm i śmiech. Te dwa elementy dają powieści Grassa gwałtowną siłę, której celem jest zniszczenie człowieka historycznego, i odnalezienie człowieka wspólnoty z tym co bezpośrednio i błyskawicznie.

Zmysłowość smaku, węchu, dotyku zwłaszcza, jak choćby w tym urywku o bliźnach którymi naznaczone są plecy kuzyna Oskara:

„Czy kiedykolwiek dotknąłem czegoś równie czułego, równie twardego, równie wzruszającego jak plecy Herberta Truczyńskiego? Organy płciowe kilku kobiet i dziewczyn, mój własny członek, gipsowy kurek Pana Jezusa i ten palec serdeczny który dwa lata temu przyniósł mi z jęczmienia pies... palec tak dokładny i tak cały, że teraz jeszcze mogę wyczuć i wyszczególnić każde jego załamanie jeśli tylko chwycę za paleczki bębna”...

Styl Güntera Grassa posiada wszystkie zalety zmysłowości Oskara. Zwróciłem już uwagę na nacisk położony przez pisarza na aspekt materialny twórczości literackiej. Udaje mu się narzucić nam obecność tego piszącego bębna, na oczach naszych do tego stopnia kształtują się małe marionetki sznurkowe Brunona, że same znaki typograficzne książki wydają się dźwięczeć pod paleczkami Oskara, lub tworzyć węzły pod ręką pielęgniarza.

„Bęben” jest poematem starej rolniczej Europy i nowego społeczeństwa przemysłowego. Wyraża zrezygnowaną tęsknotę do pierwotnych rytuałów ziemi. Ale „Bęben” najmocniej bije za spontanicznością, za nową autentycznością w społeczeństwie jutrzejszym.

K.A. JELEŃSKI

## Nędza i radość

Przeczytawszy wydany pośmiertnie zbiór wierszy Tadeusza Sulkowskiego i jego poemat „Tarcza” (1) chciałbym o nich napisać w sposób strasny dla każdego czytelnika „Kultury”, nawet tego, który mówi: „Ja tam, panie, poezją, zwłaszcza współczesną, zupełnie się nie interesuję”. Dlatego z nieprzeliczonych, a zawsze niekompletnych i spornych odpowiedzi na pytanie, do czego służy poezja, wybieram jedną, prostą i praktyczną. Poezja

(1) Tadeusz Sulkowski: *Dom złoty* z przedmową Kazimierza Sowińskiego i rysunkiem Feliksa Topolskiego, str. 85 i 8 nl., oraz *Tarcza* z okładką rysunkami Feliksa Topolskiego na nieliczn. wielobarwnych wkładkach, str. 24 i 8 nl. — Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1961.

utrwała wartościowe stany uczuciowe i myśli w formie szczególnie dogodnej i wdrażającej się w pamięć. Dzięki temu jej lektura, a jeszcze lepiej: recytacja z pamięci, pozwala jakby na zawołanie te stany powtarzać, odnawiać. Życie uczuciowe jest kapryśne i ulotne, poezja jest jednym z najlepszych środków przeciw jego wyjąłowieniu i bezładowi. Odgrywa podobną rolę jak modlitwa w życiu religijnym. Do wiersza, jak do modlitwy, uciekamy się w potrzebie, powtarzamy go tak długo, aż umiemy go na pamięć, odmawiamy go, obcujemy z nim.

Ci co twierdzą, że poezja, zwłaszcza współczesna, jest „nie do czytania” mają poniekąd rację. Zbiorek wierszy nie jest książką do czytania w takim sensie jak powieść lub przystępne dzieło naukowe. Jest książeczką do odmawiania. Oczywiście, trzeba ją wprawdzie przeczytać, przegryźć się przez nią — często jest to proces żmudny i nudnawy — wyluskać z niej to, co chcemy sobie przyswoić i zachować. Czy warto? Czasem tak, czasem nie, ale gdy już warto, to warto.

Co rozumiem przez „wartościowe stany uczuciowe” najlepiej wyjaśnić na dwu historycznych przykładach. Mam na myśli tak zwaną miłość romantyczną, miłość do kobiety, i tę szczególną, nieco egzaltowaną postać miłości do ojczyzny, do ziemi, narodu, języka, której nauczyli nas poeci romantycy. Ta pierwsza zresztą wbrew nazwie jest znacznie starsza od romantyzmu, początków jej trzeba zapewne szukać w pieśniach trubadurów. W obu wypadkach poeci ze stosunkowo skromnych danych uczuciowych: pożądania czy przywiązania, zbudowali potężne kompleksy uczuć, które odegrały i odgrywają doniosłą rolę cywilizacyjną, historyczną. Poeci byli tu prawodawcami nowych uczuć, w pewnym sensie je wynaleźli, choć ściśle mówiąc nadali im tylko religijne natężenie.

Tadeusz Sulkowski nie był takim wynalazcą uczuć, ale wartość stanów uczuciowych nie mierzy się tylko ich nowością. Dalszymi miarami są złożoność, nasilenie i coś, co bym nazwał szeroką zastosowalnością czy uniwersalnością. Prawdziwe lub jeśli kto woli: szczerze stany uczuciowe nie są nigdy proste. Są splotem mieszanych, często na pozór sprzecznych uczuć. Zasadniczy dla obu tomów splot, lepiej: zrost poezji Sulkowskiego ujmuję w formułę, która stanowi tytuł tego omówienia: nędza i radość. Nie chodzi o to, jakoby poeta na przemian to bolał nad nędzą świata, to szukał w nim radości — on jest na tych obu biegunach równocześnie i równie intensywnie, dzięki czemu ogarnia cały, prawdziwy sens — powiedzmy szumnie — zagadki bytu. Taki był w życiu, ze swym dobrym uśmiechem i tragicznymi oczyma, taki jest w poezji:

*Od złego skrzydłami uchowaj,  
Jaskółeczko, kochaneczko hebanowa.  
Naucz nędzna stać w nędzy mojej  
Jak w muzyce i w lasce wesolej.*

(„Jaskółki”)

*Tu w porządek obraca się to nawet, co upadło  
I w piękne grzyby rzeźby kamień kłęski,  
Który we wnętrznościach utworu leży jako światło,  
Ale od którego popiół po mnie będzie ciężki.  
(„Na wadze położą...”)*



Wybierz, sumienie moje,  
 Ciężkie życie i słoneczne niebios  
 .....  
 Z dna, o, z jakiego dna idzie droga prosta.  
 Nie ciszę daj, ale wątpieniem zatrzy,  
 Aby z żalu nowy kształt powstał.

(„Do sumienia”)

Aromat chleba, owoców i mleka  
 Znów rozpoznany, a nowość tworzenia  
 Przywraca iskrę u dłoni człowieka,  
 By kształt boleści w szczęśliwy kształt zmieniał.

(„Nowa ziemia”)

Mówimy o piękności i straszn i nędzni

(„Do burzy”)

Na tej ziemi lun w dymie, wspanialej i nędznej...

(tamże)

Padający, nieszczęśliwy,  
 Ręka sztuki sprawiedliwej  
 Napoi w godzinie twogi.

Podeprze niedoskonałość,  
 Rozpacz pęknie, buchnie radość...

(„Aria na bas i trąbkę” z „Tarczy”)

Radość. Gdybym wzorem polonistów uwiedzionych wątpliwymi urokami statystyki, obliczył częstotliwość powtarzania się pewnych wyrazów w poezji Sulkowskiego — „radość” znalazłaby się na pierwszym miejscu w bliskim sąsiedztwie wszakże z „nędzą” i „klęską”. *Móglbym jeszcze* długo mnożyć cytaty, gdzie w nierozzerwalnym związku splatają się dwie zasadnicze barwy palety poetyckiej Sulkowskiego: czerni tragedii i złoto euforii (symbolika tych kolorów z piosenki murzyńskiej, która zamyka tytułowy wiersz tomu „Dom złoty”), sądzę jednak, że wystarczająco zobrazowałem już i złożoność, i nasilenie stanów uczuciowych, utrwalonych w tej poezji, przechodzę więc do ostatniej miary: szerokiej zastosowalności lub uniwersalności. Odnaczają się nią niewątpliwie te wiersze, których tematem jest raczej „natura rerum” niż poszczególne rzeczy i stąd zastosowalność ich do osobistych sytuacji czytelnika jest wielka. Wracając do myśli o terapeutycznej niejako wartości poezji, pozwolę sobie na zwierzenie, że z tomami Sulkowskiego zacząłem obcować akurat w okresie, w którym wypadło mi się borykać, nie powiem: z nędzą, ale z przybębniącymi kłopotami. Życie mi z tego brzydło i musiałem się opędać najbardziej pesymistycznym refleksjom. Iście szyllerowska oda do radości zmarłego poety, tak przekonująca właśnie dlatego, że haftowana złotem na czarnym tle — była mi w tym walną pomocą.

Taki użytek z jego poezji byłby chyba bardzo po myśli poety, który raz po raz głosi, „że tylko jedno nad nami skinienie ręki artysty, a będziemy

lepsi”, nawołuje, by „płomyk pisma bronil przed zgubą pośród ludzkiej nocy” by karty pisarza „radą były tu, nie świecidelkiem...”. Obok dylematu: nędza-radość, rozpacz-szczęście, drugim motywem przewodnim tej poezji jest przeciwstawienie: życie i sztuka, czyn i słowo. Kochając sztukę — jak to mówią — nad życie a zarazem dając etyce bezwzględny prymat nad estetyką („jest tylko uczynek...”), każąc „poecie robić w życiu to, co w sztuce zbadal”, upominając go „by taki był jak to, co w książce kreśli” — Sulkowski przeciwycięza przeciwstawienie, znajduje rozwiązanie dylematu, które nie poniża sztuki, lecz ją wywyższa, podnosi na szczyt paradoksalnie dostępny jedynie w jej służebnej roli, rozwiązanie nie nowe, lecz trafne i pamiętne:

O ciężka praco sztuki, bo gdy ziemia pada,  
 Trzeba, aby artysta odkopywał prawa  
 Zwykłych ludzkich żywotów. By spod ognia wyrwał  
 Ziemską radość i wolał, że jest jeszcze żywa,

I ocaloną piórem w ręce ludzi złożył,  
 I sam nad przepaściami, o radości tworzył  
 Chór jak budowle w słońcu. Dom może postawić  
 Poeta nawet z fałi groźnej i z błyskawic.

(„Tarcza”)

„Prawa zwykłych ludzkich żywotów” i „ziemska radość” — te zwroty z przytoczonej strofy mogą służyć za klucze zarówno do etyki jak estetyki Sulkowskiego. Radość pracy, wytwarzającej „dzieło proste jak dary lata i jesieni”, i zasłużonego odpoczynku, spokój, cisza, myślenie, wiedza, cierpliwość, puklerz czyli *tarcza* „stateczności”, tak jak rozumiał ją Kochanowski, „wieina poczciwość”, dobry uczynek „mały jak owad”, „dobra robota” w tym filozoficznym znaczeniu, jakie nadał owemu powiedzonku profesor Kotarbiński, „szczęśliwość z małych rzeczy” — oto świat wartości etycznych najtkliwiej cenionych przez poetę. W doskonałej harmonii z nim objawia się świat powszedniego piękna, złożony z przedmiotów i czynności pospolitych, rażących płytkiego „estetę”: wieszanie bielizny, włosy mokre po myciu porannym, płukanie warzyw, dym tytoniu, butelka, skórka z pomarańczy, zdjęta marynarka, zapach potu z winem, pomadka do warg („sztuczna farba w skuwce”), grzebień... Karuzela, spódnica drukowana w księżycy i pary ptaszków, szylt z kuflem i amorkiem przy dzbanie, katarynka, koncert strażacki — w poetyckim prześwietleniu tracą swą małomiasteczkową czy mieszczańską, skierniewicką (miasto rodzinne poety) brzydotę. Tak charakterystyczna dla stylu Sulkowskiego drobiazgowa opisowość (z tym, że są to opisy wizji, nie spisy inwentarza), spojrzenie nieomal przez mikroskop (np.: „płótno z grudkami, w które zaschła olejna farba — jak ją kładł pędzel i włosiem robił rysy”, albo: „między płytami stopni mech i żółty kłosek — wypalony w kamieniach przez lato gorące”) — wywodzi się z tego samego przeświadczenia, co malarstwo szkoły holenderskiej: ze każda rzecz, byle się w nią dostatecznie *wpatrzeć*, jest piękna. I święta — dałby William Blake:

Arise, and drink your bliss, for every thing that lives is holy!



Takie widzenie świata jest jednym z najbardziej wartościowych stanów psychicznych człowieka, a zarazem jednym z najbardziej zwiewnych; kto choć raz doznał takiego olśnienia, nie zapomina, że został nim obdarzony, i dały wiele, by ten dar bodaj na chwilę, jeśli nie na dłużej, odzyskać. Prawdziwi poeci, jak Tadeusz Sulkowski, są naszymi najwierniejszymi sprzymierzeńcami w tej tęsknocie.

Wydanie utworów Sulkowskiego zawdzięczamy, o ile wiem, przede wszystkim dwu poetom: Czesławowi Bednarczykowi i Kazimierzowi Sowińskiemu, którzy — zjawisko rzadkie i krzepiące — ponad zabiegi o wydanie własnych „tomików” postawili troskę o ocalenie spuścizny po zmarłym przyjacielu. Oba tomy wydano z tradycyjnym już dla Oficyny Poetów i Malarzy pietyzmem. Niewyrobiony odbiorca sztuki plastycznej, muszę wyznać, że niebardzo umiem odcyfrować stenografię rysunków Feliksa Topolskiego, dały one jednak radość nawet mojemu niewyprawnemu oku.

Michał SAMBOR

## „Suma teologiczna”

Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas” w Londynie (12 Praed Mews, London W.2) przystąpił do wydania pełnego tekstu „Sumy Teologicznej” św. Tomasza z Akwinu w przekładzie na język polski, jaki do tej pory nie istnieje. Całość „Sumy” obejmie 36 tomów, a jej wydanie zaplanowane jest na okres dłuższy. Rocznie „Veritas” ma zamiar wydawać 3 do 4-ch traktatów tomistycznych.

Redakcję całości objął ks. kanonik dr Stanisław Belch. Pierwszy tom, „Traktat o męstwie”, przełożył i komentarzem opatrzył redaktor całości. „Suma” będzie przekładem zbiorowym kilku wybitnych tomistów i teologów polskich. Każdy tom będzie zawierał, prócz tekstu, niezbędne objaśnienia, ale bez nadmiernego balastu naukowego, gdyż celem tego wydawnictwa jest udostępnienie tekstu najwybitniejszego dzieła scholastyki możliwie szerokim kręgom czytelników polskich.

K.O.W. „Veritas” spodziewa się powodzenia tej nowej inicjatywy wydawniczej, licząc na zgłoszenia przedpłaty za poszczególne tomy „Sumy” nie tylko ze strony duchowieństwa, ale i szerokich rzesz inteligencji polskiej na emigracji.

„Suma Teologiczna” ukazywać się będzie jako osobna seria w ramach „Biblioteki Polskiej”.

## Nadesłane nowości wydawnicze

- KIENIEWICZ (Stefan), MO-  
RAWSKI (Kalikst). *La Polonia e il risorgimento italiano*. Str. 35. Odczyt w Bibliotece Polskiej Akademii Nauk w Rzymie dn. 26 października 1960. (Wyd. Angelo Signorelli, Rzym, 1961 — Zeszyt 14 Odczytów Polskiej Akademii Nauk w Rzymie).
- ANTONIEWICZ (Włodzimierz). *Recenti scoperti d'arte preromantica e romanica a Wislica in Polonia*. Str. 31 i 12 tablic. Odczyt w Bibliotece Polskiej Akademii Nauk w Rzymie dn. 8 czerwca 1960. (Wyd. Angelo Signorelli, Rzym, 1961. — Zeszyt 13 Odczytów Polskiej Akademii Nauk w Rzymie).
- TESLAR (Joseph Andrew, Ph. D.). *Shakespeare's Worthy Counsellor*. Str. 136. (Wyd. Sacrum Poloniae Millenium, Rzym, 1960).
- GOMBROWICZ (Witold). *Das Tagebuch*. Przełożył z polskiego Walter Tiel. Str. 403. (Wyd. Verlag Günther Neske, Pfullingen, 1961, Cena DM 24,80).
- LENEMAN (Léon). *La tragédie des Juifs en U.R.S.S.* Str. 327. (Wyd. Desclée de Brouwer, Paryż, 1959).
- KOCZY (Leon). *Millenium Polski*. Prolegomena. Str. 39. (Wyd. nakładem autora Millenium Polski. Szkocja, 1961).
- PIEKUT (Stanisław). *Adamo Mickiewicz e i suoi legami con gli irredentisti italiani*. Str. 147-157. (Odbitka z „Antemurale” VI, Rzym 1960-61).
- PIEKUT (Stanisław). *Un presunto proclama di Taddeo Kościuszko*. Str. 91-95. (Odbitka z „Antemurale” VI, 1960-61).

### KOMUNIKAT

„Głos Polski”, organ Związku Polaków w Argentynie w ramach obchodów Tysiąclecia Polski ogłasza „Konkurs Literacki” na nowelę lub esej o dowolnym temacie — prace dotąd nie ogłoszone w druku. Udział w konkursie mogą wziąć wszyscy pisarze polscy z kraju i na emigracji.

Ogólna suma nagród — 30.000 pesów. — I nagroda — nowela — 7.500 pesów argent. — szkic — 7.500 pesów argent. II nagroda, nowela — 5.000 pesów argent., szkic — 5.000 pesów argent. III nagroda, nowela — 2.500 pesów argent., szkic — 2.500 pesów argent.

Nowela nie może przekraczać 12 stron, szkic 6 stron maszynopisu formatu biurowego z podwójnym odstępem między wierszami.

Komitet Redakcyjny „Głosu Polskiego” oraz zaproszeni sędziowie wybiorą spośród nadesłanych sześć najlepszych prac i przyznają im kolejne nagrody. Komitet Redakcyjny rezerwuje sobie prawo drukowania w „Głosie” prac nienagrodzonych. Prace nagrodzone stają się własnością „Głosu Polskiego”.

Praca zaopatrzone godłem i niepodpisane należy nadsyłać pod adresem: Komitet Redakcyjny „Głosu Polskiego”, calle Serrano 2076, Buenos Aires, w kopercie z napisem Konkurs Literacki. Do pracy winna być załączona druga zapieczetowana koperta zawierająca godło, a wewnątrz nazwisko i adres autora.

Termin nadsyłania prac: 1 marca 1962 roku — według daty stempla pocztowego.



## Listy do Redakcji

Paryż, dn. 12.12.1961

Szanowny Panie Redaktorze!

Niech mi wolno będzie powiadomić na tej drodze Czytelników listopadowego numeru „Kultury”, że wskutek niezrozumiałego, jak to zgodnie stwierdziliśmy, zbiegu okoliczności, dokonana przez mnie korekta artykułu pt. „Historia i cenzura” nie dotarła do redakcji, co tłumaczy dosyć liczne omyłki drukarskie, za które nie chciałbym ponosić odpowiedzialności.

Wyrazy szacunku łączę.

Aleksander KAWAŁKOWSKI

Erie, 24.11.1961 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie wchodzę w dysputę z Wacławem Iwaniukiem na temat jego wypowiedzi, zamieszczonych w artykule „Podróż do Europy” („Kultura” nr 11/169, str. 6 i 7). Zabrałoby to zbyt wiele czasu i miejsca.

Nie zaczepiam nawet jego twierdzenia, że „największym zwycięstwem komunizmu była bierność Rzymu”. Może była, może nie — Bóg jeden osądzi.

Szkoda jednak, że p. Iwaniuk nie raczył zauważyć innej bierności jaką jest systematyczne przemilczanie wszystkich poczynań i wypowiedzi tak Rzymu jak i episkopatu w różnych krajach i na różnych kontynentach świata. Przemilczaniem tym grzeszy przede wszystkim prasa polska.

Wspomnę tylko jeden przykład. Ostatnią encyklikę Jana XXIII komentowali zyczliwie lub krytycznie: Nehru w Indiach, były prez. Brazylii Quadros, „National Review” wspomniany na innej stronie „Kultury” i inni. Ale „Kultura” nie znalazła na swych szpaltach ani słowa o tym dokumencie. Widocznie papież jest za mało liberalny i za bardzo prawicowy, a więc niech sobie mówi co chce i pisze co mu się podoba — szkoda czasu na czytanie. Nie warto chwalić, szkoda atakować — przemilczeć i zbyć.

Dopiero gdy Jan XXIII kiedyś umrze, „Kultura” zamieści jego nekrolog, napisany z taką samą „znajomością rzeczy”, jak to zrobiła po śmierci Piusa XII. Czytelnicy „Kultury” odniosą wrażenie, że Rzym milczał i nic nie robił, jakby go zupełnie nie było.

Na innej stronie zapowiada Iwaniuk, że jeszcze wróci do Rzymu, bo „jest to najpiękniejszy grób świata — tyle w nim dostojeństwa trupów i robactwa żywych”. Trudno się spodziewać, żeby na tym robaczywym cmentarzystku można było zauważyć jaki objaw ludzkiej działalności. Będzie znów albo przemilczanie albo stwierdzenie „bierności”. Chociaż kto wie. Są podobno dziwy na niebie i na ziemi, o których się nie śniło filozofom.

Z wyrazami szacunku.

Wojciech SOJKA, ks.

## Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1961

### Spis autorów

ANDRZEJEWSKI Stanisław Leonard, ANONIM (sowiecki), ARZAK Mikołaj, AUDEN W.H., AXEL Janina. — BEO, BERLIŃCZYK, BIELATOWICZ Jan, BIENKOWSKA Danuta I., BLOCH Ernst, B.O., BOBKOWSKI Andrzej, BORNSTEIN B., BÓBR-TYLINGO Stanisław, BREGMAN Aleksander, BRZEZIŃSKI Zbigniew, BRZEKOWSKI Jan, BUCZEWSKI Zenon, BUSZA Andrzej, BUTERLEWICZ Kazimierz. — CHCIUK Andrzej, CIENIEWICZ Olgierd W., CIOŁKOSZ Adam, CYGAN Wincenty, CZAPSKA-JORDAN Wanda, CZAPSKI Józef, CZAYKOWSKI Bogdan, CZERNIAWSKI Adam, CZUCHNOWSKI Marian. — DOBEK Czesław, DZIEWANOWSKI M.K. — EPSTEIN M. — FLOREK K., FIEDOTOW G.P., FURATYK Leon. — GIERATOWA Ewa, GOMBROWICZ Witold, GRABOWSKI Zbigniew, GRIF-FITH William E., GROBICKI Aleksander, GROBICKI Jerzy, GROSS Feliks, GRZYBOWSKI Stefan. — HAUPT Zygmunt, HERBERT Auberon, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Aleksander, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HINSHELWOOD Cyril, HŁASKO Marek, HOFFMAN Jakub, HOSTOWIEC Paweł, — IWANIUK Wacław. — JASIŃSKI Zbigniew, JELEŃSKI K.A., JORDAN Zbigniew, JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga. — K.A.J., K.J., KALINOWSKI Franciszek, KARCZ Jerzy F., KARPINSKA Ewa, KAWAFIS Konstanty, KAWAŁKOWSKI Aleksander, KIERYŁO Jan, KONKOLEWSKI Jan, KORBONSKI Andrzej, KORBONSKI Stefan, KORPOWSKI Bolesław, KOWALIK Jan, KOZŁOWSKI S.W., KRÓLIKOWSKI Roman, KRZE-



CZUNOWICZ Jerzy, KUKIEŁ Marian, KUSS Witold sr., KWIECIŃSKI Bogdan. — LEDÓCHOWSKI Włodzimierz, LEWICKYJ Borys, LONDYŃCZYK. — ŁOBODOWSKI Józef. — MACKIEWICZ Stanisław, MACZEK Stanisław, MADGER Noel N., MAZURKIEWICZ Władysław, MICHALAK Stefan, MIECZKOWSKI Bogdan, MIEDZIŃSKA Janina, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOSZ Czesław, MIŁOSZ Oskar, MORELOWSKI Jan, MOSTWIN Danuta. — NICHTBERGER Adolf, NOWAKOWSKI Tadeusz, NOWOJORCZAN. — OSADCZUK Bohdan. — P.H., PŁOT Jerzy, PODGÓRSKI Piotr, POMIAN-PIĄTKOWSKI Bolesław, POPIEL Karol, POPLAWSKI Włodzimierz. — RAYSKI Edward, RI-GO, RODINSON Maxime, ROMEYKO Marian, ROSSLEIGH Roman, RYGOR-SŁOWIŃSKI M.Z. — SAMBOR Michał, SCHOENFELD Henryk, SEP-SZARZYŃSKI Stanisław, SILONE Ignazio, S.K., S.K.J., SŁAWOJ SKŁADKOWSKI Felicjan, SOJKA W. ks., STACHOWICZ S.Z., STOSIUS Jerzy, STRASZEWICZ Czesław, SUKIENNICKI Wiktor, SULIMIRSKI Tadeusz, SWIANIEWICZ Stanisław, SZCZĘSNY Marian. — ŚMIEJA Florian. — TABORSKI Bolesław, TERLECKI Tymon, TESLAR Józef Andrzej, TOPORSKA Barbara, TRZECIAK K.E. ks., TUREK Wiktor. — WANKOWICZ Melchior, WĘDZIAGOLSKI Karol, WIATR Józef, WIERZYŃSKI Kazimierz, WITTLIN Józef, WŁODKOWSKI W.K. — XYZ. — ZAJĄC Józef, ZALESKI Eugeniusz, ZAREMBA Zygmunt, ZAWADOWSKI Zygmunt, ZBY-SZEWSKI W.A., ZDANAWICIUS K., ZELENKO Konstantyn, ZIMMER Szczepan K., ZYLBERLAST Henryk. — ŻEBROWSKI Henryk, ŻOCHOWSKI Stanisław, ŻUKAS Koslas, ŻULIŃSKI Edward.

### Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

BEO: *Wybory niemieckie* (10/168).  
 B.O.: *Chiński dramat na albańskiej scenie* (4/162).  
 BRZEZIŃSKI Zbigniew i GRIFFITH William E.: *O nową politykę wobec Europy Wschodniej* (7/165-8/166), przeł. Bogdan Czaykowski.  
 CZAYKOWSKI Bogdan (tłumacz) ob. Brzeziński Zbigniew i Griffith William E. (7/165-8/166).  
 GROSS Feliks: *Demokracja i kolor* (11/169).  
 GRIFFITH William E. ob. Brzeziński Zbigniew i Griffith William E.  
 GRZYBOWSKI Stefan: *Wspomnienie* (3/161).  
 JORDAN Zbigniew: *Rewizjonizm polski* (1) (12/170).  
 KARCCZ Jerzy F.: *Jeszcze o amerykańskim ustroju gospodarczym* (5/163).

KAWAŁKOWSKI Aleksander: *Algier* (6/164).  
 — *Francja 1961* (7/165-8/166).  
 KORBOŃSKI Andrzej i MIECZKOWSKI Bogdan: *Jeszcze o kapitalizmie amerykańskim* (4/162).  
 KOZŁOWSKI S.W.: *Przegląd niemiecki* (5/163).  
 LEWICKYJ Borys: *Drugi pogrzeb Stalina* (12/170).  
 LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/159-2/160), 3/161, 4/162, 5/163, 6/164, 7/165-8/166, 9/167, 10/168, 11/169, 12/170).  
 MACKIEWICZ Stanisław: *Prof. Wł. L. Jaworski, St. Car i.. De Gaulle* (9/167).  
 MAZURKIEWICZ Władysław: *Ameryka Łacińska* (10/168, 11/169).  
 MIECZKOWSKI Bogdan ob. Korboński Andrzej i Mieczkowski Bogdan.  
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Ameryka i świat* (1/159-2/160).  
 — *Inferno* (11/169).  
 — *Koniec wieku liberalizmu* (10/168).  
 — *Oni i my* (12/170).  
 — *Polski „nowy wspaniały świat”* (3/161).  
 — *Rewolucja przeciw rewolucji* (7/165-2/166).  
 — *Rosja — Niemcy — Ameryka* (4/162, 5/163).  
 — *Rosyjski „Commonwealth”* (6/164).  
 — *Wojna o Niemcy* (9/167).  
*Nowy protest intelektualisty* (List prof. Ernsta Blocha) (11/169).  
 OSADCZUK Bohdan: *Co robić* (6/164).  
 — *Konferencja w Belgradzie* (10/168).  
 — *Konflikt Chiny-Rosja* (1/159-2/160).  
 — *Niedorozwinięta polityka* (5/163).  
 — *Po konferencji moskiewskiej* (3/161).  
 — *Testament Chruszczowa* (9/167).  
 REDAKTOR: *Zbrodnia* (3/161).  
 SWIANIEWICZ Stanisław: *Polski model gospodarczy a uprzedmiotowienie Azji* (6/164).  
 ZBYSZEWSKI W.A.: *Podłoże historyczne gospodarki francuskiej* (9/167).

### Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

BOBKOWSKI Andrzej: *Fragment z notatnika* (9/167).  
 BRZĘKOWSKI Jan: *Refleksje na temat pisania w obcym języku* (6/164).  
 CZAPSKA-JORDAN Wanda (tłumacz) ob. Hinshelwood Cyril (3/161).  
 CZAPSKI Józef: *Przy Sybillach-królowych* (11/169).  
 — *Querido Bob* (9/167).



- GOMBROWICZ Witold: *Fragmenty z dziennika* (4/162, 5/163, 7/165-8/166, 11/169).
- GROBICKI Aleksander: *Ślady na „Czarnym piasku”* (1/159-2/160).
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Wyjścia z milczenia* (11/169).  
— *Zagadnienie językowe literatury emigracyjnej* (6/164).
- HINSHELWOOD Cyril: *Nauka i historia* (3/161), przeł. Wanda Czapska-Jordan.
- HOSTOWIEC Paweł: *Mowa żywa i język literacki* (6/164).  
— *Notatnik nieśpiesznego przechodnia* (1/159-2/160, 7/165-8/166).
- IWANIUK Wacław: *Podróż do Europy* (11/169).
- JELEŃSKI K.A.: *Czwórjęzyczne kłopoty* (6/164).  
— *O „kulturze masowej” inaczej* (5/163).  
— *Paweł Hostowiec czyli o wysiłku wyobraźni* (11/169).  
— *Trzy pory roku Kazimierza Wierzyńskiego* (9/167).
- JORDAN Zbigniew: *O sytuacji w nauce polskiej* (3/161).  
— *W labiryncie ideologii* (6/164).
- KAWAŁKOWSKI Aleksander: *Instytut jednego człowieka* (9/167).
- KRÓLIKOWSKI Roman: *Afrykańskie wywczasy* (1/159-2/160).
- MIŁOSZ Czesław: *Co robić z Brzozowskim* (4/162).  
— *Proza* (11/169).  
— *Przygody poezji nowoczesnej* (7/165-8/166).  
— (tłumacz) ob. Miłosz Oskar (7/165-8/166).
- MIŁOSZ Oskar: *Kilka słów o poezji* (7/165-8/166), przeł. Czesław Miłosz.
- NOWAKOWSKI Tadeusz: *Wenus z Milanówka* (6/164).
- P.H.: *Literatura emigracyjna w wieży babel języków* (6/164).
- WIERZYŃSKI Kazimierz: *Powtórny pogrom Pasternaka* (3/161).

### Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- ARŻAK Mikołaj: *Ręce* (9/167), przeł. Józef Łobodowski.
- CZERNIAWSKI Adam: *Kartofla* (11/169).
- DOBEK Czesław: *Na czele pochodu* (3/161).  
— *Wincenty i anioł* (1/159-2/160).
- GROBICKI Aleksander: *Rio des Mortes* (10/168).
- HAUPT Zygmunt: *Pejzaż ze wschodem słońca i obiektami ze stali* (10/168).
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Drugie przyjście* (9/167).
- HŁASKO Marek: *Powiedz im kim byłem* (10/168).
- ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Arżak Mikołaj (9/167).
- MOSTWIN Danuta: *Testament Błażeja* (7/165-8/166).

### Utwory poetyckie

- AUDEN W.H.: *Ach co to za głos* (10/168), przeł. Zygmunt Haupt.
- BIENKOWSKA Danuta Irena: *Powroty* (12/170).
- BUSZA Andrzej: *Argument* (12/170).  
— *Bunt* (12/170).  
— *Jak można myśleć* (12/170).  
— *Operacja* (12/170).  
— *Zabawa* (12/170).
- CZUCHNOWSKI Marian: *Czuwajmy* (1/159-2/160).  
— *Sam na sam z uczonym* (4/162).
- HAUPT Zygmunt (tłumacz) ob. Auden W.H. (10/168).
- IWANIUK Wacław: *Niedomówiona rzecz* (6/164).  
— *Widziałem obrazy Van Gogha* (12/170).  
— *Zmartwychwstanie* (6/164).
- KAWAFIS Konstanty: *Czekając na barbarzyńców* (7/165-8/166), przeł. Czesław Miłosz.  
— *Dariusz* (7/165-8/166), przeł. Czesław Miłosz.  
— *Itaka* (7/165-8/166), przeł. Czesław Miłosz.  
— *Myris: Aleksandria a.d. 340* (7/165-8/166), przeł. Czesław Miłosz.
- KIERYŁŁO Jan: *Poszukiwanie* (1/159-2/160).
- ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Wiersze Anonima sowieckiego (11/169).
- MIŁOSZ Czesław: *Album snów* (1/159-2/160).  
— *Co znaczy* (3/161).  
— *Pokój* (3/161).  
— *Powinien, nie powinien* (3/161).  
— *Po ziemi naszej* (10/168).  
— *Rozmowa pomiędzy św. antropologią, św. teologią i człowiekiem* (3/161).  
— *Szczęście* (3/161).  
— (tłumacz) ob. Kawafis Konstanty (7/165-8/166).
- ŚMIEJA Florian: *Na śmierć poety* (4/162).  
— *Cień w zaranie* (4/162).  
— *Surrey w listopadzie* (4/162).
- TABORSKI Bolesław: *Czekamy* (1/159-2/160).  
— *Hymn* (6/164).  
— *Liście* (1/159-2/160).
- Wiersze Anonima sowieckiego* (11/169) przełożył i opatrzył notą Józef Łobodowski.
- WIERZYŃSKI Kazimierz: *Ballada o dwu grabarzach* (5/163).  
— *Emily Dickinson* (7/165-8/166).  
— *Fizyka metafizyczna* (5/163).  
— *Jedno słowo* (7/165-8/166).  
— *Jeże* (5/163).



- *Leśmian w zimie* (7/165-8/166).
  - *Matko Bolesna* (7/165-8/166).
  - *Melodramat* (7/165-8/166).
  - *Obraz* (7/165-8/166).
  - *Ogrodnicy* (7/165-8/166).
  - *Okno na ogród* (5/163).
  - *Po rozum do głowy* (5/163).
  - *Pożegnanie* (5/163).
  - *Ptaki* (5/163).
  - *Ptasie mleko* (7/165-8/166).
  - *Wiersze o wódce* (5/163).
  - *Wynajmę się* (5/163).
  - *Zapisany* (5/163).
  - *Znaki zapytania* (7/165-8/166).
- WŁODKOWSKI W.K.: *Krochmalna* (6/164).
- *Raynaud* (6/164).
  - *Walc* (6/164).
  - *W zachłyśniętej krtani* (6/164).

### Najnowsza Historia Polski

- BIELATOWICZ Jan: *„Kurier Polski” w Bagdadzie* (6/164).
- CIOŁKOSZ Adam: *W 20-tą rocznicę zamordowania Henryka Erlicha i Wiktora Altera* (12/170).
- Jules Laroche (10/168).
- KALINOWSKI Franciszek: *Konspiracje w lotnictwie polskim* (3/161, 4/162).
- KAWAŁKOWSKI Aleksander: *Cenzura i historia* (12/170).
- KORPOWSKI Bolesław: *Sabotaż czy wypadek* (11/169).
- POPŁAWSKI Włodzimierz: *Jak uciekałem...* (6/164).
- ROMEYKO Marian: *Jeszcze o pierwszych dniach Rzeczypospolitej* (12/170).
- SŁAWOJ SKŁADKOWSKI Felicjan: *Ucieczka z Rumunii* (10/168).
- WAŃKOWICZ Melchior: *Kosynierzy* (5/163).
- WIATR Józef: *Możliwości przygotowania do wojny w okresie 20-lecia* (6/164).
- ZAJĄC Józef: *Nasze przygotowania do wojny* (1/159-2/160).
- ZBYSZEWSKI W.A.: *Janusz Iliński* (10/168).

### Sprawy krajowe

- HEYDENKORN Benedykt: *Zmiany struktury ludnościowej w Polsce* (11/169, 12/170).
- JELEŃSKI K.A. (tłumacz) ob. Silone Ignazio (6/164).
- JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga: *Nowy kraj — nieznanym kraj* (5/163).

- KARPIŃSKA Ewa: *Zieloność i pajęczyna* (12/170).
- MIECZKOWSKI Bogdan: *Ocena gospodarki polskiej* (7/165-8/166).
- MIEDZIŃSKA Janina: *Niebezpieczny eksperyment* (10/168).
- PŁOT Jerzy: *Skrawek ojczyzny* (1/159-2/160, 4/164).
- SILONE Ignazio: *„Po Prostu”* (6/164), przeł. K.A. Jeleński.
- XYZ: *List z kraju* (7/165-8/166).
- Zmiany w „Polityce” (1/159-2/160).

### Sąsiedzi

- BERLIŃCZYK: *Notatki berlińskie* (10/168).
- *Polska-Niemcy 1961* (3/161).
- FIEDOTOW G.P.: *Losy imperium* (1/159-2/160), przeł. Józef Łobodowski.
- *Polska i my* (1/159-2/160), przeł. Józef Łobodowski.
- HERBERT Auberon: *Ukraińcy w Kanadzie* (7/165-8/166).
- KOZŁOWSKI S.W.: *Przegląd niemiecki* (4/162).
- LEWICKYJ Borys: *Postęp techniczny a problemy narodowościowe w ZSSR* (3/161).
- ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Fiedotow G.P. (1/159-2/160).
- NOWAKOWSKI Tadeusz: *Bezdomna lewica* (10/168).
- *Trudna sztuka nawlekania igły* (1/159-2/160).
- REDAKCJA: *Dialog polsko-rosyjski* (1/159-2/160).
- Sowiecki antysemityzm* (4/162).
- ZDANAWICIUS K.: (tłumacz) ob. Żukas Koslas (7/165-8/166).
- ŻUKAS Koslas: *Nieznany szczegół* (7/165-8/166), przeł. K. Zdanawicius.

### Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- ANDRZEJEWSKI Stanisław Leonard: *Armia i społeczeństwo* (1/159-2/160).
- BÓBR-TYLINGO Stanisław: *Gdy czekano na upadek Warszawy* (11/169).
- CHCIUK Andrzej: *„Na linii życia i śmierci”* (11/169).
- CZAPSKI Józef: *„Tamten brzeg” i własne wspomnienia* (5/163).
- DZIEWANOWSKI M.K.: *„Polityka” o „Historii K.P.P.”* (1/159-2/160).
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Lekcja Czechowa* (1/159-2/160).
- *Nuda* (1/159-2/160).
  - *Powieść o somnabulikach* (5/163).
  - *W szufladzie autora „Il Gattopardo”* (10/168).
- HERTZ Aleksander: *Ameryka widziana przez Osmarńczyka* (6/164).



- *O wartościach społecznych* (10/168).  
 — „*Socjologia*” Jana Szczepańskiego (9/167).  
 HERTZ Zofia (tłumacz) ob. Madger Noel N., (3/161) oraz Rodinson Maxime (3/161).  
 HEYDENKORN Benedykt: *Blok sowiecki* (1/159-2/160).  
 HOSTOWIEC Paweł: „*Młody poeta w zamku*” (9/167).  
 — „*Pierścieni z Herkulanum*” (1/159-2/160).  
 — „*Skąpani w ogniu*” (9/167).  
 — *Spizowa brama i parafialne wrota* (3/161).  
 — „*Slepi bez lasek*” (4/162).  
 JORDAN Zbigniew: *Francuska „Panorama myśli współczesnej”* (4/162).  
 KONKOLEWSKI Jan: „*Historia P.P.K.*” (7/165-8/166).  
 KUKIEŁ Marian: *Wspomnienia gen. Zamoyskiej* (9/167).  
 MADGER Noel N.: *O Chinach prawdziwie* (3/161), przeł. Zofia Hertz.  
 MIEDZIŃSKA Janina: *Polskie prawo pracy i demokracja* (12/170).  
*Nadestane nowości wydawnicze* (1/159-2/160, 3/161, 4/162, 5/163, 6/164, 7/165-8/166, 9/167, 10/168, 11/169, 12/170).  
 RODINSON Maxime: *Komunizm i trzeci świat* (3/161), przeł. Zofia Hertz.  
 SUKIENICKI Wiktor: „*Ani wojna ani pokój*” (5/163).  
 — *Dziecięca choroba uprzemysłowienia* (1/159-2/160).  
 — *Historia sowieckiej partii komunistycznej* (3/161).  
 TERLECKI Tymon: *Chwistek redivivus* (5/163).  
 — *Homo theatralis Leopoliensis* (11/169).  
 — *Polski tomista* (10/168).  
 — *Raptularz poetycki Jastruna* (9/167).  
 — *Rosja w Europie* (12/170).  
 — „*Stary Rapacki*” i „*Zimajerka*” (10/168).  
 — *Szekspir odczytany na nowo* (12/170).  
 — *Szyfmanowska odyseja* (6/164).  
 — *Tom III makiety „Historii”* (7/165-8/166).  
 — *Zapolska nareszcie autentyczna* (5/163).  
 — *Zelwerowicz w Łodzi* (7/165-8/166).  
 — *Zeromski żywy* (6/164).  
 TUREK Wiktor: *Trzy książki o Kanadzie* (10/168).  
 VINCENZ Stanisław: *Iliada* (9/167).  
 WIERZYŃSKI Kazimierz: *Nowy krzyk z Polski* (4/162).  
 ZAWADOWSKI Zygmunt: „*Niedaleko Damaszku*” (11/169).  
 ZYLBERLAST Henryk: *Obsesja socjologów* (6/164).

### Kronika kulturalna

- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Proces Lady Chatterley* (4/162).

- JELEŃSKI K.A.: *Polscy paryżanie* (4/162).  
 — *Polski sezon jesienny w Paryżu* (12/170).  
 JORDAN Zbigniew: *O Kazimierzu Ajdukiewicz* (7/165-8/166).  
 KAJ: *Wystawy paryskie* (1/159-2/160).  
*Kronika* (1/159-2/160), 5/163, 7/165-8/166).  
*Nagroda „Kultury” za najlepszy esej* (przyznana Pawłowi Hostowcowi) (4/162).  
*Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1960* (Witold Gombrowicz) (5/163).  
*Nagrody i konkursy* (4/162).  
 P.H.: *Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1961* (Józef Łobodowski) (12/170).  
*Prekursor anachroniczny* (7/165-8/166).  
 SAMBOR Michał: *Równy krok nieśpiesznego przechodnia* (5/163).  
 — *W obronie (neo)puryzmu* (1/159-2/160).  
 SCHOENFELD Henryk: *Zawiłości i uproszczenia* (12/170).  
 TOPORSKA Barbara: *Pornografia* (5/163).  
 WITTLIN Józef: *Hemingway, śmierć i zabijanie* (9/167).

### Sprawy i troski

- CHCIUK Andrzej: *List z Australii* (4/162).  
 CYGAN Wincenty: *Pod falę* (1/159-2/160).  
 — *Uchodźcy* (12-170).

### Tłumaczenia Z języka angielskiego

- AUDEN W.H.: *Ach co to za głos* (10/168), przeł. Zygmunt Haupt.  
 BRZEZIŃSKI Zbigniew i GRIFFITH William E.: *O nową politykę wobec Europy Wschodniej* (7/165-8/166), przeł. Bogdan Czaykowski.  
 HINSHELWOOD Cyril: *Nauka i historia* (3/161), przeł. Wanda Czapska-Jordan.  
 KAWAFIS Konstanty: *Czekając na barbarzyńców* (7/165-8/166), przeł. Czesław Miłosz.  
 — *Dariusz* (7-165-8/166), przeł. Czesław Miłosz.  
 — *Itaka* (7/165-8/166), przeł. Czesław Miłosz.  
 — *Myris: Aleksandria a.d. 340* (7/165-8/166), przeł. Czesław Miłosz.



## Z języka francuskiego

- MADGER Noel N.: *O Chinach prawdziwie* (3/161), przeł. Zofia Hertz.  
 MIŁOSZ Oskar: *Kilka słów o poezji* (7/165-8/166), przeł. Czesław Miłosz.  
 RODINSON Maxime: *Komunizm i trzeci świat* (3/161), przeł. Zofia Hertz.

## Z języka litewskiego

- ZUKAS Koslas: *Nieznany szczegół* (7/165-8/166), przeł. K. Zdanawicius.

## Z języka rosyjskiego

- ARŻAK Mikołaj: *Ręce* (9/167), przeł. Józef Łobodowski.  
 FIEDOTOW G.P.: *Losy imperium* (1/159-2/160), przeł. Józef Łobodowski.  
 — *Polska i my* (1/159-2/160), przeł. Józef Łobodowski.  
*Wiersze Anonima sowieckiego* (11/169), przeł. Józef Łobodowski.

## Z języka włoskiego

- SILONE Ignazio: *„Po Prostu”* (6/164), przeł. K.A. Jeleński.

## Wolna Trybuna

- ZAREMBA Zygmunt: *Istota rewizjonizmu sowieckiego* (10/168).

## Bibliografie

- Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1960* (1/159-2/160).  
 KOWALIK Jan: *Polska prasa emigracyjna 1939-1959* (4/162, 7/165-8/166).  
 ZIMMER Szczepan K.: *Polska Bibliografia Literacka na rok 1956* (7/165-8/166).

## Listy do Redakcji

- AXEL Janina (1/159-2/160), BIELATOWICZ Jan (4/162, 7/165-8/166), BORNSTEIN B. (9/167), BREGMAN Aleksan-

der (12/170), BUCZEWSKI Zenon (7/165-8/166), BUTERLEWICZ Kazimierz (4/162), CIENIEWICZ Olgierd W. (7/165-8/166), CHCIUK Andrzej (7/165-8/166), CZAPSKI Józef (7/165-8/166), EPSTEIN M. (12/170). FLOREK K. (6/164). FURATYK Leon (4/162). GIERATOWA Ewa (12/170), GRABOWSKI Zbigniew (12/170), GROBICKI Jerzy (9/167), HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (12/170), HOFFMAN Jakub (7/165-8/166), JASIŃSKI Zbigniew (4/162), KALINOWSKI Franciszek (5/163, 6/164), K.J. (5/163), KORBŃSKI Stefan (1/159-2/160), KRZECZUNOWICZ Jerzy (12/170), KUSS Witold, sr. (9/167), KWIECIŃSKI Bogdan (5/163), LEDÓCHOWSKI Włodzimierz (5/163), MACZEK Stanisław (12/170), MICHALAK Stefan (3/161), MOREŁOWSKI Jan (3/161, 7/165-8/166), NICHTBERGER Adolf (9/167), NOWOJÓR-CZAN (3/161), OSADCZUK Bohdan (3/161), PODGÓRSKI Piotr (9/167), POMIAN-PIĄTKOWSKI Bolesław (4/162), POPIEL Karol (4/162), RAYSKI Edward (4/162), ROMEYKO Marian (9/167), ROSSLEIGH Roman (11/169), RYGOR-SŁOWIKOWSKI M.Z. (3/161), SĘP-SZARZYŃSKI Stanisław (7/165-8/166, 9/167), S.K. (9/167), S.K.J. (7/165-8/166), SOJKA W. ks., (4/162), STACHOWICZ S.Z. (6/164), STOSIUS Jerzy (10/168), STRASZEWICZ Czesław (9/167), TABUMIRSKI Tadeusz (3/161), SZCZĘSNY Marian (9/167), TABORSKI Bolesław (3/161), TESLAR Józef Andrzej (1/159-2/160), TRZECIAK K.E. ks., (7/165-8/166), TUREK Wiktor (1/159-2/160), WĘDZIAGOLSKI Karol (7/165-8/166), ZAJĄC Józef (7/165-8/166), ZELENKO Konstantyn (1/159-2/160), ZYLBERLAST Henryk (6/164), ŻEBROWSKI Henryk (6/164), ŻOCHOWSKI Stanisław (3/161, 4/162), ŻULIŃSKI Edward (11/169).

## Różne

- Komunikat o powstaniu Instytutu Literackiego* (10/168).  
*Komunikaty* (6/164, 12/170).  
*Nowe wydawnictwo „Kultury” „Zeszyty Historyczne”* (4/162).  
*Od Redakcji* (12/170).  
*Sprostowanie* (1/159-2/160, 4/162).  
*Wpłaty na Fundusz „Kultury”* (1/159-2/160, 3/161, 4/162, 5/163, 6/164, 7/165-8/166, 9/167, 11/169, 12/170).  
*Wpłaty na nagrobek dla Andrzeja Bobkowskiego* (10/168, 11/169, 12/170).

## Noty biograficzne

- KALINOWSKI Franciszek (3/161).  
 KARCZ Jerzy F. (5/163).  
 KORBŃSKI Andrzej (4/162).



MIECZKOWSKI Bogdan (4/162).  
 RODINSON Maxime (3/161).  
 SUBOTIN Stojan (1/159-2/160).

**Wydawnictwa książkowe w r. 1961**  
 Biblioteka „Kultury”

- Tom LXII: Ciołkosz Adam, *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska*. Seria „Dokumenty”, Zeszyt 9, str. 260.  
 Tom LXIII: Czaykowski Bogdan i Sulik Bolesław, *Polacy w Wielkiej Brytanii*, str. 581.  
 Tom LXIV: Mostwin Danuta, *Ameryko! Ameryko!*, str. 491.  
 Tom LXV: Hostowiec Paweł: *Eseje dla Kassandry*, str. 300.  
 Tom LXVI: Hertz Aleksander, *Zydzi w kulturze polskiej*, str. 298.  
 Tom LXVII: Stawar Andrzej, *Pisma ostatnie*, seria „Dokumenty”, Zeszyt 10, str. 274.  
 Tom LXVIII: Terc Abram, *Opowieści fantastyczne*, str. 224.  
 Tom LXIX: Iwanow I., *Czy istnieje życie na Marsie?*, str. 112.  
 Tom LXX: Terc Abram, *Fantastyczne powieści*, str. 212.  
 Tom LXXI: Iwanow I., *Jest li życie na Marsie?*, str. 102.  
 Tom LXXII: Zaremba Paweł, *Historia Polski*, T. I., str. 624.

Polsko-szkocki Hotel

**„STRATHGONA COURT”**

(Właśc. C.C. Slezakowie)



Pokoje z ciepłą wodą, śniadaniem, telefonem, radiem, telewizją i obsługą od 21 szylingów  
 Przyjęcia towarzyskie i weselne do 70 osób  
 198, Cromwell Road, London, S.W. 5. Tel. FRE 7878/9  
 Stacje kolejki Earls Ct i Gloucester Rd, autobusy 31 i 74  
 W bezpośrednim sąsiedztwie stacji autobusowej lotniska londyńskiego.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI  
 11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,  
 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.  
 Dépôt légal: 1<sup>er</sup> trimestre 1962

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA: Janina Karab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20..	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Franciszek Sacha-Paprocki, rua Martins Fontes 197, apt. 74, Sao Paulo. Tel.: 34.18.59.		5 dol. am.	9 dol. am.
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu.	3,50 NF	19 NF	37 NF
HOLANDIA: T. Szpiczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konto pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538			
IZRAEL: « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
KANADA: M. Jaxa-Debiecka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W., Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tel.: HU 8-5224; H.R. Radamski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tel.: HU 9-0829; M. Król, 328 Boyd Avenue, Winnipeg, Man.; « Zwiakowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491; Olgierd Kiersnowski, 36 Bermuda Ave., Toronto 18, Ont.	£. izr. 1,70	£. izr. 9,15	£. izr. 17,75
MEKSYK: Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tel. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY: St. Mikiciuk, (13b) Munchen 45, Gablonzerstr. 7/1	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	4.- DM	22 DM	40 DM
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas. Geneve. Tel.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWECJA: Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	3,50 fr. s.	27 fr. s.	40 fr. szw
U.S.A.: W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, Schenectady, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczynski, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; K. Trojanowski, 134 Hellstrom Rd. East Haven, Conn. R.J. Sas-Babczynski, 1819 B.W. Commonwealth Ave, Alhambra, Cal.	5 kor.	25 kor.	45 kor.
W. BRYTANIA: « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	1 dol.	5 dol.	9 dol.
WLOCHY: Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, 2, int. 14, Roma. Tel.: 87-87-89.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,  
 par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56



## Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM LXXII

PAWEŁ ZAREMBA

# HISTORIA POLSKI

Część pierwsza

Obejmująca okres od zarania Państwa Polskiego do r. 1500 to jest doprowadzona do przełomu Średniowiecza i czasów nowożytnych.

HISTORIA POLSKI Pawła Zaremba jest próbą syntezy dziejów Polski na tle rozwoju politycznego, gospodarczego i kulturalnego Europy.

Cena egz. 20 NF (30 zł., 4,25 dol.)

Str. 600 plus indeks

TOM LXXIII

I-szy

# ZESZYT HISTORYCZNY

zawiera:

*Nieznane exposé* prem. T. Arciszewskiego

*Aleksander Lednicki* (1866-1934)

(prace Z. Nagórskiego, sr. i W. Lednickiego)

*Powstanie Warszawskie* L. Mitkiewicza

*F.O.N. w czasie II-ej wojny światowej* W. Jędrzejewicza

o r a z

*Indeks do 3-ch tomów „Historii Polski”* Wł. Pobóg-Malinowskiego.

Str. 240

Cena ZESZYTU w sprzedaży:

15,00 NF (22/-; dol. 3)

— w prenumeracie o połowę taniej